

SERIA Z MERCEDES THOMPSON **13**

# PATRICIA BRIGGS

**ŻNIWA  
DUSZ**



fabryka słów®  
WYDAWNICTWO



# Spis treści

Karta tytułowa

Seria z Mercedes Thompson

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Podziękowania

Patricia Briggs

Alfa i Omega

Karta redakcyjna

Okładka

PATRICIA  
BRIGGS  
ŻNIWA  
DUSZ

PRZEŁOŻYŁA  
DOMINIKA SCHIMSCHNER

fabryka słów®  
Warszawa

## *Seria z Mercedes Thompson:*

1. *Zew księżycy*
2. *Więzy krwi*
3. *Pocałunek żelaza*
4. *Znak kości*
5. *Zrodzony ze Srebra*
6. *Piętno rzeki*
7. *Żar mrozu*
8. *Zamęt nocy*
9. *Dotyk ognia*
10. *Czas ciszy*
11. *Klątwa burzy*
12. *Ślad dymu*
13. *Żniwa dusz*



Ann Peters vel Sparky,  
mojej Zaufanej Asystentce, dzięki której wszystko w moim  
życiu działa lepiej.





# Prolog

Stał w sypialni Mercy, w sercu domu swojego wroga.

Lekko zmarszczył brwi w zamyśleniu. Nie, przecież ona nie jest już jego wrogiem. A zatem sojuszniczki. Poprosiła go o pomoc – a nawet Pani robiła to rzadko, mając go za niegodnego zaufania.

Pomógł Mercy – chyba – a potem ona... zrobiła coś dziwnego. Nawet nie wiedział, jak to określić, ponieważ najpierw wydawało mu się, że go uratowała, przynajmniej dopóki nie ustąpiły efekty, bo wtedy zrozumiał, że w zasadzie go zniszczyła. Nadzieja była bowiem najgroźniejszą emocją.

Nie, nie była jego wrogiem. Ale z pewnością nie przyjacielem.

Ostrożnie trzymał w dłoniach pas jedwabiu, swój skarb. Tkanina była stara, bardzo stara, choć nie aż tak jak on. Wyciągał ją ze szkatuły sporadycznie, nie chcąc przypadkiem zniszczyć. Uniósł jedwab do nosa, udając, że nadal wyczuwa ciężką woń jaśminowych perfum, którymi właścicielka spryskiwała się, żeby zamaskować zapach, który wydzielало zdrowe ludzkie ciało przed czasami codziennych, a niechby nawet cotygodniowych kąpiel. Tęsknił za ówczesnymi wyrazistymi woniami. Teraz wszystko pachniało dla niego słabo i nikle.

Ta delikatna tkanina – dar dla kogoś, kim był w przeszłości, stanowił pamiątkę, przypomnienie, że niegdyś był całością. Był zdolny do radości. Ryzykował, zostawiając tutaj ten ostatni strzęp duszy. Mercy była nieprzewidywalna i zawsze towarzyszył jej chaos.



Na samą myśl o powierzeniu jedwabnego pasa chaosowi przytulił go do siebie. Ale tylko na moment. Ponieważ Mercy, w przeciwieństwie do niego, nie krzywdziła niewinnych. Przechowa bezpiecznie ten jasny, piękny skrawek przeszłości, pomyślał, czując niewzruszoną pewnością, że tak właśnie się stanie. Nareszcie zrozumiał, dlaczego, wiedziony impulsem, przyniósł pas właśnie tutaj. Wraz ze zrozumieniem przyszła ulga.

Położył się na łóżku po stronie towarzysza Mercy i przytulił jedwabny zwój do policzka. Zamknął oczy.

Nie był chrześcijaninem ani teraz, ani nigdy wcześniej, ale przyszły mu na myśl ironiczne słowa dziecięcego pacierza.

*Podaruj mi, Panie, spokojny sen,  
strzeż mnie od złego i w noc, i w dzień.  
A jeśli umrę zgodnie z wolą Twoją,  
zabierz, proszę, do siebie duszę moją.*

Roześmiał się pod nosem, czując wzbierające łzy. Jego wargi muskały wiekową jedwabną szarfę, kiedy wypowiedział bezgłośnie słowa:

– *Ardeo. Ardeo. Ardeo.*

Płonę.



## Rozdział 1

**M**ercy?  
Z góry patrzył na mnie Adam. W dzikich złotych oczach pozostało jedynie kilka ciemnych plamek. Przypominały kawałki czekolady rozpuszczające się w maśle. Z jego czoła skapnął lodowaty deszcz, prosto na moją twarz. Zamrugalam.

Niepokojąca ta złotość, pomyślałam mętnie i niezbornie otarłam policzek dłonią. Lepiej czujnie obserwować ten niebezpieczny poblask w jego oczach.

– Jakie ładne – wymamrotałam.

Ktoś zdusił śmiech, ale nie Adam. Jego mars tylko się pogłębił.

Właśnie... Hm, w zasadzie nie mogłam sobie przypomnieć, co przed chwilą robiłam, ale z pewnością nie leżałam na mokrej ziemi i nie padał na mnie lodowaty deszcz – albo może mokry śnieg? – i nie gapiłam się w dziczące oczy Adama. Pokonując opór ciała, dźwignęłam rękę i zacisnęłam palce na kołnierzyku jego koszuli.

Choć mój mózg nadal nie działał prawidłowo, udało mi się połączyć koszmarny ból głowy, którego źródło znajdowało się gdzieś w okolicy skroni, z obecną pozycją horyzontalną. Musiałam czymś oberwać. I to mocno. Uznałam, że za moment – kolejna zimna kropla wylądowała na moim policzku – dojdę do siebie, ale oceniając po minie Adama, ten moment mógł trwać zbyt długo, by powstrzymać wybuch.

A nadciągał chyba kataklizm. Straszniejszy niż w przypadku, gdyby Adam po prostu stracił panowanie na rzecz swojego wilka. Tego normalnego wilka. Wspomnienie zdeformowanej, cronenbergowej wersji wilkołaka, zamykającej paszczę o zakrwawionych kłach na mojej szyi, ocuciło mnie skuteczniej niż spadające z nieba mroźne krople.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze, a nagły przypływ adrenaliny zdawał się gasić resztki człowieczeństwa w oczach Adama, nawet jeśli mnie pozwolił odzyskać jasność umysłu. Żadne z nas nie wiedziało, czy zabójczy potwór, w którego zakłęła go umierająca Elizawieta, zniknął na dobre, czy tylko przyczaił się, czekając na swoją chwilę.

Adam ostrzegł watahę o możliwości przemienienia się w coś znacznie groźniejszego niż potwór zazwyczaj pozostający pod jego kontrolą. Jednakże wilki, w iście wilczym stylu, zdawały się odbierać to raczej w kategoriach nowej supermocy swojego przywódcy niż zagrożenia. Żaden z nich nie widział tej istoty na własne oczy.

Adamowi ulżyło, kiedy podczas pełni na zew księżycy odpowiedział tylko jego dawny wilk. Adam zawsze był porywczy, ale teraz miał jeszcze krótszy lont, jednak ja łączyłam to z wydarzeniami ostatnich miesięcy, które nam wszystkim dały się we znaki. Mimo to...

Bacznie przyjrzałam się obliczu Adama, szukając śladów potwora Elizawiety, ale zobaczyłam jedynie Adama. Ostatnie przeżycia odcisnęły na nim wyraźne piętno. Pomimo

wilkołaczego daru wiecznej młodości jego oczy się postarzały. Klątwa Elizawieyty i dramaty, które nas spotkały ostatnio, wyostrzyły mu rysy. Nadal roztaczał tę charakterystyczną aurę pewności siebie, lecz teraz była to pewność siebie zmęczonego wojną żołnierza.

Pociągnęłam lekko za kołnierz koszuli Adama.

Zamrugął, a krąg wokół źrenic pociemniał. Uspokojona, zacisnęłam palce mocniej, niemal go dusząc. Musiałam przy tym zignorować ból w ledwie zagojonej ręce, w którą zdążyła mnie postrzelić zabójczyni tuż przed tym, jak pożarł ją potwór Adama.

Jednak bez względu na wysiłki nie zdołałabym przyciągnąć do siebie Adama, gdyby tego nie chciał. W końcu był wilkołakiem – w przeciwieństwie do mnie. Ostatecznie mogłabym się podnieść, ale na szczęście nie musiałam się wysilać, bo pochylił się i musnął wargami moje usta, unosząc jedną brew, co wskazywało, że wie, co kombinuję, ale gotów jest zagrać w moją grę.

Nie zważając na błoto, usiadł na ziemi i podciągnął mnie sobie na kolana. Poczułam, jakbym usiadła na piecu. Wtuliłam się w niego, chłonąc to ciepło i zapach Adama, zapach domu. Przez moment wyczuwałam też ślad innej woni, bardziej surowej, ale możliwe, że tylko ją sobie wyobraziłam, bo kiedy znów pociągnęłam nosem, już jej nie było.

Oparłam głowę na ramieniu Adama. Było twarde jak kamień. Nie tylko z powodu napięcia wywołanego gniewem, po prostu Adam był tak zbudowany. Resztki miękkości zostały wyrugowane, pozostawiając tylko kości i mięśnie. Żadnej elastyczności, podatności. No ale gdybym chciała miękkości, nie związałabym się z Alfą wilkołaczego stada. Nie związałabym się z Adamem.

Syknęłam, kiedy otarłam się skronią o jego obojczyk, a on zeszywniał. Prawie zapomniałam. Wszystko zaczęło się, kiedy

coś uderzyło mnie w głowę i rzuciło na ziemię.

– Czy to był Bonarata? – zapytałam, choć nie bardzo mi do tego pasował. Władca Nocy, przywódca wampirów, mieszkał we Włoszech. Ale przecież zabiliśmy wszystkie czarownice, prawda? Nawet Elizawietę. A niby-pradawny dymny smok odszedł tam, gdzie odchodziły niby-pradawne smoki z dymu.

I znów stłumione chichoty. Gdyby coś nam groziło, nikt by się nie śmiał. A Adam nie nurzałby się w błotku.

– Kurczę, znów będzie miała limo – powiedział ktoś niewystarczająco cichym szeptem. Chyba Honey. Hm, zazwyczaj zachowywała się rozsądniej.

Adam objął mnie mocniej i warknął. Pomruk ten zdawał się wydobywać z nie do końca ludzkiego gardła. Adam mocno przeżywał każdy uraz, jakiego doznawałam. Zazwyczaj partnerką Alfy była ludzka kobieta, którą trzymało się z dala od wszelkich kłopotów, bądź wilkołaczyca, która potrafiła o siebie zadbać. Ja nie byłam ani jednym, ani drugim. Jako zmiennokształtna kojocica byłam pełnoprawnym członkiem watahy ze wszelkimi tego przywilejami i obowiązkami. Nie pozwalałam ani innym, ani Adamowi trząść się nade mną. Stanowiło to ogromne wyzwanie dla Adama, ale tak było lepiej dla nas wszystkich.

– Szefie... – zaczął Warren tonem, którego używał, przemawiając do kogoś, jego zdaniem, w odmiennym stanie racjonalności.

Odwróciłam lekko głowę, żeby go zobaczyć. Wysoki, szczupły kowboj stał parę kroków od nas. Celowo przybrał swobodną postawę, choć byłaby bardziej przekonująca, gdyby w jego oczach nie migotał złoty poblask. Jeszcze dalej tkwiła zbita w ubłoconą grupkę milcząca wataha.

Adam również spojrzał w tę stronę.

Grupka cofnęła się pod naporem jego ciężkiego spojrzenia. Warren popatrzył w bok, ale głos miał nadal opanowany.

– Nie wiem, czy ruszanie Mercy to dobry pomysł – ciągnął. – Może Mary Jo powinna sprawdzić, czy nie ma wstrząśnienia mózgu?

Mary Jo, strażaczka, miała za sobą szkolenie z medycyny ratunkowej.

Adam nie odpowiedział, a napięcie wzrosło. Czyli osiągnęliśmy dokładnie odwrotny skutek do tego, jaki miała przynieść wycieczka na farmę z dyniowo-kukurydzianymi atrakcjami.



Nasza wataha, wataha dorzecza Kolumbii, nie była związana z innymi wilkołakami. Resztę wilków żyjących w Ameryce Północnej skupiał pod swoją władzą Bran Cornick, Marrok. Marrok miał tylko jeden cel – zapewnienie wilkołakom przetrwania. Dążył do tego celu bezwzględnie – w efekcie czego skończyliśmy zdani sami na siebie.

Rozsądna wataha, pragnąca przetrwać bez ochrony Marroka, nie wychylała się, żeby nie ściągać na siebie uwagi ewentualnych wrogów. Niestety, w naszym wypadku taka taktyka nie wchodziła w grę.

Nie zgrzeszyłabym próżnością, mówiąc, że nie ma drugiej tak znanej watahy jak nasza. Adama, naszego Alfę i mojego partnera, ludzie rozpoznawali na ulicy w każdym zakątku Stanów Zjednoczonych. Stało się za sprawą splotu przypadków wynikających z jego kontaktów w wojsku, gotowości prowadzenia rozmów z nowymi agencjami oraz ujmującej aparycji – atrakcyjna powierzchowność była zmorą życia Adama, jeszcze zanim został wilkołakiem.

Jednak to ja miałam główny udział w niedoli Adama i zarazem naszej watahy, która cierpiała wraz z nim.



Jeszcze parę lat wcześniej największym strachem mieszkańców Tri-Cities napełniała możliwość wycieku z jednego ze zbiorników odpadów promieniotwórczych w Hanford i zanieczyszczenia rzeki Kolumbii. Pojemniki wypełnione toksyczną mazią, pozostałością po wczesnych eksperymentach nuklearnych, mogły też oczywiście wybuchnąć.

Na terenie obiektu rządowego znajdowało się niemal dwieście korodujących zbiorników, niektóre o pojemności prawie pół miliona litrów, pełnych wyjątkowej mieszanki radioaktywnej zupy, której składu nikt dokładnie nie znał ze względu na tajność badań nad bronią nuklearną.

Naprawdę istnieją rzeczy straszniejsze od potworów.

Tri-Cities, poza tym, że zlokalizowane w sąsiedztwie terenu zagrożonego skażeniem promieniotwórczym, leżało również nieopodal Rezerwatu Magicznych Istot imienia Ronalda Wilsona Reagana, który to obszar stał się siedzibą władz pradaunych i fortem w trakcie ich (głównie) zimnej wojny z rządem Stanów Zjednoczonych.

Po tym, jak obwieściłam – pod wpływem chwili – że Tri-Cities znajduje się pod ochroną naszej watahy, pradawni dali do zrozumienia, że uznają i szanują prawo watahy dorzecza Kolumbii do ochrony terytorium oraz zamieszkujących je istot śmiertelnych i magicznych. Uczynili to, ponieważ było im to na rękę. Zawarliśmy z nimi umowę, że bierzemy na siebie tę odpowiedzialność, zaś oni nie będą nastawali na nikogo znajdującego się pod naszą opieką.

Nie mieliśmy wyboru, ale podejrzewałam, że pradawni również go nie mieli. Ponieważ jednak układy z magicznymi istotami zazwyczaj kończą się źle, nawet jeśli obie strony zawierają je w dobrej woli, Marrok odciął nas od reszty wilkołaków znajdujących się pod jego pieczęcią.

Nikt nie życzył sobie wojny pomiędzy wilkołakami i pradawnymi, a w ten sposób, jeśli coś wydarzyłoby się pomiędzy nami i magicznymi – jak również wampirami, innymi wilkołakami, starożytnymi bogami czy demonami – wilkołacza społeczność nie musiała się w ten konflikt angażować. Dopóki byliśmy odrębną watahą, niepowiązaną ze strukturą stworzoną przez Marroka, nasza porażka nie mogła stać się zarzewiem walki pomiędzy światem ludzi a światem nadprzyrodzonych.

W każdym razie w założeniu.

W wyniku układu z pradawnymi obszar Tri-Cities stał się strefą neutralną, gdzie ludzie i istoty magiczne żyli w spokoju i zgodzie, ponieważ jedni i drudzy mieli zapewnioną taką samą ochronę. W efekcie tego wszystkiego staliśmy się przedmiotem zainteresowania polityki krajowej, międzynarodowej i międzygatunkowej, a to z kolei miało liczne konsekwencje.

Do miast postrzeganych jako bezpieczne miejsca do życia zaczął się napływ słabszych istot nadnaturalnych, który między innymi spowodował braki mieszkaniowe. Hotele miały pełne obłożenie, rynek wynajmu krótkoterminowego przeżywał pełny rozkwit, a wszystko to dlatego, że Tri-Cities stało się tym „bezpiecznym” miejscem, gdzie można było zobaczyć, jak pradawni żyją pomiędzy ludźmi.

Przybywały tu też, ale chyłkiem, drapieżniki, istoty potężne, przeświadczone, że jakaś tam wataha nie przeszkodzi im w łowach na terenie tak obfitującym w zwierzynę. W minionym tygodniu zabiliśmy dwóch takich amatorów łatwej zdobyczy.

Nasza wataha jest zaciekła, a Adam inspiruje nas swoją niesamowitością. Mamy również wsparcie ze strony pradawnych – choć trzeba przyznać, że jest ono równie niebezpieczne, jak przydatne. Wspiera nas też miejscowa chmara – z własnych egoistycznych pobudek. Nasze stado, liczące dwadzieścia pięć wilków i jednego kojota, przejęło na

siebie cały ciężar odpowiedzialności za bezpieczeństwo Tri-Cities, a nie jest nam łatwo zdobyć kolejnych członków.

Adam zareagował na sytuację, zmieniając nas w doskonale zgraną jednostkę bojową. Wiązały się z tym treningi w sztukach walki, ale też praca nad pogłębianiem więzi pomiędzy członkami watahy oraz nad lepszym zgraniem.

Właśnie w celu integracji Adam wynajął na ten październikowy wtorek wielkie pole dyniowe i labirynt w kukurydzy.

Kto mógł przypuszczać, że dyniowisko może być tak niebezpiecznym miejscem?



Październik to dziwny miesiąc we wschodnim Waszyngtonie. Czasami świeci słońce i temperatura sięga powyżej dwudziestu pięciu stopni Celsjusza, ale bywają też dni ponure, deszczowe, a nawet lekko mroźne. Nasza impreza odbywała się właśnie przy takiej nieprzyjemnej, zimnej aurze, zaprawionej na dodatek porywistym wiatrem.

Rozgrzana w ramionach Adama, choć nadal przemoczona, uniosłam głowę i spojrzałam na coraz większe i coraz bardziej marznące błotko wokół nas. Właściciele farmy z jesiennymi atrakcjami ubili dzięki nam interes życia, bo nawet najbardziej zdesperowani rodzice nie zapłaciliby za zabawę dzieci w takich warunkach.

Ponad ramieniem Adama widziałam płachtę przyczepioną pierwotnie do tablicy u wyjścia do labiryntu. Jedna część oderwała się od pinesek i, zmoknięta, niekiedy zwisała smętnie, a niekiedy łopotała na wietrze, ukazując drewnianą powierzchnię, która zdecydowanie wymagała odnowienia. Na drugiej części wisiał przykryty pleksiglasem plakat filmowy, przedstawiający zarys postaci z sierpem, podpisany czcionką

w stylu dawnych horrorów: „Żniwiarz”. Biała kartka przyklejona taśmą poniżej obrazka informowała, że w sobotę odbędzie się projekcja specjalna owego dzieła oraz impreza towarzysząca, w której weźmie udział scenarzysta pochodzący z Pasco.

Na moich oczach silniejszy poryw wiatru oderwał kartkę, która po chwili wylądowała na czymś niewielkim, wielkości piłki do siatkówki, i podejrzanie pomarańczowym. Wykręciłam szyję, żeby lepiej przyjrzeć się przedmiotowi.

O Boże drogi, pomyślałam, wpatrując się z niepokojem w pomarańczowego sprawcę mojej obecnej i z pewnością przyszłej niedoli. Będzie mnie to prześladowało aż do śmierci.

Członkowie watahy, którzy nie buszowali właśnie w labiryncie, skupili się u jego wylotu, byle jak najdalej od Adama. Zauważywszy, na co patrzę, kilkoro z nich wzdrygnęło się i pospuszczało głowy.

– Proszę, tylko nie mówcie, że właśnie oberwałam dynią w dynię... – stęknęłam, starając się, by nie wyszło to nazbyt jękliwie.

– Możliwe, że niekoniecznie dynią w dynię – stwierdziła Honey ze słodyczą w głosie. Dobrze wiedziała, że wpadłam właśnie jak śliwka w kompot. – Owoc był pomarańczowy, ale niewielki i twardy, więc to raczej rodzaj ozdobnej tykwy niż gatunek dyni. Właśnie omawialiśmy tę kwestię tuż przed tym...

– Czekając na ostatnią drużynę, graliśmy nią w baseball – przyznał Carlos przepraszającym tonem. – Normalna piłka nie poleciałaby w twoją stronę, ale ta dyńka nie jest całkiem okrągła i nie latała prosto.

– Dzięki czemu było ciekawiej – zaznaczyła Mary Jo z łobuzerskim błyskiem w oku.

Mary Jo była prawie tak samo ubłocona jak ja, a jej krótkie jasne włosy przykleiły się do czerepu. Choć była najdrobniejsza

w grupce wilkołaków, niewielu dałoby jej radę, co właśnie udowodniła.

W ręce trzymała metrowy kawał kantówki, który przypuszczalnie służył jej jako kij do gry. Przelotnie zastanowiłam się, czy to właśnie ta decha posłała w moim kierunku dynię... tykwę. Jeśli tak, raczej nie stało się to celowo. Choć nie przyjaźniłyśmy się, Mary Jo już nie pałała do mnie nienawiścią.

Raczej nie celowo...

– Większość tych tykw rozpadała się po uderzeniu – wyjaśnił George stanowczo i z przekonaniem. W przeszłości w różnych czasach i miejscach był policjantem. Obecnie pracował w komendzie policji w Pasco. Należał do watahy od początku jej istnienia w Tri-Cities. Przeniósł się tutaj razem z Adamem z Nowego Meksyku. – Ale te twardsze są prawie tak samo dobre jak prawdziwe piłki. – W głosie George'a pobrzmiwał jedynie cień przepaszającego śmiechu, kiedy mężczyzna schylił się, żeby podnieść zbrodniczy pocisk, a potem rzucił nim, jakby dynka była naprawdę piłką do baseballu.

Z westchnieniem poklepałam pokrzepiająco Adama. Oberwałam w łepetynę tykwą, straciłam przytomność i skąpałam się w błocku. Niezbyt budujące dla mojego ego, ale dla morale drużyny być może najlepsze, co mogło się zdarzyć. O ile Adam nie stanie stanowczo w mojej obronie.

Gruda błota kapnęła mi z włosów i spłynęła po policzku. Opowieść o moim przypadkowym nokaucie będzie powtarzana i przetwarzana, aż przerodzi się w legendę watahy. Tyle dobrze, że to nie była prawdziwa dynia.

Niestety, mogłam się założyć, że w połowie drogi do ostatecznej wersji legendy tykwa stanie się dynią. Tego rodzaju anegdoty z każdym kolejnym przekazem puchły i nabierały rumieńców, stając się coraz barwniejsze i coraz mniej przystające do prawdy. Oczyma wyobraźni ujrzałam scenę

w odległej przyszłości, kiedy to wataha skupiona przy ognisku opowiada sobie historię zmiennokształtnej kojocicy, której wydawało się, że jest wilkołaczycą, dopóki jej dynia nie miała bliskiego spotkania z dynią. Czy jakoś podobnie.

Pewnie nurzałabym się w upokorzeniu jeszcze przez chwilę, gdyby mięśnie Adama nie napięły się, przypominając mi, że jego wcale nie rozbawiła ta „dyniowa główka”. Wiedziałam, że w momencie gdy się podniosę, Adam spadnie jak grom na drużynę dynioballową i cały sens imprezy legnie w gruzach. Z drugiej strony, jeśli nie wstanę, pomyśli, że obrażenia są poważne, i to też nie skończy się dobrze.

Ale Adam był taki ciepły... A ja, muszę przyznać, jestem trochę perwersyjna...

Adam jest oszałamiająco przystojny. Choć to nie wygląd pociąga mnie w nim najbardziej, ba, to właśnie Adamowa aparycja powstrzymywała mnie tak długo przed zbliżeniem się do niego, ponieważ uznałam, że tak atrakcyjny facet jest poza moim zasięgiem. To oczywiście nie znaczy, że nie lubię na niego patrzeć – która kobieta nie doceniałaby takich widoków?

Ale kiedy Adam się wścieka... hm, jest absolutnie boski.

A teraz był wściekły. I to mocno mnie rozpraszało.

Wtuliłam twarz w jego szyję i zbliżyłam usta do ucha, aż muskałam je wargami.

– Liczę na wspólny gorący prysznic – wyszeptałam. – Mam nadzieję, że w bardzo niedalekiej przyszłości. Będzie fajnie, obiecuję...

Poczułam, że nieruchomieje, i uświadomiłam sobie, że wcale niecelowo zrobiłam najlepsze, co mogłam, żeby przekierować jego uwagę.

Cichy śmiech od strony widowni przypomni mi, że nie jesteśmy sami. Siedzieliśmy w błocie – a w każdym razie Adam w nim siedział – a ja fantazjowałam o gorącym prysznicu. Postanowiłam zadziałać energicznie w obu kwestiach.



Wobec powyższego wyprostowałam się i głośno, tym razem umyślnie marudnym tonem, wymiauczałam:

– Musieliście mnie skąpać w tym błocie?

– Wybierasz sobie miejscówkę przy największym bajorku na całej farmie, a potem narzekasz na bliski kontakt z naturą? – wytknął mi łagodnie Warren, choć musnął uważnym spojrzeniem Adama, zanim popatrzył na mnie. – Nie zrobiliśmy tego celowo... – No proszę, jak unikali nazywania rzeczy po imieniu. A nie jedna Mary Jo dzierżyła w dłoniach prowizoryczną pałkę. – Choć w sumie twoja wizja jest mocno kusząca.

Wilkołaki w labiryncie od jakiegoś czasu coraz głośniej hałasowały. Czasami ich głosy brzmiały, jakby znajdowały się tuż za ścianą kukurydzy, a czasami dochodziły z oddali, co wpisywało się we wzorzec odgłosów ludzi bawiących się berka. Grupa graczy w dynioball patrzyła na mnie i Adama, Adam skupiał się na mnie, więc tylko ja zobaczyłam Zacka, który wypadł spośród kukurydzy. Gnał na złamanie karku z uniesioną pięścią, w której ścisnął przemoczone wstążki na znak, że odnalazł punkty orientacyjne rozmieszczone w labiryncie. Oglądał się za siebie, a jego mina wyrażała coś w rodzaju radosnego przerażenia, z czego wywnioskowałam, że Sherwood (wybrany na labiryntowego potwora) jest tuż za nim.

Nie zdążyłam nawet otworzyć ust, żeby ich ostrzec.

Rozpędzony Zack zahaczył ramieniem George'a, popychając wielkiego mężczyznę na resztę i jednocześnie sam tracąc równowagę, przewrócił się na Mary Jo, która runęła na ziemię, bardziej z powodu zaskoczenia niż siły uderzenia.

Mary Jo jeszcze nie zdążyła grzmotnąć w błoto, a nad ścianą labiryntu przefrunął wielki wilk – czego nie każde z nas zdołałoby dokonać, bo przegrody, choć wysokie na niecałe trzy metry, były na pełne trzy metry szerokie – któremu brakowało jednej kończyny. Ze swojego miejsca na kolanach Adama

widziałam dobrze moment, w którym trzynogi wilk, Sherwood, objął spojrzeniem rozgrywającą się przed nim scenę.

Nie miałam żadnych wątpliwości, że mógł wylądować zgrabnie, ale po błysku satysfakcji w ślepiach poznałam, że rozmyślnie gruchnął na bombę w sam środek mojego bajorka. Poczułam ledwie zauważalne muśnięcie magii i po chwili wszyscy, łącznie ze mną i Adamem, ociekaliśmy zimnym błotem.

Zack wyczołgał się spod sterty powywracanych ludzi, otarł rękawem twarz i pokazał nam pęk mokrych i utyłanych wstążek.

– Zdobyłem wszystkie piętnaście. Czy moja drużyna idzie w takim razie na steki do Wujka Mike’a?

Reszta drużyny Zacka, na czele z Joelem, wynurzyła się z labiryntu znacznie dostojniejszym krokiem. Byli jeszcze bardziej – o ile to w ogóle możliwe – mokrzy od nas i śmiali się jak wariaci. Grupa Zacka wykonywała zadanie jako ostatnia i jako jedyna zdobyła wszystkie wstążki.

Sherwood wstał i nadal niezwykle zadowolony, otrząsnął się, ochlapując wszystkich wokół.

Adam przytulił mnie, starając się osłonić przed dodatkowym prysznicem, więc dokładnie wyczułam chwilę, w której się rozluźnił i zaczął śmiać.



Adam postanowił zabrać mnie wcześniej, zostawiając resztę, by uporządkowała pobożowisko.

– Przywilej szefa – powiedział, kiedy protestowałam, przekonując, że powinniśmy im pomóc w sprzątaniu. Wiedziałam jednak, że główną przyczyną naszego wcześniejszego powrotu jest moje limo.

Wiedziałam, że nic poważnego mi się nie stało. Miewałam już wcześniej wstrząśnienie mózgu i tym razem z pewnością mnie to ominęło. Mimo to nie zamierzałam się sprzeczać z Adamem, tylko zerknęłam na stojącą za nim Mary Jo i wywróciłam oczami.

W odpowiedzi pokazała mi język i zrobiła zęza. Ostatnio naprawdę się lepiej dogadywałyśmy. Częściowo z powodu pewnego niezwykle uroczego zastępcy szeryfa, z którym się umawiała, dzięki czemu przestała mieć chrapkę na Adama. Po chwili uznałam, że w sumie całą zasługę polepszenia naszych stosunków można przypisać jej chłopakowi. Cieszyłam się z jej szczęścia.

Adam zauważył grymasy Mary Jo – wcale nie starała się ich ukryć – i łypnął na mnie, ale za późno. Patrzyłam już przed siebie z całkowicie niewinną miną.

– I tak słyszałem, jak wywracasz tymi oczyskami – powiedział. Mówił tak do swojej córki, Jesse, która już jako trzynastolatka została mistrzynią wywracania oczyma.

Zaśmiałam się, rozbawiona.

– Widzimy się za godzinę u Mike’a – rzucił Adam do swoich wilków.

– Mówisz i masz, szefie – odpowiedział Warren.



W domu zostałam złapana przez Jesse w krzyżowy ogień pytań na temat mojej śliwy, a kiedy wreszcie dotarłam do sypialni, Adam był już pod prysznicem. Od razu od progu zaczęłam zrzucać ubłocone ubrania, więc do łazienki weszłam naga. W tej samej chwili Adam zakręcił wodę i wyciągnął rękę po ręcznik.

– O nie, nie, mój drogi – zaprotestowałam i świsnęłam ręcznik, który rzuciłam na podłogę.

Zmarszczył brwi – tak sędzę, bo akurat nie w rejonu czoła patrzyłam.

– Oberwałaś w głowę – przypomniał surowo.

– Srutututu majtki z drutu – odpowiedziałam tekstem Bena. Większość powiedzonek naszego brytyjskiego wilka była mocno niecenzuralna, ale „srutututu majtki z drutu” przypadło mi do gustu. – To tylko siniak. Zejdzie. A obiecałeś mi seks pod prysznicem.

– Nie, ty obiecałaś mi seks pod prysznicem – sprostował.

– Ja, ty, co za różnica? – Chwyciłam Adama za rękę i wciągnęłam z powrotem pod deszczownicę. – Bara-bara?

To był duży prysznic. Wystarczająco duży dla dwojga.

– Wytaczasz ciężkie działa? To nie fair – sarkał teatralnie. „Bara-bara” było naszym tajnym hasłem, któremu nie można się było oprzeć, choć nie należało go nadużywać. Jednak bez względu na to, co mówił, widziałam wyraźnie, że podoba mu się mój pomysł.

– Gdy ma się do czynienia z wielkim, złym wilkiem, należy sięgać po każdą dostępną broń – wyjaśniłam, odkręcając wodę.

Nie skrzywiłam się, kiedy strumienie wody spadły na obolałą kość jarzmową, ale i tak wyczuł mój dyskomfort i wyciągnął rękę, żeby osłonić mój policzek.

– Nie spodziewałem się takiej zabawy, radości – powiedział, całując wrażliwe miejsce za uchem.

– Hmm? – mruknęłam niezbyt przytomnie.

Odsunął się, żeby móc spojrzeć mi w oczy. Miał rozszerzone z podniecenia źrenice i tylko cienką obwódkę czekoladowych tęczywek.

– Dajesz mi tyle radości – powtórzył wyraźnie. – Nie spodziewałem się tego. Nie zasługuję na to... Ale skoro dajesz, biorę.

– No ja myślę. Wydawało mi się, że ustaliliśmy to, kiedy zostaliśmy towarzyszami, a potem wyszłam za ciebie za mąż.

Masz mnie, ja mam ciebie, reklamacji i zwrotów nie przyjmuje się.

Roześmiał się i pocałował mnie.

Wtuliłam się w niego i wciągnęłam nosem jego zapach. On też przepelniał mnie radością. Ale dawał mi również poczucie, że mam kogoś, kto zawsze będzie mnie wspierał.

Kiedy miałam czternaście lat, mój dom rozpadł się z powodu śmierci rodziców zastępczych. Mama umarła, próbując zostać wilkołakiem. Nie chcąc żyć bez swojej towarzyszki, ojciec, Bryan, popełnił samobójstwo. Przez dwa lata żyłam sama na marginesie Marrokowej watahy, jeśli nawet nie pod pełną ochroną Brana, to w pewnego rodzaju pieczy. Jako szesnastolatka straciłam i ten okrucieństwo stabilizacji.

Mimo to stanęłam na własnych nogach, nauczyłam się samodzielności i przez kilka lat zadowalało mnie to samotnicze życie. A potem pojawił się Adam i wywrócił mój świat do góry nogami.

Objęłam go, napawając się jego fizyczną obecnością, bliskością człowieka silnego, obowiązkowego, który kochał właśnie mnie, mimo że miał tak ogromny wybór. Swojego uczucia do niego nie zdołałabym wyrazić żadnymi słowami. W każdym razie nie znałam takich. Ale potrafiłam mu te uczucia okazać.

I oboje mieliśmy z tego wiele radości.

Kiedy niósł mnie do łóżka, na wpół omdlałą, wykochaną do granic możliwości, wyszeptał warkliwie:

– Zwrotów nie ma.



Pub u Wujka Mike'a, prowadzony przez pradawnego, gościł magiczną klientelę z Tri-Cities. Zlokalizowany na terenie industrialnej dzielnicy w Pasco, z zewnątrz wyglądał jak dość

obskurna mordownia. Z pewnością nikt nie spodziewał się, że za drzwiami znajduje się przytulny pub.

W Tri-Cities starannie wybrano kilka robiących odpowiednie wrażenie lokali, w których turyści mogli spotkać magiczne istoty. W jednym z nich nawet nagrywano niskobudżetowe reality show, pokazujące interakcje pomiędzy turystami i pradawnymi. Wujek Mike również udostępnił swoją knajpkę turystom, jednak na krótko, bowiem magiczna społeczność potrzebowała bardzo zaufanego miejsca, zapewniającego prywatność i swobodę. Namówiony przez stałych klientów, Mike ostatecznie zamknął lokal dla osób z zewnątrz.

Kiedy dotarliśmy z Adamem do pubu, członkowie watahy, którym zostawiliśmy sprzątanie placu zabaw, siedzieli już w zarezerwowanej sali.

Na nasze spóźnienie zareagowali znaczącą i niepohamowaną wesołością, bo wielu z nich słyszało, jak proponowałam Adamowi prysznic z bonusami. Ich rubaszność łagodził podskórny nurt radości, którą pulsowała wataha. Silna więź pomiędzy mną i Adamem wzmacniała ich poczucie bezpieczeństwa. Muszę przyznać, że ich żywe zainteresowanie naszym... cóż, raczej Adamowym życiem miłosnym czasami wprawiało mnie wręcz w zakłopotanie. Jednak rozumiałam, jak to działa. Wataha miała jedno miejsce, gdzie czuła się bezpiecznie, a w jego centrum znajdował się Alfa. Siła i stabilność Alfy były trzonem, dzięki któremu stado kwitło. Adam miał za sobą parę trudnych momentów, więc wszystko, co go radowało, wzmacniało watahę. Nasze pożycie fizyczne nigdy nie było, i zdawałam sobie sprawę, że nigdy nie będzie, prywatną sprawą, skoro zależało od niego przetrwanie całej grupy.

Wieczór mijał w wesołej atmosferze na wspomnieniu zabawnych i dramatycznych momentów całodziennej imprezy, a niekwestionowaną gwiazdą anegdot został Sherwood. Nie



ułatwiał nikomu zwycięstwa, dzięki czemu wiktoria Zacka zyskiwała na wyjątkowości. Najwyraźniej przegapiliśmy chwilę, gdy drużyna Zacka tryumfalnie wniosła go na ramionach do pubu.

Nasz jedyny uległy wilk zazwyczaj unikał znajdowania się w centrum uwagi, ale tym razem wyglądał na szczerze zadowolonego. Zauważyłam, że wielu członków watahy przechodziło obok niego, żeby przybić mu piątkę, poklepać po ramieniu czy czule zmierzwić włosy. Podobnie jak zadowolony Alfa, spokojny uległy wilk wpływał pozytywnie na dobrostan stada. Z Zacka promieniowało łagodne ukontentowanie, rozgrzewając obecnych niczym koc zimą. Wszystkich z wyjątkiem Warrena, w którym wyczuwałam jakąś troskę.

Warren zachowywał zazwyczaj stoicyzm typowy dla dominujących wilkołaków, jednak był widocznie bardziej napięty niż podczas zabaw w labiryncie kukurydzianym. I nie tylko ja to dostrzegłam. Wokół miejsca, gdzie siedział, przy Zacku, utworzyła się niewielka pusta przestrzeń.

Zack mieszkał z Warrenem i jego człowieczym partnerem, Kyle'em. Jako współlokator, nie WSPÓŁLOKATOR. Zack miał mieszkać z nimi tymczasowo, ale jak do tej pory nikt nie kwapił się zmieniać sytuacji. Ja również byłam zadowolona, że nasz najśłabszy członek stada – poza mną – mieszka z Warrenem i znajduje się pod jego opieką.

Mimo miłego przerywnika w postaci gorącego prysznicza byłam nie w sosie, tak jak Warren. Kiedy ubieraliśmy się do wyjścia, Adam zdradził mi prawdziwy powód, dla którego zorganizował integracyjną kolację. I nie podobało mi się, że tyle przede mną ukrywał.

Smęciłam nad swoją lemoniadą, podczas gdy Adam krążył po sali, podsycając radosną atmosferę. Sprytne posunięcie, ponieważ choć go kochałam, chwilowo byłam na niego zła za

to, że nie podzielił się ze mną wcześniej tak istotnymi informacjami.

I podobnie jak Warrenowi, tak i mnie rzucono ukradkowe spojrzenia, lecz to Joel ze zwycięskiej drużyny Zacka wszedł w moją strefę naburmuszenia, którą tak intensywnie roztaczałam.

Joel przysunął sobie krzesło Adama i zasiadł na nim. Milcząc, uważnie spoglądał mi w twarz. Cóż, to on się przysiadł, więc nie zamierzałam inicjować rozmowy.

– Jesteś o coś zła – stwierdził po chwili.

– Nawet bardzo – przyznałam.

Nie przyszłoby mi do głowy, żeby okłamać wilkołaka, ale Joel był – poza mną – drugim niewilkołaczym członkiem stada. Jego zmysły działały nieco inaczej, poza tym dopiero zaczynał karierę istoty nadnaturalnej.

Joel (był Hiszpanem, więc „Hoel”, choć nie obrażał się, gdy wymawiano je swojsko, „Dzoel”) był najnowszym członkiem watahy, ja jednak znałam go dłużej niż większość zebranych na sali. Poznaliśmy się na gruncie zawodowym. Pracowałam jako mechanik samochodowy, a on naprawiał stare wozy, jeszcze zanim rozkręciłam swój biznes.

Za sprawą przodków stał się przypadkiem celem pewnego starożytnego bóstwa i w efekcie został obdarzony, czy też nawiedzony, duchem tibicena, wulkanicznej istoty psowatej (słowo „pies” nie do końca określało jej naturę). Od miesięcy nie był w stanie przyjąć swej ludzkiej postaci na wystarczająco długo, by wrócić do normalnego życia. Na szczęście dla wszystkich przez większość czasu udawało mu się trzymać na dystans rozżarzonego ducha tibicena i pozostawał w postaci czarno pręgowanego presa canario, bestii nie mniej przerażającej, co wilkołaki.

Ostatnio szło mu coraz lepiej. W minionym tygodniu przeprowadzili się z żoną z kwatery głównej watahy – czyli

domu mojego i Adama – do swojego, świeżo odremontowanego, zabierając ze sobą Aiden, obdarzonego mocą ognia chłopca, uratowanego z Podgórza. Aiden pomagał Joelowi panować nad żywiołem.

– Hm, nie jesteś zła – stwierdził, przyglądając mi się z zafrasowaniem, jakbym była opornym łożem silnika, problemem, który należało rozwikłać. – Skłamałaś.

To byłoby tyle, jeśli chodzi o brak wilkołaczych zdolności Joela.

– Jestem... trochę – przyznałam.

Przyjrzał mi się uważnie.

– No dobra. Trochę, to prawda. A na kogo?

Milczałam, ponieważ nie istniała szczerza odpowiedź, która nie zabrzmiałaby, jakby wyszła z ust nastolatki. Tylko one mogą wypowiadać górnolotne słowa typu „los” i „życie” bez skrupowania i nie czuć się później głupio. Osoba w moim statecznym wieku powinna już się nauczyć, że życie nie jest sprawiedliwe, oraz zaakceptować ten fakt. Gdybym zmierzyła się z prawdą, po dziesięciu minutach obserwowania Adama, jak stara się dla naszej watahy, straciłabym ten gniew, który tak pilnie w sobie pielęgnowałam.

Wiedziałam przecież, że zawsze będzie się upierał, żeby nieść na swych barkach cały ciężar tego świata, i skoro mi się to nie podobało, to nie powinnam się z nim wiązać.

Joel mówił dość cicho, a wokół panował gwar – muzyka, śmiechy, rozmowy – ale teraz obrócił twarz tylko do mnie.

– Wiem, kto w ciebie rzucił dynią – wyznał.

Potrzebowałam paru sekund, żeby pojąć, że za przyczynę mojego minorowego nastroju wziął „dyniową główkę”, o czym ja już zdążyłam zapomnieć.

– Nie o to chodzi – powiedziałam. – I jeśli nie było to celowe, a wtedy mielibyśmy do czynienia z całkiem czymś innym, to nie mów. W zasadzie – dodałam po namyśle – nie mów mi nawet,

jeśli to było specjalnie. Prędzej czy później odkryję sprawcę i każę mu słono za to zapłacić. – I tak lepiej ja niż Adam, gdyby odkrył, że ktoś chciał zrobić mi krzywdę.

Joel wyszczerzył zęby, a w jego oczach błysnęła czerwona iskra.

– Tak, słyszałem o twoich zemstach doskonałych. Jesse mówiła o nich Aidenowi, który z kolei opowiedział mi o pewnym wypadku z czekoladowym zającem wielkanocnym. Nie pochwaliłaś się dokonaniem.

Zaniepokoił mnie ten czerwony rozbłysk. Tibicena potrafiły być złośliwe, a my znajdowaliśmy się w budynku głównie z drewna, a w dodatku bez Aideny, który w razie czego mógłby poskromić ogień. Nie miałam wątpliwości, że Wujek Mike potrafi zapanować nad normalnym żywiołem, ale wolałam nie przekonywać się, czy dotyczy to również tibicena.

– Nie mówimy o tym głośno – pouczyłam Joela. – Poza tym to były zające, nie zając. Nie moja wina, że środki przeczyszczające mają smak czekoladowy.

Szczerze mówiąc, nie czułam się do końca dumna z afery zajączków wielkanocnych. Rezultat rzeczywiście okazał się wielce satysfakcjonujący, ale moje dorosłe, rozsądne ja uznało, że skoro zające były w stanie powalić wilkołaki, kogoś innego mogły zabić, szczególnie jeśli któraś z moich ofiar podarowałaby przysmak jakiemuś śmiertelnikowi, nie daj Boże dziecku.

A moje dorosłe ja preferowało rozwagę i powściągliwość, w każdym razie na tyle, żeby nie zabijać przypadkowych ludzi. Jednak afera zajączkowa przekonała całą watahę Marroka, że nie warto ze mną zadzierać. Prawie całą – bo z wyjątkiem Leah, towarzyszkę Brana.

Joel roześmiał się, co było moim celem, a iskra w jego oczach zgasła.

Super, pomyślałam. Jedna katastrofa z głowy. Zawsze to lepiej, jeśli nie chodzą parami.

– Żałuję, że mnie przy tym nie było – powiedział, ale zanim coś dodał, ktoś go zawołał. Uśmiechnął się przepaszająco i wstał.

Ucieszyłam się, że odszedł, bo nie zdążył wypytać mnie, co mi jest, jeśli nie chodzi o dynię. A nie chciałam mu mówić, że się boję. Najwyraźniej tego nie wyczuł, pewnie dlatego, że koncentrowałam się na gniewie, a raczej dziecinnej złości. Liczyłam, że uda mi się oszukać również zmysły bardziej wyczulone niż te Joela.

Niedługo jednak dane mi było cieszyć się spokojem. Ben, zwodniczo niewinny, jasnowłosy, błękitnooki, podszedł do stolika i przysunął sobie trzecie krzesło, żeby nie zajmować tego należącego do Adama. Był wilkiem na tyle długo, by nie wkraczać na terytorium Alfy, nawet jeśli stanowiło je tylko krzesło.

Ben był niegdyś jednym z najniebezpieczniejszych wilkołaków w watasze Adama. Nie ze względu na siłę, lecz brak kontroli, który mógł skończyć się dla kogoś śmiercią. Został do nas przysłany, bo nabroił w Wielkiej Brytanii, a tego rodzaju kroki oznaczały, że miał na sumieniu poważne grzechy. Nie na tyle, aby go wyeliminować ostatecznie, ale niewiele brakowało. Od dwóch lat, odkąd należał do naszej watahy, odzyskiwał równowagę i radość życia.

Jednak podobnie jak Adam miał za sobą kilka trudnych miesięcy. Przez jakiś czas mieszkał z nami, dochodząc do siebie po opętaniu przez dymnego smoka. Dopiero dwa tygodnie temu wrócił do swojego domu. Wydawało się, że całkiem wydobrzał, choć stracił z osiem kilogramów, na których mu nie zbywało, i jeszcze nie zaczął nabierać ciała.

– Przyszedłem się pokajać – oświadczył. Nawet nie zauważyłam, że jego arystokratyczny brytyjski akcent się zatarł,

dopóki nie powrócił z pełną wyrazistością. – To ja.

– Co ty? – zdziwiłam się.

– To ja walnąłem cię tą dynią... w dynię.

Spojrzałam mu w oczy. Wpatrywaliśmy się w siebie tak ze dwadzieścia sekund, zanim pękliśmy. Drgnęły mu usta. Potem znowu. I koniec. Śmiałam się tak, że rozboleł mnie brzuch, a po policzkach płynęły łzy.

– To nie jest śmieszne – stwierdził, rżąc równo. Wcale nie wyglądał teraz groźnie.

– Dynią... w dynię – zapiąłam, udając akcent Bena, bo z jakiegoś tajemniczego powodu dodawał on absurdu całej sytuacji.

Potrzebowałam tej dawki śmiechu, a jego mina skazańca w połączeniu z mężnym przyznaniem się do dyniowej zbrodni była bezcenna.

Honey przechodząca obok nas z piwem pokręciła głową z rezygnacją.

– Przyznał się, tak? – rzuciła.

Musiała przed przyjściem do pubu wstąpić do domu – albo innego przybytku z łazienką – bo wróciła do swej zwyczajowej eleganckiej prezencji, tym razem w postaci wyjściowych spodni i jedwabnej bluzki. Była jedyną znaną mi kobietą, której makijaż podkreślał rysy twarzy, a nie umiejętność nakładania kosmetyków.

– Dokładnie – przytaknęłam. – Mówi, że walnął mnie dynią w dynię. – Do mojej wersji Benowego akcentu dołożyłam okrągłe ze zdumienia oczy.

Ben, który tymczasem złożył czoło na blat, stuknął nim o deski.

– Dynią w dynię – wydusił.

Honey uśmiechnęła się na widok naszej scenki, a jej idealna twarz zyskała dzięki temu bardziej ludzki wyraz.



– Gdybym nie wiedziała, że to nie to, zapytałabym, coście pili – skomentowała, a potem zwróciła się do mnie. – Słyszałaś, że kadry poleciły Benowi zmienić sposób, w jaki zwraca się do dzwoniących?

– No co ty? – powiedziałam tonem „szczegóły proszę”.

– Stwierdzili, że fraza „jaki masz, kurwa, problem?” jest niestosowna – wyjaśnił Ben, nie podnosząc głowy.

– Słyszałam, że po dwóch tygodniach poprosili go, żeby się nie krępował i pozostał przy jednak przy tej wersji – dokończyła Honey.

– Tak, inne były znacznie gorsze – włączył się Carlos siedzący przy sąsiednim stoliku.

– To było sześć dni temu, nie czternaście – sprostował Ben chełpliwie.

Wkrótce po tym Bena zgarnęło dwóch innych członków watahy, a ja znów zostałam sama, dopóki Adam nie wrócił na swoje miejsce, zamieniając przy okazji moją pustą szklankę na pełną.

– Ben się przyznał – poinformowałam go od razu. – Czyli nie było żadnej intrygi mającej na celu uczynienie z ciebie wdowca w wyniku zamachu dyniowego. Wypadek przy pracy.

– Widziałem, że zaśmiewaliście się do rozpuku – zauważył Adam.

– Walnął mnie dynią w dynię – powiedziałam, naśladowując akcent Bena. – I... „kajał się”.

Adam wybuchnął śmiechem.



## Rozdział 2

**J**ako pierwszy z pubu zebrał się George.

– Dostałem wezwanie – wyjaśnił, przekrzykując hałas, i podał Adamowi dłoń na pożegnanie. – Coś się stało w jednym ze spożywczałów.

– Napad? – Adam zeszywniał.

– Trudno powiedzieć. – George wzruszył ramionami. – Albo nie chcą mówić, albo sami nie wiedzą.

– Uważaj na siebie – powiedział Adam.

– Powinniście to poważnie potraktować – stwierdził George, obrzucając spojrzeniem swoją posiniaczoną twarz. – Zawoziłem do kostnicy delikwentów, którzy oberwali w to miejsce. To słaby punkt czaszki.

– Tak, wiem – potwierdził Adam, ale bez napięcia w głosie. Nagle zrozumiałam jego zdenerwowanie, kiedy zobaczył, jak upadam w błoto. Czasami nadmiar wiedzy to nie zaleta.

– Hej, przecież żyję – przypomniałam im. – Widać mam twardą głowę. Zginę, gdy nadejdzie mój czas, i prawdopodobnie w jakiś wyjątkowo głupi sposób. Acz, jeśli niebiosy są litościwe, może jednak nie będzie to śmierć przez zdyniowanie.

– Niech ci będzie – ustąpił George z nie do końca wesołym uśmiechem i zasalutował nam na odchodnym.

– Chodź, porozmawiamy z Zackiem – poprosił Adam.

Krok pierwszy wielkiego finału przewidzianego na dzisiejszy wieczór.

Żołądek mi się ścisnął, ale równocześnie poczułam coś w rodzaju ulgi. Najgorsze zawsze było czekanie.

– Możesz to zrobić sam – podsunęłam.

– Mogę, ale wolę cię mieć przy sobie.

Zostawiłam pełną szklanekę obok pustej i ruszyliśmy do stolika Zacka.

– Chciałbym, żebyś został na moment, kiedy reszta już wyjdzie – mruknął do niego Adam. – Potem odwieziemy cię do domu.

Siedzący obok Zacka Warren ochoczo dźwignął tyłek i wyjął z kieszeni kluczyki z logo subaru.

– Weź samochód. – Podał je Zackowi. – Zabiorę się z kimś.

– No nie wierzę! – zdumiałam się. – Masz nowy wózek? – Odkąd go znałam, Warren jeździł starą, poszpachlowaną, niebiesko-rdzawą furgonetką.

– Prezent od Kyle'a – powiedział Zack, bez krygowania się biorąc pilota.

To oderwało mnie od smętnych myśli. Warren nie przyjmował od Kyle'a prezentów tego formatu.

Warren i Kyle przez długi czas mieszkali w wynajmowanym bliźniaku z czasów drugiej wojny światowej, a nie w luksusowym domu Kyle'a, ponieważ Warren nie chciał polegać na portfelu partnera. Nawet po tym, jak w końcu zamieszkali razem u Kyle'a, Warren nie od razu zrezygnował z najmu. Przyjęcie tak kosztownego prezentu było z jego strony dowodem ogromnego zaufania, jakiego wcześniej u niego nie widziałam.

Kilka miesięcy wcześniej dostrzegłam też na palcu Warrena piękną obrączkę od Kyle'a. Zresztą byłam z Kyle'em, kiedy ją wybrał. Poszliśmy razem do złotnika, u którego naprawiałam łańcuszek z barankiem. To tam zobaczyliśmy to cudenka.

Kyle powiedział wtedy, że to za wcześnie na taki krok, bo Warren długo był sam i ma problem z zaufaniem. Kyle był mądry, z pewnością miał rację, ale obrączkę i tak wtedy kupił na fali optymizmu i radosnej ekscytacji.

– A to nowość – podsumowałam. – I nie mam na myśli samochodu.

– Furgonetka zanadto się wyróżniała – powiedział Warren, a lekkie napięcie wokół ust mogło oznaczać, że jest zakłopotany. Albo i niezakłopotany.

Łypnęłam na niego spod zmarszczonych brwi.

– Kyle zleca mi śledzenie ludzi – przypomniał Warren nieco zbyt pośpiesznie. Rzeczywiście, Warren pracował jako prywatny detektyw, świadcząc usługi firmie partnera. – Uznał, że potrzebuję samochodu, który lepiej wtopi się w tło.

Brzmiało to tak, jakby Kyle podjął decyzję mimo obiekcji Warrena, co nie było w ich stylu, ale mogło tłumaczyć sztywność Warrena podczas kolacji.

– W takim wypadku wybrałabym hondę albo toyotę – dodałam tylko, zostawiając przyjaciołom tę niewygodną kwestię do dogadania między sobą. – Aczkolwiek Subaru robi zacne wózki.

Nikt nie zagadywał mnie o volkswagena, którego miałam kupić. Byłam drażliwa na tym punkcie od wypadku z turbodieslem.

– Też bym kupił Mercy nową furę w zamian za tego rzęcha, którym przygwoździła wroga do śmietnika, ale by mnie za to oskórowała – oświadczył Adam z żalem.

– Jestem mechanikiem – oznajmiłam z udawaną wyniosłością. – Muszę jeździć starym samochodem. Taka

zasada.

Uśmiechnął się, a mnie aż zapało dech na widok tego ciepła w oczach Adama, kiedy na mnie spoglądał.

– No, skoro to zasada, to cóż zrobić?



Jakieś dwadzieścia minut później biesiadnicy pojedynczo lub grupkami zaczęli opuszczać lokal. Adam stał przy wyjściu i żegnał się z nimi, dotykając każdego. Niektórych obejmował, innych muskał dłonią po policzku albo klepał po ramieniu. Dobry przywódca wie, czego potrzebują jego wilki.

Przyczaiłam się przy naszym stoliku, sącząc mrożoną lemoniadę. Powinnam stać u boku Adama, jednak nie umiałabym ukryć napięcia. A podtrzymanie radosnego nastroju watahy było tego wieczoru wyjątkowo ważne. Kilkoro wychodzących rzuciło mi pytające spojrzenia, ale wystarczyło, że w odpowiedzi dotknęłam policzka. Ból głowy był realny, choć to nie on stanowił problem.

Adam powiedział coś do Darryla i jego Drugi zaśmiał się gromko. Auriele, towarzyszka Darryla, trzepnęła go lekko po ramieniu, ale też się śmiała. Darryl nie brał udziału w zabawie, bo razem z Adamem rozstawiali punkty kontrolne w labiryncie, ale Auriele ze swoją drużyną ukończyła zadanie na czas, choć bez dwóch wstążek.

Sherwood wstał do wyjścia. Po drodze kulał lekko, co świadczyło, że przeforsował się jednak podczas gry. Zazwyczaj poruszał się z taką gracją, że jego niepełnosprawność pozostawała niezauważalna dla większości ludzi. Nie chcąc przerywać Adamowi, próbował się przemknąć bokiem, ale Adam, nie odwracając uwagi od pary, z którą rozmawiał, złapał go za ramię i przytrzymał. Sherwood zeszywniał i chciał się cofnąć, tyle że Adam nie pozwolił. W żaden sposób nie

przyspieszył też pożegnania z zastępcą i jego partnerką, choć Darryl rzucił Sherwoodowi przelotne, nieco zatroskane spojrzenie. Wychodząc, Auriele miała ściągnięte brwi.

Adam powiedział coś Sherwoodowi, ale lecące z głośników „A Little Bit Off” Five Finger Death Puncha zagłuszyło jego słowa dla innych. Wielki mężczyzna przez moment wpatrywał się w Adama nieprzyjaźnie, a potem odetchnął głęboko, przybrał swobodną postawę, skinął głową i zawrócił w moją stronę.

Czas na gwóźdź programu, pomyślałam i odetchnęłam parę razy, żeby uspokoić nerwy.

Idąc w moją stronę, Sherwood nie kulał tak wyraźnie jak wcześniej, co uznałam za złą wróżbę. Wilki nie okazują swojej słabości wrogom. Nie żeby ktoś, kto znał Sherwooda, uważał, że brak nogi w jakikolwiek sposób ujmuje mu skuteczności.

Nigdy wcześniej nie słyszałam o wilku bez nogi, ponieważ ciężko ranne albo się regenerowały, albo umierały. Utracona kończyna odrastała.

W przypadku gdy jakiejś części ciała brakowało człowiekowi jeszcze przed przemianą, również tę niepełnosprawność odwracano, choć w sposób okropny, bowiem należało ponownie otworzyć ranę. Ale w rezultacie odzyskiwało się kończynę. Słyszałam, że próbowano tą metodą regenerować nogę Sherwooda, lecz bez rezultatu.

Sherwood został znaleziony kilka lat wcześniej przez drużynę wilkołaków w pracowni grupy wiedźm parających się czarną magią. Nikt nie wiedział, ile czasu tam spędził ani co wiedźmy mu zrobiły, ale ja, choć byłam krótko więźniem w takim miejscu, do tej pory miewałam przez to koszmary.

Ratownicy zawieźli Sherwooda do Brana, który wymusił na wilkołaku przemianę w człowieka. Z powodu długiego pozostawania w wilczej formie albo z powodu jakichś czarów

wiedźm po przemianie Sherwood nie odzyskał pamięci. Do tej pory nie wiedział, kim lub czym był w przeszłości.

Bran znał tożsamość Sherwooda, ale ze znanych tylko sobie Branowych powodów nie wyjawiał jej ani Sherwoodowi, ani nikomu innemu. Umył od sprawy ręce, nadał trójłapemu wilkowi, czy też jednonogiemu człowiekowi, nowe imię i wysłał go do nas.

Na początku myślałam, że zrobił to dla dobra Sherwooda. Według słów Brana Sherwood narzekał na okrutne zimy i poprosił o przeniesienie do watahy mieszkającej w łagodniejszym klimacie. Czyli w zasadzie gdziekolwiek, bo większość miejsc ma łagodniejszy klimat niż ten panujący w Aspen Creek w Montanie.

Później, kiedy w ciągu paru miesięcy przynależności do naszej watahy Sherwood dowiedział, że posiada pewne przydatne i nietypowe umiejętności, zaczęłam myśleć, że Bran miał inne powody, żeby przydzielić Sherwooda akurat do nas.

Czy wiedział, jak potoczą się nasze losy? Czy przewidział, że nasza wataha znajdzie się w centrum politycznych manipulacji pradawnych, zanim my to zauważyliśmy? Skłaniałam się ku tej myśli, ponieważ Sherwood dołączył do nas niedługo przed tym, jak w krajowych mediach odbiło się echem moje oświadczenie o przejęciu terytorium Tri-Cities przez nasze stado. Ale jakim cudem mógł przypuszczać, że wydarzy się coś takiego? A nawet jeśli, to dlaczego nie uprzedził, że będzie musiał zostawić nas (mnie, poprawił mój własny dziecienny głosik) na pastwę losu, pozbawiając ochrony Marroka i wszystkich wilków, które miał pod swoją egidą?

Zwykle kiedy zaczynałam analizować Branowe możliwości przewidywania w planowaniu dalekosiężnych strategii, kończyło się to poważnym bólem głowy. Teraz co prawda dodatkowego bólu głowy już nie potrzebowałam, lecz nie

zdołałam na czas powściągnąć myśli zbaczających właśnie w te rejony.

A może Bran, wiedząc, że będziemy potrzebowali każdego możliwego wsparcia, przysłał tu Sherwooda w roli tajnej broni? Sherwood nie był zwyczajnym wilkiem. Był potomkiem wiedźmy. Najprawdopodobniej. A jeśli nawet nie posiadał mocy z urodzenia, potrafił doskonale posługiwać się magią. Jego moc nie miała woni rozkładu ani też w ogóle typowej woni czarów wiedźm. Do tego posiadał jej bardzo dużo jak na kogoś, kto nie parał się czarną magią.

Nie miałam pojęcia, czym właściwie był, wiedziałam jednak, że z pewnością jest kimś szczególnym, potężnym, z całą pewnością znanym z imienia. Kimś, kogo któryś z naprawdę starych wilków potrafiłby z miejsca rozpoznać. Mieliśmy dwa bardzo dawno przeistoczone wilkołaki – Honey i Zacka. Co prawda o wiek wilkołaka się nie pyta, ale po jakimś czasie przebywania wśród nich wiadomo, które są bardzo, bardzo stare. Honey bez wątpienia nie wiedziała, kim jest Sherwood, ale jeśli chodzi o Zacka, nie byłam tego taka pewna. Zack potrafił dochować tajemnicy.

Niewykluczone, że Bran podesłał nam Sherwooda jako tajną broń, ale Adam uważał, że broń ta może lada moment wybuchnąć nam w rękach.

Sherwood odsunął krzesło i usiadł. Było to miejsce, które wcześniej zajmował Adam, dokładnie naprzeciwko mnie. Gest ten był równie wymowny, co wcześniejsze zachowanie Bena. Mina Sherwooda odzwierciedlała mój nastrój.

Tak więc domowych burz zamieć zimową<sup>[1]</sup>... Na studiach przerabiałam Szekspira, a kurs prowadzony był przez wykładowców nie z wydziału literatury, a teatru, co oznaczało konieczność uczenia się na pamięć wielu słynnych monologów. Czasami ten czy inny cytat znienacka pojawiał się w moim umyśle przy różnych okazjach. Nie sądziłam jednak, aby



Sherwood zamienił słońce w promienne lato, choćby wszyscy zainteresowani gorąco tego pragnęli.

Lubiłam Sherwooda, a moja sympatia do niego zaczęła się na szczycie wysokiego dźwigu, gdzie najpierw rozmawialiśmy, a potem walczyliśmy ramię w ramię z wrogiem. Teraz w niczym nie zawinił sytuacji, z jaką musieliśmy się zmierzyć, podobnie jak Adam nie był niczemu winny. Po prostu czasem – a nawet dość często – życie wilkołaka bywało do luzu.

Uznałam, że wyciszeniu nastrojów posłuży pogawędka o czymś miłym i dla mnie, i dla niego. Nie żeby Sherwood nawet w najlepszych okolicznościach był mistrzem konwersacji, ale znałam temat, którym mogłam go zainteresować.

– Jak tam Pirat? – zagałam.

Sherwood odprężył się trochę na dźwięk imienia swojego kota. Trochę, nie całkiem. Jeśli Adam miał rację, a w tego typu sprawach zawsze ją miewał, Sherwood również zdawał sobie sprawę z trudnego położenia, w jakim wszyscy się znaleźliśmy.

– Pirat przesyła pozdrowienia – odparł poważnie – i wyraża ubolewanie, że jego wstrętny współlokator dzisiaj go ze sobą nie zabrał. Kazał przekazać, że z całą pewnością dołoży wszelkich starań, aby unaocznic owemu współlokatorowi błędy postępowania, prawdopodobnie zostawiając mu na łóżku prezent w postaci wyrzyganej kulki futra.

Dostrzegłszy moje zaskoczenie, zarumienił się i z zakłopotaniem poprawił na krześle, które zaskrzypiało protestująco pod jego ciężarem – był wielkim chłopem.

To, co powiedział, odpowiadało rzeczywistości, bo Sherwood zazwyczaj zabierał ze sobą kota, a koty mają tendencję do zaznaczania dominującej pozycji w swoich domach. Gdyby Pirat potrafił mówić, pewnie przesłałby właśnie taką wiadomość, jaką przedstawił Sherwood.

Źródło mojego zaskoczenia tkwiło w czymś innym. Chodziło o samego Sherwooda. Po nim spodziewałabym się odpowiedzi

typu „w porządku”. W przypadku wyjątkowo rozmownego nastroju ostatecznie czegoś w rodzaju „jest zły, że go nie zabrałem”. Dłuższe wypowiedzi, w dodatku zabarwione poczuciem humoru, nie pasowały do Sherwooda, jakiego znałam.

Milczeliśmy, a milczenie to stawało się z chwili na chwilę coraz bardziej niezręczne. Miałam masę pytań, które aż swędziały mnie na języku, jednak mogłam je zadać dopiero w obecności Adama.

– O, patrz, idzie tu jeden z pomocników Wujka Mike’a – powiedziałam z ulgą, bo krępujące milczenie zazwyczaj sprawia, że zaczynam paplać. – Zamówić ci coś do picia?

Pracownik pubu rzeczywiście wyjrzał przez kuchenne drzwi, a zobaczywszy, że w sali zostaliśmy tylko my, ruszył w stronę naszego stolika.

Nie czekając na odpowiedź, spojrzałam prosto w oczy wilkołaka, który z dużym prawdopodobieństwem mógł zabić dzisiaj mojego męża, i wypaliłam kolejne pytanie, które przyszło mi do głowy – prawdopodobnie pokłosie wcześniejszego cytatu z „Ryszarda III”.

– Jesteś tym Szekspirem czy nie?

Sherwood znieruchomiał. Bardzo powoli i ostrożnie odwrócił się w stronę nadchodzącego kelnera, prawdopodobnie po to, żebym nie mogła zobaczyć jego miny.

Ponieważ istniał tylko jeden powód, dla którego mogłam Sherwoodowi zadać takie pytanie.

Po miłym przerywniku prysznicowym Adam wyznał, że odebrał sygnał z więzi stadnej – Sherwood odzyskał pamięć. Teraz reakcja wilkołaka potwierdziła jego słowa. Adam nie miał pojęcia, co przywróciło Sherwoodowi pamięć, ale nie to było najistotniejsze. Nagle okazało się bowiem, że mamy w watasze osobnika bardzo, ale to bardzo dominującego.

Wiedziałam, że Adam jest jednym z czterech najbardziej dominujących wilków w Nowym Świecie. Zaraz po Branie i jego dwóch synach. Jednak Adam uważał, że ta nowa, ulepszona wersja Sherwooda znajduje się wyżej niż on na drabinie hierarchii. A to stanowiło duży problem, szczególnie w naszej obecnej skomplikowanej sytuacji.

– Dzbanek wody i cztery szklanki – złożyłam zamówienie, zanim kelner zdążył się odezwać. – A skoro zostało nas tylko czworo, to czy mógłbyś zamknąć drzwi do sali? Przydałoby nam się nieco prywatności.

– Jak najbardziej. – Kelner skinął głową i dotykając palcami czoła, obrzucił Sherwooda otwartym spojrzeniem. Był tu nowy i wyglądał na człowieka, choć zapach temu przeczył.

– Ciekawe, dlaczego Wujek Mike dogaduje się z goblinami lepiej niż inni pradawni? – zastanawiałam się głośno, dając Sherwoodowi szansę zignorowania mojego szekspirowskiego pytania.

Tak naprawdę nie wierzyłam w to, że jest Szekspirem, ale wataha robiła zakłady, obstawiając, kim był w przeszłości Sherwood. Kiedy sam przedmiot hazardu się o tym dowiedział, obstawił Williama Szekspira. Uznałam to za żart. Pentametr jambiczny nie pasował do kogoś, kto rzadko kiedy wyciskał z siebie pięć sylab, jeśli wystarczyło jedną.

– Nie wiem – odpowiedział lakonicznie.

Zrozumiałam aluzję i zamilkłam. Sherwood rozparł się na krześle i skupił wzrok na Adamie, który rozmawiał z ostatnimi wychodzącymi członkami watahy.

Mój towarzysz robił wrażenie całkowicie rozluźnionego, a jego uśmiech wydawał się szczery. Miał za sobą niejedną bitwę. W przeciwieństwie do mnie nie denerwował się nimi na zapas, w każdym razie nie, jeśli „jedynie” jego życie wisiało na włosku. Obok Adama Zack jakby od niechcenia opierał się o ścianę, ale widać było, że stara się być niewidoczny. Tyle że

żaden wilk nie przeoczyłby uległego osobnika. Zauważyłam, że Zack uśmiecha się i kiwa głową w odpowiedzi na jakiś żart rzucony do niego przez któregoś z wychodzących.

– Uważasz, że obecność Zacka jest niezbędna, żeby utrzymać mnie w ryzach? – zapytał Sherwood grzmiącym głosem, który przebił się ponad muzykę.

Ostatnie kilka wilków skupionych wokół Adama odwróciło się do nas. Raczej nie zrozumieli, do czego pije Sherwood, ale ich uwadze nie uszedł z pewnością złowróżbny ton tej wypowiedzi. Na twarzach wilkołaków odbiła się czujność. Zack zerknął na nas, ale szybko odwrócił wzrok, a Adam nie zareagował wcale. Honey zmarszczyła się i ruszyła w naszą stronę, lecz Adam zatrzymał ją, mówiąc coś, czego nie dosłyszałam, a Honey popatrzyła nieprzyjaźnie na Sherwooda.

Mój towarzysz spojrzał na mnie, unosząc brew, a potem wypchnął wyraźnie teraz podenerwowanych maruderów przez drzwi i wyszedł za nimi, żeby ich uspokoić albo powiedzieć prawdę. Wierzyłam, że dokona najlepszego wyboru w tej sytuacji. Zack zawahał się, ale ostatecznie podążył za nim.

– Adam uważa, że nie panuję nad sobą? – drążył Sherwood.

Jaką taktykę obrać? Nie pierwszy raz miałam do czynienia z rozwścieczonym wilkołakiem, w końcu dorastałam w watasze Marroka, zbieranie wilków zbyt niestabilnych, by powierzyć je komuś innemu. Wystarczyło wybrać narzędzie – rozwścieczyć go bardziej czy może skłonić do myślenia? To pierwsze wydawało się dużo łatwiejsze, ale wybrałam drugi sposób jako mniej ryzykowny.

– Ty nie odpowiedziałeś na moje pytanie – rzekłam w końcu.  
– Czemu ja miałabym odpowiadać na twoje?

Uśmiechem podziękowałam kelnerowi, który postawił przede mną szklany dzban o ściankach zamglonych rosą. W odpowiedzi odsłonił ostre, żółte zęby i zebrał puste szklanki, cały czas zachowując możliwie duży dystans do Sherwooda.

– Takie gierki nie są w twoim stylu – zauważył Sherwood po zniknięciu kelnera za drzwiami kuchni.

– Adam prosił, żebym nie rozpoczynała poważnej rozmowy pod jego nieobecność – wyjaśniłam, nalewając sobie wody. A na wypadek, gdyby nie wiedział, o jakim pytaniu mówię, dodałam:

– Nie powinnam wyciągać tego Szekspira, ale samo mi się wyrwało. Ten zakład zaczął żyć własnym życiem.

Spojrzał na mnie przeciągle, po czym westchnął.

– Nie, nie jestem Szekspirem.

– Nie – zrewanżowałam się od razu. – Nie uważamy, że bez Zacka nad sobą nie zapanujesz.

– To po co tu jest?

– Ponieważ obecność uległego osobnika ułatwia rozmowę pomiędzy dwoma dominującymi wilkami – odpowiedział tym razem mój towarzysz, wracając do sali z Zackiem u boku.

Adam kurtuazyjnie wskazał Zackowi krzesło po Benie, co przypomniało mi, że manier nabrał w całkiem innych czasach. Ten staromodny gest wyrażał uprzejmość, troskę, ale nie miał tej wymowy, co odsunięcie krzesła kobiecie.

Kiedy Zack zasiadł już przy Sherwoodzie, Adam przyniósł sobie krzesło i postawił je obok mnie, na tyle blisko, że spocząwszy, dotykał kolanem mojej nogi. Sam kontakt fizyczny nie zapewniał mi bezpieczeństwa, ale tak właśnie się czułam.

W drzwiach pojawiła się jakaś postać – sam Wujek Mike zajrzał do nas, zasalutował żartobliwie Adamowi i obrzucił Sherwooda nieodgadnionym wzrokiem – choć możliwe, że patrzył na Zacka. Mnie dostał się od niego uśmiech pod tytułem: „Ja jestem tylko miłym karczmarzem, słonko”, który działał o wiele lepiej, gdy nie byłam jeszcze świadoma, kim naprawdę jest Wujek Mike. Ponieważ jednak moja nowa rezerwa wyraźnie go bawiła, starałam się jej nie okazywać.

„Miły karczmarz, słonko” dotknął przycisku, jak sądziłam wyłącznika światła, jednak zamiast lamp zareagowały głośniki.

Muzyka ucichła, a Wujek Mike, rzuciwszy mi ostatnie znaczące spojrzenie, wycofał się, zamykając drzwi. Delikatny trzask nie brzmiał typowo, a choć nie kojarzył mi się z niczym konkretnym, wiedziałam, że właśnie zadziałała magia.

Sherwood uniósł brwi.

– Poprosiłem Wujka Mike’a, żeby zapewnił nam trochę prywatności – wyjaśnił Adam, a ja uświadomiłam sobie, że nie musiałam mówić o tym kelnerowi. Miałam pewność, że nikt nam nie będzie przeszkadzał ani też nikt postronny niczego nie usłyszy.

Zastanawiałam się, czy to porozumiewawcze spojrzenie dotyczyło właśnie tej zapewnionej nam magicznie prywatności, ale... Wujek Mike był bardzo stary. Pewnie wiedział, kim jest – a raczej kim był – Sherwood. Popatrzył najpierw na Sherwooda czy na mnie? Nie mogłam sobie przypomnieć.

– Co zamierzasz? – zapytał Sherwood bez ogródek, a ja przestałam gapić się na drzwi i wróciłam do tu i teraz.

Dziwne, ale Sherwood wydał mi się nagle jakiś taki bardziej... rzeczywisty. Zamrugalam i wrażenie zniknęło, pozostawiając mnie w niepewności, co tak naprawdę przed chwilą widziałam.

Uznałam, że może podświadomie godziłam się z faktem, że teraz stał się bardziej autentyczny, wielowymiarowy, niż był do tej pory. Możliwe, że wrażenie to wywołała pełna napięcia atmosfera, którą, chcąc nie chcąc, generowały dwa dominujące wilki, siedzące przy jednym stole. Nie potrafiłam tak dokładnie jak Adam odczytywać impulsów z więzi stadnej, ale nawet ja czułam, że magia sygnalizuje nieuchronne kłopoty, o ile nie uda się ich w porę zażegnać.

Nie słyszałam zaproszenia, lecz Adam powiedział, że zaprosił Sherwooda do naszego stołu jako gościa. W wypadku innych wilków nie miałyoby to żadnego znaczenia, ponieważ wilkołaki w przeciwieństwie do pradawnych nie są zobligowane do przestrzegania praw gościnności. Jednak Adam był pewien, że

Sherwood jest na tyle stary, że prawa te mają dla niego znaczenie. Nawyki to co prawda nie magia, jednak zazwyczaj są silnie zakorzenione.

Niewielki stół nie stanowił masywnej bariery pomiędzy Adamem i Sherwoodem, zastanawiałam się nawet, czy nie przesunąć go trochę w ich stronę – ja i Zack nie potrzebowaliśmy się od siebie odgradzać.

Zamiast z miejsca odpowiedzieć Sherwoodowi, Adam nalał sobie wody. Uważał, żeby poza przelotnymi zerknięciami nie krzyżować na dłużej spojrzenia z Sherwoodem. Zauważyłam, że Sherwood robi to samo.

Adam pociągnął łyk ze szklanki i w tonie ceremonialnej etykiety księżnej wdowy z książek Jane Austin rzekł:

– Nie wiem, co tu dodają do napojów, ale to najlepsza woda, jaką piłem w życiu.

Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że to propozycja dla Sherwooda, aby przyjął gościnę przy tym stole. Jego następny ruch miał określić ton negocjacji.

Sherwood przyglądał się Adamowi przez chwilę, acz nie na tyle długo, by wywołać konflikt, a potem odwrócił wzrok, odetchnął słyszalnie i odrobinę opuścił barki. Następnie, z lekkim uniesieniem kącika ust, w iście teatralny sposób napełnił swoją szklankę. Potem z namaszczeniem, jakby miał do czynienia z kryształowym pucharem, a nie wysłużoną zastawą barową, uniósł naczynie do nosa i przez chwilę rozkoszował się aromatem, a następnie napił się i posmakował wody jak kiper wina.

Przyćmione światło lampy błysnęło w piwnych oczach Sherwooda. Zawsze były tego koloru? Dziwne, że wcześniej nie zwróciłam na to uwagi.

– Nie ma w niej żadnej magii – oświadczył, w ten mało subtelny sposób zaznaczając, że jest zaznajomiony z czarami.

Pociągnął kolejny łyk. – A może raczej już nie ma. Jakoś ją oczyścili.

Odstawił szklanę z impetem, jakby dawał sygnał, że tym kończy ceremoniał. Adam popatrzył na mnie i Zacka, a potem na dzbanek.

Nalaliśmy sobie i podnieśliśmy szklanki. Osobiście mogłam w niej mieć ścieki, a i tak bym tego nie zauważyła. Przełknęłam pospiesznie i odstawiłam naczynie, ale Zack się nie spieszył. Czekaliśmy w milczeniu, aż skończy.

– Jakież dwa tygodnie temu coś się wydarzyło – zaczął Adam tym samym konwersacyjnym tonem, jakim chwalił smak wody. – Poprzez więź poczułem, że powróciła ci moc. Wyglądało to tak, jakby iskry zimnego ognia przerodziły się w fuzję jądrową. Dość niezwykły efekt.

Sprawdziłam, ale nadal wyczuwałam Sherwooda poprzez więź tak samo, jak wcześniej. Adam uważał, że Sherwood maskuje w jakiś sposób swoją moc przede mną i resztą watahy, natomiast jeśli chodzi o Adama, albo nie zależało mu na ukrywaniu tego, albo nie było to możliwe w przypadku Alfy. Osobiście uważałam, że to drugie.

– Coś umarło – rzekł Sherwood i uśmiechnął się przelotnie, smutno. – Zapytaj Charlesa, jeśli chcesz. Słyszałem, że był w tamtej chwili we właściwym miejscu, ale sam nie rozmawiałem z nim o tym.

– Coś? – nie zrozumiałam.

– Coś. Ktoś. – Wzruszył ramionami. – Dawny wróg. Jego śmierć mnie wyzwoliła.

To nie był najlepszy moment na wspominki, ale obiecałam sobie, że zadzwonię do Anny i wypytam, czy coś wie na ten temat.

– Odzyskałeś pamięć? I siebie? – mruknął Adam.

– Tak – odpowiedział Sherwood równie cicho.



– Dałem ci czas, żebyś przyszedł z tym do mnie – rzekł Adam.  
– Jednak tego nie zrobiłeś. Nie mogłem pozwolić, abyś dłużej to ukrywał. Ze względu na dobro watahy.

Powiało grozą. Rozeszła się ostra, ciężka woń nadciągającej burzy doprawiona wrażeniem nieuchronności. Nie umiałam powiedzieć, czy to bodźce z więzi, czy może autentyczny zapach.

– Rozumiem – rzekł Sherwood. – Moja tożsamość stanowi problem.

– Nie obchodzi mnie, kim jesteś – powiedział Adam ciężko. – Czy też byłeś.

– Na pewno nie jest Szekspirem – wypaliłam radośnie w gromadzące się chmury. – Sam przyznał.

Usta Adama drgnęły w przelotnym uśmiechu.

– Kilka wilków czeka rozczarowanie.

– Sześć – doprecyzowałam. – Włącznie z samym Sherwoodem. Mogli wygrać dwieście cztery dolary i osiemdziesiąt trzy centy do podziału.

– Życie to pasmo rozczarowań – westchnął Zack, podejmując moją grę. – Kto tyle nawrzucał do tego kapelusza? Co zrobisz, jeśli ktoś w końcu zgarnie pułę?

Miałam gotowy plan, lecz Sherwood wszedł mi w słowo, zanim zaczęłam go przedstawiać.

– Nie obchodzi cię, kim jestem? – Głos Sherwooda brzmiał... nieufnie. Bo przecież wszyscy wyczulibyśmy, gdyby Adam skłamał.

– Nie obstawiałem zakładów – odrzekł Adam spokojnie. – I owszem, jestem ciekawy. Ale w kontekście dobra watahy twoja tożsamość nie ma znaczenia.

– Ciekawy jak diabli – podkreśliłam konfidencko, lekko trącając barkiem Adama.

Znałam się na rzeczy – miałam doświadczenie z dominantami i wiedziałam, jak z nimi postępować, żeby się

nie pozabijały. Najważniejsze to nie dopuścić do konfrontacji. Oboje z Zackiem pracowaliśmy nad rozładowaniem atmosfery, a nasze wtręty przypominały rozmawiającym wilkom, że to nie pojedynek i nie walka. Jak na razie.

Dlatego niezrażona kontynuowałam:

– Może nawet niecenzuralnie ciekawy. To niecenzuralne zaczyna się na „k” i nie jest to „kolorowo”. Ale takich słów przy mnie nie używa.

Niechęć Adama do przeklinania w mojej obecności stała się ostatnio w watasze źródłem żartobliwych zawodów. Niektórzy celowo starali się skłonić Adama do sięgnięcia po mięsne słówka. W tenże sposób dowiedziałam się, że pod nieobecność kobiet Adam przeklina jak szewc, rywalizując o palmę pierwszeństwa z czempionem bluzgów, Benem. Kiedy go o to zagadnęłam, zwałił winę na złe nawyki z wojska.

Adam nie patrzył na mnie, ale dojrzałam w jego policzku cień dołeczka, co oznaczało, że nie jest tak zirytowany wysiłkami watahy, jak udaje. Oraz że ma nerwy z tytanu.

Istniało wiele dróg, którymi ta rozmowa mogła potoczyć się do fatalnego miejsca, i nieliczne prowadzące do pokojowego rozwiązania.

Czy i ewentualnie która katastrofa się wydarzy, zależało w głównej mierze od Sherwooda, a tego nowego Sherwooda w ogóle nie znałam.

Nie zwracał na mnie uwagi, mogłam więc bezpiecznie mu się przyjrzeć. Wpatrywałam się w niego, jakbym mogła przeniknąć wzrokiem jego powierzchowność i zajrzeć do środka. Oczy miał naprawdę piwne, prawie zielone. Jak mogłam dotychczas tego nie zauważyć?

Na boku szyi miał tatuaż, ale tak stary i niewyraźny, że dało się jedynie stwierdzić, że został wykonany dawnymi metodami. To zrozumiałe, ponieważ trudno zrobić tatuaż wilkołakowi. Miewają zazwyczaj tylko te sprzed Przeistoczenia.

Że też wcześniej nie dostrzegłam u niego tatuażu...

Jak to możliwe, żebym przez pięć miesięcy, bo tyle Sherwood należał do naszej watahy, nie widziała ciemnego rysunku wielkości dłoni? A przecież wzór nie krył się poniżej linii kołnierzyka, tylko sięgał prawie pod żuchwę. Był widoczny nawet teraz, mimo że Sherwood miał na sobie zapiętą aż pod szyję koszulę. Staralam się przypomnieć sobie, jak zazwyczaj ubierał się Sherwood, ale zwykle nie zwracałam uwagi na powierzchowność osób o imieniu nie-Adam.

Wróciłam myślami do tego znaczącego spojrzenia, które rzucił mi Wujek Mike, wychodząc. Czyżby pradawny zrobił coś swoją magią? Czy również zauważył zmianę w Sherwoodzie?

Popatrzyłam na Zacka, sprawdzając, czy on też wyda mi się bardziej rzeczywisty.

Był prawdziwy w stopniu normalnym, jak zawsze. Czy to oznaczało, że Sherwood zazwyczaj nie wyglądał prawdziwie?

Podczas moich dywagacji konwersacja prowadzona przez Zacka utknęła nieco na temacie przeklinania. Nikt nie żartował, lecz napięcie zelżało nieco, nawet gdy Adam wrócił do głównej kwestii.

– Ciekawość ciekawością, ale tak poważnie, nie obchodzi mnie, kim jesteś czy byłeś.

Adam zawsze trzymał się prosto – nawyk z armii – jednak w tej chwili jeszcze bardziej ściągnął łopatki i pochylił się do przodu, uważając, by nie naruszyć wątlej granicy stołu.

– To, co liczy się dla mnie, to jak twoja zmiana wpływa na bezpieczeństwo mojej watahy.

– Ponieważ jestem bardziej dominujący od ciebie – dopełnił Sherwood wibrującym w piersi głosem, ale zaraz uniósł rękę, a kiedy znów przemówił, agresywne nuty zniknęły prawie całkiem. – Wybacz. To oczywiście nie zostało stwierdzone. Ujmijmy to tak, że jestem nazbyt dominujący, żeby na powrót wpasować się w miejsce, które zajmowałem wcześniej.

Zack aż zatchnął się nerwowo, zrozumiawszy, że w rozmowie tej chodzi o coś poważniejszego niż fakt odzyskania pamięci przez Sherwooda.

Adam nie wprowadził go w temat, tak jak mnie, a więc stadna niczego nie zdradzała. Zack miał świadomość, że drugi dominant w stadzie, możliwe, że silniejszy od obecnego przywódcy, to przepis na katastrofę. Sherwood, nie odwracając uwagi od Adama, położył Zackowi rękę na ramieniu uspokajającym gestem.

– To niebezpieczna sytuacja dla watahy – podjął Adam po chwili, zerknąwszy na mgnienie na Sherwooda. Zachowanie nic nieznaczące dla mężczyzn, uprzejmość w gronie wilkołaków i oznaka równej rangi pomiędzy Alfami.

Sherwood zrewanżował się tym samym, dając do zrozumienia, że uznaje podejście, które zaproponował Adam. Był to krok w tył z drogi prowadzącej do ustalania pozycji, akceptowalny dla obu stron. Rozmowy pomiędzy wilkołakami toczyły się głównie w sferze niewerbalnej, dlatego właśnie musieliśmy spotkać się osobiście.

– Na tej nitce porozumienia, którą zdołali uprząć pradawni, wisi los nie tylko naszej watahy czy jej członków, ale też innych wilków, magicznych istot, ludzi i reszty społeczności nadprzyrodzonych, które zamieszkują na tym terytorium – stwierdził Adam. – Może to być nić, która utrzymuje cały świat z dala od ryzyka zniszczenia całych gatunków inteligentnych stworzeń. Jeden nieostrożny krok, nasz krok, może oznaczać koniec wszystkiego. Ale jeśli nasza wataha zdoła utrzymać kruche przekonanie, że nasze terytorium jest bezpiecznym miejscem dla wszystkich, być może Szara Rada będzie skłonna negocjować trwały pokój.

– Nie podejrzewałem cię o aż taki optymizm. – Usta Sherwooda wykrzywiły się, ale nie w uśmiechu. – Poznałeś kilka wiedźm i nadal sądzisz, że uda się utrzymać z nimi pokój?

A z wampirami? Pradawni nadal tylko patrzą, jak się wzajemnie wymordować.

Jego słowa nie brzmiały jak coś, co powiedziała by Sherwood, ale wydawały mi się znajome, jakbym usłyszała cytaty ze starego filmu i nie potrafiła sobie przypomnieć tytułu.

– Wiem, że rozumiesz, o czym mówię – stwierdził Adam zniecierpliwiony, głosem chrapliwym przez czającego się pod skórą wilka, choć w oczach nie pojawiły się złote błyski. – Odosobnione przypadki przemocy to nie to samo co masowa eksterminacja. Pojedynczy konflikt to nie to samo co wojna.

– Owszem – zgodził się Sherwood – lecz obaj wiemy, że nawet jeśli Szara Rada zdoła wypracować porozumienie, to pokój nie będzie trwał bez końca. Ludzie dopiero zaczynają sobie przypominać to, o czym dobrze wiedzieli ich przodkowie. I zaczynają się bać. A w tym wypadku wiedza nie obniży lęku.

Dorastałam, słysząc różne wariacje tych argumentów. Sherwood brzmiał jak ktoś, kto przez długi czas obserwował koleje świata. Tak długo, jak Bran.

– Myślisz jak nieśmiertelny – zauważył Adam, artykułując moje spostrzeżenia. – Oczywiście, że pokój nie trwa dłużej, niż trwa wojna. Wszystkim nam – zatoczył ręką, wskazując, że odnosi się do całego świata – w końcu nuży się pokój. Ale ja wiem, co oznacza wojna, cenię każdy dzień bez niej i zrobię wszystko, by jak najdłużej do niej nie dopuścić.

– Walka po pewnym czasie wchodzi w nawyk – odezwałam się bardziej, żeby przełamać znów rosnące napięcie, niż żeby powiedzieć coś ważnego. – Ale tak samo jest z pokojem, jeśli zapewni się czas, żeby do niego przywyknąć.

A jednak Adam przytaknął poważnie, jakbym powiedziała coś znaczącego.

– Podczas pokoju ginie niewiele – dodał. – A każdy wiek czy nawet dekada bez wojny są warte, aby o nie zawalczyć.

Sherwood spojrział na Adama spod uniesionej brwi, a ja wbiłam w niego wzrok. Miałam nieodparte wrażenie, że widzę coś, co powinnam rozpoznać.

– Tak, wiem, walka o pokój brzmi niedorzecznie – rzekł Adam. – W takiej wojnie brałem udział i wydaje się, że zwycięstwo w niej nikomu nie przyniosło pokoju. – Westchnął i napił się wody. Kiedy podjął, nadal mówił bardzo poważnie, ale spokojnie. – Spoczywa na mnie odpowiedzialność za watahę. A także za życie tych, którzy mieszkają w obrębie mojego terytorium. Za los tych, których kocham. Ta odpowiedzialność nakłada na mnie obowiązek dążenia do utrzymania pokoju.

– Nie zaprosiłeś mnie tutaj, żeby omawiać możliwe skutki pokrętej polityki Szarej Rady – powiedział Sherwood, marszcząc brwi.

– Pomyślałem, że to sedno sprawy – rzekł Adam miękko. – Przez tę właśnie politykę działamy na granicy. Ta właśnie polityka pozostawia nam bardzo wąskie pole działania, gdzie nie ma miejsca na porażkę, jeśli wataha ma mieć szansę na przetrwanie. – Zawiesił głos, pozwalając rozmówcy przemyśleć swoje słowa. Sherwood skwitował jego wywód wzruszeniem ramion, ale raczej współczująco niż obojętnie. – Moje możliwości manewru ogranicza pozycja watahy. Stoimy pomiędzy tymi, którzy tu mieszkają, a tymi, którzy chcą ich skrzywdzić, a powstrzymuje ich przed tym jedynie honor i układ z pradawnymi. Myślę, że twoje możliwości są równie ograniczone.

– Wcale nie chcę, żeby do tego doszło – powiedział Sherwood – przekonałem się jednak, że unikanie konfrontacji do niczego nie prowadzi. – Machnął ręką, wskazując, że ma na myśli obecną rozmowę. – Jesteś dobrym Alfą, ale to nie ja dzisiaj zginę.

W stadzie nie mogły żyć dwa tak silne dominujące wilki. Jeden musiał poddać się drugiemu albo zginąć.

– Istnieją inne sprawdzone rozwiązania.

Tyle że żadne z nich się nie sprawdzi, pomyślałam ponuro. Omówiliśmy je już z Adamem.

Kiedy milczenie się przedłużało, Sherwood zrobił zapraszający gest, a ja pomimo zdenerwowania znów skupiłam się na jego osobie, odrywając się od przedmiotu sprawy.

Sherwood wypełniał sobą przestrzeń zarówno w sensie fizycznym, jak i metafizycznym. Jedynym członkiem watahy większym od niego był Darryl. Sherwood nie przyciągał tak oka urodą, ale coś w jego rysach twarzy budziło zaufanie. Uświadomiłam sobie, że to twarz człowieka, za którym inni bez mrugnięcia okiem skoczą z urwiska. Charyzmatycznego przywódcy, jak Rasputina.

Albo Brana.

Kierunek, w jakim podświadomość popychała moje myśli, przyprawił mnie o lodowaty dreszcz.

– Możesz odejść – rzucił Adam neutralnie, a słowa te gwałtownie ściągnęły moją uwagę na powrót do istotnej kwestii.

No, zaczyna się. Zmówiłam modlitwę, mimowolnie kładąc rękę na udzie Adama. Miałam nadzieję, że to go nie rozproszy, bo naprawdę bardzo potrzebowałam tego kontaktu.

– Tego chcesz? – zapytał Sherwood, jednak widać było, że nie bierze takiej opcji pod uwagę. W jego tonie zabrzmiały nowe nuty, które sprawiły, że w sali zrobiło się duszno.

Dla kogoś, kto nie zrozumiał, co Adam mówił przez ostatnie pół godziny, opuszczenie stada przez Sherwooda wydawałoby się najłatwiejszym sposobem na wyjście z sytuacji.

Tym razem Adam i Sherwood skrzyżowali spojrzenia, a powietrze przesyciła woń gwałtowności, ostra jak zapach ozonu przed uderzeniem gromu.

– Nie – rzekł Adam prosto w nadciągającą nawałnicę. – Jesteś darem od Marroka dla naszej watahy, a ja nie odrzucam darów.

Sherwood roześmiał się niespodziewanie, szczerze, co zawiesiło na chwilę groźbę przemocy.

– Dostałeś prezent od Brana Cornicka i nie zwiąłeś? A może miałem być raczej karą?

Nigdy nie widziałam takiej miny u Sherwooda, ale była mi znajoma...

Zniknęła zbyt szybko, lecz zmarszczki w kącikach piwnych oczu pozostały, kiedy podjął cicho:

– Choć może cała ta sytuacja była przewidziana jako kara dla mnie.

Adam uśmiechnął się krzywo.

– Jestem przekonany, że te trzy rzeczy absolutnie się nie wykluczają. W ten sposób działa Bran Cornick. Ma talent do wielowarstwowego planowania. – A po chwili dodał: – Tudzież przypisywania sobie owego talentu, jeśli tego rodzaju sytuacja jest zrzędzeniem losu.

Sherwood parsknął śmiechem i wyżłopał wodę z zacięciem pirata wlewającego sobie w gardło pół litra piwa, na koniec grzmocącego kuflem o stół. Szklanka ani stół przy tym nie ucierpiały, choć niewiele brakowało.

– Jeśli to intryga Brana, to dopilnuję, żeby tego gorzko pożałował – burknęłam ponuro.

– To inny poziom gry, nie na surowe jaja i siedzenia wymazane masłem orzechowym – stwierdził Sherwood ironicznie.

– Wzniosę się nawet ponad, jeśli będzie trzeba – obiecałam.

– Wiesz, że nie mogę pozwolić ci odejść – powiedział Adam. – I tak ledwie równoważymy układ zbudowany tu przez pradawnych. Jeśli wataha się zachwieje, rozpadnie się cały domek z kart, a szansa na pokój przepadnie. Wataha nie może sobie pozwolić na utratę ciebie.



– Pozwolić... – powtórzył Sherwood, szczerząc zęby.

Tym razem to Adam wzruszył ramionami.

– Oczywiście masz wybór, możesz odejść. Jeśli zechcesz to zrobić, będę walczył, żebyś pozostał. Dla dobra watahy. – W jego oczach pojawiły się żółte błyski. – Wilk domaga się tego ode mnie, ponieważ możesz być kluczem do przetrwania watahy. Dlatego walczyłbym... Mój wilk walczyłby o to, żebyś nie odszedł.

Słowa wybrzmiały, a Adam pozwolił im zawisnąć w powietrzu. Milczenie nie było celowym zagranem. Musiał się bardzo starać, żeby mówić wyraźnie. Wykazywał się niezwykłym opanowaniem, ale wilk, którego w sobie nosił, był niezwykle dziki nawet bez pożegnane prezentu Elizawie.

Zacisnęłam dłoń na udzie Adama, a on nakrył ją swoją. Kiedy odwróciłam rękę, splótł nasze palce tak ściśle, że aż zabolalo.

– Nie mógłbym odejść dokładnie z tych samych powodów – powiedział Sherwood cicho.

Adam przytaknął skinieniem głowy. Wiedziałam, że nie spodziewał się takiej decyzji po Sherwoodzie. Gdyby drugi wilk był w stanie opuścić watahę w chwili zagrożenia, oznaczałoby to, że nie jest na tyle dominujący, by mierzyć się z Adamem.

– Gdybym mógł przekonać swojego wilka, że najlepszym wyjściem jest moje odejście... – zaczął Adam bardzo głębokim głosem, choć jego oczy pozostawały ciemne.

– Mnie się to nie udało – stwierdził Sherwood.

– Potrzebujemy każdego jednego wilka. Jeśli chcesz, żebym pozostał, a konieczność tego nie podlega dyskusji, musisz mnie pokonać, inaczej mój wilk nie zaakceptuje w tobie Alfę.

– A odejść sam nie odejdiesz z tego samego powodu, co ja. I koło się zamyka – podsumował Sherwood kpiąco.

Może, mówił Adam w drodze do pubu, Sherwood dostrzeże jakieś wyjście, którego ja nie widzę? Może wyłoży na stół kartę, która całkiem zmieni rozgrywkę?

Adam twierdził, że wyczuwa w Sherwoodzie potężnego wilkołaka, na miarę najstarszych, najsilniejszych członków watahy Marroka, może nawet na miarę Marroka. Bardzo liczyłam, że to prawda. Miałam nadzieję, że Sherwood jest najpotężniejszym, największym wojownikiem wszech czasów. Bo wtedy może, nawet gdyby był o wiele, wiele silniejszy od Adama, zdołałby pokonać go, nie zabijając.

Adam walczył nadzwyczajnie, a nie sądził, żeby udało mu się zwyciężyć Sherwooda Posta, z którym łączyła go obecnie więź stadna. Pierwszy raz w życiu nie chciałam ufać jego osądowi.

– Jeśli chcesz mojej watahy, powiedz mi o tym wprost. Nie zmieni to tego, jak zaciekle będę o nią walczył, ale... ale może zmieni decyzje, jakie będę podejmował podczas pojedynku.

Zack przechylił się nad stołem i położył mi rękę na przedramieniu, mimo że z całą pewnością... chyba... nie wydałam z siebie żadnego dźwięku.

Co stało się z moim uporządkowanym życiem, w którym najbardziej ryzykownym działaniem, jakie podejmowałam, było klepanie młotkiem po starej karoserii?

Palce Adama mocno zaciskające się na mojej dłoni dobitnie przypomniały mi, co stało się z tym bezpiecznym, wygodnym życiem.

Było warto, pomyślałam, zaciągając się jego wyrazistym zapachem. Każdy siniak, każdy moment grozy, wszystko było warte tego, żeby być towarzyszką Adama Hauptmana. Nawet jeśli dzisiaj się to skończy.

Adam był wart absolutnie wszystkiego.

– A jeśli... – zaczął Zack bez tchu i urwał, jakby miał problem z ubraniem czegoś niezwykle trudnego w słowa.

Ze zdziwieniem stwierdziłam, że nie wygląda na zmartwionego czy zdenerwowanego, co byłoby naturalne w tej sytuacji. Na jego twarzy rysowało się coś w rodzaju olśnienia.

Nie zdjął ręki z mojego ramienia, ale obrócił się do mnie bokiem, żeby patrzeć w twarz Sherwooda.

– Jeśli...? – ponagliłam go niecierpliwie.

Ku memu jeszcze większemu zaskoczeniu Zack obdarzył mnie promiennym uśmiechem. Puścił mnie i usiadł prosto.

– A jeśli wszystko zostałooby po staremu?

Wpatrywaliśmy się w niego, nic nie rozumiejąc.

Jeśli chodzi o kwestię tego, kto jest Alfą, nie ma w niej miejsca na życzenia i widzimisię. Najmniejsza wątpliwość co do wydolności czy przydatności przywódcy sprawia, że wataha staje się groźna. Nie dla innych, ale dla siebie i sojuszników.

Warren jest bardziej dominujący od Darryla, podsunął mi mój buntowniczy mózg. A Darryl pozostaje Drugim, ponieważ właśnie tego życzy sobie Warren. Oczywiście sytuacja nie przystawała w najmniejszym stopniu do tego, z czym mieliśmy do czynienia. Ani Darryl, ani Warren nie byli Alfami.

– Dobrze wiesz, że to tak nie działa – odezwał się Adam. Zwracał się do Zacka, choć równie dobrze mógł odpowiadać moim myślom. A ponieważ uległy wilk był kruchy i delikatny, jak każdy wilkołak robił to bardzo, bardzo łagodnym tonem.

Na to Zack odwrócił się do Sherwooda i popatrzył mu prosto w oczy.

Uległe wilki z zasady tak się nie zachowują.

Aż sprawdziłam, czy Sherwood nie uznał tego za obrazę, i nagle wszystkie małe kawałki wychwytywane przez moją podświadomość wypłynęły na wierzch, łącząc się w pełny obraz. I ujrzałam to, co zobaczył Zack.

Sherwood odpowiedział Zackowi czułym, acz poirytowanym spojrzeniem. Kiedyś ktoś patrzył na mnie dokładnie tak samo.

– Jesteś Cornickiem! – wydukałam zszokowana. – Wszędzie poznałabym tę minę. Samuel tak na mnie patrzył, jak wygrywałam z nim w szachy!

---

1 William Szekspir, „Ryszard III” w tłum. Józefa Szujskiego.



## Rozdział 3

**W**iedziałałam... BYŁAM PEWNA! Ale i tak czekałam na potwierdzenie z ust Sherwooda, na wszelki wypadek.

Adam na moment przestał oddychać, zeszywniał i napiął się jak naciągnięta cięciwa. Teraz kiedy powiedziałam to na głos, on również ujrzał prawdę.

Bran Cornick, Marrok, wyglądał przeważnie jak student, choć był najpotężniejszym wilkołakiem w Ameryce Północnej, a prawdopodobnie też na świecie. Jego pierworodny, Samuel, odziedziczył po nim kolor włosów, ale był ze dwadzieścia centymetrów wyższy i jakieś dwadzieścia pięć kilogramów cięższy od ojca. Z kolei młodszy syn, Charles, bardziej przypominał matkę, rdzenną Amerykankę, niż ojca.

Dopiero gdy widziało się ich razem, zauważało się rodzinne podobieństwo całej trójki. Nie rzucało się w oczy – polegało raczej na sposobie poruszania się, mimice – ale nie dało mu się zaprzeczyć. Sherwood był do nich bardziej podobny niż oni do siebie.

Problem w tym, że nie wiedziałam o istnieniu żadnego innego Cornicka poza Branem, Samuelem i Charlesem. Rodzice Brana nie żyli, a dzieci miał tylko dwójkę. Samuel nie miał potomstwa, a Charles? W sumie brakowało mi wiedzy na ten temat, ale nawet jeśli, to przecież był w połowie Saliszem, a Sherwood nie wykazywał cech typowych dla wyglądu rdzennych Amerykanów. Poza tym Charles miał około dwustu lat, a według Adama Sherwood należał do bardzo, bardzo starych wilków.

– Wygrałaś z Samuelem w szachy? – zdumiał się Sherwood, nie odnosząc się, co zanotowałam, do rewelacji Cornickowej.

– Czasem mi się zdarza – przytaknęłam. Czasem, czyli dwa razy.

– Cornick – powtórzył Adam i tylko ktoś, kto dobrze go znał, wychwyciłby cień ulgi w jego głosie.

– To coś zmienia? – zapytałam pewna, że tak, tylko nie wiedziałam, w jaki sposób.

– Jeśli naprawdę jest Cornickiem, to owszem.

Sherwood na wpół przymknął oczy. Wypisz wymaluj mina Charlesa! Gdyby Charles robił miny...

– Jeśli jestem?

– Och, to dopiero będzie rozczarowanie wśród obstawiających – wtrąciłam, żeby dać Adamowi trochę czasu do namysłu. – Powiedziałabym, że masowe. Za to Ben oszaleje ze szczęścia.

Sama nie do końca rozumiałam, dlaczego tak mi ulżyło na myśl, że Sherwood jest Cornickiem, a nie krewnym któregoś z postaci wpisanych do tabeli zakładów. Oczywiście zakładając, że pokrewieństwo z Branem wykluczało, że Sherwood był Merlinem, Królem Likaonem czy Bestią z Gévaudan (przy którego okienku ktoś wpisał wołami: „On już nie żyje, kretyni!"). Problem z dominacją Sherwooda nie zniknął przecież z odkryciem jego pokrewieństwa z Marrokiem. To nie ulegało

wątpliwości. Najwyraźniej jednak znajomość faktów nie przekładała się bezpośrednio na moje uczucia.

– Ben obstawiał, że Sherwood jest Cornickiem? – zdziwił się Adam.

– Obstawiał, że jest „Branowym przydupasem” – sprecyzowałam.

– Nie jestem niczym przydupasem – obruszył się Sherwood, a jego warknięcie tak przypominało ton urażonego Brana, że nie mogłam uwierzyć, jakim cudem nie zauważyłam wcześniej ich podobieństwa.

Zaraz, zaraz. No właśnie, jakim cudem...?

Przecież walczyliśmy ramię w ramię. Połączyła nas więź, jaka może połączyć tylko dwoje ludzi siedzących pod samym niebem na szczycie skonstruowanego do budowy elektrowni jądrowej w Japonii dźwigu, z którego roztaczał się niezapomniany widok na rzekę Kolumbię i którego to widoku miałam nadzieję nigdy już nie oglądać.

Magia.

Gdybym miała wysłać w świat wilka cierpiącego na amnezję, wilka na tyle starego i potężnego, że zdążył sobie zdobyć armię wrogów groźnych proporcjonalnie do własnych możliwości, dopilnowałabym, żeby nikt z miejsca nie domyślił się, kim jest.

Magia stada to magia łowów, doskonała do kamuflowania się i tłumienia dźwięków niezbędnych przy podchodzeniu zwierzyny. Nie przypuszczałam, że da się dzięki niej zamaskować przed innymi wilkami wygląd jednego z nich, ale przecież Bran to Bran. Ucieszyłam się, że potrafił wykorzystać magię stada, żeby ukryć Sherwooda na widoku, sprawić, że nikt nie dojrzał jego prawdziwego oblicza. Że wydawał się mniej rzeczywisty.

Bran zapewnił Sherwoodowi osłonę, by chronić go przed wrogiem, nawet gdy nie mógł robić tego bezpośrednio. Użył magii, która rozpuściła się dzisiaj w salach gospody Zielonego

Luda. I znów przypomniałam sobie to dziwne spojrzenie Wujka Mike'a zamykającego drzwi. Rzucił mi je celowo czy może zauważyłam je przez przypadek?

Co więcej, biorąc pod uwagę, że nikt nigdy nie wspomniał nic o Sherwoodzie, wywnioskowałam, że Bran nie stworzył jego magicznej osłony tylko na potrzeby przenosin do naszej watahy. Oczywiście kilka starych wilków mogłoby dochować tajemnicy co do tożsamości Sherwooda, ale inni? Przecież każdy wilk znający Brana domyśliłby się prawdy na widok Sherwooda. Co oznaczało, że Marrok musiał osłonić Sherwooda natychmiast po tym, gdy ten odzyskał ludzką postać, bo nie wiem, jak inaczej Bran zdołałby utrzymać to w takim sekrecie.

– Nie, nie przydupas – zgodził się Zack, wyrywając mnie z galopady myśli. Wyraz uniesienia nie zniknął z jego twarzy. Przypominał akolitę, który spotkał świętego... albo nastolatka na widok idola muzyki. – Prawa ręka. Załatwiacz – dodał nabożnym szeptem, uśmiechając się błogo. – Słyszałem opowieści...

– Wydaje ci się, że wiesz, kim jestem – stwierdził Sherwood.

Zack już miał przytaknąć, ale po zastanowieniu pokręcił przecząco głową.

– Nie. To znaczy może. Może nie teraz. Ale wiem, kim byłeś. Opowiadała mi o tym wilczyca, która żyła w tamtych czasach w Nortumbrii. A najdziwniejsze, co powiedziała, to że nie miałaś żadnego problemu, żeby podporządkować się na parę lat Alfie zdecydowanie słabszemu od Adama.

Popatrzyłam pytająco na Adama, ale pokręcił głową. Również nie wiedział, o czym mówi Zack. Jednak w przeciwieństwie do mnie i Adama Zack miał powody, by wierzyć, że prawdziwa tożsamość Sherwooda daje nam bezkrwawą opcję rozwiązania naszego kłopotu. Skoro bowiem Sherwood potrafił żyć w watasze, na której czele stał mniej od niego dominujący osobnik, mógł zrobić to jeszcze raz.



– Nortumbria to było sześć stuleci temu. A poza tym w twoim wieku nie powinieneś już wierzyć w takie bajania – warknął Sherwood.

Zack, który nadal wzdrygał się przy każdym głośniejszym warknięciu innego wilka, radośnie uśmiechnął się do Sherwooda.

– W każdej opowieści tkwi ziarnko prawdy – oświadczył niestropiony. – A moja przyjaciółka nie jest... – posmutniał – nie była osobą skłoną do przesady.

– Cornick – powtórzył znowu Adam. – Jeśli jesteś Cornickiem, to może uda się nam rozwikłać nasz dylemat inaczej.

Sherwood potoczył po nas wzrokiem i pokręcił głową z miną, która jak dla mnie wyrażała zgrozę.

– Bran Cornick zostawił was samych sobie – wytknął. – A nawet gdyby nie, to ja nie jestem nim. A wy jesteście tacy... – Urwał, wyraźnie szukając odpowiedniego słowa.

– Ufni? – poddałam.

– Pełni nadziei? – podsunął Zack.

– Nie posunę się do „dobrodusznych” – dodał Adam z rozbawieniem. – Ale owszem.

Sherwood uniósł ręce w geście rozpacz.

– To, że jestem Cornickiem, nie oznacza, że jestem wszechmocny i magiczny. Uwierzcie, to naprawdę nie rozwiązuje wszystkich problemów.

– Może i nie wszystkie – zgodziłam się z łatwością. – Ale ten konkretny owszem. Nie istnieje Cornick, który nie potrafi obrócić najtrudniejszego położenia na swoją korzyść. – Była to święta prawda. Każdy z nich, nawet Samuel, był skupiony i nieustępliwy. – A śmierć Adama nie przyniesie ci żadnych korzyści.

Na moment zapadła cisza.

– Masz rację – przyznał wreszcie Sherwood i spojrzał na Adama. – Choć nie wiem, skąd to przeświadczenie, że dałbym

radę cię zabić. Bran najwyraźniej tak nie uważał, skoro mnie tu przysłał.

– Wiem, czym jesteś – stwierdził Adam.

– A ja wiem, czy... – Urwał w pół słowa, a jego źrenice rozszerzyły się nagle tak mocno, że okalał je tylko cienki pierścień wilczej żółci. – Magia! – wydusił chrapliwie, wstając tak gwałtownie, że pchnięte krzesło huknęło na podłogę.

Uprowadził Adama jedynie o ułamek sekundy, a kiedy zerwał się Zack, nawet nie zauważyłam. Przez długą chwilę staliśmy, zaalarmowani reakcją Sherwooda, lecz żadne z nas nic więcej nie zrobiło. Nie czułam żadnego obcego zapachu poza tym należącym do Wujka Mike'a, ale ufałam zmysłom Sherwooda.

Nic się nie działo.

Przy wyostrzonych przez adrenalinę zmysłach tykanie zegara stojącego na kominku brzmiało irytująco głośno. Zack zrobił wydech przez zęby, ale poza nim wszyscy pozostali napięci i czujni.

– Przy kominku – powiedział Adam, wpatrując się intensywnie w tę stronę.

Wyteńczyłam wzrok, jednak nie zobaczyłam tam niczego szczególnego.

Wielkie palenisko, zajmujące większość przeciwległej do drzwi ściany, znajdowało się kilka metrów od nas. Szary kamień wokół poczerniał od sadzy aż po sufit. Kominek wyglądał na bardzo stary, jakby ogrzewał tę salę od wieków, a przecież wiedziałam, że pub znajdował się w budynku postawionym w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku.

Nabrałam powietrza, żeby zapytać Adama, o co mu chodzi, i wyniuchałam znajomy zapach.

– Siarka – powiedział Zack.

– Płonący kamień – mruknęłam, odnosząc się do formy siarki wykorzystywanej w magii i alchemii. Substancja była ta sama, różniła się tylko zawartością magii.

Płonący kamień oznaczał wiedźmy. Oczywiście jak zawsze miałam przy sobie mój kordelas, prezent od watahy, jednak nie chciałam za nic w świecie podchodzić na tyle blisko żadnych wiedźm, by go użyć, dlatego dobytek pistoletu. Ujęłam colta oburącz i na razie skierowałam wylot lufy do dołu. Starłam się opanować drżenie dłoni i odkryłam, że trudno mi się oddycha.

Nie byłam gotowa ponownie stawić czoła wiedźmom.

Już nie każdej nocy miewałam koszmary, ale czasem jeszcze, żeby spokojnie zasnąć, musiałam jechać nocą do miejsca, gdzie stały zgliszcza domu Elizawieety i gdzie zginęły wiedźmy. W ostatni piątek przy podjeździe stanął znak „na sprzedaż”. Zastanawiałam się nawet, czy mam moralny obowiązek powiedzieć ewentualnym zainteresowanym kupnem, ile szczątków – w tym ludzkich – znajduje się na tej posesji. Nie miałam wątpliwości, że tych pogrzebanych przez Zee nikt nigdy nie znajdzie, ale podejrzewałam, że wiedźmy nie przyłożyły się aż tak dobrze do pochówków swych ofiar.

Adam również stał z bronią w ręku. Nawet nie zarejestrowałam, kiedy ją wyciągnął. Zack trzymał w pogotowiu nóż o ostrzu długości swojego przedramienia. Sherwood nie był uzbrojony, ale wilkołak nigdy nie jest bezbronny. W końcu dostrzegłam to, co zauważył Adam: ruch powietrza nad zimnymi resztkami wypalonego drewna.

– Czuję dym – stwierdził Zack. – Tyle że nic się nie pali.

Mogliśmy rzucić się w stronę kominka, ale Adam czekał, więc my również staliśmy przy nim, zupełnie jakbyśmy byli drużyną, a on naszym Alfą. Czułam, jak magia stada budzi się i otacza nas, przygotowując do walki. Czułam, że Sherwood jest na swoim zwykłym miejscu. Więź również uznawała Adama za Alfę.

Z otworu paleniska zaczął wysączać się czarny dym. Spływał i gromadził się nad podłogą, jakby był cięższy od powietrza. Chmura kotłowała się i zmieniała kształt, jakby pod wpływem

ruchów powietrza, ale stopniowo zaczęła układać się w nierówny krąg przed kominkiem. W miarę jak dymu napływało więcej, skłębiona czerń unosiła się wyżej, tworząc mniej więcej cylindryczny kształt, sięgający aż do masywnego gzymsu nad kominkiem.

Potem z dymu wyłoniła się kobieta.

Spowita od stóp do głów w czerń w odcieniu smolistego dymu. Musiało być w tym coś magicznego, ponieważ w pierwszej chwili wydawało mi się, że widzę wiktoriańską wdowę suknię i koronkowy welon spływający z kapelusza przystrojonego piórem, ale gdy zamrugałam, strój znów przeobraził się w dymny całun, udrapowany niczym kruczy aksamit, a strusie pióro rozwiało się w nicość.

Gryząca woń płonącego kamienia przytępiła mi węch, a dym tworzył nieostre krawędzie, nie wiedziałam więc, z kim mamy do czynienia, dopóki postać dłońmi obleczonymi w koronkowe rękawiczki – lub poszarpanym na wzór koronki dymem – nie uniosła woalki, odsłaniając twarz Marsilii, Pani lokalnej wampirzej chmary.

Wyglądała inaczej niż zwykle. Miała zamknięte oczy i złote włosy zasnutę dymną zasłoną. Doskonała twarz wydawała się bardziej jak odlana z porcelany niż cielesna, kontrastując jasnością z otaczającą ją czernią. Jasne łuki brwiowe zlewały się z bielą cery i łączyły z wysokimi kośćmi policzkowymi wokół zamkniętych oczu. Choć nigdy nie zwracałam uwagi na makijaż, przeszło mi przez głowę, że Marsilia zazwyczaj przyciemnia brwi i rzęsy. Po prostu efekt tej bladości był tak zaskakujący i dawał wrażenie tak odmienne od tego, jakie Marsilia zwykle robiła. Dostrzegłam również coś ciemniejszego tuż pod jej żuchwą, jakiś ślad. Może ranę? Jednak zanim się przyjrzałam, dym znów okolił jej szyję. Ta bladość twarzy i wirująca wokół niej ciemność kojarzyły się z maską pośmiertną.

W tym wydaniu Marsilia wyglądała niezwykle bezbronne.

A ten stan był jej całkiem obcy. Tak samo niepodobne było do niej to melodramatyczne entré. Marsilia lubiła dramatyzm, owszem, ale w tym wypadku pełna grozy otoczka wydawała się nie mieć sensu. Przecież znaliśmy ją, wiedzieliśmy, że jest niebezpieczna, więc po co ten dym i siarka?

Zakaszlałam, żeby oczyścić gardło i opanować skutki uderzenia adrenaliny. W końcu nie miałam powodów do strachu.

Marsilia była naszym sprzymierzeńcem. I nie była wiedźmą. Owszem, budziła przerażenie, owszem, nie znosiła mnie, ale chwilowo nie prześladowała mnie w koszmarach. A mimo to, patrząc na tę bladą twarz o doskonałych rysach, postanowiłam nie chować broni. Ta dziwna oprawa nagłego pojawienia się w pubie napawała mnie niepokojem.

Marsilia była starym wampirem, a stare wampiry, jak w zasadzie większość starych istot nadnaturalnych, gromadziły w ciągu długiego życia umiejętności i okruchy magii. Marsilia potrafiła się teleportować. Nie wiedziałam jednak, że umie robić to w taki dymny sposób, i zastanawiało mnie, czemu wybrała właśnie ten. Przecież jeśli chciała wyrzucić wrażenie grozy, samo nagłe przeniesienie się tutaj z powodzeniem wyczerpywało temat upiorności.

A może ona również zorientowała się, kim jest Sherwood, i dała ten pokaz na jego konto? A może wiedziała to od dawna i tylko czekała, aż my to odkryjemy?

Przez trzy sekundy Marsilia stała nieruchomo z zamkniętymi oczyma. Adam się nie odzywał, więc my też. Fakt, że to Pani Chmary, powinien go uspokoić, ponieważ darzyli się sympatią, lecz tak się nie stało.

Wampirzyca, nie otwierając oczu, opuściła dymną woalę i dopiero tak zasłoniętą twarz zwróciła ku nam. Ujrzałam

prześwit w miejscu, gdzie powinny się znajdować jej oczy. Był czerwony.

– Gdzie mój Wulfe? – zapytała.

W pierwszym momencie pomyślałam, że w nurcie tej swojej dziwności wtrąca obcojęzyczne słowa i mówiąc „Wulfe”, ma na myśli wilka, a przecież żaden z członków naszej watahy nie należał do niej. Potem dotarło do mnie bardziej oczywiste wyjaśnienie – miała na myśli swojego wice, Wulfe’a.

Wulfe był bardzo starym wampirem, starszym od Marsilii. Pochodził z rodu wiedźm, a jednocześnie był magiem, co oznaczało, że posiada dwa odrębne rodzaje mocy, do których dołożyły się te nabyte przez wiele wieków wampiryzmu. Na dodatek był całkiem szalony. Ta kombinacja magii i nieprzewidywalności czyniła z niego najbardziej przerażającego wampira, jakiego znałam – a poznałam Iacopa Bonarató, władcę wampirycznej Europy.

Jakby tego było mało, Wulfe ostatnio mnie nachodził i w ogóle prześladował.

– A skąd niby mamy wiedzieć? Przecież to twój wampir. – Moje słowa i ton wypadły kontrastowo normalnie wobec tego dziwnego teatru. – Nie widziałam go od czwartku.

Myślałam spokojnie naczynia, a kiedy podniosłam wzrok, nagle zobaczyłam Wulfe’a, wgapionego we mnie za szybą. Zaskoczona, upuściłam na krawędź zlewu naczynie żaroodporne, a kiedy znów spojrzałam znad kataklizmu ostrych odłamków szkła zatopionych w brudnej wodzie, już go nie było. Od tamtej pory go nie widziałam. W sensie nie widziałam jego osoby, bo ślad obecności owszem.

Dwa dni później znalazłam na naszym łóżku prezent od Wulfe’a. Bardzo długi pas z zielonego jedwabiu haftowanego w feniksy. Każde siedem stworów dzieliło wyszyte słowo *Ardeo*.

Przedmiot był stary, bardzo stary.

Google przetłumaczył słowo jako łacińskie, oznaczało: „Płonę”. Założyłam, że napis ma podtekst erotyczny, a nie, że wyraża chęć obrócenia się w popiół. Pas raczej nie był magiczny, nie posiadał takiej aury jak artefakty pradawnych. No, ale skoro zostawił go Wulfe, to w sumie nie mogłam mieć pewności.

Na razie schowałam szarfę w naszym sejfie na broń do czasu, aż wymyślę, co z nią zrobić.

Bardziej od samego przedmiotu niepokoiło mnie to, jakim sposobem znalazł się w naszej sypialni. Adamowi na razie nie udało się ustalić, jak Wulfe zdołał wejść do naszego domu niezauważony.

Choć to prawda, że wampiry (jako jedne z nielicznych nadnaturalnych istot) nie mogą wejść do domu bez zaproszenia, Wulfe został do naszego wniesiony w stanie nieprzytomności, ponieważ wszyscy byliśmy zbyt zmęczeni i poobijani, żeby wymyślić lepsze wyjście z sytuacji.

Ale nawet jeśli, w końcu w naszym domu było pełno wilkołaków i wampir nie powinien móc szwendać się po nim niezauważony. A już na pewno nie powinien móc wylegiwać się na naszym łóżku, o czym świadczyła wyjęta spod kapy – prawdopodobnie celowo i równie rozmyślnie pozostawiona na widoku – wgnieciona poduszka Adama. Wyglądało to tak, jakby Wulfe leżał przez jakiś czas obok swojego pasa.

Po raz drugi zdarzyło się, że Wulfe zakradł się do naszej sypialni niewidziany przez nikogo. Za pierwszym zostawił liścik z ponaklejanymi serduszkami w stylu kartki walentynkowej od przedszkolaka.

Właśnie wtedy poprosiłam Joela i jego żonę, żeby przeprowadzili się z powrotem do siebie i zabrali ze sobą Aideną – naszego obdarzonego mocą ognia chłopca-ratownika – w razie gdyby Joel miał problemy z opanowaniem tibicena.

– To przez Wulfe’a? – zapytał Joel.

– Nie podoba mi się, że Wulfe traktuje Aidenę jako zagrożenie – powiedziałam wprost. Nie wspomniałam, że boję się również o samego Joela, bo uznałam to za nieprzydatny argument.

Joel zapakował żonę i Aidenę i wyprowadzili się, w efekcie czego w domu zostaliśmy we trójkę z Adamem i jego córką, Jesse. Byłam przekonana, że Wulfe postrzegał Jesse jako element nieistotny w naszym dziwacznym tańcu-prześladowańcu, więc obecnie jedynie ja i Adam stanowiliśmy dla niego wyzwanie.

Jednakże nie zamierzałam opowiadać Marsilii o tym wszystkim. Przede wszystkim dlatego, że nie chciałam się przyznawać, że Wulfe może sobie ot tak, kiedy zechce, wchodzić do naszego domu i wychodzić z niego. Głupio byłoby podawać na tacy taką informację wrogowi. Nawet jeśli był sojusznikiem. Czyli wrogusznikiem.

– Widziałaś go – zwróciła się do mnie Marsilia. – Wszyscy wiedzą, że Wulfe wziął na cel towarzyszkę Alfę watahy dorzecza Kolumbii.

Używała formalnych zwrotów oficjalnym tonem. Przemawiała do mnie Pani Chmary i w moich uszach brzmiało to jak groźba. Choć nie wiedziałam do końca, co to za groźba.

Marsilia jeszcze przez chwilę patrzyła na mnie, lecz nie zamierzałam odpowiadać, zanim nie dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi. Teraz byłam pewna, że za dymną zasłoną mignęła czerwień. Widziałam już wampiry o błyszczących w ten sposób oczach – oznaczało to, że są bardzo, bardzo głodne. Tym bardziej się cieszyłam, że dzieli nas długość sali.

Ciekawa byłam, czy czarny woal ma ukryć oczy Marsilii przed nami, czy chronić nas przed jej wzrokiem. Ja posiadałam odporność na wampirzą magię, ale Adam i Zack nie. Nie wiedziałam, jak jest w przypadku Sherwooda. Raz Samuel



znalazł się pod władzą spojrzenia Marsilii, nie dało się więc wykluczyć, że Sherwood też jest podatny na jej moc.

Marsilia zrobiła krok w naszym kierunku, ciągnąc za sobą dym niczym ślubny tren.

– Panował między nami pokój – rzekła.

– Tak – zgodził się Adam, dostosowując swój ton do tego, który narzuciła. Mówił teraz z pozycji Alfego.

– Połączyliśmy siły, aby bronić tego terytorium przed innymi drapieżnikami – powiedziała.

– Owszem – przytaknął Adam.

W sytuacjach konfrontacyjnych lub bliskich takim istoty nadnaturalne miały zwyczaj przywoływać fakty. Według mnie robiły to, aby wszystko było całkowicie jasne i w razie gdyby ktoś w takich okolicznościach zginął, nie stałoby się to w wyniku nieporozumienia.

– Wszem wobec wiadomo, iż Wulfe częstokroć witał w wasze progi.

Dobór słów był nietypowy, archaiczny. Marsilia, podobnie jak mój przyjaciel Stefan, również stary wampir pochodzący z Włoch, mówiła normalnie – owszem, z akcentem, ale nowoczesnym amerykańskim językiem.

– Tak, prześladowałam mnie, jeśli to masz na myśli – doprecyzowałam sucho.

– A teraz zniknął – ciągnęła Marsilia. – Niektórzy twierdzą, że nie żyje, a jego śmierć spada na głowę watahy. Adamie Hauptman, jeśli utrzymanie naszego sojuszu leży ci na sercu, odnajdź mego Wulfe'a i dowiedz, że nie jest on martwy.

Może i przywołała imię Adama, jednak włoski na moim karku miał pewność, że patrzy na mnie, nawet jeśli wolał skrywać prawie całkiem jej twarz.

– Wulfe to wampir – przemówił Sherwood. – Jest martwy od dawna.

Tymi słowami przekierował uwagę Marsilii na siebie. Odwróciła ku niemu zawoalowane oblicze i przechyliła głowę na bok, bardziej typowo dla wilkołaka niż wampira. Nie miałam pojęcia, jak zinterpretować ten gest. Może rozpoznała Sherwooda, teraz gdy nie skrywała go już subtelna magia Brana?

Przyglądała mu się jednak przez mgnienie, bo zaraz odwróciła twarz prosto na Adama, który napiął się pod jej wzrokiem, mimo że spojrzenie nie przebijało dymnej zasłony.

Złapałam Adama za rękę, trzymając teraz broń tylko w lewej. Potrafiłam strzelać z lewej, choć nie tak celnie jak z prawej czy oburącz. Jednak czasem udawało mi się za pomocą kontaktu fizycznego rozciągnąć moją odporność na wampirzą magię na drugą osobę. A ochrona Adama przed wpływem Marsilii była chwilowo ważniejsza niż to, czy zdołam trafić w stojącego słonia, czy nie.

Adam warknął nisko i zamknął palce wokół mojej dłoni.

Zdawało się, że Marsilia tego nie zauważa.

– Jeśli nie odnajdziecie Wulfe’a, wszyscy dowiedzą się, co mu się stało. – W głosie Marsilii zabrzmiało znużenie. A kolejne zdania wypowiedziała szybciej, zwyczajniej, choć dobór słów nadal był nietypowy. – Dowiedzą się, jak niweczycie swoich sojuszników. Tych, którzy na was polegają. Między waszą watahą i wampirami rozgorzeje wojna.

Zniknęła w kłębach dymu i oparach siarki z nagłością już bardziej dla niej typową. Prawie w tej samej chwili Wujek Mike otworzył drzwi i wszedł do sali, węsząc jak owczarek wyczuwający zbliżające się drapieżniki. Wydawało mi się, że dojrzałam błysk ostrza w jego dłoni, ale stał tak, że nie widziałam dokładnie jego ręki, a kiedy się odwrócił, była pusta.

– Wybacz, Adamie – powiedział. – Nie sądziłem, że jakiś wróg zdoła przedrzeć się przez osłony, którymi zabezpieczyłem moje ognisko domowe.

– Marsilia nie jest naszym wrogiem – odparł Adam zamyślony i schował broń. – W każdym razie jeszcze nim nie jest.



Po naszym wyjściu Wujek Mike zamknął pub, zgasił wielki, nowy neon oraz oświetlenie zewnętrzne. Parking dla pracowników znajdował się na tyłach budynku, więc na placu od frontu stały tylko nasze samochody. Sprawdziłam godzinę na komórce – owszem, było aż tak późno.

Nie rozmawialiśmy o spotkaniu z Marsilią. Nadal znajdowaliśmy się na ziemi Wujka Mike’a, więc każde nasze słowo mogło zostać usłyszane. Adam nie opowiadał mi o wizycie Marsilii ze szczegółami, wyjaśnił tylko, że przekazała nam wiadomość. Jeśli okaże się, że wiadomość ta ma dalej idące implikacje, dopiero wtedy miał porozmawiać o nich z Wujkiem Mikiem.

Sam Wujek Mike nie naciskał, nie wypytywał.

Sherwood zaparkował najbliżej drzwi, a ponieważ kiedy dotarliśmy z Adamem do pubu, parking był zatłoczony, postawiliśmy samochód na skraju placu, gdzie światła prawie nie sięgały. Czarny SUV wtapiał się w mrok. Rdzawoczerwony subaru outback nieopodal był zapewne prezentem Warrena.

Byliśmy już prawie przy naszych samochodach, kiedy Sherwood zawołał Adama.

Wszyscy obejrzeliśmy się w jego stronę.

Sherwood stał z jedną ręką opartą o dach auta, drugą o otwarte drzwi i spoglądał przez ramię na wejście do pubu.

– Wiem, kim i czym byłem – powiedział ciężko. – Ale nadal mam luki w pamięci. Zack generalnie ma rację co do tych dwóch lat, które wydarzyły się sześć wieków temu w Nortumbrii. Byłem wtedy Drugim w watasze pod

przewodnictwem Alfy słabszego nawet od Warrena. Nie pamiętam jednak, dlaczego pozostanie na tej pozycji było takie istotne ani jak udało mi się tego dokonać.

Po pobliskich torach przetoczył się pociąg.

– Czyli to wykonalne – powiedział Adam. – Byłbyś gotów spróbować?

– To, to wykonalne – potwierdził Sherwood i uśmiechnął się półgębkiem. – Nie chcę walczyć z tobą o przywództwo. Nie jestem przekonany o swoim zwycięstwie, ale przypuszczam, że obaj odnieśliśmy rany, a może nawet zniszczylibyśmy watahę. Zobaczą, co się da zrobić. A tymczasem powinieneś trzymać ode mnie z daleka Darryla i Warrena, bo wataha uznaje mnie za czwartego mężczyznę w hierarchii i chwilowo niech tak uważają.

Odkąd do nas przystał, systematycznie wspinał się po drabinie pozycji, choć bez przemocy. Jako stary wilk powinien być wyznawcą tradycjonalizmu, ale dodał „mężczyznę” do swojej wypowiedzi, co oznaczało, że uznaje również stanowisko kobiet w hierarchii watahy, choć zdaje sobie sprawę, że jest to skomplikowana kwestia, właśnie ze względu na tradycję i rzeczywistość.

– Dobrze – zgodził się Adam.

– Problem zaistnieje tylko wtedy, gdy Darryl, Warren i ja będziemy znajdować się przez dłuższy czas w jednym pomieszczeniu. W obecnej sytuacji zmiany w organizacji stada bez dobrego powodu to kiepski pomysł.

Wymienili z Adamem zrezygnowane spojrzenia. Stabilność w watasze była krytyczna dla jej przetrwania. Porządek i równowaga pomagały poszczególnym członkom skupić się na kontrolowaniu bestii. Chwiejność i niepewność mogła skutkować katastrofą, z ofiarami w ludziach włącznie. Coś takiego budziło lęk w społeczeństwie, a przerażeni ludzie

sięgali po widły – czyli, w naszych czasach, po bardziej śmiertelnością broń. Taką, od której ginęły nawet wilkołaki.

Stabilność w naszym stadzie była jeszcze ważniejsza niż w innych ze względu na presję, pod jaką żyliśmy. Dlatego właśnie Sherwooda należało trzymać z dala od Darryla i Warrena – niepewność co do miejsca w hierarchii mogła wywołać przemoc.

– Ale mnie nie musisz unikać? – zapytał Adam.

Sherwood zastanowił się nad odpowiedzią i w końcu pokręcił przecząco głową.

– Wiesz, wydaje mi się, że nasza dzisiejsza rozmowa wiele zmieniła. – Sherwood spojrzał na mnie spod zmarszczonych brwi. – Rozmowa albo coś innego. – Zwinął rękę w pięść i przyłożył ją do piersi. – Bestia jest skłonna zaczekać na właściwy moment. Myślę, że możemy bezpiecznie współpracować. Na razie.

Wsiadł do samochodu i odjechał, odprowadzany przez nas wzrokiem. Dopiero gdy tylne światła jego wozu zniknęły nam z oczu, Zack wyjął pilota i odblokował zamki w subaru.

Adam przytrzymał drzwiczki kierowcy, zanim Zack je zatrzasnął.

– Czy jest coś, co wiesz o Sherwoodzie, o czym i ja powinienem wiedzieć?

– Powszechnie uważa się, że tym wilkiem w Nortumbrii był Samuel, ale on jest białym wilkiem, a ten z opowieści mojej przyjaciółki był szary.

Adam skinął głową, choć Zack nie odpowiedział na jego pytanie.

– Co tam się działo? – zaciekawiałam się. – Nie znam tej historii.

– Pewien człowiek zawarł pakt z demonem, ale udało mu się zachować kontrolę nad demonem znacznie dłużej niż innym czarnoksiężnikom. Uważnie dobierał swoje ofiary. Zazwyczaj

były to prostytutki, chorzy, najubożsi, wszyscy, których zniknięcia nie budziły niepokoju. Działał niezauważony przez długi czas, trochę pod sto lat, dopóki moja przyjaciółka go nie odkryła.

– Cały wiek? – zdziwiłam się. – Ten czarnoksiężnik był wilkołakiem?

Zack pokręcił przecząco głową.

– Ukrył się w klasztorze, przez co trudno go było znaleźć. Szczególnie że karmił demona dość rzadko. – Skrzywił się ironicznie. – Mnisi z tego zakonu najwyraźniej ćwiczyli kontrolę ciała poprzez duchowe praktyki. Nie był wśród nich nikim ważnym. Nie pożył władzy ani bogactwa. Pragnął długowieczności, nawet nieśmiertelności, a demon chronił go przed śmiercią. Lepiej dla niego, gdyby przemienił się w wilkołaka – uśmiechnął się Zack cierpko. – Człowiek, który ponad wiek jest w stanie kontrolować demona, byłby dobrym wilkołakiem.

– Nikt na niego nie polował, bo się nie wychylał – domyślił się Adam.

– Działo się tak przez długi czas, ale w końcu zaczął mordować brutalniej, bardziej jawnie, a zabici przez niego ludzie wyglądali na ofiary drapieżnika.

– Wrabiał watahę? – odgadłam.

– Albo tracił kontrolę – powiedział Adam.

Zack przekrzywił głowę w stronę Adama.

– Tak właśnie uważano. – Popatrzył na mnie. – Teraz czarnoksiężnicy to rzadkość. Niewielu już ludzi w tych czasach wierzy w demony.

– Natknęliśmy się na jednego czarnoksiężnika – przypomniał Adam. – Dwa lata temu, jeszcze zanim do nas dołączyłeś. Był wampirem.

Zackowi aż zaokrągliły się oczy.

– Niezłe kombo.

– Poradziliśmy sobie z nim. Nawet Marrok pojawił się w razie, gdybyśmy potrzebowali pomocy.

– W tamtych czasach nie mieli kogoś takiego jak Marrok – powiedział Zack i uśmiechnął się. – Chociaż... W końcu Sherwood przyszedł im z pomocą. Po prostu nie myśleli o tym kimś w ten sposób. Przyjaciółka mówiła, że miała Sherwooda za zwyczajnego wilka, który na jakiś czas przyłączył się do ich watahy. Przedstawił się jako Jack Hedley, w tamtych rejonach było to popularne nazwisko. Na początku się nie wychylał, ale gdy wataha zaczęła polować na czarnoksiężnika, przejął inicjatywę. To on odkrył, że czarnoksiężnik zaszył się w klasztorze. Zorganizował nocne patrole, które pilnowały terenu wokół klasztoru. Pewnej nocy natknęły się na ofiarę.

Zaczął snuć opowieść zadumany głosem, w którym nuty grozy pobrzmiwały na tyle wyraźnie, że pomyślałam, że był tego świadkiem albo przeżył coś tak podobnego, że potrafił sobie to dokładnie wyobrazić.

– To było dziecko, chłopiec, może dwuletni. Później okazało się, że został podrzucony do klasztoru. – Zamilkł na moment, jakby zbierał myśli. – Tej nocy to Alfa przewodził grupie patrolującej. Kiedy usłyszeli krzyki, wyrwał do przodu, odsadzając resztę. Sam miał syna w podobnym wieku. Dopadł zabójcę jako pierwszy. Gdyby mnich był człowiekiem, zginąłby natychmiast, kiedy wilkołak złapał go za gardło.

– Tyle że nosił w sobie demona – dopowiedział Adam.

Zack przytaknął i doprecyzował:

– Wtedy to demon przejął kontrolę i gdy reszta watahy dotarła na miejsce, Alfa nie miał już skóry i spalał się od środka. Krzyczał jeszcze, gdy spora część jego ciała była już zwęglona. Moja przyjaciółka była naprawdę starą wilczycą, a powiedziała, że w całym swoim życiu nie widziała czegoś tak straszego.

Zack starannie unikał wypowiedziania imienia przyjaciółki. Mogło istnieć ku temu wiele powodów, a dobre wilkołacze

wychowanie nakazywało to uszanować.

– Okrążyli go – ciągnął Zack. – Grupa wilkołaków otoczyła kruchego staruszka w mnisim habicie, a żaden nie odważył się ruszyć. Wtedy z mroku wypadł Jack Hedley. Nie miał tej nocy warty. Przyjaciółka nie mogła dojść do tego, skąd wiedział, gdzie się pojawić. Nie był nawet w wilczej formie, a mimo to rzucił czarownikowi wyzwanie. Była przekonana, że natychmiast zginie. Znajdowała się na tyłach grupy i postanowiła przemknąć się w mroku, żeby zająć mnicha od tyłu. Pragnęła zabić potwora za to, co uczynił, choć wiedziała, że z pewnością straci przy tym życie. Ale najpierw musiała się do niego zbliżyć. Czarnoksiężnik uderzył Jacka zieloną błyskawicą. Trafił prosto w niego, jednak piorun nie wyrządził Jackowi krzywdy. Hedley stał i brał na siebie każdy atak demona w skórze mnicha, i nadal nic mu nie było. Kiedy demon przestał, Jack uśmiechnął się i przemienił w bestię. – Zack popatrzył na Adama i skinął głową, jakby odpowiadał na jego niezadane pytanie. – Nie miałem okazji zobaczyć twojej bestii, ale jeśli jej opis jest zgodny z prawdą, to jego bestia jest niepodobna do naszych. Tamten wilk był dwa razy większy od normalnego wilkołaka, a Jack potrafił go przywołać tak, jak Mercy swojego kojota, w mgnieniu oka. – Zack przymknął oczy, a kiedy znów się odezwał, wiadomo było, że cytuje czyjeś słowa. – Z głębin ziemi wyrwał się wicher, który rozdzierał skały i unosił ze sobą fragmenty gleby i kamienie. My wszyscy cofnęliśmy się i z lękiem i zadziwieniem obserwowaliśmy, jak Wielka Bestia walczy z demonem, nie z pomocą kłów i pazurów, ale mocy. Magia zderzała się z magią, sypały się iskry, a pioruny siekły wokół, jakby nadchodził koniec świata. Czwooro z naszych zginęło, trójkę poraził piorun, czwarty padł i nie wiadomo nawet, co go zabiło. A kiedy pył opadł, demon był wypędzony z nosiciela, zaś Jack wynurzył się z Wielkiej Bestii, jakby zrzucał kożuch, a potem skręcił mnichowi kark. – Zack



wzruszył ramionami i kontynuował już swoim głosem: – To wszystko. Jack odszedł. Przywództwo objął inny Alfa. Mnich nie żył. Zakonnicy znaleźli jego trupa przy ciele martwego dziecka i uznali, że sam Bóg zesłał anioły, by ukarały grzesznika za niegodziwości, które popełnił, nosząc na piersiach krzyż. Jeden z wilkołaków należących do watahy przysięgał, że spotkał kiedyś Jacka, lecz ten nazywał się wtedy Cornick. Moja przyjaciółka знаła Brana i Samuela. Wierzyła, że tamten wilkołak się nie myli, ale nigdy nie potwierdziła, kim był Jack Hedley.

– Wielka Bestia z Nortumbrii jest na naszej liście zakładów – przypomniałam sobie. Wypytywałam o nią, ale nikt nie potrafił mi niczego o niej powiedzieć, choć aż trzy wilkołaki ją obstawiły. I żadnym z nich nie był Zack.

– Może Sherwood powinien zajrzeć do tych zakładów? – zasugerował Zack.

– Tak, to byłoby interesujące. – Aż uśmiechnęłam się szeroko.

Zack już miał zamknąć drzwiczki, ale Adam znowu go powstrzymał.

– Jeszcze jedno.

Zack czekał.

– Czy jest coś, co powinienem wiedzieć o Warrenie?

Zack zawahał się, a potem pokręcił przecząco głową.

– Nie mogę o tym mówić. Nie teraz.

– Ach, więc jest coś na rzeczy! – Aż podskoczyłam z niecierpliwości.

– Warren jest mądry – uśmiechnął się do mnie Zack. – Jeśli będzie potrzebował pomocy, poprosi o nią.



W drodze do domu Adam milczał. Ja też niewiele mówiłam. Było późno, bolała mnie obita dynią głowa, a moje myśli

krążyły wokół opowieści Zacka.

Jednak gwoździem wieczoru była oczywiście wiadomość przekazana nam przez Marsilię. Szkoda, że nie wiedziałam, czego dokładnie dotyczy.

Adam pewnie też się nad tym zastanawiał, choć on bez bólu głowy. Na moment oderwałam się od rozmyślań, żeby w ramach odpoczynku nacieszyć się widokiem twarzy Adama, na której grały światła i cienie. Wilkołaki się nie starzeją, ale i tak wydawało mi się, że mój ukochany wygląda starzej niż parę miesięcy wcześniej.

Działania wiedźm odcisnęły na nim głębokie piętno. Został oczyszczony z trucizny, ale pozostały wewnętrzne blizny i strupy, wzmagając i tak sławetną porywczosć. Martwił się potworem, którego zaszczepiła w nim Elizawieta. Jego kości policzkowe były wyostrzone, a cienie pod oczami głębsze. Przyłapał mnie na przyglądaniu mu się, a jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– I co, podoba ci się to, co widzisz?

Adam był antypróżny. Wiedział, że jest przystojny, a choć posługiwał się swym urokiem jak bronią, poza tym nie przywiązywał wagi do tego, jak wygląda. Przypuszczałam, że myślenie o własnej urodzie budzi w nim zakłopotanie.

Nie chcąc wyznać, że raczej oceniałam, niż podziwiałam jego aparycję, wtuliłam twarz w ramię Adama, przymknęłam oczy i zaciągnęłam się jego zapachem. Ból głowy zelżał nieco.

– Kocham cię – powiedziałam. – Wiem, że znów mamy wiele na głowie, ale w tym momencie cieszę się tylko, że nie będziecie z Sherwoodem walczyć.

– Na razie – zastrzegł.

– Poradzisz sobie – stwierdziłam z przekonaniem, sama zaskoczona swoją wiarą. Prawdopodobnie wynikała stąd, że chwilowo mieliśmy bardziej palące zmartwienia.

O co chodziło Marsilii z tą dziwną pokazówką? Teatralność nie była jej obca, ale nie uciekała się do niej w kontaktach z nami. Wiedziała, że nie zrobi na nas wrażenia takiego, jak na kimś, kto jej nie znał. A więc co chciała tym uzyskać takiego, czego nie zdołałaby osiągnąć w trakcie normalnego spotkania?

Nie dała nam czasu na zadanie pytań, a miałam ich wiele. Skąd jej pewność, że Wulfe zniknął? Gdzie widziała go po raz ostatni? Co ukrywała przy pomocy woalu i siarki? Dlaczego musiała zasłaniać oczy?

Kwestia siarki wydawała się najciekawsza, ponieważ to ten ostry zapach nie pozwalał nam wychwycić innych woni – ani emocji, ani kłamstwa, ani też hipotetycznie obciążającego zapachu krwi. Możliwe jednak, że siarka była niezbędna do magicznego wytworzenia dymu i użycie jej nie miało na celu zamaskowania zapachów. Możliwe też, że spełniało oba zadania.

Nie sądziłam, że próbowała w ten sposób ukryć kłamstwo. Co prawda nie mogłam zweryfikować tego za pomocą węchu, ale instynktownie wyczuwałam, że mówi absolutną prawdę.

– Może nie chciała, żebyśmy jej uwierzyli – zastanawiałam się na głos, kiedy Adam skręcił w naszą ulicę. – Znaczący wiesz, wydaje mi się, że mówi prawdę, tak czuję. Ale cała ta siarka, dym, zasłona, tego wszystkiego wampiry używają, by kogoś zdezorientować.

– Myślę, że Wulfe zniknął, a Marsilia potrzebuje nas, żeby go znaleźć – powiedział Adam powoli. – I myślę, że wykorzystywała te wszystkie rekwizyty, żeby dać nam do zrozumienia, że chodzi w tym o coś więcej, coś, o czym prawdopodobnie nie może nam powiedzieć wprost.

– Na przykład, że ktoś będzie ją wypytywał? – podsunęłam.

– Albo ktoś jej zabronił mówić o tym nam. – Adam wysunął kolejną sugestię.

– Myślisz, że chodzi o Bonaratę? – Nie spodobało mi się drżenie własnego głosu. Bonarata, stwórca Marsilii, był chyba jedyną istotą zdolną jej cokolwiek skutecznie nakazać.

Adam ujął moją rękę.

– Z tego, co wiem, jest we Włoszech. Ale te informacje pochodzą sprzed dwóch tygodni, więc oczywiście sprawdzę. Myślę jednak, że nie mylisz się co do ligi tego tajemniczego ktosia. Musi być bardzo potężny, skoro trzyma Marsilię w szachu, a możliwe, że porwał Wulfe’a lub nim manipuluje.

Wstrząsnęło mną.

– Za wcześnie jeszcze na panikę – uspokoił mnie Adam. – Marsilia najwyraźniej uważa, że możemy coś zdziałać. A nie jest głupia, świetnie zna reguły gry. Zaczniemy od Wulfe’a i poprzez niego dotrzemy do istoty problemu Marsilii. Możliwe, że po prostu nie chce nam o czymś powiedzieć, bo nie stroni od manipulacji, jeśli widzi w tym jakąś korzyść.

– Czyli na razie mamy oczy i umysły otwarte – podsumowałam.

– W tej fazie gry nie ma lepszej strategii.



## Rozdział 4

**W** domu paliło się światło. Marzyłam, żeby pomaszerować prosto do łóżka, ale nie łudziłam się, że Jesse pójdzie spać, zanim wypyta nas o dzisiejsze spotkanie.

Adam zaparkował tam, gdzie zawsze, i potoczył wzrokiem po stojących na podjeździe samochodach.

– Chyba Jesse ma towarzystwo – stwierdził.

Jeden z wozów należał do najlepszej przyjaciółki jego córki, Izzy, drugi do Tada. Na widok tego drugiego westchnęłam teatralnie, aż Adam spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Tęsknię za Tadem – poskarżyłam się smętnie. – Ostatniego mojego pomocnika Zee wystraszył, zanim zdążyłam zatrudnić chłopaka na normalną umowę.

W ciągu miesiąca trzech mechaników odmówiło dalszej współpracy ze mną. Dwóch pierwszych naprawdę żałowałam. Tego ostatniego i tak pewnie sama bym zwolniła, bo nie potrafił niczego zrobić bez dokładnych wskazówek. Tacy ludzie nie są dobrymi mechanikami. Mogą co najwyżej pracować w tych

nowych serwisach, gdzie komputery mówią im, jaki moduł trzeba wymienić.

Naprawianie starych samochodów wymaga wiedzy, na jakich zasadach pojazd działa i co sprawia, że nie działa. Naprawianie może wymagać kreatywności. Kiedyś musiałam wykorzystać plastikowe przekładki do dokumentów i nić dentystyczną, żeby włożyć do czterdziestoletniego samochodu część, która pasowała, kiedy go wyprodukowano, a teraz już nie.

– Jeśli Zee nadal będzie odstraszał twoich pomocników, powiedz mu, żeby sam ci jakiegoś zatrudnił – poradził Adam, nie po raz pierwszy.

Tad, mój poprzedni pomocnik i przy okazji syn Zee, znalazł sobie nową pracę.

– Muszę przyjąć tę propozycję – powiedział jakiś czas temu otwarcie, wręczając mi wymówienie nabazgrane na odwrocie paragonu. – Byli bardzo przekonujący i zaproponowali mi darmowe studia. Jeśli nie wezmę tej roboty, już wiecznie będę miał tylko licencjat i utknę w takiej pracy jak ta.

Tad dostał pełne stypendium na uniwersytecie należącym do Bluszczowej Ligi, ale rzucił te studia i nigdy mi nie wyjaśnił dlaczego. Co więcej, nigdy nie powiedział tego również Zee.

Uznałam, że Tad nie wyjawiał mi tego w obawie, że wygadam się Zee, co nie było rozumowaniem bezpodstawnym. Bo raczej nie bał się mojej reakcji. A przysięgam, że jeśli się dowiem, kto zwrócił nam Tada pozbawionego tego wcześniejszego cudownego, optymistycznego spojrzenia na świat, to... W sumie może bał się tego, co mogę zrobić. Może nie dysponowałam taką mocą jak jego pradawny ojciec, ale potrafiłam się świetnie mścić.

Kiedy zostawił mnie po raz pierwszy, znalezienie kogoś do odbierania telefonów, prowadzenia rachunków i pomocy w warsztacie nie było takie trudne. Ale wtedy Zee wpadał do

warsztatu tylko wtedy, gdy miałam tyły albo kiedy się nudził. Jednak odkąd w Tri-Cities zrobiło się gorąco, bywał codziennie.

– Żeby mieć na wszystko oko – wyjaśnił.

„Na wszystko”, czyli na mnie i Tada, tak to rozumiałam. I wcale nie żałował, że w tej sytuacji syn przyjął nową posadę. Zee był jednak stary, zgryźliwy i nie miał za grosz cierpliwości. Potrzebowałam wielu tygodni, żeby przedrzeć się przez warstwy zrzędlivosti i odkryć schowany pod nimi okruczeństwo życzliwości. Naprawdę liczyłam, że znajdę pomocnika, zanim pewnego dnia odkryję, że to ja jestem nowym pomocnikiem.

Wchodząc do domu, zerknęłam na samochód Jesse, odruchowo oceniając jego stan. Nadal potrzebował lakieru, choć placki nagiego metalu spryskaliśmy farbą podkładową, żeby blacha nie rdzewiała, nawet jeśli karoseria wyglądała przez to jak dotknięta trędem. Ale nie zobaczyłam żadnych nowych wgnieceń, rys po kluczach czy śladów farby w spreju.

Niestety, świat Jesse, córki miejscowego Alfego, kurczył się coraz bardziej wraz ze wzrastaniem liczby i siły naszych wrogów. Była człowiekiem i doskonałym celem ataku dla wszystkich, którzy chcieli nadepnąć nam na odcisk.

Jesse musiała zmienić plany i zrezygnować z wyjazdu do Seattle, wiedząc, że nie możemy wysłać z nią ludzi, którzy mogliby chronić ją w innym mieście. W Seattle mieszkała wataha, ale ponieważ nie należeliśmy już do Marroka, nie mogli nam pomóc. Następnie Jesse odrzuciła propozycję przyjaciółki, która chciała, by razem wynajęły mieszkanie przy kampusie uniwersyteckim w Waszyngtonie, ponieważ obawiała się, że kłopoty watahy mogą narazić Izzy na niebezpieczeństwo.

Nie chodziło wyłącznie o ataki istot magicznych. Adam był znaną osobistością nie tylko w naszym mieście, a tutaj każdy rozpoznawał i jego, i jego rodzinę, czyli mnie i Jesse.

W pierwszym tygodniu zajęć grupa studentów, podburzonych przez antynadnaturalną organizację Świetlana

Przyszłość, chodziła za Jesse krok w krok z transparentami protestacyjnymi. W tym samym czasie ktoś wysprejował jej samochód. Kamery na parkingu uchwyciły całkiem nieprzydatny wizerunek zakapturzonej postaci w dżinsach i trampkach.

O samochodzie Jesse powiedziała nam tylko dlatego, że nie udało się jej usunąć farby przed powrotem do domu. Ale Izzy, która była świadkiem dręczenia Jesse, zadzwoniła do Tada i opowiedziała mu o wszystkim.

Tad pojawił się, zanim zdążyłam wyczyścić sprej z karoserii Jesse. Znam na to kilka sposobów, ale cały wic polega na tym, żeby przy okazji nie ściągnąć również warstwy lakieru. Tad radził sobie z tym lepiej, kiedy jednak skończyliśmy, samochód i tak wymagał nałożenia nowej powłoki. Zadzwoniłam i umówiłam termin na malowanie, z tym że mój lakiernik prowadzi objazdowe pokazy samochodów i akurat wyjechał na dwa miesiące.

Następnego ranka Tad czekał przy samochodzie, aż Jesse wyjdzie z domu, żeby jechać na zajęcia. Wywiązała się między nimi ostra wymiana zdań. Siedziałam w salonie, ale słuch mam dobry, a choć nie starałam się celowo podsłuchiwać, nie wyłączyłam się. Adam dołączył do mnie w połowie ich kłótni, w chwili gdy zaczęło się robić naprawdę ciekawie.

W ten sposób dowiedzieliśmy się, że osprejowany samochód to tylko czubek góry lodowej. Adam nie wyskoczył z domu tylko dlatego, że gdy Jesse ruszała na uniwersytet, na siedzeniu pasażera siedział Tad.

Nie wiem i wcale nie chcę wiedzieć, co zrobił Tad, ale Izzy mi powiedziała, że gdy pojawili ludzie z transparentami i Tad z nimi porozmawiał, prześladowcy zniknęli na dobre, jak zły sen, a po zajęciach samochód był w takim stanie, jak Jesse go zostawiła.



Tego wieczoru wataha złożyła Tadowi oficjalną ofertę zatrudnienia. Wpisanie go na listę studentów z takim opóźnieniem wymagało pociągnięcia za sznurki, jednak się udało. Adam stwierdził, że uniwersytet wzdragał się nagiąć dla niego zasady jedynie pro forma, ponieważ oceny Tada aż nadto wystarczały, żeby dostał się na wybrany kierunek, a same władze uczelni nie bardzo wiedziały, co począć z protestującymi. Z ulgą przyjęły rozwiązanie, które im przedstawiliśmy, a które pasowało wszystkim. Ujęcie tego wszystkiego w oficjalne ramy zgodne ze statutem zajęło im dwa dni.

Tad radośnie zaakceptował nieco chaotyczny wybór pierwszorocznych kursów Jesse. Byłam przekonana, że seksuologię porównawczą wybrała tylko po to, żeby sprawdzić, na ile może sobie pozwolić, lecz Tad przyjmował wszystkie jej pomysły ze śpiewem na ustach. Po latach spędzonych z Zee Jesse nie stanowiła dla niego wyzwania.

Nie bardzo wiedziałam, jak to będzie, kiedy Jesse wybierze odpowiadające jej przedmioty kierunkowe, ale może do tego czasu sprawy się unormują i Tad nie będzie musiał chodzić na te same zajęcia co ona, bo wystarczy sama jego obecność na uczelni. Najważniejsze, że na razie wszyscy byli zadowoleni.

– Jest wtorek – zauważyłam. – Nie za późno na spotkania towarzyskie w środku tygodnia?

– W sumie jest już środa – doprecyzował Adam. – Jesse wspominała ci, że ma jakieś plany?

– Nie.

Przed wyjazdem do pubu powiedzieliśmy Jesse o sprawie z Sherwoodem. Jeśli miała jakieś plany, zrozumiałe, że po takich rewelacjach zapomniła nas o nich uprzedzić. Adam otworzył drzwi, a od strony kuchni dobiegły do nas śmiechy doprawiane aromatem świeżego popcornu z masłem. Nikt nie zauważył naszego wejścia.

Adam mrugnął do mnie i tonem sierżanta, zdolnym obudzić zmarłego, huknął:

– Kontrola rodzicielska!

Rozległ się hurgot przesuwanego krzesła i z kuchni wypadła Jesse, w biegu rzucając się ojcu na szyję. Ostatnio zrezygnowała z papuzich farb do włosów, którym hołdowała od skończenia trzynastego roku życia, a w stonowanym, miodowym brązie wyglądała dziwnie dorośle. Choć żywiołowo okazywana ulga, z jaką powitała ojca, mocno ją odmładzała.

Adam mocno ją przytulił.

– Wszystko w porządku – zapewnił córkę, co w zasadzie było prawdą. Z tym że Jesse przywykła do niebezpiecznych sytuacji. Adam był Alfą watahy, jeszcze zanim się urodziła.

– Taaa. Śmiertelnie niebezpieczny problem z dzisiejszego wieczoru nie okazał się ostatecznie śmiertelny dla twojego taty – oznajmiłam sucho, kiedy wylądowała z powrotem na ziemi. – Pojawił się za to następny śmiertelnie niebezpieczny problem, który może się skończyć źle dla twojego ojca. Albo dla mnie. Albo dla całej watahy. No, ale przynajmniej rozwiązaliśmy jeden, zanim spadł na nas kolejny.

– Czyli dzień jak co dzień – skwitował Tad, wyłaniając się z kuchni z mniejszą gwałtownością niż Jesse.

Tad był wysoki tylko pod warunkiem, że porównywało się go z ojcem. Posiadał jednak tę tyczkowatą grację, dzięki której robił wrażenie wyższego. Miał odstające uszy i spłaszczony jak u boksera nos. Był atrakcyjny, ale raczej ze względu na mimikę niż regularne rysy. Oczywiście w jego wypadku wygląd był kwestią raczej wyboru niż genetyki, ponieważ jako półpradawny posiadał wystarczająco mocy, żeby dzięki iluzji ukryć swoją nie końca ludzką aparycję.

Izzy, w pełnym brzmieniu Isabella Norman, przywlekła się za Tadem. Szczuplutka, drobniutka laleczka o brązowych lokach była twardsza, niż się wydawała. Jesse chodziła do liceum, gdy

pozycja jej ojca jako Alfego watahy wilkołaczej wyszła na jaw, przez co znajomi zaczęli się od niej odsuwać. W tę pustą przestrzeń towarzyską wskoczyła właśnie Izzy. Już to by wystarczyło, żeby ją lubiła, ale poza tym dziewczyna była naprawdę dobrym człowiekiem.

Wsunęła rękę pod ramię Tada, wsparła się na nim i wychyliła, żeby lepiej nas widzieć.

– Dzień dobry, pani Ha i panie Ha, super, że oboje żyjecie. Mama pyta, czy chce pani więcej tego olejku pomarańczowego. W tym miesiącu jest promocja.

– Wezmę dwa. – Ostatnio eksperymentowałam z nim przy pieczeniu. Czasem efekty były fantastyczne, czasem okropne.

– Nie macie jutro zajęć? – zapytał Adam.

– Dopiero na jedenastą – odpowiedziała Jesse. – Poza tym pracujemy nad zadaniem.

– Na temat „Żniwiarza” – wyszeptała Izzy grobowym tonem, a potem się ożywiła. – To ten nowy horror, słyszeli państwo? Ten, do którego scenariusz napisał Danson. Facet chodził do liceum w Pasco. Nasz wykładowca literatury zna go od przedszkola i dał nam zadanie obejrzenia i zrecenzowania filmu.

– Ten scenarzysta twierdzi, że film jest oparty na motywach lokalnej legendy – uśmiechnął się Tad i nakrył ręką dłoń Izzy.

Ha! Umawiają się. A więc dlatego powiedziała Tadowi o kłopotach Jesse.

– Problem w tym, proszę państwa – Jesse najwyraźniej przedrzeźniała wykładowcę – że tu w okolicach nie krąży podobna opowieść. Bawcie się państwo dobrze i nie szcudźcie temu dziełu krytyki.

– Coś mi się wydaje, że gość nie przepada za swoim kumplem z piaskownicy – mruknął Tad wesoło. – Zazdrość to rzecz straszna.

– A ja mam wrażenie, że nie chodzi o zazdrość – sprzeciwiła się Jesse. – Tylko o coś bardziej osobistego. Może na przykład Danson odbił doktorowi Holbearthowi dziewczynę albo coś w tym stylu? – Zawiesiła głos. – Albo ze sobą chodzili i mają za sobą paskudne rozstanie?

– Dzisiaj był pokaz przedpremierowy „Żniwiarza”, pomyśleliśmy więc, że skorzystamy i szybciej zaczniemy pisać pracę. A przy okazji unikniemy tłumów. – Izzy potrząsnęła głową. – Cóż, jedno z dwóch to niezły wynik. Kino było pełne.

Tad podchwycił moje spojrzenie i znacząco zerknął na Jesse. Najwyraźniej zabrali z Izzy Jesse, żeby oderwać ją od zamartwiania się o ojca. Skinęłam mu leciutko głową.

– Rany, to było straszne! – jęknęła Jesse. – I nie w sensie pozytywnym. Gniot, nawet jak na horror klasy B. Złol z powodów, których nie potrafiłam rozgryźć, przebrany jak strach na wróble, bierze kosę ze stodoły na farmie, którą właśnie kupił, i zaczyna mordować ludzi w sposób tak krwawy i tak obrzydliwy, jak tylko się da.

– Sierp, nie kosę – sprostował Tad cierpliwym tonem kogoś, kto mówił to już nie raz.

– I niby była nawiedzona ta kosa – przejęła pałeczkę Izzy. – Starucha, która ginie na samym początku, mówi wcześniej: „W tym starym żelastwie siedzi bebok”.

– Bebok? – powtórzyłam. – A to nie jakaś gwara? Ale na pewno nietutejsza, a legenda miała być stąd.

– Nie mam pojęcia, ledwie ją zrozumiałam! – emocjonowała się Jesse. – No dobrze, ale skoro kosa była nawiedzona, to czemu nie zostawili jej w spokoju w tej stodole? Albo w ogóle nie spalili? Razem z tą stodołą...

– No na końcu spalili – przypomniał Tad. – Gdyby zrobili to na samym początku, nie byłoby filmu o opętanym gościu, który biega po okolicy i rozpoławia ludzi sierpem.

– Niektórym tylko oderznął głowę – zauważyła Izzy. – To nadal rozpoławianie, skoro odcina im tylko jakieś dziesięć procent?

– Nie wiem. – Jesse wzruszyła ramionami. – Wiem tylko, że już nigdy nie odzyskam tych stu ośmiu minut życia. Jesteś pewien, że to był sierp? W filmie mówili na to „kosa”.

– „Sierp” nie brzmi tak śmierciomrocznie jak „kosa” – stwierdziła Izzy.

– Jeśli syn pobłogosławionego darem żelaza mitycznego kowala pradawnych podaje nazwę jakiegoś metalowego narzędzia, należy wierzyć jemu, nie komuś, kto recytuje rolę w kiepskim filmie – poradził jej Adam. Nie uśmiechał się, ale dołeczki w policzkach zgłosiły obecność.

– To prawda, że kosa kojarzy się z uosobieniem śmierci – poparłam Tada. – Tyle że ma długie stylisko i lekko zagięte ostrze w kształcie tej jakby szabli Adamowego kapitana Larsona z ŁSPCGS. – ŁSPCGS, czyli „Łup straszliwego pirata IV: Gorące skarby”, było grą, w którą łupała, nomen omen, nasza wataha. – Sierp to takie półkółko osadzone na krótkiej rączce.

– Co to znaczy pobłogosławiony darem żelaza pradawny? – zainteresowała się Izzy. – To Zee jest sławny?

– Raczej niesławny – mruknęłam.

Historia Zee nie była tajemnicą. Nie do końca. Mimo to zazwyczaj nie wspominałam o tym ot tak, przy okazji. No ale Izzy była prawie jak rodzina, a poza tym spotykała się z Tadem, więc miała prawo wiedzieć, w co się pakuje.

– Wielkie dzięki – prychnął Tad do mnie i Adama, a potem zwrócił się do Izzy. – Mój ojciec należy do niewielu pradawnych, którzy mogą dotykać żelaza. Zdarzyło mu się wykonać parę sztuk broni pod takim czy innym imieniem. – Machnął lekceważąco ręką i dodał od niechcienia: – Zabił paru słynnych władców, świętego... – Chrząknął. – Jakiegoś tam boga czy dwóch. Takie tam. Wiesz, jak to jest, wszystko z czasem obrasta

w legendę. Z większością pradawnych, którzy mają parę stuleci na karku, wiążą się jakieś mity.

– Oprawił, jak klejnoty, wyłupione oczy synów króla, który go więził. – Ostry ton wypowiedzi Jesse zasadniczo różnił się od humorystycznej prezentacji ojca, której dokonał Tad.

Znałam legendę, którą przytoczyła Jesse. Nie mówiła o Zee. W każdym razie chyba nie o Zee. Jej bohaterem był Wolundr Kowal, tajemnicza postać pojawiająca się w wielu średniowiecznych kronikach. Pisałam o nim pracę na studiach.

Jesse nie zaczytywała się w starogermańskiej literaturze, skąd więc te rewelacje?

– A z ich czaszek zrobił kielichy – ciągnęła. – Wysadzone tymi klejnotami. I podał królewskiej parze, zmuszając zaklęciem, żeby z nich pili.

Przejęcie w jej głosie świadczyło, że poznała ten mit niedawno.

– Kto ci to opowiedział? – zapytałam, ubiegając Tada.

– Tilly – odparła Jesse, a mnie przebiegły ciarki. – Nie lubi Zee ani Tada.

Ano nie lubi...

Tilly, takie imię nadała sobie Podgórze, kiedy przybrała postać dziewczynki, żeby móc bawić się swoimi ludzkimi zabaweczkami. Należał do nich między innymi Aiden, któremu na szczęście udało się uciec.

Tilly może i wyglądała jak zdziczała ośmiolatka (albo dziecko w innym wieku, w zależności od fantazji), była jednak uosobieniem magicznej krainy, która zniszczyła domostwa pradawnych i wygnała ich poza swe granice, zatrzasnąjąc przed nimi drzwi. Pradawni twierdzili, że to przez rozwój technologii opartej na żelazie Podgórze zamknęła wrota w starym kraju, choć nie uszło mojej uwadze, że byli mieszkańcy zostali odcięci na zewnątrz, a nie zamknięci w krainie.

Gdy Aiden z nami zamieszkał, Tilly stworzyła drzwi do krainy. Wstawiła je w mur, który wzniosła na granicy działki z domem Adama i sąsiadującej, gdzie stał mój stary dom. A teraz najwyraźniej zaczęła opowiadać Jesse legendy.

– Kiedy? – zapytał krótko Adam głosem cichym i spokojnym.

– Odkąd Aiden się wyprowadził, pojawia się, kiedy jestem sama na zewnątrz. – Jesse odpowiedziała na rzeczywiste pytanie ojca. – Pytałam o nią Aiden. Powiedział, że jest związana umową i niewiele może zrobić. Poradził, żebym wam nie mówiła, że mnie nachodzi, bo wtedy pomyśli, że jest niemile widziana. A to ją ośmieli. A wtedy będziesz chciał renegotjować umowę. A Aiden uważa, że podlega tym ograniczeniom na tyle, na ile sama chce. A renegotjacje mogą przynieść odwrotny skutek. Pomyślałam, że w kwestii Podgórze warto wziąć sobie jego rady do serca.

Adam sapnął z niezadowoleniem. Jesse miała rację. Aiden miał pewnie rację. A i tak przypuszczałam, że jak tylko Tilly się pokaże, Adam utnie sobie z nią pogawędkę. Miałam tylko nadzieję, że Tilly nie pojawi się jakoś zaraz, a Adam tymczasem zdąży ochłonąć.

– I powiedziała ci, że to opowieść o Zee? – wróciłam do tematu.

Jesse przytaknęła.

– Twój tata może zrobić klejnoty z czyichś oczu? I kielich z czaszki dziecka? Taki do picia? – Kiedy nie patrzyłam, Izzy puściła Tada i odsunęła się od niego.

Może gdyby tę opowieść osadzono w minionym wieku, sama miałabym kłopot z jej przyjęciem. Ale ponieważ stanowiła fragment „Eddy starszej”, spisanej mniej więcej tysiąc lat wcześniej, była raczej hiperbolą zawierającą ostrzeżenie, a nie reportażem z autentycznych wydarzeń. Jakoś nie potrafiłam wyobrazić sobie mojego przyjaciela Zee robiącego coś tak makabrycznego.

Hm, w zasadzie to potrafiłam... Ponieważ całkiem niedawno zrobił coś w tym stylu.

– Kiedy ktoś żyje bardzo, bardzo długo, ma też dużo czasu, żeby się zmienić – powiedziałam, unikając twierdzenia, że Zee się zmienił.

Tad spojrział na mnie z niemą prośbą, żebym raczej jednak nie usiłowała pomagać.

– Ostrzegalem cię, Izzy, że mój ojciec nie jest zwykłym zgryźliwym tetrykiem – powiedział. – I mówiłem, że robił różne straszne rzeczy.

Rzuciła mu spojrzenie, którego nie powstydzilby się kopnięty szczeniaczek.

Miałam dodać, że nawet jeśli Zee robił tak makabryczne rzeczy, to już przestał. Ale nie chciałam kłamać. Podejrzewałam, że fragmenty ciał Szarych Panów, którzy więzili przez jakiś czas Zee i Tada, nadal odnajdywano w zaskakujących miejscach, ponieważ pradawni, nawet ci najpotężniejsi, zaczęli wypowiadać imię Zee szczególnym tonem.

Ale nie słyszałam ostatnio o żadnych gałkach ocznych przerobionych na biżuterię. I miałam nadzieję, że Tilly się myli – myli, nie kłamie – i ta akurat historia opowiada o Wolundrze, który nie jest tą samą postacią co Mroczny Kowal z Drontheim, który z kolei stał się moim Zee.

Aczkolwiek musiałam sama przed sobą przyznać, że legenda nie brzmiała całkiem nieprawdopodobnie, biorąc pod uwagę inne o Mrocznym Kowalu. Jeden z pradawnych z Szarej Rady powiedział mi, że to Zee wykuł Ekskalibura. A w legendach stworzenie miecza przypisywano Wolundrowi.

– Ale to taki sympatyczny staruszek – powiedziała Izzy.

Wszyscy wytrzeszczyliśmy na nią oczy.

Zee był moim mentorem, przyjacielem i bardzo go kochałam, ale w życiu nie określiłabym tego zręczliwego starego kowala mianem „sympatycznego”. Oczywiście potrafił być życzliwy,



lecz wyraz „sympatyczny” implikował kogoś... mniej niebezpiecznego.

Izzy zeszywniała pod zdumionym spojrzeniem Tada, a kiedy się odezwała, to w obronnym tonie.

– W zeszłym tygodniu zadzwoniłam do Jesse, że się spóźnię, bo złapałam gumę. Powiedziała, że skoro jestem blisko warsztatu, sprawdzi, czy ktoś stamtąd może mi pomóc, i dziesięć minut później pojawił się twój tata. Wymienił mi koło na to, które przywiózł, i stwierdził, że potrzebuję nowych hamulców. Pojechaliśmy do warsztatu, gdzie je wymienił i przy okazji przejrzał cały samochód. I nie wziął ani grosza. – Odwróciła się do mnie. – Chociaż pewnie powinnam zapłacić pani...?

Pokręciłam odmownie głową.

– To decyzja Zee, a ja się z nim nie spieram.

– Dał mi też coś do picia – ciągnęła dziewczyna – i stwierdził, że powinnam trochę przytyć...

Całkiem jak wiedźma od Jasia i Małgosi, pomyślałam, ale zachowałam ten komentarz dla siebie. Ciekawe, co ten stary kowal knuł. Pomoc przyjaciółce Jesse nie budziła moich wątpliwości, za to cała reszta napawała mnie niepokojem. Nie pasowała do Zee... Ale może nastawiłam się źle przez te opowieści o pucharach wysadzanych gałkami ocznymi...

Izzy zerknęła na Tada, lecz szybko uciekła wzrokiem, najwyraźniej uznając, że łatwiej jej się patrzy na Jesse. Mina Tada mówiła, że chłopak również nie jest zachwycony tym, co powiedziała Izzy, jednak w jego przypadku nie była to troska czy niepokój, tylko wściekłość.

A Tad nie miał w zwyczaju reagować przesadnie. I raczej nie wystraszyła go wizja ojca oprawiającego gałki oczne. A może? W końcu w całej tej historii Wolundr Kowal nie miał na sumieniu tylko stworzenia makabrycznych kielichów.

– Pytał też, czy się spotykamy – powiedziała Izzy do przyjaciółki. – Potwierdziłam, a on się chyba ucieszył.

Nabrała powietrza, jakby zbierała się na odwagę, a potem popatrzyła na Tada, ale ten zdążył już przywołać na oblicze wyraz wcześniejszego spokojnego zainteresowania.

– A teraz mi mówisz, że robił wisiorki z oczu dzieci. – Głos Izzy zadrżał.

– To ja, nie Tad – sprostowała Jesse.

– Wiele mógłbym o nim powiedzieć, ale wszystko sprowadza się do tego, że jest żywiołem natury i jak podobne mu istoty źle znosi ograniczenie wolności, co może mieć konsekwencje – wyjaśnił Tad.

Izzy otuliła się ramionami jak zmarznięte dziecko.

– Ja chyba... potrzebuję trochę czasu, żeby się zastanowić – rzekła cicho. – Wiem, że mówiłam, że rozumiem, w co wchodzę, ale może powinnam poczytać więcej bajek...

Tad uśmiechnął się do niej, choć wyraz oczu miał nieprzenikniony.

– Uprzedzałem, że takie sytuacje mogą się zdarzyć. – Popatrzył na mnie i Adama, a potem lekko ujął Izzy za łokieć. – Chodź, porozmawiamy na zewnątrz, a państwo Hauptman niech się już spokojnie położą.

Dziewczyna wzięła głęboki wdech i położyła dłoń na jego ręce, dokładnie tak samo, jak on zrobił to, kiedy przyszedliśmy do domu.

– Dobrze – zgodziła się, a w progu jeszcze spojrzała przez ramię. – Pa, Jesse. Dobranoc państwu. Przekażę mamie zamówienie. I... – Przystanęła za progiem. – Naprawdę się cieszę, że oboje znów wyszliście z tego cała.

Tad zamknął za nimi drzwi.

– Ja też się cieszę – powiedziała Jesse – że wyszliście z tego cała.

Adam objął ją jednym ramieniem i przytulił, aż się zachwiała, bo wciąż wpatrywał się w drzwi, myśląc zapewne o tych, którzy właśnie za nimi zniknęli.

Może i Izzy tutaj nie mieszkała, ale należała do domostwa Hauptmanów, a Adam był bardzo opiekuńczy w stosunku do swojej gromadki.

– Wiem – westchnęła Jesse. – Nie powinnam wywlekać tak tej historii z oczami. Mój mózg chyba jeszcze jest otumaniony tym głupim horrorem, a do tego ciągle się bałam, że mogę już nie zobaczyć taty żywego. – Urwała na moment. – A te gałki oczne na pucharze nie chcą mi wyjść z głowy, odkąd Tilly mi o tym opowiedziała, czyli od weekendu.

– Wierzę – zaczęłam ostrożnie – że Tilly potrafi opowiedzieć historię, która utkwi w głowie, dopóki ktoś nie przekaze jej w takim momencie, żeby wyrządziła jak najwięcej szkód.

Oboje popatrzyli na mnie zaskoczeni.

– A może po prostu bawiło ją opowiadanie ci takiej makabry. – Wzruszyłam ramionami. – Choć za to drugie nie dałabym sobie uciąć palca.

– Myślisz, że to była magia? – zapytała Jesse.

– Mnie o to nie pytaj. Może po prostu magia opowieści. Niedługo Samhain, prawda? Wtedy pradawni są najpotężniejsi.

Adam popatrzył na mnie, a ja odpowiedziałam ponurym uśmiechem.

– Ja też rozmawiam z Tilly. Ciekawe, że ciebie jakoś nie zaczepia.

– Kolejny problem na horyzoncie? – zapytał.

– Że co? Że drzwi do Podgórze na podwórku? To jakiś problem?

Roześmiał się. Czasami nie pozostaje nic innego.

Usłyszeliśmy dwa odjeżdżające samochody.

– Oby im wyszło – westchnęła Jesse. – Izzy naprawdę potrzebuje Tada, dodaje jej pewności siebie. A jemu z kolei

przyda się trochę ciepła i ktoś, kogo mógłby bronić przed smokami.

Adam przygarnął do siebie córkę, tym razem delikatniej.

– Lepiej, że to wyszło teraz niż później – pocieszył ją.

– Może, ale i tak żałuję, że tak chlapnęłam.

– Izzy nie jest taka krucha, na jaką wygląda – stwierdziłam z przekonaniem. – Poradzi sobie.

– Obyś miała rację. – Jesse zwróciła się do ojca. – Naprawdę wszystko w porządku, tato? Tak naprawdę, naprawdę?

– Naprawdę, naprawdę – zaświadczyłam. – I nie powiem, że nie jest taki kruchy, na jakiego wygląda, bo...

– Bo wygląda na niezłego twardziela – dokończyła Jesse, odsuwając się od ojca. – A więc kryzys zażegnany?

– Sherwood nie chciał zabić Adama – powiedziałam. – Mówiłam ci, że to rozwiąże problem.

Wcale nie byłam co do tego tak przekonana, jak udawałam.

– Super – ucieszyła się, ale zaraz zmarszczyła brwi. – A dowiedzieliście się, kim był Sherwood? Rasputinem?

– Istnieją zdjęcia Rasputina – zauważyłam. – Nie ma w nich za grosz podobieństwa. – No może odrobinę, w oczach. – Nadal nie wiemy, kim jest. Znaczący był.

– Nie zapytaliście? – W głosie Jesse brzmiało rozczarowanie. – Naprawdę? Nie jesteście ciekawi?

– Jest spokrewniony z Branem – wyjaśnił Adam. – Blisko. Brat, syn, ojciec, może wuj... Najbliższy krewny.

– Z Marrokiem?! – Aż zamrugęła. – Istnieje jakiś wilkołak spokrewniony z Marrokiem poza Samuelem i Charlesem? Nic takiego nie obilo mi się o uszy. A wam?

Nie wiedzieć czemu, oboje spojrzeli na mnie.

– Nie...?

– Przecież spędziłaś dzieciństwo w watasze Marroka – dziwiła się Jesse. – Ktoś musiał coś mówić.

– Niczego takiego sobie nie przypominam. Zaraz zadzwonię do Samuela i go wypytam.

– A może zapytać po prostu Sherwooda? – podsunął Adam.

– A wydawał ci się skory do zwierzeń? – odpaliłam. – Co prawda odzywa się więcej niż wcześniej, ale wcale więcej nie mówi. To akurat się nie zmieniło. – Odkryłam, że to nawet pokrzepiające. – Będziemy z niego wyciągać po jednej historii. – Zamyśliłam się na moment. – Mogę też pokazać mu listę zakładów i kazać mówić „tak” lub „nie”. Bo najwyraźniej Wielka Bestia z Nortumbrii byłaby na „tak”. Ale przypuszczam, że z Samuelem pójdzie mi łatwiej.

– Poza tym i tak już dawno nie mieliśmy od niego wieści – dodała Jesse.

Jesse kiedyś przeżywała zauroczenie Samuelem i nadal coś jej z tego pozostało. Jednak zamiast pociągnąć dalej temat Sherwooda czy Samuela, zapytała:

– A co to za nowy potencjalnie niebezpieczny problem, z którego może wyniknąć śmierć i zniszczenie?

– Marsilia zabiła nam klina. Nie bardzo wiemy, o co jej chodziło. Dzisiaj nie zdarzyło się nic strasznego.... Chyba – zmitygowałam się na koniec.

Adam pocałował Jesse w czoło.

– Marsz do łóżka – nakazał jej stanowczo, jakby była małym dzieckiem.

– Zasypiam na stojąco – przyznała z niemrawym uśmiechem.

– A więc dobranoc, pani Ha i panie Ha.

Odczekałam, aż zamknie drzwi do łazienki na górze i zacznę myć zęby, i dopiero wtedy sięgnęłam po telefon.

– Dzwonię do Stefana – wyjaśniłam. – Mam wrażenie, że powinniśmy zacząć szukać Wulfe’a czy też podążyć za wskazówkami Marsilii najszybciej jak się da.

– Doskonała pora na telefon – rzucił Adam neutralnym tonem.

Była druga w nocy, ale w końcu chodziło o wampira. Stefan nie należał już do Marsilii, lecz łączyły ich relacje sięgające setek lat wstecz, do czasów, gdy we Włoszech narodził się renesans, a oni oboje byli jeszcze ludźmi. Stefan również postanowił mieć na oku Wulfe'a, odkąd szalony Zaklinacz-krwiopijca zaczął bawić się w mojego stalkera.

Stefan powinien wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, i nawet byłam trochę zdziwiona, że nie powiedział mi o zniknięciu Wulfe'a, zanim zrobiła to Marsilia.

Komórka Stefana przerzuciła mnie od razu do poczty głosowej. Nie zostawiłam wiadomości.

– Może z kimś rozmawia? – zasugerował Adam.

– Spróbuję zadzwonić na domowy. – Nie podobało mi się, że Stefan nie odbierał.

W domu telefon odebrał ktoś po czterech sygnałach.

– Halo?

Znałam większość ludzi Stefana – ani on, ani ja nie mówiliśmy o nich „owce” (no chyba że Stefan był w wyjątkowo paskudnym humorze). Dla Stefana byli kimś więcej niż bandą przekąsek, materiałem na ewentualne świeżaki czy przedmiotami służącymi do zabaw. Traktował ich jak rodzinę.

Kiedyś Marsilia zabiła kilkoro z nich w ramach pokazówki dla szpiegów Bonaraty. A Stefan kochał Marsilię. Może nie miłością romantyczną, ale kochał.

Głos w słuchawce był niepewny i ochrypły, przez co trudny do rozpoznania. Możliwe, że odebrała Rachel, łączniczka Stefana ze światem śmiertelników, bo to ona zazwyczaj rozmawiała z dzwoniącymi pod jego nieobecność. Głos nie brzmiał jak jej, ale to mogła być ona, tyle że na przykład przeziębiona.

– Tu Mercy – powiedziałam i następane, co usłyszałam, to przeciągłe buczenie. Przestałam udawać, że wszystko jest w porządku. Popatrzyłam na Adama.

– Zadzwoń do Tada, żeby wracał – zdecydował. – Kiedy tylko tu dotrze, jedziemy do Stefana. – Przyjrzał mi się uważnie. – A ty weź aspirynę. Bez sensu, żebyś była nie dość, że niewyspana, to jeszcze niepotrzebnie cierpiała.



Nie wzięłam oczywiście aspiryny, tylko ibuprofen. Adam należał do pokolenia, które na każdy środek przeciwbólowy mówiło „aspiryna”.

Niesteroidowy lek przeciwzapalny przyniósł mi ulgę, ale przypuszczałam, że muszę swoje odespać, żeby ból głowy przeszedł całkowicie. Szkoda, że w niedalekiej przyszłości nie zanosilo się na spanie.

Dom Stefana znajdował się już w samym Kennewick, ale tylko dwadzieścia minut od nas. Zadzwołam do Zee – był przyzwyczajony do moich telefonów o każdej porze dnia i nocy.

– Jeszcze jestem na nogach – oznajmiłam, starając się usilnie nie myśleć o pucharach z czaszek. – Możesz jutro otworzyć?

– Tak – potwierdził i się rozłączył.

Adam z kolei zadzwonił do swojej firmy i poinformował pracowników, że nie będzie go przez tydzień, ale w razie pilnych spraw mają dzwonić. Pomyślałam chwilę i jeszcze raz wybrałam telefon do Zee.

– Dasz radę pociągnąć warsztat przez tydzień? – zapytałam, spodziewając się powtórki z lapidarnej reakcji i kliknięcia kończącego rozmowę.

– A zatem jest nieciekawie – stwierdził nieoczekiwanie Zee.

– Całkiem możliwe. Wszystko wskazuje, że lada moment może rozpętać się piekło.

– Czyli dzień jak co dzień – parsknął Zee, powtarzając wcześniejsze podsumowanie syna. – Cóż, przynajmniej tyle

dobrego, że chwilowo nie będę się nudził. – Dopiero po tym się rozłączył.

Założyłam, że to oznacza zgodę i że zastąpi mnie przez tydzień w warsztacie.

– Zee ma rację. To już staje się normą – skrzywił się Adam. – Może powinniśmy jakoś przeorganizować się na tę nową normalność? Co powiesz na to, żeby Sherwood zamieszkał w twoim starym domu? Bez Joela i Aideny w domu nie jest już tak bezpiecznie, a niefajnie wykorzystywać Tada w roli ochroniarza jeszcze częściej, niż to robimy. W ten sposób Jesse byłaby bezpieczniejsza.

Mój dom, czyli jednosegmentowy gotowiec na kółkach, który zastąpił poprzedni, spalony do gołej ziemi, sąsiedował przez ogrodzenie (dzięki Tilly zmienione częściowo w mur) z domem Adama. Nawet jeśli sąsiedztwo to oznaczało odległość większą niż boisko do futbolu, bo oba znajdowały się na rozległych działkach. Mój dom stał pusty, odkąd Gabriel, mój poprzedni pomocnik, wyjechał na studia.

Budynek sąsiadujący z nim od drugiej strony również był niezamieszkały, odkąd jego właściciele zginęli nagłą i brutalną śmiercią, choć w zeszły piątek pojawił się przed nim znak „na sprzedaż”. Ciekawe, czy nadal nawiedzały go duchy?

Bo mój owszem, nawiedzały. Po części właśnie dlatego nikt w nim nie mieszkał. Drugi powód stanowił mur, a raczej drzwi w nim, które prowadziły na nasze podwórko, lecz jednocześnie dawały Tilly dostęp do mojego. Nie chciałam wynajmować go komuś, kto nie mógłby obronić się przed Tilly, a to mocno ograniczało pulę ewentualnych lokatorów.

– Jeśli Sherwood się zgodzi, to czemu nie? – Sherwood prawdopodobnie potrafiłby postawić się Tilly lepiej niż my. – Teraz chyba wynajmuje mieszkanie, tak?

– Tak, twój dom byłby zdecydowaną zmianą na lepsze. Ale tak mała odległość może skończyć się tym, czego o włos udało



nam się dzisiaj uniknąć. Zapytam i zawierzę jego osądowi.

– To jakby odkryć, że król Artur był pod przykrywką członkiem watahy – skomentowałam.

– Jaki król Artur? Żaden z niego król Artur. – W głosie Adama zabrzmiał niski warkot.

– Może i nie król Artur – przystałam. Pewnie ktoś rozsądniejszy poprzestałby na tym w obliczu tego warkotu, ale mnie reakcja Adama zainspirowała do mocniejszego pociągnięcia struny. – Ale to i tak ekscytujące. Może znał osobiście króla Artura? Albo Robina Hooda? – Westchnęłam z rozmarzeniem. – Ile on historii w sobie nosi.

– Nie jestem zazdrosny – oznajmił Adam. – Wiem, kiedy się ze mną droczysz.

Zaśmiałam się i wsparłam czoło na jego ramieniu.

– Myślisz, że da mi autograf?

– Zaraz ja cię zautografuję... – mruknął Adam.

– Okej, ale pod warunkiem, że ja też cię podpiszę – zamruczałam. Flirtowanie nie musiało opierać się na logice. – A ponieważ wilkołaki trudno się tatuuje, użyję brokatowego pisaka Jesse. Wolisz uwodzicielski róż czy pudrowy błękit?

Roześmiał się przekonany, że żartuję. Może i tak, ale nie powiem, obracałam ten pomysł w myślach, kiedy jego była żona, mama Jesse, utknęła tu i zdecydowanie zbyt długo zwlekała z powrotem do swojego domu w Eugene. Choć wątpiłam, by ta kobieta przejęła się, nawet gdybym nagryzmoła: „Mój ci on” na czole Adama, i to fosforyzującą farbą, to ja z pewnością czasami poczułabym się dzięki temu lepiej.

– Co jest? – zapytał Adam.

– Nic, a co? – Popatrzyłam na niego.

– Przestałaś się śmiać.

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham – odpowiedział. – A czemu przestałaś się śmiać?

– A takie tam... Zazdrość, podpisywanie... Ciesz się, że Christine w końcu się wyniosła, bo inaczej paradowałbyś z czołem wymalowanym żarówiastym pisakiem.

– Kochana, twoje imię mam wyryte na sercu – powiedział, chwytając mnie za rękę, i w jego ustach brzmiało to całkiem serio. Kiedy ja próbowałam czegoś podobnego, brzmiałam jak kiepska aktorka na castingu do hallmarkowego filmu.

Pocałowałam Adama w ramię.

– Och, wiesz, ja tylko nie chcę, żebyś skończył z flamastrowym tatuażem na twarzy.

– Zaiste, to wyglądałoby wybitnie nieprofesjonalnie – zgodził się ze mną.



## Rozdział 5

**D**om Stefana był tak duży jak nasz i dokładnie z tego samego powodu – stanowił schronienie dla wielu osób. W przeciwieństwie do naszego był jednak bardziej rozległy niż wysoki i stał w okolicy, gdzie kosztowne rezydencje zbudowano jakieś pół wieku temu.

Zewnętrzne oświetlenie było włączone, a przez niektóre okna przenikało przyćmione światło, jakby jasność pochodziła gdzieś z głębi domu. Tylko piwniczne okna były całkiem ciemne, ale wiedziałam skądinąd, że zamalowano je czarną farbą. Stefan wyjaśnił sąsiadom, że ma na dole kino domowe.

Adam zaparkował swojego nówka-sztuka-nieśmiganego SUV-a na podjeździe. Samochód był kopia dwóch poprzednich, które w tym roku stały się już ofiarami tragicznej śmierci. Adam wyznał mi, że najgorszy rok miał, jeszcze zanim się zeszliśmy, i stracił wtedy aż sześć wozów, choć nie aż tak drogich. Kiedy zapytałam, czy również tamta szóstka była czarna, zaśmiał się. Ale nie zaprzeczył.

Obok naszego samochodu stał Stefanowy Wehikuł Tajemnic, choć nikt poza nami by go nie rozpoznał, bo kolorowe malunki

busika skrywał brezent.

– Myślałem, że już go naprawiłaś – zdziwił się Adam.

– Bo naprawiłam – powiedziałam naprawdę zatroskana. – Po tym, jak przejechał się nim dymny smok, Stefan powiedział, że nie czuje się już dobrze za jego kierownicą. – Ale obecność płachty wzięłam za optymistyczny znak. Mówił: „Może nie teraz, ale kiedyś”.

– Plandeka to dobry znak – rzekł Adam. – Widać, że Stefan planuje nim jeszcze kiedyś jeździć.

Czasami kiedy Adam tracił uważność, nasza więź robiła takie hece. Przywykłam już, że słyszę własne myśli z ust małżonka albo że jego myśli pojawiają się w mojej głowie, zanim je wypowie. Nie podobało mi się to, ale kiedy nasza więź jakiś czas temu przestała działać, doszłam do wniosku, że wolę się irytować jej niedogodnościami niż milczeniem.

Przywykłam już do dzielenia się swoim życiem wewnętrznym z Adamem. Przynajmniej nie zostawałam dzięki temu sama w ślepej panice. W każdym razie przeważnie nie.

– To samo sobie pomyślałam – rzuciłam.

– Wybacz. – Skrzywił się.

Zrozumiał. Odetchnęłam, przysunęłam się do niego i pocałowałam w policzek.

– To była pozytywna myśl. Nie miałam okazji rozmawiać ze Stefanem od tej afery z dymnym smokiem.

Stefan wymigał się z kilku kolejnych wieczorów z kiepskimi filmidłami. Urządzaliśmy je sobie u Warrena w ograniczonym, kilkuosobowym gronie. To i tak sporo w porównaniu do początkowych spotkań we czwórkę, ale lepsze to niż nieunikniony chaos, gdyby wpadła do nas cała wataha. Wyrzucałam sobie, że nie zadzwoniłam do Stefana, kiedy opuścił pierwszą imprezę, tyle że w sumie moja relacja z wampirem była nieco „skomplikowana”.

Należał do najdawniejszych moich przyjaciół. Poznaliśmy się niedługo po tym, kiedy się tu wprowadziłam. Bronił mnie przed Marsilią, zanim w ogóle dotarło do mnie, że ona mi zagraża. Na moją prośbę związał mnie ze sobą, ocalając przed innym wampirem. Nasza więź zadziałała i to nie był ostatni raz, gdy uratowała mi życie.

Jednak więź z wampirem funkcjonuje inaczej niż ta wśród członków watahy czy pomiędzy partnerami. Wymusza zależność pan–niewolnik. Stefan nigdy nie wykorzystał jej w ten sposób, ale miał taką możliwość. To wystarczało, że budzić we mnie przemożny strach.

Adam pogładził mnie po policzku – tym bez sińca, żeby nie sprawić mi bólu. Nic nie powiedział, bo znał moje obawy. Czasami sam też się z nimi zmagał. Słowa wiele by mi nie pomogły, lecz dotyk przyniósł ukojenie.

Podeszliśmy ramię w ramię w komfortowym milczeniu do frontowych drzwi. Potoczyłam wzrokiem po prawie ciemnych oknach i zdałam sobie sprawę, że od przyjazdu czuję mrowienie na karku. Stefan, podobnie jak Adam, był kiedyś żołnierzem, ale walczyli w zupełnie innych armiach z całkiem różnych czasów. Stefan nie dopuściłby nigdy, żeby jego ludzie tak wystawiali się na cel. Te okna powinny być zasłonięte.

Podczas gdy ja roztrząsałam kwestię okien, Adam uniósł rękę, żeby zapukać. Nagle jednak dotarł do mnie dziwny zapach. Błyskawicznie złapałam rękę Adama, przytrzymując ją.

Adam zastygł w pół ruchu, a potem spojrzał na mnie pytająco.

Dom Stefana był świetnie wyciszony, a mimo to wydawało się mało prawdopodobne, żeby mieszkańcy nie usłyszeli podjeżdżającego samochodu – albo nie zobaczyli naszych świateł. Nie kryliśmy się, nie planowaliśmy nikogo zaskakiwać.

Mimo to zamiast odpowiedzieć, dotknęłam tylko nosa i bezgłośnie poruszyłam ustami: „Pradawny”. Nie chciałam

uprzedzać ewentualnego nasłuchującego, że coś podejrzewamy.

Adam wciągnął powietrze nosem, ale pokręcił przecząco głową. Nic nie wyczuł.

To oznaczało, że chodzi raczej o magię niż woń jakiejś istoty. Zazwyczaj rozróżniam te wrażenia, ale ta woń była bardzo słaba, zupełnie jakby ktoś chciał ją ukryć.

Posiadam dziwną, kapryśną odporność na magię. Działa niezawodnie w przypadku mocy wampirów, jednak co do reszty raz tak, raz nie. Po jednej z konfrontacji z wiedźmami testowaliśmy ją z Tadem przez całe popołudnie, ponieważ Tad uważał, że zaniedbałam temat, nawet nie sprawdzając, na jaki rodzaj magii działa, a na jaki nie. Musiałam mu niechętnie przyznać rację.

Spędziliśmy wtedy niezbyt produktywne popołudnie. Przede wszystkim dlatego, że Tad dysponował jedynie magią pradawnych, a ja z kolei nie chciałam wciągać w to żadnego wampira, zaś wszystkie wiedźmy, jakie znałam, już nie żyły. Okazało się, że moja odporność na magię pradawnych działa nieprzewidywalnie. To samo zaklęcie rzucone na mnie dokładnie w ten sam sposób raz wywierało na mnie efekt, innym razem nie. Prosiłszy o pomoc Zee, ale usłyszeliśmy: „Chaos jest nieprzewidywalny. Wyobrażanie sobie, że jest inaczej, może być groźne”.

Cóż, zawsze to lepiej posiadać choć częściową odporność niż żadną.

Zajrzałam w jedno z okien, ale nie zobaczyłam żadnego ruchu. Te odsłonięte okna i milczenie telefonu Stefana aż krzyczały, że to ktoś inny sprawuje teraz kontrolę w jego domu. I ktoś w środku posługuje się magią pradawnych.

Zaczęłam się zastanawiać, czy to wiąże się z dziwną wiadomością Marsilii i zniknięciem Wulfe'a, czy to odrębny problem i tylko zbieg okoliczności.

*Nie wierzę w zbiegi okoliczności.* Myśl należała do Adama, ale zgadzałam się z nią. Spróbowałam wysłać odpowiedź: *Myślisz, że Marsilia posłała nas w pułapkę?*

Wiedziała doskonale, że pierwszą osobą, którą zapytam o Wulfe'a, będzie Stefan.

– Zaczynam się obawiać, że wszystkie nasze wampiry znalazły się w tarapatach – mruknął mi Adam do ucha tak cicho, że nawet stojący nieopodal wilkołak by go nie usłyszał.

Wyminął mnie, zasłonił sobą i zapukał. Najwyraźniej postanowił iść przodem.

W walce siłowej Adam był jak czołg, a ja... cóż, również byłam drapieżnikiem – i to tyle. W formie zwierzęcej Adam był osiem razy większy od mojej kojocicy. Przewyższałam go odrobinę zwinnością i szybkością, ale wilkołaki były zdecydowanie lepiej wyposażone do walki.

W postaci ludzkiej, zdecydowanie korzystniejszej dla mnie w starciu bezpośrednim, miałam po swojej stronie wiele lat treningów w sztukach walki, zwieńczonych zdobytym nie tak dawno i okupionym morderczym wysiłkiem czarnym pasem. Do tego miałam przy sobie broń palną oraz kordelas. Ale i na dwóch nogach Adam przewyższał mnie umiejętnościami oraz doświadczeniem. Większość życia służył w wojsku i brał udział w bitwach, najpierw w rangerach, potem jako zwiadowca w patrolu rozpoznawczym dalekiego zasięgu w Wietnamie, a po wojnie od prawie pięćdziesięciu lat był Alfą.

Jednak w starciu, gdzie z dużym prawdopodobieństwem mieliśmy do czynienia z magią, moja nawet nieprzewidywalna odporność dawała mi fory. Czyli to ja powinnam iść przodem.

Złapałam Adama za ramię. W duchu naszego prawdopodobnie całkiem bezużytecznego zachowywania ciszy poruszałam palcami, pokazując magię, dwa razy stuknęłam się w pierś, a potem uniosłam jeden palec.

Adam zacisnął usta, a potem zwarł szczęki tak mocno, że na jego policzku pojawiła się bledsza linia. Biorąc pod uwagę tę reakcję, zadziwił mnie skinieniem głowy. Potem zniżył wyprostowaną dłoń na wysokość kolan.

To również lepsza opcja. W formie kojota stanowiłam trudniejszy cel. Zapewniała element zaskoczenia i na czterech łapach byłam szybsza. Poza tym, chociaż nie miałam na to żadnych dowodów, wydawało mi się, że również odporność na magię działa lepiej w postaci kojociej.

Zerknęłam przez ramię na drogę przebiegającą nieopodal domu Stefana. Zwykle ruchliwa, o tej porze, czyli w środku nocy, świeciła pustkami. Zzulałam szybko buty, wyskoczyłam z ubrania i przemieniłam się, kończąc zdejmować bieliznę. W przeciwieństwie do wilkołaków dokonywałam przemiany natychmiastowo i bezboleśnie.

Poczułam, jak zahaczam jednym pazurem o tkaninę, która się rozdarła. Miałam nadzieję, że to majtki, a nie nowa koszulka, którą właśnie dostałam od najmłodszej siostry z okazji jej urodzin. Ja również zawsze wysyłałam jej coś na swoje. Nawet nie pamiętałam, od czego się to zaczęło, ale już stało się tradycją. Mój nowy prezentowy T-shirt miał fosforyzujący napis: „Podczas apokalipsy zombi pamiętaj, że jestem od ciebie szybsza”.

Otrząsnęłam się z ostatnich dreszczy przemiany i oparłam się łopatką o kolano Adama na znak, że jestem gotowa.

Wyłowił ze sterty ciuchów mój pistolet, sprawdził i zatknął go sobie za pasek. Po chwili wahania sięgnął też po pochwę, wyjął kordelas i przycisnął ostrze do siebie tak, żeby żaden przejeżdżający nie dojrzał stali w jego ręku, choć ulica nadal była pusta.

Wydałam z siebie pomruk. Jelec był ze srebra.

– Nie jelec, a kabłąk – szepnął niemal niesłyszalnie. – Tylko łuk kabłąka jest srebrny. Będę uważał.



Zamarłam. To wcale nie był błąd, bo wiedziałam, jaka jest różnica między jelcem a kabłąkiem. Kiedyś nieopatrznie popełniłam tę samą pomyłkę przy Auriele, czym zasłużyłam sobie na pięciominutowy wykład, po którym już zawsze z czystej przekory nazywałam rzeczony element rękojęści jelcem. Z Auriele układało mi się ostatnio lepiej, ale nazywanie kabłąka jelcem weszło mi w nawyk.

Nie przypominałam sobie, żeby ktokolwiek uprzedzał mnie, że tylko łuk kabłąka jest srebrny, ale dobrze wiedzieć.

Tyle że nie wypowiedziałam na głos wyrazu „jelec”, bo jako kojot nie mówię. Czyli znów czytał mi w myślach.

Nieważne, że parę minut temu próbowałam tego sama. Poczułam, jak zaciska mi się gardło, a oddech więźnie w płucach. A jeśli robił to przez cały czas?

– Spokojnie, zazwyczaj tak nie jest – powiedział cicho, nie spuszczając oczu z drzwi. Uważałam, że powinniśmy zachowywać się cicho, ale najwyraźniej Adam uznał, że to zbędne. – Ale dzisiaj rzeczywiście, już kilka razy się zdarzyło. Może jestem zmęczony albo to przez ten stres z urazem głowy. Przecież bym cię nie okłamał, Mercy. Porozmawiamy o tym później, jeśli będziesz chciała.

Nie okłamywał mnie. Większość wilkołaków w ogóle nie zwracała sobie głowy kłamaniem, bo inne, jak również niektóre istoty magiczne, potrafiły rozpoznać kłamstwo. Ja je słyszałam w głosie. Adam nie okłamywał mnie nawet w bolesnych sprawach. Przypomnienie o tym, że nie będzie niczego przede mną ukrywał, pozwoliło mi się uspokoić i znów poczuć swobodnie z więzią stadną i partnerską. Kiedy przestałam stawiać opór, zaczęłam znów normalnie oddychać.

Ponieważ stałam bliżej drzwi, Adam musiał się nade mną pochylić, żeby zapukać. Kiedy trzy głośnie uderzenia nie przyniosły efektu, użył dzwonka, również trzykrotnie. A kiedy nikt w środku nie wykorzystał szansy na powitanie nas

w progu, kopnął w drzwi, rozbijając futrynę, jakby była rekwizytem filmowym.

W ten sposób zyskaliśmy dostęp do pustego, jak się wydawało, domu.

W powietrzu unosił się zapach krwi, środków do czyszczenia i wonie mieszkańców, które tworzyły charakterystyczną mieszaninę, typową dla domu Stefana. Nietypowy zapach magii pradawnych również wyczułam, jednak nie był silniejszy niż na zewnątrz.

Ostrożnie sunęłam po zimnych płytkach aż do niewielkiej przestrzeni pomiędzy holem a salonem, gdzie stało stare pianino. Tam, przyczajona w cieniu instrumentu, miałam świetny widok na salon – pusty. Adam, odczekawszy chwilę, czy coś w domu się nie poruszy, w końcu wszedł za mną z kordelasem w gotowości.

W pierwszej chwili zdziwiłam się jego wyborem broni, ale miał rację, biorąc mój kordelas, bo huk wystrzału mógłby ściągnąć nam tu sąsiadów. A bez względu na to, z czym mieliśmy do czynienia, dołożenie do tego ludzkiego mięsa armatniego w żaden sposób nie poprawiłoby sytuacji.

Kordelas w rękach obeznanego z białą bronią wilkołaka był tak samo skuteczny jak pistolet. A w przypadku niektórych magicznych przeciwników jeszcze bardziej śmiercionośny niż kula. Nigdy nie widziałam, jak Adam walczy moim kordelasem, ale widziałam, jak robi to innego rodzaju bronią białą, nie miałam więc wątpliwości, że świetnie da sobie radę.

Zyskałam czas, żeby zastanowić się nad tym dziwnym zapachem magii. Pradawni pachnieli różnie, w zależności od rodzaju posiadanej mocy. Niektórzy ziemią czy wodą, inni lasem albo ogniem. Początkowo myślałam, że wydzielają tylko cztery wonie, jak żywioły – ziemia, powietrze, ogień i woda, ale potem zetknęłam się również z innymi pradawnymi. Niektórzy

należący do Szarej Rady pachnieli jak drapieżne koty albo błyskawice, a inni po prostu sobą.

Woń tej istoty... nie kojarzyła mi się z niczym, z czym miałabym do czynienia wcześniej. Nie chodziło o to, że był to nieznany zapach, ale że było go mniej. A skoro Adam jej nie wyczuwał, musiała to być magia. Tyle że nawet do magii mi nie pasowała. Zupełnie nie wiedziałam, z czym mamy do czynienia.

Adam zamknął za nami drzwi. Oczywiście z bliska włamanie nie ulegałoby wątpliwości, jednak przejeżdżający ulicą kierowcy mogli nie dojrzeć zniszczeń – za to stojące otworem drzwi i padające na ganek światło, owszem.

Byłam kilka razy w domu Stefana, znałam więc mniej więcej rozkład. Hol i salon mogły należeć do rzemieślnika z lat dwudziestych dwudziestego wieku, ich wystrój kontrastował mocno z bezduszną fasadą, dopasowaną do nijakich budynków w okolicy. Przedpokojowe płytki w salonie zastępowała posadzka z ciemnego dębu przykryta perskimi dywanami. Znajdowały się tu sofy o drewnianej konstrukcji i ciemnobrązowe krzesła tapicerowane w naturalnej kolorystyce.

Salon otwierał się na przestronną kuchnię z jadalnią, gdzie surowość nowoczesnych, lśniących powierzchni i chromowanych dodatków łagodziły beżowe flizy. Obie te części domu nie powinny do siebie pasować, szczególnie że w zasadzie stanowiły jedną przestrzeń, ale – normalnie – dawały zdumiewająco przytulny efekt. Jednak teraz dom Stefana nie robił wrażenia przytulnego.

Panująca w nim atmosfera kojarzyła mi się z dziecięcymi wizytami w domu strachów – połączenie horroru i obskurności. Nie potrafiłam dokładnie powiedzieć, co było jej źródłem, zapach tej dziwnej magii pradawnego, czy może duch, który obserwował mnie usadowiony na dużej sofie pod szerszą ścianą salonu.

Spotkałam Daniela, jeszcze zanim stał się duchem. Teraz młody wampir tkwił pośrodku kanapy całkiem nieruchomo, jak miały to w zwyczaju wampiry. Obok paliła się duża lampa podłogowa z witrażowym kloszem, której stłumione światło widziałam w oknach. Jedyłą oznaką, że Daniel jest duchem, było to, że nie rzucał cienia, co w żadnym stopniu nie czyniło zjawiska mniej upiornym. Białe, pozbawione źrenic oczy wbijały we mnie. Tak samo wyglądał, kiedy jedyny raz widziałam go na żywo. Na tyle żywo, na ile żywe są wampiry. Tak jak wtedy, był wychudły, kruchy, a bladą czaszkę ocieniał kilkudniowy odrost zgolonych włosów. Po pozbawionej emocji twarzy płynęły łzy.

Osobiście nie czułam się komfortowo, mieszkając z takim duchem jak Daniel, ale Stefan nie wiedział, że ma lokatora-zjawę. A jeśli, to nie ja mu o tym powiedziałam.

Staralam się ignorować ducha, ponieważ uwaga z mojej strony je wzmacnia. Nie jego tu szukaliśmy, a Stefan z pewnością nie podziękowałby mi za doładowanie energetyczne uduchowionego współlokatora.

Adam zatrzymał się pośrodku salonu i powoli obracając, zlustrował dokładnie całe pomieszczenie, ze szczególną uwagą przypatrując się pogrążonemu w półmroku korytarzowi prowadzącemu do sypialni oraz otwartym drzwiom do piwnicy. Oczywiście nie widział Daniela.

Adam poruszał się bezszelestnie, ale nie dlatego, że musiał. Brutalne wyważenie drzwi narobiło tyle huku, że zaalarmowałyby każdego w domu, nawet jeśli przegapił nasz podejżdżający samochód. Zachowywał się cicho wiedziony odruchem w reakcji na nieznaną niebezpieczeństwo. Pomyślałam, że mógł się tego nauczyć, jeszcze zanim został wilkołakiem, kiedy polował i ukrywał się w azjatyckiej dżungli.

Miałam wrażenie, że coś na nas czyha, a wcześniejsze przecucie, że to pułapka, przekształciło się w opartą na

instynkcie pewność. Nie wiedziałam tylko, czy zastawiono ją na nas, czy może upragnioną zdobyczą miał być Stefan.

Czułabym się głupio, gdybyśmy zareagowali przesadnie, a Stefan przebywałby ze swoimi ludźmi w siedzibie chmury albo na zabawie integracyjnej. Zanotowałam sobie, żeby zapytać Stefana, czy urządzają w ogóle imprezy integracyjne, a potem zastanowiłam się, na czym mogłyby polegać zawody urządzone przez wampiry, i postanowiłam na wszelki wypadek o nic nie pytać.

Pocieszałam się, że skoro jedynym duchem w domu jest Daniel, to dobry znak, a przecież nie słyszałam odgłosów innych istot. Oprócz przynajmniej ośmiorga ludzi o tej porze w domu powinno się znajdować jeszcze kilka świeżo upieczonych wampirów. Gdyby zostali zabici, duchów byłoby więcej. Przytknęłam nos do posadzki, próbując pochwycić ślad tajemniczej istoty o nieznanym mi zapachu.

Z nosem przy podłodze obeszałam wkoło cały salon, kończąc u boku Adama. Nie usłyszałam ani nie wyczułam śladu bytności tego, na kogo polowaliśmy, postanowiłam więc zaczekać, co zdecyduje Adam.

Nie miałam za bardzo ochoty myszkować po sypialniach, gdzie ciasnota utrudniałaby walkę z jakąś paskudą. A co do piwnicy... Przez uwięzienie w piwnicy wiedźm nabawiłam się chyba piwnicofobii, bo czułam silny opór przed wkroczeniem w ciemną czeluść.

Adam zrobił dwa kroki w stronę kuchni, żeby lepiej widzieć i ją, i jadalnię. Sama już miałam ruszyć w tym kierunku, kiedy Daniel złapał moje spojrzenie. Nie był duchem w rodzaju tych, które wchodziły w interakcje ze światem żywych, więc zaskoczył mnie, kiedy przeniósł bielmowate oczy ze mnie na sklepiony sufit.

Podążyłam za jego wzrokiem i szczerknęłam ostrzegawczo, ale było za późno. Z sufitu prosto na Adama skoczyło coś

bladego, wielkości i kształtu volkswagena garbusa, i przygniotło mojego towarzysza do podłogi z grzmotnięciem, które wstrząsnęło posadami domu.

Skoczyłam na szeroki, gładki grzbiet stwora, licząc, że uda mi się wbić w niego kły i ściągnąć go z Adama. Spodziewałam się, że poczuję pod łapami coś miękkiego, ale wylądowałam na zimnej, twardej powierzchni przypominającej lodowisko. Pazury stuknęły o skorupę, a nie mogąc się w nic wczepić, musiałam przebierać łapami, żeby nie zsunąć się z poruszającej się pode mną istoty.

W miękkim świetle lampy cielsko wydawało się prawie białe, z lekkim zielonkawym odcieniem. Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Nieco przypominało pająka, ale korpus składał się z dwóch segmentów. Ten, na którym balansowałam, był większy. Straszycło miało sześć długich odnóży o dwóch stawach każde. Gdyby ktoś, kto nigdy nie widział pająka, zbudował jego model na podstawie opisu przedszkolaka, jego dzieło odzwierciedlałoby to, z czym mieliśmy do czynienia. Zwłaszcza gdyby przedszkolak bał się pajaków... I nie umiał liczyć do ośmiu.

Nogi bestii porastały srebrne igłowate włoski, układające się płasko na powierzchni. Umiałam zabijać jeżozwierze tak, by się nie poranić o ich kolce, liczyłam więc, że może pod odpowiednim kątem uda mi się bezpiecznie wgryźć w odnóże.

Musiałam coś zrobić, bo stwór przygniał Adama.

Maszka zatrzęsała się jak marakasy, wydając przy tym korespondujące dźwięki. Czując, że się zsuwam, zeskoczyłam na podłogę, gdzie miałam lepszą przyczepność i łatwiej mogłam zaatakować odnóże.

Mniejszy, okrągły segment, który okazał się głową, okręcił się, śledząc moje poczynania. Dziwny to był ruch, jakby głowa połączona była z tułowiem za pomocą zaczepu kulowego, a nie kości czy ścięgien. Stwór trochę przypominał w tym sowę, taką

w wersji jak z horroru. Przez mgnienie widziałam jego rozwartą paszczę, bez zębów i języka, za to z jakimś wiszącym i wijącym się fałdem, a potem w moją stronę poleciała kula śliny, przezroczystej mazi, którą chyba uważał za swego rodzaju broń.

Uznając osąd stwora za słuszny, uchyliłam się, jakby substancja była kwasem, a ta, gdy wylądowała na deskach i skraju dywanu, rozproszyła się w mgiełkę. Postanowiłam traktować plwocinę pająka jako coś niebezpiecznego.

Jednocześnie odliczałam, jak długo Adam znajduje się pod stworem. Podczas walki sekundy wydawały się godzinami, a naliczyłam do tej pory już trzy.

Na całe szczęście Adam, nawet przypląszczony do podłogi, nie był bezbronny. Podczas gdy ja oceniałam najwłaściwszy kąt ataku na odnóże maskary, Adam dźwignął się na nogi, ciskając stwora na pianino. Instrument przetrwał, gdy kiedyś ktoś mnie na niego popchnął, ale albo Adam zrobił to mocniej, albo może nie miałam tej masy, co pajak wielkości garbusa, bo pianino załamało się w deszczu drzazg, brzęku pudła rezonansowego i pękających strun, które chlasnęły stwora z taką mocą, że pancerz aż pękł lekko w kilku miejscach.

Pająkowaty potwór wyprostował się przy mdlącym klekocie odnóży, a potem smyrgnął – o ile można tak powiedzieć o takim olbrzymie – w stronę Adama.

Ten, w całkiem dobrym stanie mimo czasowego przygniecenia, czekał spokojnie z kordelasem w gotowości. Monstrum stanęło na czterech tylnych odnóżach, dwoma przednimi zamierzając się na Adama.

Adam uniknął pierwszego ataku subtelnym obrotem i ciął ostrzem, kiedy kończyła go mijała. Uderzył lekko, ale stal zadzwoniła, jakby zderzyła się ze metalem.

Mój kordelas nie przypominał szerokiej maczety z filmów rysunkowych o piratach, ale był dość masywny, a niedługi,

lekko zakrzywione ostrze umożliwiało skuteczną walkę w zwarciu – jak na pokładzie okrętu. Zack powiedział, że broń, nagrodę za zwycięstwo w grze komputerowej, na której punkcie wataha miała obsesję, wybrali właśnie ze względu na odpowiednią dla mnie długość klingi.

Podczas tego pierwszego uderzenia Adam testował, jak ostrze zachowa się w kontakcie z ciałem wroga. Podczas drugiego ataku potwora celował już w staw, jednak znów nie wyprowadził ciosu z całej siły, jak by zrobił to, gdybyśmy mieli do czynienia z normalniejszą tkanką i kością. Poprowadził klingę tak, jakby walczył z przeciwnikiem uzbrojonym również w ostrze.

Uważał najwyraźniej, że pancerz na powierzchni odnóży jest tak samo twardy albo twardszy od stali. I znów broń zaśpiewała, odbijając się od kończyny.

Widząc, że nie zanosi się na łatwe zwycięstwo, poczułam się bezużyteczna jak krem z filtrem w Seattle. Uważałam, że jestem wystarczająco zwinna, żeby unikać ataków, ale skoro kordelas w ręku Adama nie wyrządzał potworowi krzywdy, to ja nie miałam na to większych szans.

Przyjrzałam się bacznie spodowi tułowia bestii w nadziei, że będzie to miękkie podbrzusze, wydawało się jednak osłonięte takim samym pancerzem, jak reszta.

Adam zamachnął się po raz trzeci, celując w miejsce połączenia odnóży z tułowiem. Stworzenie mogło poruszać korpusem w pionie od położenia się płasko na ziemi do uniesienia na dwa metry w górę, a staw znajdował się aktualnie na wysokości barku Adama. Ostrze nie wydało tym razem dźwięcznego odgłosu, ale nie widziałam, żeby zraniło stworza. Pająk szarpnął się do tyłu z syczeniem o natężeniu takim, jak kropla wody wpuszczona do wrzącego oleju. A więc coś chyba poczuł.



Zareagował po trafieniu, cofnął się, ale nie była to reakcja taka, jak większości pradawnych na żelazo. Stal nie pozostawiła oparzeń. Jeśli zawartość żelaza w stopie dawała nam jakąkolwiek przewagę, to nieznaczną. Istnieli pradawni odporni na moc żelaza oraz jego młodszej siostry, stali. Należał do nich Zee.

Właśnie zastanawiałam się nad możliwymi słabymi stronami naszego przeciwnika, kiedy uświadomiłam sobie, że pająk nie wydziela zapachu. To nie on był źródłem woni, którą nadal czułam. Może używał magii, żeby zamaskować swój zapach? Co prawda nie słyszałam o pradawnym, który tak robi, ale nie oznaczało to, że tego nie potrafili. Może ten sześcioramienny pająk był właśnie tego przykładem? Brakowało zapachu, a więc nic konkretnego nie wskazywało, że ten stwór jest pradawnym. A przecież byłam taka pewna, że jakiś pradawny tu jest. Natomiast jeśli to nie pająka wyczułam, gdzieś w domu znajdowała się inna istota posiadająca moc. Zapamiętałam sobie ten wniosek, ale jego sprawdzanie odłożyłam na później, bo przecież nie mogłam zostawić tu Adama, nawet jeśli nie mogłam mu pomóc.

Obserwując pełen wdzięku, niebezpieczny taniec Adama, miałam czas, żeby rozważyć szersze implikacje tej sytuacji. Pająk był magiczną istotą. Zaatakował nas niesprovokowany w domu naszego sojusznika.

Gdybyśmy natknęli się na niego, powiedzmy, w stodole, na ten nieprzypadkowy przykład, nie przejmowałabym się tym tak bardzo. Pojedynczy magiczny osobnik mógł przecież się wyłamać i na nas napaść, a gdybyśmy sobie z nim nie poradzili, wyręczyłaby nas w tym społeczność pradawnych. Ale tutaj? W domu Stefana, osoby stanowiącej pomost pomiędzy wilkołakami a wampirami? Czyżby obecność tego stworza tutaj wiązała się z tym, przed czym usiłowała nas ostrzec Marsilia?

Czyżby któryś z Szarych Panów przetrzymywał w niewoli nasze wampiry? To mogłoby wyjaśniać ten pełen melodramatyzmu sposób zlecenia nam misji, podobnie jak tajemnicze niedopowiedzenia.

Aż pisnęłam, widząc, że pająk zdołał zranić odnóżem Adama w łydkę aż do krwi. Adam jednak nie zareagował, poza tym, że zaczerpnął mocy watahy, żeby przyspieszyć leczenie. Postanowiłam chwilowo bardziej przejmować się tym, czy uda się zgładzić Szelobę (za przeproszeniem Tolkiena), niż roztrząsać ewentualne katastrofy, które mogły się zdarzyć w przyszłości.

Adam skrzywił się przelotnie, a ja poczułam zapach przypalonego mięsa – musiał nieostrożnie dotknąć srebra na kabłąku. Cofnął się, robiąc sobie więcej miejsca i przy okazji dając go więcej przeciwnikowi.

Jednak pająk, zamiast skrócić dystans, zakołysał się w tył, niczym koń stający dęba, tyle że nie oderwał brzucha od podłogi. Ostre końcówki odnóży pod ciężarem cielska żłobiły szramy w deskach. Wspierając się stabilnie na dwóch kończynach, uniósł pozostałe cztery i wykręcił dziwny łeb w stronę Adama, a srebrzyste igły włosków stanęły na sztorc, złocąc się w bursztynowym świetle lampy.

Przywarłam do ściany i zaczęłam przekradać się wzdłuż niej, licząc, że zajęty walką z Adamem stwór nie zauważy, że usiłuję go zająć od tyłu. Chciałam jakoś pomóc Adamowi, choć jeszcze nie miałam pomysłu jak, skoro moje kły były nieprzydatne. Przypomniałam sobie o pęknięciach w skorupie po uderzeniach strunami, ale niestety, nie zdołałabym przecież rzucić w stwora pianinem.

Czułam, że choć Adam nie patrzy w moją stronę, wie, gdzie jestem. Wyprowadził gwałtowne uderzenie. Nie wiem, czy uczynił to, bo od początku zamierzał to zrobić, czy starał się

zająć pająka, ponieważ moja ścieżka przebiegała dość blisko pradawnego.

Walka przypominała demoniczny pojedynek szermierczy. Ruchy przeciwników były błyskawiczne, pająka przedziwnie płynne, a tym bardziej niesamowite, że prawie nie ruszał odwołkiem. W pozycji, jaką przybrał, odsłaniał podbrzusze, ale nadal nie dostrzegałam żadnego słabego punktu. Różniło się od grzbietu tylko jeszcze gęstszym, srebrzystym owłosieniem. Widząc precyzyjne ruchy maskary, pomyślałam, że nie pierwszy raz mierzy się z wrogiem uzbrojonym w ostrze.

Nagle potwór plunął na Adama.

Kiedy przyjrzałam się Adamowi, miał na policzku czerwoną pręgę, ale zajęta badaniem brzucha stwora, nie zauważyłam, czy został uderzony kończyną, czy może to efekt śliny. Rana na nodze co prawda przestała krwawić, ale trochę ją oszczędzał.

Adam chwycił kordelas nieco inaczej i zamiast klingą grzmotnął pająka kabłąkiem. Celował w jedno z pęknięć i tym razem jego cios pozostawił po sobie siatkę cieniutkich rysek, ale przy okazji wokół rozszedł się wyraźny zapach spalenizny.

Odskoczył i oderwał oplecione wokół ostrza palce, a przy każdym dotyku srebro parzyło mu skórę. Gdy tylko uwolnił rękę, zanurkował pod opadającym odnóżem i rąbnął w pancerz dokładnie w to samo miejsce, tym razem sztychem.

Rozległ się trzask, jakby pękało szkło. W pierwszej chwili myślałam, że to skorupa pająka, ale zorientowałam się, że odgłos dochodzi z innej strony.

Przy zrujnowanym pianinie w morzu szklanych odłamków ze stłuczonego okna stał król goblinów. Ciekawe, czemu wskoczył przez zamknięte okno zamiast przez zniszczone drzwi?

Choć nie miał butów, nie przejmował się, że stoi na ostrych odpryskach. W zasadzie nie miał nie tylko butów, ale też całej reszty ubrania, poza czarną przepaską biodrową. Jego ciało,

podobnie jak Adamowe, składało się z samych mięśni i ścięgien, choć wydawało się bardziej żylaste, jakby jego mięśnie działały inaczej niż nasze. W czteropalczastych dłoniach o dodatkowych stawach trzymał dwa krótkie ostrza. Najwyraźniej miał twardą skórę, bo kiedy strząsnął z ramion resztki szkła, nie miał nawet zadrapania.

Zerknął na mnie żółtozielonymi ślepiami, a jego wargi drgnęły w uśmiechu, choć nie wiedziałam, czy rozbawił go mój widok, czy cieszył się na walkę. Larry, król goblinów, kochał brutalną przemoc.

Adam, pochłonięty odwracaniem uwagi pająka, nie zareagował na brzęk szkła, a Larry po kilku ostrożnych krokach nagle zaczął biec, odbił się i skoczył na grzbiet stwora tak jak ja wcześniej, tylko bardziej z boku, próbując zbić go z nóg. Maszkara zachwiała się i musiała podeprzeć się jedną z kończyn zaangażowanych w walkę z Adamem.

Odnóże zaryło w drewnie, napinając się, a kiedy goblin w nie uderzył, wykręciło się jeszcze bardziej. Adam wykorzystał to i zadał cios z góry w uszkodzony wcześniej staw, przecinając go ostatecznie.

Odcięty fragment poleciał w moją stronę i oberwałabym nim, gdybym nie czmychnęła w czarną paszczę otwartych drzwi do piwnicy. W salonie rozległ się rumor łamanych mebli, a ja, pośliznąwszy się na najwyższym stopniu, siłą rozpędu zaczęłam staczać się w dół. Na szczęście cztery łapy zapewniały mi większą zwinność niż dwie nogi, zdołałam więc zatrzymać się na trzecim schodku. Miałam nadzieję, że Stefan wybaczy mi rysy na pięknie polerowanym drewnie. Natomiast kawałek odnóża przefrunął mi nad głową, stoczył się niżej, wpadł w szczelinę między stopniami i huknął o coś twardego na samym dole. Podłogi piwnicznej nie widziałam, bo w pomieszczeniu panowały egipskie ciemności.

Już miałam się odbić i wdrapać z powrotem na górę, kiedy zatrzymał mnie zapach.

Subtelna woń magii, którą ledwie wychwytywałam na parterze, biła z piwnicy gęstymi falami chłodu. Zimno wibrowało mocą, aż zjeżyła mi się sierść. Zupełnie jakbym, przekraczając próg, przeszła jakąś barierę blokującą zapach pradawnego oraz aurę jego magii.

Zaraz potem zdałam sobie sprawę, że nie widzę dolnej części swoich łąp, jakbym stała po kolana w zalegającym piwnicę mroku.

Ta dziedzina bardziej należała do Larry'ego, a ja miałam na tyle rozsądku, by umieć przyznać, że coś mnie przerasta. Poszłabym po goblina, gdyby nie dwie sprawy. Po pierwsze, na górze nadal toczyła się bitwa. Drugim powodem było to, co poczułam w tej magii.

Podczas uwięzienia w piwnicy Elizawiety nauczyłam się wyczuwać zaklęcia. Składają się z wątku i osnowy, tak jak tkanina. Magia wypełniająca piwnicę Stefana dopiero się gromadziła, kłębiła i splatała w coś potężnego.

Zaklęcie tej klasy wymagało całkowitego skupienia i nie pozwalało rzucającemu odwracać uwagi, dopóki nie zostało ukończone. Rozproszenie groziło rozpadem zaklęcia, przypuszczalnie w spektakularny sposób. Jednak zmuszona wybierać pomiędzy efektami wyczelowanego przez wroga zaklęcia a nieprzewidzianymi skutkami wybuchu magicznej bomby, zawsze wybrałabym chaos.

Być może dlatego, że nie byłam specjalistką od zaklęć.

Niestety, żeby przerwać tkanie czaru, ktoś musiał zejść w tę przerażającą czerń. Ktoś, czyli ja.

Nastawiłam uszu i zaczęłam zbiegać w dół. Nie musiałam widzieć schodów, bo były równe, a choć mogłam iść ciszej, stukot pazurów na drewnie dodawał mi otuchy. Poza tym nie

sądziłam, żeby unikanie hałasu mogło mnie przed czymś uchronić.

Zejsście do Stefanowej piwnicy było elegancką ażurową konstrukcją, zarówno jeśli chodzi o bieg, jak i barierkę. W horrorach tego rodzaju stopnie oznaczają, że ktoś stojący pod nimi może złapać za nogę schodzącego. Nie sądziłam, że w całym wszechświecie ktoś mógłby stąpać ostrożniej niż ja, stawiając łapy.

Zanurzając się w mrok, skupiałam się na dźwiękach, jednak odgłosy bitwy wybijały się na pierwszy plan. Trzaski, huk, brzęk szkła, dziwne chrupnięcia... Wydawało mi się nawet, że słyszę bolesne stęknięcie Adama. Pode mną zalegała głusza. Jeśli coś tam oddychało, robiło to bezgłośnie.

Po pokonaniu kilku stopni pod obolałymi, pokłutymi włoskami pająka poduszkami poczułam warstewkę lodu. Wciągnęłam nosem powietrze – pachniało mrozem. Być może był to efekt uboczny tworzonych zaklęć albo też jego pierwsza faza. Jeśli myliłam się co do tego, że rzucający nie może oderwać się podczas tkania magii, mogłam wpaść w poważne tarapaty. Najpierw pokazałam się na szczycie schodów, a potem zaczęłam nimi schodzić, obierając przewidywalną ścieżkę.

Uznawszy, że mam dość roli łatwego celu, zeskoczyłam bokiem przez barierkę, lądując na czymś, co mogło być regałem na książki. Samo lądowanie wyszło mi trochę niezgrabnie, ponieważ spodziewałam się, że skok będzie dłuższy, a powierzchnia gładka i wolna, a nie rzeźbiona i zastawiona jakimiś naczyniami. Kiedy strąciłam przypadkiem kilka na ziemię, po odgłosie oceniłam, że mebel ma jakieś dwa metry wysokości.

Piwnica Stefana była bardzo głęboka. Mogłam się założyć, że ten dom w ogóle nie miał na planie piwnicy. Kiedy się poruszyłam, z regału spadło coś jeszcze, coś długiego, co wydało mi się znajome. Jakiś drąg albo coś przypominającego laskę. Od

zastanawiania się nad naturą przedmiotu oderwał mnie wysoki, świdrujący pisk, po którym nastąpił potężny huk, jakby cielsko o gabarytach małego samochodu o coś uderzyło.

Gdzieś obok, mniej więcej u stóp schodów, rozległ się potężny trzask jakby pękającej kry. Dźwięk poniósł się echem po całym domu, uderzając we mnie falą jak pięścią. A na koniec runął mebel, na którym stałam, a ja razem z nim.

Wygrzebałam się ze sterty książek i innych przedmiotów i zaczęłam łazić po omacku, dopóki nie znalazłam czegoś, pod co udało mi się wpełznąć. Tam, pod jakimś niskim stolikiem czy wysoką ławą, znieruchomiałam.

– Mercy? – usłyszałam głos Adama.

Zadarłam głowę, ale nie byłam w stanie przebić wzrokiem ciemności. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że światło z parteru nie oświetli piwnicy, ale żebym z dołu nie widziała żadnej jaśniejszej plamy w miejscu drzwi?

– Mercy? – zawołał Adam po raz drugi.

Nie chciałam się odzywać, żeby nie zdradzić swojej kryjówki. Odgłosy przedostawania się do niej zagłuszył rumor, prawdopodobnie rozpadających się schodów, miałam więc nadzieję, że to, co pograżyło piwnicę w absolutnym mroku, również nic nie widzi i nie wie, gdzie się schowałam.

Jakieś trzy metry ode mnie, zdecydowanie za blisko, rozległ się krzyk. Dźwięk zaczął się w wysokim rejestrze, prawdopodobnie poza skalą słyszalności człowieka, a potem zniżył się o kilka oktaw i brzmiał tak, że omal nie wyskoczyłam ze skóry.

Na sam koniec usłyszałam pstryknięcie i pomieszczenie zalało jasne światło. Adam wraz z królem goblinów, poobijani i pokrwawieni, stali w otworze, od którego powinny zaczynać się schody. Miałam rację, siedziałam w przestronnym pomieszczeniu, bibliotece wielkości mniej więcej salonu

i kuchni. Tak jak na parterze, i tutaj znajdował się korytarz prowadzący do innych pokoi.

Schody, a raczej to, co kiedyś nimi było, leżały w formie drewnianych szczątków wielkości gigantycznych zapalek, które zostawiono podczas mrozu pod włączonym spryskiwaczem. Fanom mogły też przypominać Fortecę Samotności z „Supermana” z Christopherem Reeve’em. To wszystko zobaczyłam tylko kątem oka, ponieważ patrzyłam w stronę, skąd dochodził wrzask.

W masywnym drewnianym fotelu ustawionym naprzeciwko podestu, nietkniętego, nawet jeśli wybielonego lodem, siedziała skulona... cóż, chyba kobieta.

Jej ciało było tego samego koloru wymacerowanego w wodzie trupa, co tułów pająka, ale pozbawione twardego pancerza. Skóra wyglądała na sflaczałą, jak zbyt długo nadmuchiwany balon.

Szczuplejsza niż zwykły człowiek, miała jasnoszare włosy ułożone w długie warkocze z wplecionymi w nie małymi, czarnymi koralikami. Sześć bardzo długich palców w każdej dłoni kończyły czarne czubki.

Jednolita czerń oczu uniemożliwiała stwierdzenie, na co kobieta patrzy, czy na mnie, Adama, goblina, czy może na Daniela siedzącego na podłodze dokładnie w połowie drogi pomiędzy nią a mną. Możliwe też, że nie patrzyła na żadne z nas.

Wokół niej, przyczepiona do słupków barierki zrujnowanych schodów, a także ścian i podłokietników oraz nóg fotela, rozciągała się lodowa pajęczyna. Kobieta wykrzywiła się w paskudnym uśmiechu i wyciągnęła rękę w stronę siatki z lodu.

Czułam, jak magia zespala się w coś pod wpływem dłoni zbliżającej się do mroźnej koronki. Zadziałałam, nie zastanawiając się, co robię. Po prostu odbiłam się,



przeskoczyłam przez Daniela w sam środek pajęczyny, a wyciągnięty palec zamiast białych włókien dotknął mnie.



Mróz wpełzł mi aż do kolan, a piekące zimne powietrze, spływając do płuc, próbowało zamrozić mi nozdrza. Łapy i końcówki uszu paliły żywym ogniem.

Fatalnie, że w którymś momencie się przemieniłam, bo gęste kojocie futro lepiej by się tu spisało, a tak zanurzone w śniegu stopy i łydki już wydawały się zdecydowanie cieplejsze niż reszta golizny.

Stałam pośrodku rozległego śnieżnego pustkowia. Teren, na którym się znalazłam, był lekko pochyły, jak górską halą. Z trzech stron pole otaczały wielkie iglaki, ale rosły za daleko, bym mogła rozróżnić gatunek. Czwartej strony nie widziałam, bo nie chciałam się odwracać.

Co jednak oczywiście uczyniłam.

Okazało się, że stoję na bosaka na skraju urwiska, tuż przy wielkiej dziurze, tak czarnej, jak biały był śnieg, w którym tonęły moje stopy.

– Uważaj – ostrzegł mnie Daniel. Popatrzyłam na niego. Stał obok mnie, pochylając się nad przepaścią.

Wyciągnął rękę ku ciemności, po czym odwrócił twarz w moją stronę.

– *Hic sunt dracones* – powiedział.

Łacina, pomyślałam, nie włoski. Dopiero po chwili dotarło do mnie, dlaczego słowa te wydają mi się znajome.

– Tu żyją smoki – powiedziałam na głos.

Przytaknął i znów przemówił:

– *Hic sunt leones*.

– Tu żyją... lwy? – przetłumaczyłam.

Ponownie skinął głową, po czym rozpostarł ramiona jak wielki ptak gotujący się do lotu. Palcami musnął mnie w ramię.

– *Hic sunt...* – Nie opuszczając ramion, jakby zamierzał skoczyć, Daniel uśmiechnął się smutno, a potem zwrócił twarz ku ziejącej czerni. – ...wilki – dokończył głosem Stefana.

– Stefan? – zaszepotałam, ale lęk przed czeluścią był zbyt wielki. Pragnęłam iść w stronę jego głosu, a zamiast tego cofnęłam się o krok, całkiem zapominając, że w takich miejscach geografia rządzi się innymi prawami.

Tym razem pod stopami miałam nicość, a czerń zbliżyła się, dosięgając mnie.

– *Witaj, córko Kojota* – przemówiła otchłań.



## Rozdział 6

**O**ddychaj, do cholery – warknął Adam, a ja gwałtownie wciągnęłam powietrze, ponieważ tak mi kazał. Jednak reszta mnie nadal spadała w czarną pustkę. Po jakimś czasie uświadomiłam sobie, że leżę na wykafelkowanej posadzce podziemnej biblioteki Stefana ze słabnącym smakiem otchłani na języku.

Poruszyłam się, żeby się podnieść, tyle że stojąc w śnieżnej zaspie, byłam w ludzkiej postaci, więc mój mózg spodziewał się dwóch nóg. Cztery łapy wprowadziły takie zamieszanie, że wydawało się, że rozmnożyły się do sześciu czy nawet siedmiu. Zaczęłam się miotać, czując nadchodzącą falę paniki, która cofnęła się, gdy tylko Adam pomógł mi wstać.

Trzęsłam się, a własny oddech otaczał mnie mgiełką, choć wcześniejszy szron powlekający powierzchnie w piwnicy przemienił się w wilgoć i kilka mokrych kałuż na podłodze.

Adam siedział przy mnie obok połamanego fotela. Potarł czoło i zamknął oczy, a drugą ręką pewnie przesuwiał po sierści na moim karku. Widziałam gwałtownie pulsującą żyłkę na jego szyi, kiedy robił wydech. Miałam ochotę się z nim podroczyć

o to, że przy mnie przeklina, żeby odwrócić i jego, i swoją uwagę od minionych chwil paniki, lecz w kojociej formie musiałam poprzestać na piśnięciu. Zacisnął palce na mojej sierści.

Jego oddech nie zmieniał się w parę. Mój przestał po trzecim razie, gdy wytchnęłam z siebie resztki powietrza z miejsca, które odwiedziłam. O ile w ogóle gdziekolwiek się stąd przeniosłam.

Potoczyłam wzrokiem po zrujnowanej bibliotece, szukając czegoś, co pomogłoby mi określić upływ czasu. Daniel siedział tam, gdzie wcześniej, wpatrując się w dal. Ciekawe, czy nadal szybował przez ciemność z rozpostartymi ramionami, czy może po prostu straciłam przytomność i to wszystko mi się przyśniło.

Odwróciłam się, słysząc lekkie kroki. Z korytarza wyłonił się Larry. Trzymał w dłoniach dwa miecze z brązu, lewe ostrze ociekało gęstą czarną cieczą, która pachniała dla mnie jak krew, choć nie miała typowej barwy.

Larry popatrzył na mnie, a potem przeniósł wzrok na Adama. Ostrza buchnęły ogniem. Kiedy płomień zgasł, na posadzkę opadł drobny popiół, a klingi lśniły jak nowe.

– Zabiłeś ją? – zapytał Adam. Uznałam, że chodzi mu o tkaczkę zakłéc, której zniszczyłam sieć.

– Tak. I tak była prawie martwa, więc to był w zasadzie akt łaski. – Król goblinów znów na mnie popatrzył, tym razem spod zmarszczonych brwi. – Nikt mi nie mówił, że Mercy jest łamaczem zakłéc. – Mówił łagodnie, lecz w jego oczach igrały groźne błyski.

– Jej też tego nikt nie powiedział – odparł Adam szorstkim tonem pobudzonego wilka. – Pewnie dlatego, że nim nie jest. Nie mogę ci zdradzić wszystkich naszych sekretów, królu goblinów, ale powiem to tak. Mercy jest córką Kojota, a to znaczy, że magia śmierci ma z nią niejakie problemy. Generalnie każda magia nietypowo działa w jej obecności.

Adam otworzył oczy. Złociły się jasno. Od kilkunastu godzin Adam i jego wilk toczyli ze sobą walkę o prymat. Nie wyglądało to najlepiej.

Larry uprzejmie odwrócił wzrok, ale nie przestał podchodzić. Zatrzymał się dopiero dwa kroki od nas. Doskonałe wyczucie, oceniłam. Centymetr bliżej, a Adam by się poderwał. Biorąc zaś pod uwagę kolor jego oczu, w przypadku innego wilkołaka ten gwałtowny ruch mógłby oznaczać utratę kontroli.

– To nie była magia wampiryczna – zauważył Larry.

– Czasami... – Adam urwał i zacisnął palce na moim futrze. Podjął dopiero po dłuższej chwili. – Czasami inne rodzaje magii również na nią nie działają. Ale jej odporność na magię działa na chybił trafił.

Larry przykucnął, schodząc do naszego poziomu, choć nadal unikał patrzenia prosto na Adama.

– Cóż, wobec tego dobrze, że tym razem trafił – skwitował. – To zakęcie zabiłoby nas wszystkich i zrównało ten dom z ziemią. – Spojrzał na mnie. – Oczywiście sposób, w jaki je przełamałaś, mógł zrównać z ziemią miasto. – Rozejrzał się, przymknął oczy i odetchnął. – Albo i nie. Lekkomyślna farciara. Mój ulubiony typ sojusznika. Ale w partnerce to żadna zaleta, co? – Uśmiechnął się. Nie odwrócił się do Adama, ale to do niego adresował swoje słowa.

– Też nie jestem święty – przyznał Adam już prawie normalnym głosem i rozluźnił palce, a jego dotyk znów stał się pieszczotą. – Oczyszczyć dom czy mam sprowadzić swoich ludzi?

– Zabiłem tkaczkę, była tu jedyną żywą istotą. Jak w całym domu zresztą. Moja czujka mówiła, że o zachodzie słońca podjechał tu biały bus z wypożyczalni i ludzie Stefana nim odjechali.

– Wszyscy?

– Na pewno dwa wampiry świeżaki – wzruszył ramionami goblin. – Reszta trzódki Stefana nie stanowi zagrożenia, więc

moja goblina nie zwracała na nich szczególnej uwagi. Możemy sprawdzić na górze, ale raczej nikogo tu nie ma. W końcu nikt się nie pojawił, a hałasu trochę było.

Podczas ich rozmowy nieco do siebie doszłam, a kiedy oszołomienie pobylem w strasznym, zimnym miejscu minęło, pomyślałam trzeźwo, że czas na nas. Zanim ktoś, kto sprowadził tutaj pradawną i pajaka, uzna, że jeszcze mało nam rozrywki. Kichnęłam, żeby przyciągnąć uwagę Adama, i zwróciłam pysk w stronę drzwi na parter.

– Masz rację – zgodził się. – Nie ma sensu tu siedzieć.

Wstał i wziął mnie na ręce.

– Gotowa? – zapytał.

Mimo intonacji było to raczej uprzedzenie, nie pytanie. Bez dalszej zwłoki podrzucił mnie wysoko na kikut podestu przy drzwiach.

Przefrunęłam przez drzwi i jeszcze trzy metry, zanim wylądowałam. I omal nie wpadłam na obrzydliwe truchło pajaka, które wyglądało jak w trakcie przemiany w glutowatą kałużę. Na szczęście zdołałam wyhamować, choć przy okazji narażając Stefana na cyklinowanie...

Rozejrzałam się po ruinach, które kiedyś były domem Stefana. Jeśli w salonie ocalał jakiś mebel, był zakopany pod resztą. W ścianach ziały dziury, a szklarza wymagało nie tylko to okno, przez które wskoczył Larry.

Odwróciłam łeb, słysząc z tyłu hałas. Adam wdrapywał się na próg, a kiedy tylko odsunął się od drzwi, na podeście wylądował lekko Larry. Goblina są niezwykle zwinne.

Przemieniłam się w człowieka, żeby móc mówić, choć większy ciężar ciała sprawił, że poranione stopy bolały bardziej. Jednak dało się wytrzymać.

– Wiesz, co to za pradawni? Ten atak był wymierzony w Stefana? A może to próba podkopania naszego traktatu z magicznymi? – zarzuciłam Larry'ego pytaniami.

– Musimy porozmawiać – zgodził się. – Ale lepiej nie tutaj. Może u was?

– Musimy natychmiast jechać do siedziby chmary – stwierdziłam.

Stefan żył. Poczulałabym, gdyby było inaczej. Tyle że wampiry są terytorialnymi stworzeniami, jak wilkołaki, więc nie pozwoliłyby ot tak rządzić się innym we własnym domu. Coś mu się przytrafiło, tak samo jak Marsilii. I może to samo stało się z Wulfe'em? Tylko w takim razie dlaczego Marsilia nie chciała, żebyśmy szukali Stefana? Tak czy owak wizyta w chmarze wydawała się oczywistym posunięciem, a o czwartej nad ranem ktoś tam z pewnością jeszcze nie spał.

Adam nie protestował. Wręczył mi ubranie. Na szczęście to majtki ucierpiały w spotkaniu z moim pazurem, a nie koszulka. Założyłam dżinsy, a poszarpaną bieliznę wepchnęłam do kieszeni. Założyłam stanik, paski i szelki z futerałami na różnoraką broń, koszulkę, skarpetki i buty. Adam podał mi pistolet.

– Tego nie da się naprawić – stwierdził, wyciągając ku mnie rękę z kordelasem. Wykrzywionym. Z odłamanym czubkiem. I czarnymi wżerami po całości, jakby ktoś spryskał klingę kwasem.

Spojrzałam na pajęczego pradawnego, coraz bardziej płynnego.

– Spełnił swoje zadanie. Ale chyba sprawię sobie nowy. Może tym razem bez srebrnego jelca.

– To nie jest jelec – obruszył się Adam i parsknął śmiechem, bo wyrecytowałam te słowa wraz z nim.

– Musimy porozmawiać – przypomniał Larry. – Dzisiaj. Są sprawy, o których musicie wiedzieć.

– Możesz jechać z nami – zaproponował Adam. – Albo mogę zadzwonić do ciebie po drodze do chmary, albo jak będziemy wracać do domu.

Larry popatrzył na kałużę z pająka i pokręcił głową.

– Nie powinniście jechać do siedziby chmary.

– Coś się stało? – zaniepokoiłam się.

– U was? – rzucił Larry, ostentacyjnie ruszając do wyjścia. Był na bosaka. A chrzęszczące pod stopami szkło nie robiło na nim wrażenia.

Moje własne stopy, pokłute ostrymi włoskami magicznego stwora, były dziwnie odrętwiałe. W sumie chyba na szczęście, że odrętwiały, bo kiedy pierwszy raz odzyskałam ludzką postać, bolały jak diabli. W okolicy rosły wiechliny, których ostre plewy potrafiły wbić się w poduszeczki i wyjść z ropą dopiero po kilku tygodniach. Mnie ta przyjemność ominęła, ale mojego kota nie. W każdym razie musiałam pamiętać, żeby obejrzeć podeszwy albo poprosić kogoś o to.

Odłożyłam to jednak na jutro. Zadrżałam, kiedy przez rozbite szyby wdarło się jesienne powietrze, i popatrzyłam na Adama. Przyglądał mi się czujnie.

Wzruszyłam ramionami i wyszłam za Larrym. Adam zamknął drzwi. Wyglądały, jakby mógł je otworzyć silniejszy poryw wiatru, ale gdyby ktoś chciał się dostać do domu, to i tak mógł to zrobić przez dziurę, która niegdyś była oknem.

Wszyscy troje ruszyliśmy w kierunku SUV-a.

– Masz powody, żeby odwodzić nas od wizyty w chmarze? – zapytał Adam.

– Nie odwodzę – zaprotestował Larry. – Uważam jednak, że musicie poznać pewne fakty. Nie chcę mówić o tym gdzieś, gdzie moglibyśmy zostać podsłuchani, więc rozmowa telefoniczna odpada.

Adam popatrzył na mnie wyczekująco.

Musiałam znaleźć Stefana. Tak silnym, wytrzymałym istotom można zadawać ogromne cierpienia. Usłyszałam echo jego głosu: „*Hic sunt...* wilki”. Słyszałam w nim nutę lęku, która



budziła we mnie przekonanie, że muszę natychmiast ruszać na poszukiwania.

Potałam czoło, uświadamiając sobie, że dłonie też mam pokłute. Czy naprawdę słyszałam wtedy Stefana? To nie miało znaczenia, bo i tak musieliśmy go znaleźć.

Spojrzałam przez ramię na dom Stefana, zniszczone drzwi i wybite okna.

– Dlaczego nie wszedłeś przez drzwi, Larry? – zapytałam.

– Przez okno łatwiej. Poza tym zazwyczaj wchodzi się drzwiami, więc tego właśnie wszyscy się spodziewają. A ja nie lubię działać przewidywalnie. Dzięki temu żyję już tak długo.

Przed oczyma stanęła mi Marsilia spowita dymną szatą i Stefan, do którego domu się wdarto i który to dom stał teraz opuszczony. Tyle pytań i żadnej odpowiedzi. A może by tak dla odmiany podjąć decyzję, która zwiększyłaby i moje szanse na długowieczność?

– Może rzeczywiście lepiej wdrzeć się do siedziby chmary za dnia – oznajmiłam. – I zabrać ze sobą wsparcie.

– Wdrzeć? – zdziwił się Adam. – Myślałem raczej o grzecznym zapukaniu do drzwi. Jak tutaj. – Przyjrzał się krytycznie zniszczonym drzwiom i westchnął. – Cóż, z drugiej strony całkiem możliwe, że skończy się też tak jak tutaj.

– Wstrzymajmy się jednak z tym trochę – zaproponowałam.

– Dobrze – zgodził się Adam. – Jedźmy do nas. Podwieźć cię? – zapytał goblina, bo w pobliżu nie stał żaden inny samochód.

– Dzięki, mam podwózkę – odmówił Larry i zagwizdał.

Z cienia przy okrytym płachtą Wehikule Tajemnic wytruchtał spory kuc bez rzędu i siodła. Zbliżył się, postukując kopytami o betonowy podjazd, i zaprezentował nam swoje umaszczenie, tak typowe dla kuców – ciemnobrązową sierść i srebrzystoszare ogon i grzywę.

Kiedy Larry wskakiwał na klaczkę, ta łypnęła na mnie złowrogo, marszcząc chrapy. Larry uspokoił ją kilkoma

niewalijskimi słowami (te rozpoznawałam, bo dorastałam wśród ludzi, którzy się posługiwali walijskim), ale brzmiącymi podobnie. Może kornwalijskimi? Słyszałam już, jak mówi w tym języku. Kiedyś muszę go o to zapytać, pomyślałam.

Król goblinów powinien wyglądać komicznie na takim małym koniku, bo nogi zwisały mu do kolan klaczki, ale jakimś cudem doskonale do siebie pasowali. Kuc ruszył, a Larry z gracją urodzonego jeźdźca natychmiast dostosował się do jego ruchów. Charles, syn Brana, potrafił tak jeździć.

– Spotkamy się u was – rzucił i pomknęli żwawym galopkiem.

Konie są głośnie w ruchu z powodu ciężaru oraz twardych kopyt – dudnią i tętnią, a na twardej powierzchni, jak szosy czy chodniki, robią jeszcze więcej hałasu, stukając. A jednak klacz Larry’ego poruszała się bezszelestnie.



Kiedy dojechaliśmy, Larry siedział na schodkach przed drzwiami. Zdążył się też przebrać w bardziej typowy strój, buty, dżinsy i koszulkę. Za jego plecami stał Tad oparty o framugę, jakby własnym ciałem bronił wejścia do domu. Język ciała obu mężczyzn wyraźnie wskazywał, że nie są wobec siebie przyjaźnie nastawieni.

– Magiczne kuce rozwijają niezłą prędkość – skomentował Adam, choć byłam przekonana, że całą uwagę skupia na scenie na ganku.

– Nie wsiadłabym na tego konika nawet, jakbyś mi zapłacił – oświadczyłam i zamknęłam drzwiczki możliwie cicho. Co prawda najbliżsi sąsiedzi mieszkali daleko, ale nocą dźwięk się niesie, a nie chciałam nikogo obudzić.

Dbanie o zadowolenie i spokój sąsiadów domu pełnego wilkołaków jest jednocześnie zadaniem niezwykle istotnym, jak i niezwykle trudnym do wykonania. Niewielu ludzi cieszy się

na myśl, że za ich płotem biegają wilkołaki. Magia watahy pomagała czasem tłumić hałasy, ale nie mieliśmy takich możliwości jak pradawni, żeby za pomocą iluzji ukryć zniszczenia, jakie czasem powodowali nasi wrogowie.

Za każdym razem, kiedy stało się u nas coś niepokojącego, piekłam i zносиłam sąsiadom ciasteczka, ale i tak dwie z ośmiu nieruchomości na naszej ulicy wystawiono na sprzedaż. A ostatnim razem, kiedy niosłam ciastka, miła pani z wielkiego szarego domu nie otworzyła mi, mimo że ją słyszałam przez drzwi. Chyba dobrze, że nie mieszkaliśmy jak Stefan, w ludniejszej okolicy bliżej miasta.

– Dobrze, że już jesteś, Larry – powitał goblina Adam i zwrócił się do Tada: – Dziękuję za pomoc. – Z tego samego powodu co ja ostrożnie zamknęłam drzwiczki, on mówił cicho.

Larry skinął głową, ale się nie podniósł. Tad wyprostował się i zrobił krok w kierunku Adama, ze zdziwieniem przyglądając się jego poszarpanemu w walce i powalanemu śluzem ubraniu. Zerknął też na mnie, ale porwane części mojej garderoby spoczywały ukryte w kieszeni. Wyobrażałam sobie, że siniec na twarzy rozkwitł pełnią koloru, ale przecież widział go już wcześniej.

Pokręciłam przecząco głową, odpowiadając na jego nieme pytanie. Nie, nie znaleźliśmy Stefana.

– Nie zrozumcie mnie źle, nie mam nic przeciwko nadgodzinom, przeciwnie – zaczął Tad, nie drążąc tematu Stefana w obecności Larry’ego. – Tylko może byłoby prościej, gdybym wynajął twój domek, Mercy? A przynajmniej ten, który stoi w miejscu twojej spalonej przyczepy.

– Właśnie rozmawialiśmy z Adamem, czy nie zaproponować tego Sherwoodowi – powiedziałam powoli, bo pomyśl, żeby zamieszkał w nim Tad, wydawał mi się nawet lepszy niż sprowadzanie tu Sherwooda. Zerknęłam na Adama.

– Jeszcze z nim nie rozmawialiśmy – zauważył. – A może lepiej, żebyś był pod ręką. Możemy nawet potraktować czynsz jako część twojego wynagrodzenia.

– Z tym że mieszkanie tam wiąże się z paroma niedogodnościami – zaznaczyłam. – I nie chcę ich przed tobą ukrywać.

– Tak, wiem, drzwi Podgórza. – Tad przekrzywił głowę w stronę muru. – Ona mi nie przeszkadza. Według jej skali jestem płotką. Taty nie lubi, ale również się go trochę obawia. I choć jedno albo drugie mogłoby wzbudzić jej ciekawość, to łącznie zapewni mi bezpieczeństwo do czasu, aż wymyśli, jak zemścić się na pradawnych. Tata też tak uważa.

Larry zaśmiał się, ukazując szpiczaste zęby.

– A więc tym się zajmuje? Ha, kiedy zaczniesz, ktoś będzie miał zabawę, jak za dawnych czasów.

Tad spojrział na niego przeciągle, lecz wyraźnie się rozluźnił. Cokolwiek zaszło pomiędzy nimi przed naszym przyjazdem, nie było to nic poważnego.

– Wydaje mi się, że nadal są zdziwieni, że ich nie lubi – powiedział Tad kwaśno, zupełnie jak ojciec.

– Głupcy – skwitował Larry. – Nie mogę się doczekać, aż pył opadnie.

Tad uśmiechnął się do goblina, a potem zwrócił do mnie:

– Mogę się wprowadzić w sobotę.

A jeśli Wulfe nadal będzie mnie prześladował, choć na razie wydawało się to mało prawdopodobne, czy nie zagrozi Tadowi? Prawdopodobnie nie, odpowiedziałam sobie sama. Z tych samych powodów, co w wypadku Podgórza. A jeśli tak? Cóż, Tad z pewnością umiał o sobie zadbać, może nawet lepiej niż Sherwood.

Zazwyczaj dzieci z mieszanych związków pradawnych ze śmiertelnikami posiadały znacznie mniej mocy od magicznego rodzica, ale czasami z takiego związku rodził się ktoś

o nieprzeciętnej potędze. Nie mogłabym powiedzieć, że Tad jest potężniejszy od swojego ojca, ale tylko dlatego, że nie znałam zasięgu mocy żadnego z nich.

Jednak Podgórze nie była jedynym problemem, jeśli chodziło o mój dom.

– Poza kwestią Podgórza jest jeszcze duch mojej zamordowanej sąsiadki – dorzuciłam.

– Tej Cathers? – Tad posmutniał. Również znał moich sąsiadów.

– Tak, Anny. Nie trwa to długo, więc może jeszcze zblednie. Nie wiem, ile widzisz i słyszysz, jeśli chodzi o duchy, ale jest za każdym razem, kiedy tam zachodzę. W zeszłym tygodniu omal nie przyprawiła o zawał specjalistki od wentylacji.

Błędnie zakładałam, że tylko ja widzę ducha mojej sąsiadki, ponieważ tak to zwykle było. Zaprosiłam instalatorkę i zostawiłam ją w domku. Nie uszłam trzech kroków, kiedy wypadła stamtąd biała jak prześcieradło. Obiecałam sobie, że nie wpuszczę tam już nikogo bez ostrzeżenia.

Tad tylko wzruszył ramionami.

– Wymienialiśmy się z Anną przepisami na zapiekanki. Pewnie nadal będziemy się dogadywać. Przywykłem do duchów. Mieszkanie ojca też jest nawiedzone.

Skrzywiłam się lekko. Nie było aż tak nawiedzone, dopóki przypadkiem nie zwróciłam zanedo uwagi na ich ducha. Od tamtej pory podobno strącał przedmioty z półek i chował przed nimi drobiazgi, ważne drobiazgi – na przykład kluczyki do samochodu.

– Jeśli nie da rady, zawsze może się wyprowadzić – stwierdził Adam.

– No tak. Więc dobrze.

– No to ustalone – ucieszył się Tad. – To widzimy się w sobotę. Chyba że wcześniej. – Pomachał nam na pożegnanie i oddalił się w stronę swojego auta.

– Co tu się wydarzyło, zanim dojechaliśmy? – zapytałam goblina. Nie robiłam tego z czczej ciekawości. Musiałam wiedzieć, jeśli nie mogłam zostawiać moich sojuszników samych bez nadzoru.

– Chyba pilnował domu przede mną. – Larry wzruszył ramionami. – W sumie może trzeba mu było odpuścić...

Usłyszałam końskie parsknięcie, choć nigdzie nie widziałam kucyka. Ale Larry odchylił głowę i uśmiechnął się, najwyraźniej wiedząc, gdzie stoi jego wierzchowiec. Gdy się odwrócił, nadal miał roześmiane oczy.

– Wasz chłopak bardzo poważnie traktuje swoją pracę. Możliwe, że trochę go przycisnąłem, żeby sprawdzić, jak sobie poradzi. Zostawiliście syna Pobłogosławionego Żelazem na straży swojej córki, tak? Bardzo mądrze.

– Dziękuję – stwierdził Adam sucho.

– Szczególnie że odesłaliście stąd Dotkniętego Ogniem, jak mówią moi ludzie, oraz demonicznego psa. – To było raczej stwierdzenie, nie pytanie.

– Owszem – potwierdził Adam.

Larry łypnął na niego poirytowany.

– Ja tu próbuję wyciągnąć z ciebie informacje, przyjacielu. Jednowyrazowe potwierdzenie czegoś, co już wiem, nie jest zbyt przydatne.

– Uhm – przytaknął Adam z nutą rozbawienia.

Goblin prychnął ze zniecierpliwieniem.

– Odesłałeś ich ze względu na ich dobro czy wasze?

– A może wyprowadzili się, bo skończyli remont? – zasugerowałam. Pradawni nagminnie kłamią, zadając pytania, więc nie spodziewałam się, żeby Larry mi uwierzył.

– I zabrali ze sobą Dotkniętego Ogniem, żeby pomagał im z tibicena – uśmiechnął się Larry. – Tyle że remont skończyli miesiąc temu, więc dlaczego akurat teraz?

– Wiesz, że Wulfe prześladowuje Mercy – stwierdził Adam. Stwierdził, bo gobliny obserwowały bacznie pewne osoby. To wiedza, którą zdobywały, czyniła z nich tak cennych sojuszników. – Nie chcieliśmy, żeby Joel lub jego żona stali się przypadkowymi ofiarami. I owszem, Aideną zabrali, żeby pomógł im kontrolować tibicena.

– A skoro mowa o Wulfie – wtrąciłam. – Nie wiesz może, gdzie jest?

Larry wstał, udając, że robi to z wysiłkiem.

– Tę rozmowę należy przeprowadzić w środku.

Zaniepokojona, że może zauważył tu jakiegoś intruza, wciągnęłam nosem powietrze, rozglądając się. Adam zrobił w tej samej chwili to samo.

Kuc Larry’ego, który pachniał przypadkiem jak każdy inny koń, znajdował się gdzieś blisko. Poza nim nikogo nie wyczuwałam.

– Nie, nikt obcy się tu nie kręci – zapewnił nas Larry na widok naszych czujnych postaw. – Ale całkiem niedaleko mieszkają istoty, które mają fantastyczny słuch. – Podobnie jak Tad przechylił głowę, wskazując na tyły domu. – Absolutnie doskonały.

Ostrzegął nas.

– Ze środka nie słyhać? – zapytałam.

– Dom został otoczony barierą przez waszego magicznego wilka – wyjaśnił Larry. – Z zewnątrz nie da się podsłuchiwać. – Jeśli zabrzmiała w tym jakaś smętna nuta, zignorowaliśmy to.

Wiedziałam, że Sherwood postawił ochronę wokół domu, ale słowa Larry’ego uświadomiły mi, że nie wiem, jak dokładnie działają jego zabezpieczenia. Wulfe pokonywał je bez trudu. No, ale Wulfe sam ustanawiał dla siebie zasady, do których się stosował.

Adam przytrzymał nam otwarte drzwi. Nie wydawał się poruszony wypowiedzią Larry’ego, jakby doskonale znał zakres

działania zaklęć ochronnych Sherwooda.

Zerknąwszy przelotnie na schody prowadzące na piętro, gdzie spała Jesse, Adam powiódł nas do piwnicy, żebyśmy jej nie obudzili. Główne pomieszczenie piwniczne zostało przerobione na pokój wypoczynkowy, gdzie wataha relaksowała się i grała na komputerach. Zgromadzone tutaj meble nie miały stałych miejsc i były bardzo intensywnie użytkowane.

Dwie sofy stały naprzeciwko siebie, jedna całkiem nowa, druga na wykończeniu. I mocno osierściona. Adam usiadł na tej wymęczonej, pozostawiając goblinowi czystą. Ja wzięłam spod ściany rozkładane krzeselko, ustawiłam je przy siedzisku Adama i zasiadłam na nim przodem do oparcia.

– Jeśli siądę na tej cudownie miękkiej kanapie, natychmiast zasnę – wyjaśniłam zaskoczonemu Adamowi. – Od tej chwili oficjalnie nie śpię dobę, podczas której w dodatku się przemieniłam.

Adam spojrzał na mnie z troską, choć przecież wstaliśmy o tej samej porze. Na szczęście przy Larrym nie przyszłoby mu do głowy odsyłać mnie do łóżka czy zrzędzić.

– Wobec tego wyjaśnij, dlaczego jesteśmy obecnie w naszej piwnicy zamiast w siedzibie chmary – poprosił goblina.

Larry popatrzył na niego z powagą.

– Gobliny zawierają sojusze. Zawsze działaliśmy w sojuszach. Ale nie miewamy sojuszników.

Chyba wcześniej niż Adam zrozumiałam, co to oznacza. Sojusznicy. Przyjaciele. Konkretni ludzie, którym na sobie zależy. To była niezwykle znacząca oferta od króla goblinów. W ciągu bardzo długiej historii pradawnych, której znałam jedynie wycinki, gobliny boleśnie utwierdziły się w przekonaniu, że są same.

Adam odchylił się na oparciu.

– Czemu my?



– Skomplikowane pytanie. – Larry wydał usta. – Wilkołacze watahy dbają o swoich. Jedynie w sytuacjach, gdy na szali jest bezpieczeństwo watahy albo jej członka, są skłonne mieszać się w sprawy innych. – Uśmiechnął się, prezentując pełny garnitur zębów, ale kiedy podjął, zniżył głos do szeptu. – Córka Kojota zmieniła twoją watahę, Adamie. Zmieniła ciebie. Teraz wataha dorzeczka Kolumbii to grupa bohaterów chroniących niewinnych, bezbronnych, a czasem nawet wrogów. – Zawiesił na moment głos. – Nawet gobliny. Siła dla prawa.

– „Camelot” – powiedziałam automatycznie, rozpoznając motto, a ponieważ Adam zerknął na mnie pytająco, wyjaśniłam: – „Siła dla prawa” to motto przewodnie musicalu „Camelot”.

– Cóż, nie jesteś królem Arturem – stwierdził Larry sucho – ale chodzi o sens. To, co robisz, może zmienić stosunki, jakie odwiecznie panują w społeczności istot nadprzyrodzonych. – Uśmiechnął się znowu. – Najmłodsze gobliny bawią się w bohaterskie wilkołaki. Nawet starsze się wciągnęły.

– Ty chyba też, sądząc po twoim występie w domu Stefana – zauważył Adam. – Co innego, gdybym poprosił cię o pomoc, a co innego przybycie na ratunek z własnej woli.

– Owszem – zgodził się goblin. – Chciałbym, żeby nasi ludzie stali się przyjaciółmi.

Przyjaciele wymieniają się informacjami.

– Nasza dzisiejsza wizyta u Stefana to efekt ciągu wydarzeń – powiedziałam i opisałam melodramatyczny występ Marsilii i zlecenie wytropienia Wulfe’a.

– Ja znalazłem się tam, ponieważ jedna z moich czujek zadzwoniła, że tam jesteście.

– Szybko działacie – stwierdziłam, bo od naszego przyjazdu do pojawienia się Larry’ego minęło może dziesięć minut.

– Byłem niedaleko. – Wzruszył ramionami. – Miałem przecucie. – Zamilkł, zastanawiając się nad tym, co powiedzieć dalej. Albo porządkując myśli. A może, żeby upewnić się, że

słuchamy go z uwagą. W wypadku Larry'ego mogło to być każde z trojga.

– Powinam skontaktować się z Beauclaire'em? – zapytałam.

– Możesz, aczkolwiek ja nie prosiłbym go o pomoc.

Nie o to mi chodziło.

– Wygląda mi to na coś większego niż wyskok dwóch pragnących zaistnieć pradawnych. A jeśli grupa pradawnych obrała na cel wampiry, żeby zniszczyć traktat, to Beauclaire powinien o tym wiedzieć – wyjaśnił za mnie Adam.

– To nie byli pradawni – oznajmił Larry.

– Oczywiście, że tak. – Postukałam się po nosie.

– Półpradawni? – Adam przyglądał się uważnie Larry'emu.

Larry uniósł palec na potwierdzenie.

– Dla Szarej Rady nie są pradawnymi. Nie mają mocy, żeby zerwać układ.

Larry wymówił słowa „Szara Rada” z nutą niesmaku. Podobnie jak kot Schrödingera, gobliny jednocześnie były pradawnymi i niepradawnymi. Zauważyłam, że trzymając się tego założenia, rzadko kogoś obrażam.

– A więc pradawni półkrwi – powtórzył Adam. – A czyjej sprawie służą?

– Może własnej? – podsunęłam. Tad nie należał do żadnych grup półkrwi pradawnych, ale mówił mi, że nie raz mu to proponowano.

Moja kocica, Medea, wyłoniła się z jakiegoś zakątka i wskoczyła Larry'emu na kolana. Okręciła się dwa razy, ułożyła wygodnie i zaczęła mruczeć. Obserwowaliśmy ją, bo chyba ze zmęczenia przestaliśmy na chwilę rozmawiać.

– Gobliny jedzą koty – ostrzegł ją Larry.

Medea pougniatała mu nogi i zamruczała głośniej. Larry poddał się i zaczął ją głaskać.

– Oj, co jej się stało z ogonem? – zapytał z troską niepasującą do smakosza kotów.

– To manx – wyjaśniłam. – Nic jej się nie stało z ogonem, bo te koty ich nie mają.

– Aha – uspokoił się kotożerca i wrócił do tematu. – Wydaje mi się, że ci mieszkańcy należą do Bonaraty.

– Z tego, co słyszałem, jest we Włoszech – zauważył Adam.

– Tak, mam te same informacje – przyznał Larry. – Ale w piątek mój człowiek obserwujący siedzibę chmary zameldował o jakimś poruszeniu. – Przerwał i dodał: – Przez Wulfe’a musimy prowadzić obserwację z dystansu. Technologia w tym wypadku się nie sprawdza. – Zastanowił się przez moment, po czym podjął jakąś decyzję. – W waszym zresztą też nie – oznajmił. – Nasze urządzenia w domu przestały działać wkrótce po tym, jak do watahy przyłączył się ten trzynogi wilk.

Poprzez więź wyczułam, że Adam jest zły, że gobliny nas podsłuchiwały. Zły, ale nie zaskoczony. Jednak niczego nie dał po sobie poznać.

– A te na zewnątrz padły, kiedy Podgórze otworzyła na waszym podwórku swoje przejście – dodał Larry. – Mamy wciąż przekaz z kamer, tyle że trudno ufać jego prawdziwości. Czasami wyświetla nam się też Disney Channel.

– O – skwitowałam. Nie posądzałam Tilly o poczucie humoru. Ani o to, że zna Disney Channel.

– Ja nie zauważyłem żadnych problemów w działaniu naszych kamer. – Adam zaakcentował „naszych”.

– Podgórze jest waszym gościem, więc oczywiście nie może psuć waszych, skoro zapewniają wam bezpieczeństwo – wyjaśnił Larry.

– Mówisz więc, że w piątek przy siedzibie chmary coś się działo? – przywołałam właściwy temat. Jeśli Larry uważał, że pojawił się Bonarata albo że ktoś działa tutaj na jego polecenie, musiałam o tym wiedzieć.

– Tak, przyjechało kilka luksusowych czarnych samochodów z bardzo mocno przyciemnionymi szybami. Nic aż tak

nietypowego, a jednak. Paliło się więcej świateł i był większy ruch niż normalnie. I znów, niby to nic takiego, co zmuszałoby mojego goblina do pilnego kontaktu. Żadnych hałasów, Wulfe dopilnował, żeby sąsiedzi chmary nie mieli powodów do narzekań. Ale o drugiej w nocy teren siedziby opuściło piętnaście samochodów, a moja czujka nie była w stanie ustalić, co lub kogo wiozły. Od tamtej pory żaden z moich goblinów nie widział wampirów Marsilii, założyliśmy więc, że to one znajdowały się w samochodach.

– Żaden z twoich ludzi ich nigdzie nie widział? – zapytałam z niedowierzaniem. Larry miał oczy i uszy wszędzie, w całym Tri-Cities. Widział i słyszał wszystko. – Ale przecież Wulfe był tutaj jakoś w sobotę.

Larry popatrzył na mnie z ukosa.

– Mój goblin, który pilnuje domu, go nie widział. Niestety, w przypadku Wulfe'a to nic nietypowego. Jesteś pewna?

– Owszem, jesteśmy pewni – wyręczył mnie Adam. – Leżał na mojej części łóżka.

Larry odchylił się, a jednocześnie czterema palcami zaczął drapać Medeę pod szyją.

– A więc Marsilia miała rację, macie dobry powód chcieć, żeby Wulfe trafił z powrotem do grobu. – Spojrzał w zamyśleniu na Adama. – Możecie mi jeszcze raz dokładnie opisać, jak wyglądało spotkanie z Marsilią? Ze wszystkimi szczegółami, jakie pamiętacie?

Adam przejął pałeczkę, bo pamiętał wszystko lepiej niż ja, choć i ja dorzuciłam parę detali.

– Płonący kamień, nie siarka? – upewnił się Larry, kiedy skończyliśmy.

– Tak, płonący kamień – potwierdził Adam.

Płonący kamień różnił się siarki tak, jak woda utleniona od zwykłej, z tym że w wypadku siarki ładunkiem dodatkowym była magia. Ludzie nie rejestrowali różnicy, ponieważ nie

wyczuwali mocy, a to ona właśnie przesądzała o przydatności płonącego kamienia do obrzędów magicznych.

– Ciekawe – podsumował Larry. – Możliwe, że płonący kamień był użyty do wytworzenia dymu, ale pomaga też ukryć zapach. Co, poza identyfikacją istoty, umożliwia wam węch?

– Pomaga odkryć kłamstwo, ale Marsilia nie kłamała – powiedziałam. – Raczej nie. Po tak długim czasie, kiedy ma się nos wspomagający wykrywanie kłamstwa, wyczuwa się je też bez zapachu.

Adam skinął, potwierdzając moje słowa.

– Gdyby chciała nas okłamać, nie dobierałaby tak szczególnie słów – dodał. – Potrafimy też wyczuć krew – powiedział powoli. – Było coś...

– Miała coś na szyi. – Wskazałam palcem miejsce pod swoją żuchwą. – Chyba rozcięcie, bo skaleczenie miało równe brzegi. Ale jeśli ta rana to efekt czegoś, co wydarzyło się w chmarze w piątek... Po takim czasie na wilkołaku nie byłoby ani śladu. Jak szybko regenerują się wampiry? – Pytanie było retoryczne, bo regenerują się bardzo szybko, jeśli regularnie żerują.

– Na goblinie też zresztą – dodał Larry. – A wampiry? Jeśli jest dobrze odżywiony, a rana nie jest poważna, to kwestia raczej godzin niż dni.

– Gdyby potrzebowała pomocy, przyszłaby po nią do nas – mówiłam dalej. – Do watahy, a nawet do ciebie, Larry. Potrafi się teleportować. – Podobnie jak Stefan, ale nie miałam pewności, czy Larry o tym wie.

– Tak. – Jeśli nie wiedział, świetnie to ukrywał. – Aczkolwiek wątpię, żeby przyszła do mnie. Jeśli Marsilii i Stefana tu nie ma, to nie chcą tu być. – Uniósł dłoń, powstrzymując argument, który właśnie miałam przedstawić. – Istnieje wiele powodów, dla których tak mogłoby być. Dodajmy to do tajemnicy.

– Są zakładnikami – rzekł Adam ponuro. – Marsilia mówiła jak zakładnik terrorysty na przekazie wideo. Bardzo uważnie

dobierała słowa.

– Albo jakby potem miał ją przepytac o to, co nam powiedziala, ktoś, kto potrafi wykryc kłamstwo – dodalam.

Wampiry nie potrafiły tego zrobic tak jak wilkołaki, tyle ze nasza chmara posiadala magiczny artefakt, który za pomoca krwi, magii i zadawania cierpienia przesłuchiwanemu mógł wykazac kłamstwo. Aż potarlam dłonie na wspomnienie.

– *Hic sunt dracones* – mruknelam zamyślona.

Larry spojrzal na mnie ostro.

– Co? – zapytal Adam, zauwazywszy jego reakcje.

– Tu zyja smoki – przetlumaczył Larry. – Czemu to powiedzialas?

Juz mialam go zbyc, lecz przyszlo mi do glowy, ze moze to naprawde cos znaczy.

– Kiedy dotknelam lodowej pajeczyny, mialam... chyba sen. – Opowiedzialam im, czego doswiadczylam.

– Kim jest Daniel? – zapytal Larry, kiedy skonczylam. – W chmarze ani u was nie ma zadnego Daniela.

– Nie widziales ducha w domu Stefana? – Koty widzialy duchy. Nie wiem, czemu zalozyłam, ze gobliny tez. – Daniel byl jednym z ludzi Stefana. – Reszta wydawala sie skomplikowana, wiec poprzestalam na streszczeniu: – Przypadkiem dostal sie w tryby wampirzych rozgrywek, nie ze swojej winy i... – posluzylam sie slowami Larry'ego – powrotil do grobu. Teraz nawiedza dom Stefana, choc chyba tylko ja go widze.

– Siedzial na kanapie, kiedy walczyliśmy z pajakiem – powiedzial Adam.

Co to moglo oznaczac? Czyzby Daniel nagle sie wzmocnil? A moze Adam mógł pozyczac sobie moje umiejetności, tak jak ja jego autorytet?

– Tez go widziales? – zdziwil sie Larry. – Dzisiaj? W domu Stefana?

– Przed, w trakcie i po jednej oraz drugiej walce. Ale po wszystkim nie wyszedł za nami na parter.

– Miałaś go na świeżo w pamięci, kiedy dotknęłaś sieci – stwierdził Larry, jakby to coś wyjaśniało.

– Tak, nawet bardzo świeżo – przytaknęłam, przypominając sobie, jak po otwarciu oczu zobaczyłam twarz Daniela. – Chyba można się było spodziewać, że zobaczę go we śnie. – A może został tam wciągnięty ze mną?

– Ciekawe, czy to był sen, czy może coś innego – zastanawiał się Larry na głos.

– Futro miała oszronione, a jej oddech parował – przypomniał Adam. – Jakby wcześniej biegała po tajdze.

– Smoki, lwy i wilki – mruknął Larry.

Odchrząknęłam.

– Smoki, lwy i... chyba raczej Wulfe.

– Coś ci to mówi, Larry? – zapytał Adam, bo goblin nagle zeszywniał.

– Możliwe, że nawet sporo – przyznał Larry po chwili. – To... Wiecie, jak stare wampiry dostają swoje Imiona?

Król goblinów wyraźnie powiedział ostatnie słowo wielką literą, jakby oznaczało coś innego niż po prostu zwykłe imię.

– Chodzi ci o te, jak Władca Nocy dla Bonaraty czy Żołnierz u Stefana? Słyszałam, że ludzie bali się wypowiadać ich prawdziwych imion, bo wierzyli, że wtedy zło może ich usłyszeć.

– Stary przesąd. – Larry machnął ręką. – Choć w wielu tkwi ziarno prawdy. Ale w tym wypadku chodzi o to, że Imię może posiadać wielką moc, może wpływać na to, jak postrzegany jest ten, który je nosi. Słyszając, że Stefan to Żołnierz, ludzie mogą go zlekceważyć, bo przecież żołnierz przyjmuje tylko rozkazy.

Adam chrząknął z rozbawieniem.

Nigdy o tym w ten sposób nie myślałam.

– A Władca Nocy musi być kimś ważnym i potężnym?

– A Potwór kimś strasznym – przytaknął Larry. – I taki był.

Potwór, James Blackwood, nie żył. Powrócił do grobu. Z moją pomocą.

– Teraz nazywamy Wulfe’a Zaklinaczem – ciągnął Larry – ale kiedyś był zwany Smokiem.

Smoki. Miałam serdecznie dość smoków. Mieliśmy za sobą przygody ze smokiem zombi, smoczątkiem-ożywicielem do tej pory nawiedzającym mnie w koszmarach, z których budziłam się z płaczem, drżąc ze strachu. A potem ze smokiem dymnym, który przejmował umysły, kłając swoje ofiary. Uświadomiłam sobie, że masuję ramię, w które mnie ugryzł.

– Smok – powtórzył Adam, rzucając Larry’emu ostre spojrzenie.

A ja? Ja nie byłam w stanie naostrzyć niczego przed kilkugodzinną drzemką. Ze zmęczenia aż bolały mnie kości.

– Myślisz, że to Wulfe stoi za kłopotami wampirów, a nie Bonarata? – Adam ściągnął brwi w zadumie. – Wulfe posiada moc, żeby powstrzymać Stefana i Marsilię od zwrócenia się do nas o pomoc, to pewne, ale czemu miałyby to robić?

– Nie mam pojęcia. – Larry wzruszył ramionami. – Motywy działania Wulfe’a są jasne tylko dla niego. Jeśli wyciągnąć esencję z tego, co mówiła Marsilia, to była w zasadzie prośba o znalezienie Wulfe’a.

– I ostrzeżenie, że jeśli go nie znajdziemy, skończy się to dla nas fatalnie. Dla naszej watahy konkretnie – mruknęłam. – Ale skąd Wulfe wytrzasnął pakiet półkrwi tkaczka plus pajak? To Bonarata gromadzi mieszaińców pradawnych o użytecznych umiejętnościach. – Ja nie miałam z nimi do czynienia, bo akurat siedziałam w zamknięciu, ale Adam był na dworze Bonaraty. – Chociaż wolałabym, żeby stał za tym Wulfe, a nie Bonarata – powiedziałam i zdałam sobie sprawę, że to nieprawda.

– Czyżby? – Larry przyjrzał mi się uważnie. – A jak myślisz, od kogo Bonarata nauczył się wynajdywać odpowiednich



półkrwi pradawnych i robić z nich swoje wampiry? Imię Wulfe'a, Smok, wzięło się stąd, że kochał gromadzić skarby. Różnego rodzaju skarby. Kosztowności to najmniej istotne z nich. Na widok jego biblioteki Karol Wielki zapłakałby z zazdrości. Gromadził również uczonych, muzyków, artystów... – wymieniał Larry. – Ale trzeba przyznać, że puszczał ich w świat z powrotem, a nie obracał w akolitów czy sługusów jak Bonarata.

Obiegowa opinia utrzymywała, że gobliny żyją tak krótko jak ludzie, a nawet krócej. Już wcześniej podejrzewałam, że to nieprawda, a nieobecne spojrzenie Larry'ego, zupełnie jakby wspominał coś, czego bardzo pragnął, stanowiło potwierdzenie moich podejrzeń. Larry widział skarby Smoka na własne oczy.

Otrząsnął się z zadumy.

– Wyszukiwał niezwykle piękne kobiety, takie jak Marsilia. Niezwykle niebezpiecznych mężczyzn, jak Stefan czy Bonarata. Zazwyczaj nie przemieniał ich w wampiry, ale robił wyjątki.

– To Marsilia przemieniła Stefana – zaznaczyłam. Nie spierałam się z nim, tylko po prostu informowałam.

– I nie mogła go kontrolować, ponieważ powinien należeć do Wulfe'a – odpowiedział Larry. – Pomożemy szukać Wulfe'a. Już to robimy. Dam wam znać, jeśli któryś z moich goblinów zobaczy Marsilię. Albo Stefana. Skoro Marsilia pojawiła się w gospodzie Mike'a, muszą być gdzieś w Tri-Cities. Mogą przenosić się na ograniczoną odległość.

Nie sprostowałam tego, mówiąc mu, że Stefan przeniósł się ze Spokane do Tri-Cities, i to jeszcze targając jedną osobę. Wydawało mi się, że to tajemnica Stefana. Musiałam się spieszyć, zanim zacznę wyjawiać sekrety Stefana Larry'emu.

– Jutro sprawdzimy w siedzibie chmary i w domu Wulfe'a – postanowił Adam. – Podzwonię też, gdzie trzeba, żeby sprawdzić, czy Bonarata naprawdę jest tam, gdzie niby jest.

– Dobrze. Choć moi ludzie bezustannie wypatrują Bonaraty i jesteśmy pewni, że jego samolot nie lądował na żadnym z pobliskich lotnisk. Tyle że Bonarata ma też helikopter, a ten może siadać wszędzie.

Larry wstał, odłożył Medeę na swoje miejsce i machinalnie ją pogłaskał.

– Radzę wam nie iść do chmury bez porządnego wsparcia – rzekł. – Ktoś zastawił paskudną pułapkę w domu Stefana, prawdopodobnie na was.

Mój towarzysz uśmiechnął się, szczerząc zęby.

– Ciekawe czasy.



## Rozdział 7

**L**arry odjechał na swoim kudłatym kucu, gdy świt szeptał nad rzeką. My powlekliśmy się do łóżka, wiedząc, że drzemka w ciągu dnia w kwaterze watahy nie będzie sprawą łatwą. Adam zasuwiał zasłony, żeby zapewnić nam choć półmrok w sypialni, a ja ochlapywałam umęczoną twarz i myłam zęby. Potem on zajął łazienkę, a ja zakopałam się w pościeli i prawie zasypiałam, kiedy przyszedł, wnosząc ze sobą zimno. Mruknęłam, niezadowolona, a wtedy przyciągnął mnie do siebie, z nawiązką wynagradzając mi nagłe ochłodzenie ciepłem swojego ciała. Pośród wszystkich plusów małżeństwa z Adamem spanie w jednym łóżku było wysoko na mojej liście. Uwielbiałam się przytulać, a on emanował przyjemnym ciepłem.

– Stefan żyje, tak? – zapytał sennie.

Mruknęłam potakująco.

– Nie chciałem pytać przy Larrym, uznałem jednak, że przecież nie siedziałabyś tak spokojnie, gdyby coś mu się stało.

– Nie wiem nic więcej – zaznaczyłam. W przeciwieństwie do tego, co łączyło mnie z Adamem, więź z wampirem nie działała

na zasadach równości, więc gdy Stefan nie chciał ze mną kontaktu, niewiele mogłam na to poradzić.

– Myślisz, że to celowe? – drażył Adam.

– Jedną z mniej ulubionych rzeczy w naszym małżeństwie jest twoja skłonność do niedawania mi spać.

Pogłaskał mnie uspokajająco.

– Wiem, że nie lubisz myśleć o więzi ze Stefanem, a tym bardziej o niej mówić, ale to może być ważne. Czy Stefan celowo się odciął?

– Pytasz, czemu nie szarpie za smycz, żeby zawlec mnie tam, gdzie aktualnie przebywa? – Odsunęłam się, bo na samą myśl poczułam się klaustrofobicznie. – Zakładam, że z tego samego powodu, dla którego nie przyszedł do nas.

Stefan kiedyś pojawił się w naszym salonie. Zmusił mnie też do wykonania pewnych czynności. Generalnie do takich, które pozwoliły mi uratować własny lub jego tyłek, ale świadomość, że może mnie do czegokolwiek zmusić, wywoływała u mnie ciarki.

– Nie mam pojęcia – dokończyłam.

Adam znów się do mnie przysunął, ale nie przytulił, tylko pocałował w skroń. Zrobił to tak delikatnie, że nawet nie zabolął mnie dyniowy siniak. Wiedziałam, że jeśli znów się odsunę, da mi przestrzeń.

Westchnęłam i wtuliłam się z powrotem w jego ciepłko.

– Jeśli nie znajdziemy Stefana, na pewno spróbuję się z nim skontaktować przez więź krwi. Ale najpierw się prześpię. Pomyślałam, że zaczekam z tym do zmierzchu.

Adam mruknął potakująco i w końcu poczułam, jak się rozluźnia. Tyle że teraz mnie odszedł sen, bo zdenerwowałam się pomysłem o połączeniu ze Stefanem. Moje myśli krążyły wokół wampirów, aż wreszcie przyszło mi do głowy coś związanego z Marsilią. Uznałam, że powinnam się tym podzielić z Adamem. Ktoś miły pewnie poczekalby do

przebudzenia, ale skoro przez Adama nie mogłam zasnąć, poczułam się usprawiedliwiona, że go obudzę.

– Wiesz, ona cię lubi – powiedziałam zadumana i poczułam, że Adam się przecknął.

Czekał, ale ponieważ nie jest jedynym cierpliwym łowcą w naszym stadle, w końcu się złamał.

– Kto niby mnie lubi? – zapytał nieufnie.

– Marsilia. Lubi cię, więc obarczenie cię odnalezieniem Wulfe’a oznacza z dużym prawdopodobieństwem, że to nie on stoi za wydarzeniami, do których doszło w chmarze.

Mój wywód logiczny skwitował rozbawionym prychnięciem.

– Mnie posłałaby za nim bez względu na wszystko – ciągnęłam. – Tak samo, jak kiedy kazała mi ścigać tego wampira opętanego przez demona, pamiętasz?

– Pamiętam – burknął Adam mocno rozeźlony, choć od tamtej pory minęło już parę lat.

Marsilia nie ucieszyła się wtedy, że przeżyłam, w przeciwieństwie do opętanego wampira, bo miała plany wobec Adama.

– Mnie nie lubi – powiedziałam. – Ale ciebie owszem.

– Teraz już jest lepiej do ciebie nastawiona – zauważył Adam.

– Mówiła mi, że lubi obserwować, jak niweczysz plany innych i szerzysz w ich życiu chaos.

Parsknęłam, szczerze rozweselona.

– Lepiej, może, ale nie na tyle, żeby się przejmowała, czy przypadkiem nie zginę. – Zastanowiłam się nad własnymi słowami, bo przecież Marsilia bez wątpienia dużo ryzykowała, żeby pomóc Adamowi mnie znaleźć po tym, jak Bonarata mnie porwał. – W każdym razie jeśli to nie zagroziłoby waszemu sojuszowi.

Adam milczał przez chwilę.

– Gdyby uważała, że Wulfe’a należy przed czymś powstrzymać – rzekł ostrożnie – powiedziałaby, żebyśmy go

powstrzymali, a nie, żebyśmy odnaleźli.

Podniosłam oczy, żeby ocenić powagę miny Adama, a potem spuściłam głowę.

– Uważasz, że Larry ma rację – powiedziałam ciszej, niż zamierzałam.

Nie byłam w stanie za nic w świecie wyartykułować, dlaczego tak bardzo nie chciałam, żeby przyczyną kłopotów okazał się Wulfe. Po części dlatego, że bałam się go bardziej niż Bonaraty. Władcy Nocy zdołałam uciec, nie łudziłam się jednak, że udałoby mi się uciec Wulfe’owi. A po części, tej dziwnej, pokręconej, dlatego że Wulfe – przerażający czy nie – stał po „naszej” stronie. Był jednym z naszych ludzi.

Larry miał rację – nie myślałam jak wilkołak.

– Moim zdaniem Marsilia kazała nam go tylko znaleźć, ale nie z powodów, które nam podała. – Adam nie podważał mojego zdania, tylko upewniał się, czy biorę pod uwagę i jego. – Jeśli nie to, to nie wiem, czemu według niej powinniśmy go znaleźć, i Larry też tego nie rozumie.

– Larry boi się Wulfe’a – powiedziałam po chwili. – To może wpływać na jego osąd.

– Tak, też tak uważam. Ale to nie znaczy, że się myli.

– A ty? Boisz się Wulfe’a?

Adam zamilkł, zastanawiając się nad odpowiedzią, a ja prawie już odpłynęłam, kiedy znów się odezwał.

– W pewnym sensie tak. Choć bardziej przeraża mnie Bonarata. Bonarata chciałby przybić sobie na ścianie twoją skórę jako trofeum. A nie podejrzewam, że Wulfe chce cię skrzywdzić.

Otrzeźwiałam natychmiast.

– Czemu uważasz, że nie chce mnie skrzywdzić? – Aż usiadłam i okręciłam się, żeby móc patrzeć na Adama. Również nie wierzyłam, że Wulfe chce mnie skrzywdzić. Swoje przekonanie opierałam na tym, w jaki sposób zachowywał się

wobec mnie wampir. Liczyłam, że Adam ma jakieś konkretniejsze podstawy.

– Wampiry to samolubne stworzenia – zaczął mój mąż. – Muszą takie być, żeby stać się tym, kim są. Nie wiem, co zrobiłaś tam na podwórku Elizawiecy, kiedy dawałaś śmierć tym zombi, ale zwróciłaś tym na siebie uwagę Wulfe’a. Dzięki temu uznał, że jesteś dla niego ważna, dla niego lub dla jego przetrwania.

Odsyłałam duchy zombi zgromadzonych przez całe pokolenia rodziny czarnych wiedźm. Nigdy się tego nie uczyłam, działałam instynktownie. Zdołałam sprowadzić śmierć na zombi, ale to, co robiłam, pozbawiło Wulfe’a przytomności. Chyba, bo w zasadzie nie wiedziałam, co to było, jakiś rodzaj śpiączki czy może coś gorszego. Cokolwiek to było, wydarzyło się po męczącej, przerażającej nocy, w otoczeniu, w którym kotłowały się różnego rodzaju magie, i nie miałam pewności, czy potrafiłabym to powtórzyć.

Biorąc pod uwagę właśnie tę „niepowtarzalność” zjawiska, nie chciałam, aby Wulfe uważał, że to coś istotnego dla jego przeżycia. Ten sposób myślenia wydawał mi się niezdrowy na dłuższą metę.

– W jakim sensie ważna?

Adam ściągnął mnie znów na materac i okrył kołdrą. Gdyby sypiał sam, pewnie by się nie przykrywał, ale ja lubiłam się otulać, a on lubił mnie obejmować, więc sypiał pod przykryciem, nawet jeśli było mu za ciepło.

– Nie wiem. On pewnie też nie. Gdyby wiedział, zrobiłby coś bardziej celowego, a nie włóczył się za tobą, zostawiając niestosowne prezenciki. I dopóki nie odkryje, co to, nie zrobi ci krzywdy. Przez to – przytulił mnie mocno – znajduje się daleko na liście istot, których się obawiam.

Po chrypcie w jego głosie poznałam, że istnieją rzeczy, których się obawia i nie chce o nich mówić. Na przykład o tym, że i mnie, i jego napawały niepokojem pozostałości klątwy

rzuconej na niego przez Elizawietę. I o tym, że Sherwood nadal może stanowić problem, mimo iż jest Cornickiem. Że nasza wataha może nie podołać zadaniu chronienia terytorium, a porażka może skończyć się wojną z ludźmi, którzy będą chcieli zlikwidować każdą nadnaturalną istotę, która wpadnie im w ręce.

Oboje mieliśmy koszmary związane i z przeszłością, i z przyszłością.

– Larry uważa, że Wulfe przejął kontrolę nad chmarą i zamierza zdobyć władzę nad całym światem. Myślisz, że to prawdopodobne?

Adam roześmiał się, mierzwiąc mi włosy.

– Zadawanie mi ciągle tego samego pytania nie sprawi, że uzyskasz inną odpowiedź. Wiem, co martwi Larry’ego. Nie wiem, czy ma realne podstawy do niepokoju. Coś z pewnością stało się w chmarze. I wiem, że pomiędzy teraz a szukaniem odpowiedzi musimy złapać choć sześć godzin snu.

Warknęłam, sfrustrowana, czym znów wywołałam jego śmiech. I jak za dotknięciem różdżki, kiedy Adam się rozluźnił, ja także.

– Myślę, że chcąc nie chcąc, i tak w końcu odkryjemy, o co chodzi. A przynajmniej będziemy wyspani, kiedy piekło zwali się nam na głowy. Znowu.

– Racja. Dosyć ma dzień swojej biedy – zacytowałam ponuro Świętego Mateusza.

Przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

– Moja ty optymistko – powiedział czule, kokosząc się do snu.

– Kocham cię – wyznałam.

– Ja też cię kocham.



Śniłam.



Siedziałam na krawędzi urwiska nad czeluścią, tą samą co po zetknięciu z utkanym zakłębieniem. Otwierała się przede mną bezdenne otchłani, przepelniona obecnością czerni, która była wcieleniem mroku.

Tym razem jednak zamiast śniegu wokół siebie miałam runo lasu, w którym dominowały daglezje – takie jak w puszczy, gdzie dorastałam. Kolejne warstwy opadłych igieł sprawiały, że twardą ziemię okrywał miękki materac. Nietypowa gleba na skraju urwiska, gdzie wiatr z łatwością zmiatałby szpilki. Zanurzyłam palce w runo.

Jest jak jest i trudno się z tym spierać, pomyślałam, zagarniając garść ziemi i igieł, po czym rzuciłam je do otchłani i poczułam, jak spadając, łaskoczą mnie w bosą stopę. Drugą miałam podciągniętą i zahaczoną pod kolanem zwisającej nogi.

Nie wydawało mi się, jakbym robiła coś niebezpiecznego. Raczej jak gdybym machała nogą, siedząc na gałęzi bardzo wysokiego drzewa. Bałam się tylko na tyle, że czułam nieprzyjemne łaskotanie w brzuchu. Odwróciłam się tak, że siedziałam bokiem do otchłani, choć nadal ze zwieszoną nogą.

Teraz miałam przed sobą rozpostarty na ziemi biały obrus zastawiony eleganckim serwisem herbacianym, z tej cieniutkiej porcelany, przez którą widać zarysy palców. Na talerzu poukładano te ciągnące się bezowe ciasteczka, bardzo ostatnio modne. Był też półmisek z murzynkiem, ale spore czekoladowe kwadraty zdawały się odrobinę nierealistyczne, jakby ktoś, kto je wymyślił, nie bardzo pamiętał, jak wyglądały.

Z czeluści unosił się ciepły zefirek, owiewając mi stopę i zostawiając uczucie lekkiego klucia. Nie było to bolesne, raczej coś podobnego do uczucia, jak gdybym podeszła zbyt blisko do zimnego ognia. Z otchłanią łączyło mnie coś, co napawało mnie niepokojem. Kiedy zaczęłam wyciągać nogę, usłyszałam głos Stefana:

– Mercy.

Wcześniej nie zauważyłam, że siedzi po turecku po drugiej stronie dziury. I wcale na mnie nie patrzył, tylko utkwiał zasepione spojrzenie w talerzu z murzynkiem.

Zadarłam głowę. Niebo miało odcień ceruleum, błękitu, który tak lubili malarze. Ale nie widziałam słońca.

– To sen? – zapytałam. – Czy może robisz to, żeby ze mną porozmawiać?

– Nie zrobiłbym czegoś takiego – rzekł Stefan nieobecny tonem. – To byłoby zbyt niebezpieczne. Ktoś mógłby zauważyć. Ale sen? Przecież wszyscy śnią.

Jego słowa wydawały się ważne, starałam się więc je dokładnie zapamiętać. To, co mówiła Marsilia, też było istotne, a udało mi się zapamiętać tylko sens. Miałam nadzieję, że w tym wypadku pójdzie mi lepiej.

– Niebezpieczne... Dla ciebie? – zapytałam.

Roześmiał się. Ten śmiech brzmiał nie tak, jak powinien. Stefan miał ciepły śmiech, a ten był inny, wybrzmiewały w nim niespełnione marzenia i utracona nadzieja.

– Nie. – Otarł twarz, jakby po policzkach płynęły mu łzy. – Nie dla mnie. Ja i Marsilia przetrwamy. Jak zawsze. Jesteśmy na tyle potężni, żeby być przydatni, i nie na tyle, żeby stanowić zagrożenie. Ale żeby przeżyć, musimy sprzedać waszych przyjaciół i sprzymierzeńców.

Podniósł na mnie wzrok, a ja jęknęłam. Ktoś wyłupił mu oczy.

Drgnęłam, chciałam się zerwać, podbiec do niego, ale powstrzymał mnie gestem ręki.

– Nie.

Jego ton był tak rozkazujący, że zamarłam wbrew woli. Nagle poczułam, że serce wali mi młotem, w dłoniach i twarzy straciłam czucie i nie mogłam oddychać, jak podczas ataku paniki. A nie miałam już ataku paniki od... całego tygodnia. I ostatni też był wywołany snem. Śniłam o Timie i pucharze, który skradł mi wolę.

Tak samo jak Stefan kradł mi wolę.

Gdyby Stefan powiedział mi, że jestem szczęśliwa, tak bym się czuła. Tak działała nasza więź. Gdyby kazał mi zabić Adama...

– Nie sądzę, żeby to się udało – stwierdził Stefan obojętnym głosem. – Nie sądzę, by ktokolwiek mógłby zmusić cię do zabicia Adama. No, może sam Adam, jeśli cię odpowiednio wkurzy.

Gapiałam się na niego ze zdumieniem. Jego oczy były normalne. Tak samo ciemnobrązowe jak zawsze, dwa odcienie jaśniejsze niż Adamowe. Atak paniki ustał. Tak po prostu. Zastanawiałam się, czy to Stefan nakazał mi przestać się bać. I zapomnieć, że mi to nakazał...

Odwrocił wzrok w stronę otchłani jakby ze wstydem.

– Wybacz mi. Nie mogę... Nie jestem... Cóż. Podsunęliśmy ci z Marsilią partię do rozegrania. – Wodził palcami po rąbku obrusa zwieszzonego przez krawędź. – Jeśli przegrasz, zginiesz. Jeśli nie zagrasz, zginiesz. A nawet jeśli wygrasz... – Znów otarł policzki i dodał szeptem: – Jestem taki zmęczony patrzeniem, jak moi ukochani odchodzą, podczas gdy ja trwam. – Zwiesił głowę i dodał tak samo cicho: – Znasz tę modlitwę? „Jeśli umrę zgodnie z wolą Twoją...” Ale Bóg nie zabiera do siebie duszy wampira, Mercy. Wampiry nie mają duszy.

– Stefanie... – zaczęłam.

– Nie martw się o mnie, Mercy. Ani o Marsilię – powiedział z naciskiem.

– Nic ci nie jest? – zapytałam. – Jesteś bezpieczny?

Zaśmiał się znów tym okropnym śmiechem.

– Nie. I nie. Ale przetrwam. Jak zawsze. Opowiedz, co się stało, kiedy weszliście do mojego domu.

– Skąd wiesz, że tam byliśmy?

– Doniesiono mi. Powiedz, proszę.

Opowiedziałam mu bardziej szczegółowo, niż zrobiłabym to normalnie. Nie wiedziałam, czy to przez to miejsce, czy może

Stefan tego ode mnie chce.

– Czy to sen? – zapytałam ponownie, kiedy skończyłam.

– Poczęstuj się murzynkiem – zachęcił mnie, zamiast odpowiedzieć na pytanie. – Przecież go lubisz.

Spojrzałam na ciasto z powątpiewaniem.

– Wolę kokosankę. Twój murzynek nie wygląda... zachęcająco.

Roześmiał się i tym razem zabrzmiało to jak jego normalny śmiech, choć może nieco zmęczony.

– To makaroniki – poprawił mnie. – Kokosanki są z kokosem, a makaroniki z migdałami.

– Przykro mi z powodu pianina. – Nie wzięłam żadnego ciastka. – A jeszcze bardziej z powodu wszystkich mebli z salonu. No i tych schodów do piwnicy. I niektóre książki zamokły, kiedy stopniał lód tego stwora.

– Nie żał mi niczego. Przedmioty można zastąpić innymi. Nawet książki. – Przyglądał mi się uważnie, a potem pochylił się i spojrzał na moją zwisającą nogę. – Co z twoimi nogami? Z twoją stopą? Czemu tak dziwnie ją trzymasz?

Też popatrzyłam na stopę.

– A, to przez te pajęczce włoski, wbiły mi się. – Zaraz, ale czy nie powinny boleć obie? – Całkiem o tym zapomniałam. Prawie nie boli.

– Pokaż – polecił.

Podniosłam nogę i nagle straciłam równowagę, jakbym była cięższa, niż sądziłam. Stefan wystrzelił naprzód jak atakujący wąż i złapał mnie za kostkę, przy okazji strącając w otchłań nakrycie z obrusa.

Trzymał mnie, dopóki znów nie usiadłam.

– Nie spadnij, proszę. – Wydawał się wstrząśnięty. Zerknął nieufnie na czeluść. – Nie wiem, co to jest ani dlaczego tu jest.

– Dobrze.

Wiedziałam, że nic mi się nie stanie. Ufałam Stefanowi bezgranicznie, wierzyłam, że mnie ochroni.

Przyjrzałam się tej ostatniej myśli, gdy Stefan oglądał moją stopę. Tak bezgraniczne poczucie bezpieczeństwa miałam tylko przy... Przy nikim. Nawet sobie tak bardzo nie ufałam w kwestii zapewnienia własnego bezpieczeństwa.

Łypnęłam podejrzliwie na Stefana. Co jeszcze mi wmówił, żeby powstrzymać ten atak paniki?

– Daj drugą.

Tym razem się nie zachwiałam.

– Trzeba się tym zająć – orzekł. – Pokaż to komuś. Najlepiej Zee. I to szybko.

Puścił mnie i zacisnął dłonie na krawędzi obrusa gwałtownym, gniewnym ruchem.

– Boisz się? – zapytałam ostro.

Zamarł, a potem nagłym szarpnięciem strzepnął resztę rzeczy, razem z nie do końca uformowanym murzynkiem, do otchłani, która łąpczywie wszystko pochłonęła.

– Nieustannie się boję, Mercy – powiedział, wbijając wzrok w czerń. – Nieustannie.

Potem już nic nie pamiętałam.



Obudził mnie dźwięk otwieranych drzwi do sypialni i zapach gorącej czekolady. Wzmocniony wonią bekonu, sera i innych pyszności śniadaniowego menu.

– Mmm – westchnęłam. – Ożeń się ze mną.

– Dobra – zgodził się ochoczo mój mąż. – Może być o czternastej? Może, jeśli się zepnę, zdążę pół godzinki wcześniej.

– Wybacz, ale chyba mam dzisiaj randkę z jednym kolesiem.

– Czyżby? – Brzęknęło odkładane śniadanie.

– Uhm – ziewnęłam. – Ciacho. I były komandos. Nie wiem jeszcze, co lepsze, komandos czy gość, który robi śniadania... Auć.

Podniósł mnie z łóżka i zarzucił sobie na ramię.

– Moja – powiedział chełpliwie, poklepując mnie po pośladkach.

Zawisłam bezwładnie.

– Ech, co ja muszę znieść, żeby dostać śniadanko.

Roześmiał się i postawił mnie na podłodze. Stopy zaboląły, ale zaraz przeszło. Odwzajemniłam klepięcie, jednak skupiona już na komodzie, gdzie czekał mój posiłek.

Adam musiał odsunąć kostur, żeby położyć talerz. Nie zauważyłam, kiedy kostur się pojawił, często mi to umykało, ale z jakiego powodu, jeśli nie kostura, Adam położyłby talerz tak, że tylko w połowie stał na komodzie?

Kostur był dziełem Lugha, który zrobił go nie wiadomo nawet jak dawno temu. Potem kostur uległ zniszczeniu, ratując mi życie. A mimo to kilka tygodni temu znów się pojawił, jakby nigdy nie obrócił się w kupkę drzazg i stopionego srebra. Odsunęłam go, żeby stabilniej postawić talerz. Zastanawiałam się przy tym, czy kostur nadal zasługuje na miano pradawnego po tym, jak odtworzył się w moim śnie.

Śnie. Zatrzymałam się na wspomnienie snu – czy tego czegoś ze Stefanem w roli głównej. Uznałam jednak, że najpierw zjem śniadanie, przetrawię to, co mi się śniło, i dopiero potem opowiem o tym Adamowi.

– Jakież wieści? – zapytałam, pochłaniając chrupkie placki ziemniaczane i bekon. Adam gotował fantastycznie. Ja za to potrafiłam upiec niezłego murzynka.

– Pomyślałem, że wrzucimy coś na ruszt, zanim zaczniemy rozwiązywać tajemnice – odpowiedział.

Wydawał się nieco nieobecny. Uśmiechnęłam się. Nie założyłam nic na siebie. Ani kładąc się spać, ani po wyjściu

z łóżka.

– Demon seksu – mruknęłam. – Gazety się nie myliły.

– Ano nie – przytaknął. – Zupełnie jakby miały tu szpiega. Skończyłaś już jeść?



– Jak myślisz, co to było? – zapytał prawie godzinę później, odkładając patelnię, których używał do zrobienia śniadania.

– Pytasz, czy to sen, czy wiadomość od Stefana? – Wytarłam zlew i wzruszyłam ramionami. – Nie mam pojęcia. Czułam się tak, jak wtedy w piwnicy Stefana, kiedy straciłam przytomność, i było to niepodobne do normalnego snu. Ale Stefan nie powiedział niczego, czego bym nie wiedziała, a wszystko, czego nie wiedziałam, mogłam sobie dopowiedzieć albo zmyślić. – Zamyśliłam się na moment. – Ale wiesz co? Pójdę do Zee z tą moją stopą. Niby nic mi nie jest, nie boli, ale chyba właśnie dlatego powinnam. Bolała, kiedy nadepnęłam na te włoski pająka, a potem zapomniałam o tym i przestała. – Ze stopami, poprawiłam się w duchu. Muszę poprosić Zee, żeby obejrzał je obie.

– Pojadę z tobą. Potem zbierzemy parę wilków i wybierzemy się do... – Urwał na dźwięk podjeżdżającego samochodu. Uniósł brew.

– George – stwierdziłam stanowczo. George jeździł dziesięcioletnią mazdą. W watasze jeszcze jedna osoba miała mazdę, ale z mniejszym silnikiem. Znałam dźwięk obu.

Po chwili do pierwszego silnika dołączył drugi. Nowe modele trudniej rozpoznać, bo są mniej specyficzne od starych.

– I ktoś w nowszym chevrolecie malibu.



Geenie Reed drżały ręce, kiedy unosiła do ust kubek z kakao. Brak snu wycisnął ciemne sińce pod jej oczami i ściągnął usta, które wyglądały, jakby zazwyczaj układały się w uśmiech. Geena była niska, pulchna i miała może z pięćdziesiąt lat.

Wyraźnie czuła się przy nas nieswojo. Co ciekawe, tylko Adam i ja budziliśmy w niej niepokój, bo z George'em wydawała się łączyć ją zażyłość.

Siedzieliśmy w salonie, bo kuchnia wydawała zbyt ciasna jak dla kogoś tak wystraszonego jak ona. W salonie miała do wyboru więcej siedzisk i mogła wybrać dogodniejsze dla siebie, w oddaleniu od nas, jednocześnie nie robiąc wrażenia, jakby chciała się przed nami ukryć.

– Geena przyjechała do Tri-Cities dwa tygodnie temu – rzekł George. – Poznaliśmy się w moim klubie.

Klub George'a był miejscem, gdzie spotykali się ludzie praktykujący BDSM. Geena nie wyglądała na członkinię grupy BDSM, ale znów ja ponoć nie wyglądałam na mechanika samochodowego.

– Jestem wiedźmą – oznajmiła, całkiem zresztą niepotrzebnie, bo wiedźmy pachną dość szczególnie. To znaczy każdy z trzech rodzajów wiedźm ma odrębny zapach.

Białe wykorzystują tylko własną moc do tworzenia zaklęć i zazwyczaj są to dobre i łagodne osoby. Wiedźmy, które nie mają charakteru gołębic, ale posiadają instynkt samozachowawczy, zostają szarymi, które czerpią moc z silnych emocji innych ludzi. Te negatywne emocje – ból, gniew, żal – działają lepiej. Ale aby szara wiedźma taką pozostała, źródła ich mocy muszą oddać energię dobrowolnie, a przynajmniej mimowolnie. To zapewnia silniejsze doładowanie zaklęć niż to, co mają do dyspozycji białe wiedźmy.

Czarne wiedźmy nie szukają ochotników. Ulubionymi ich ofiarami są białe wiedźmy, ponieważ posiadają wielki potencjał, ale w zasadzie nie są wybredne.



– Jestem białą wiedźmą – dodała Geena, jakby przywykła do tłumaczenia się. – Słyszałam, że nie tolerujecie czarnych na swoim terenie, dlatego tutaj przyjechałam. Należę do grupy około trzydziestu białych wiedźm w Tri-Cities, a większość z nas jest tu nowa. Podobno rok temu było nas tylko sześć. – Popatrzyła na swoje kakao. – Myślałyśmy... miałyśmy nadzieję, że tu będzie bezpiecznie.

George pomógł jej odstawić kubek na stolik. George był mężczyzną w typie twardziela, który bez trudu poradziłby sobie napadnięty w ciemnym zaułku. Wyglądał też dużo młodziej od Geeny, jakby mógł być jej synem, choć w rzeczywistości urodził się w drugiej połowie dziewiętnastego wieku.

Ciekawy był jego język ciała – wyraźnie wskazywał na opiekuńczość wobec wiedźmy. Oczywiście to nie była moja sprawa... Jednak oczywiście ta ani trochę nie zmniejszyła mojej ciekawości. Ujął rękę Geeny i pocałował ją. Nie powiedział na głos, że nie pozwoli jej skrzywdzić, bo Adam mógłby poczuć się urażony – ale pocałunek mówił jasno, że czuje się odpowiedzialny za Geenę i troszczy się o nią.

– Poprosiłam mój sabat, żebyśmy zwróciły się George'a, bo się z nim przyjaźnię – zaczęła. George nie puścił jej ręki, a teraz i ona zamknęła palce wokół jego dłoni.

– A ja przyprowadziłem ją tutaj, bo uznałem, że powinniście usłyszeć, co wie – dodał George, bo Geena zamilkła na dobre. – Wiedźmy zaczęły zniknąć. I to nie wszystko, jest gorzej.

– Zniknęły trzy, tak sądzimy – powiedziała Geena niepewnie. – Nie z naszego sabatu, ale Sandy do niego należy.

Brawo dla Sandy, pomyślałam, zastanawiając się, czy to oznacza, że Sandy również zniknęła, czyli razem już cztery? Czy może stało się jej coś innego. A może to ona miała jakieś informacje o tamtych trzech?

Grupa Geeny nie była sabatem sensu stricto. Wiedziałam, że sabat musi spełniać pewne kryteria, żeby móc go tak nazywać.

Przede wszystkim sabat musiał mieć określoną liczbę członków – nie pamiętałam tylko, czy było to dziewięciu, czy trzynastu. Ale z pewnością nie trzydziestu. Członkowie musieli reprezentować różne rody – a niestety, wiele z nich wymarło. No i z tego, co wiedziałam, ponieważ wiedźmy należące do sabatu musiały dysponować dużą mocą, raczej nie były to białe wiedźmy. Ale jeśli Geena chciała nazywać swoją grupę sabatem, to cóż mi to przeszkadzało?

– Sandy znalazła kogoś, kto zniknął? – zapytał Adam, zanim milczenie Geeny obrosło w desperację. Głos Adama brzmiał wyjątkowo łagodnie. Nie tylko w George’u Geena budziła instynkty opiekuńcze.

Alfy, w ogóle mocno dominujące wilki, miały skłonności do nadopiekuńczości. Było to jednocześnie ujmujące i irytujące, w zależności, czy otaczały troską łagodne, bezbronne kobietki, piekące regularnie chlebki dla bezdomnych, czy usiłowały robić to w stosunku do mnie.

– Wybaczcie. – Geena mówiła z trudem, a w końcu poprzestała na szepcie.

Z pewnością normalnie nie była nerwowa i lękliwa, bo BDSM nie jest domeną zajętych serc. Ale każdemu można zaszcześcić lęk, a białe wiedźmy miały aż nadto powodów, żeby się bać.

Zastanowiłam się nad powodami, dla których to my – poza George’em – mogliśmy budzić w niej strach, i spróbowałam z innej strony.

– Geeno, naszym zadaniem jest obrona mieszkańców Tri-Cities, ale nie możemy ich bronić, nie wiedząc przed czym. Bardzo doceniamy, że do nas z czymś przyszłaś, i wszystko, co powiesz, pozwoli nam zapewnić twojemu sabatowi większe bezpieczeństwo.

Uniosła podbródek i spojrzała mi w oczy, po czym wyciągnęła dłoń skierowaną spodem w moją stronę. Poczułam łaskotanie magii. Potem przymknęła oczy, jakby z ulgą, i skinęła głową.

– Prawda – powiedziała. – Twoje słowa płyną z serca. Wybaczcie, wybaczcie. – Tym razem brzmiało to, jakby za coś nas przeproszała, a nie jąkała się ze strachu.

Wyprostowała się, puściła rękę George'a i powiedziała znacznie pewniejszym głosem:

– Sandy należy do mojego sabatu. Mieszka z inną wiedźmą, Kate. W zeszły piątek wieczorem Kate zamknęła się w swoim pokoju medytacji, jak zawsze. Sandy poszła spać, a rano normalnie wstała i wyszła do pracy. Jest pielęgniarką i zawsze ma dyżur w sobotę. Po powrocie zauważyła, że drzwi do pokoju są zamknięte. Pukała, wołała, ale nikt nie odpowiadał. – Geena zmarszczyła brwi. – Medytacja służy wzmocnieniu mocy, ale można w niej utknąć, a to niebezpieczne. – Urwała i podjęła dopiero, kiedy Adam skinął głową.

Zaczęłam się zastanawiać, czy nie jest nauczycielką. Wydawała się doskonale pasować do roli nauczycielki w podstawówce. No po prostu nigdy w życiu nie połączyłabym jej z towarzystwem z klubu George'a. Niektórzy ludzie naprawdę wymykali się szufladkowaniu. Może więc Geena była bankowcem albo przedstawicielem ubezpieczeniowym?

– Sandy musiała zdjąć drzwi z zawiasów, żeby otworzyć pokój. Okazało się wtedy, że jest pusty. Katie zniknęła.

George trącił ją znacząco.

– To pomieszczenie przerobione ze schowka – pospieszyła z wyjaśnieniem. – Nie ma okien ani innego wyjścia. Zamyka się od środka na rygiel. Dlatego Sandy musiała zdjąć drzwi z zawiasów.

– Czy wiedźmy posiadają takie umiejętności? – zapytał Adam.  
– Znikania z zamkniętych pomieszczeń?

– Może czarne tak? – zastanawiała się Geena, ale widać było, że nie wie. – Sandy twierdzi, że Katie jest szarą wiedźmą, ale niezbyt potężną, nawet jak na standardy białych. Poza tym

Sandy mówi, że wyczuła w pokoju coś dziwnego. A jest wrażliwa na takie rzeczy.

Stefan mógłby porwać wiedźmę z zamkniętego pomieszczenia. Marsilia też. Wcale mi się nie podobała ta myśl.

– Kiedy to było dokładnie? – dopytałam.

– W sobotę. W każdym razie pomiędzy piątkowym wieczorem a sobotnim popołudniem.

W piątek w nocy w siedzibie chmary coś się działo. W sobotę Wulfe zostawił mi na łóżku szarfę.

– I mówisz, że to nie jedyna wiedźma, która zniknęła? – zapytał Adam.

– Wydaje nam się, że pierwszy był Ruben Gresham. Zniknął kilka tygodni temu. Pochodził ze starego wiedźmiego rodu, w którym w każdym pokoleniu rodzi się kilku białych czarowników, dość potężnych jak na mężczyzn. Nie znałam go, zniknął, zanim się tu przeniosłam. Nie był tak do końca członkiem sabatu, bardziej samotnikiem. Ale utrzymywał kontakty z naszymi wiedźmami. Może po prostu przestraszył się czegoś i wyjechał? My, białe czarownice, musimy umieć uciekać – dodała ponuro.

– To prawda – zgodziłam się z nią.

Chyba tego potrzebowała, empatii, zrozumienia, bo kiedy podjęła, mówiła już spokojniej, pewniej.

– Ale jeśli Ruben uciekł, to tak, jak stał, nikogo nie uprzedził, a odchodząc, przewrócił stół w jadalni. To było jakiś miesiąc temu. Kontaktowaliśmy się z jego rodziną, jedna z naszych wiedźm jest z nim daleko spokrewniona. Przyjechali, posprząтали w jego mieszkaniu, zabrali rzeczy, ale mówili, że nie mieli od niego żadnych wieści. Oczywiście pewnie nie przyznaliby nawet, gdyby je mieli. I w sumie pewnie gdyby nie dwa kolejne zniknięcia, nikt nie łączyłby tego z Rubenem.

– Białe wiedźmy nie zgłaszają zaginięć – wyjaśnił George. – Jeśli któraś z nich ucieka, zakładają, że ma dobry powód, więc

nie zawiadamiają policji ani nikogo innego i nie wszczynają poszukiwań.

– Dokładnie – potaknęła Geena. – Może być więcej takich zniknięć. My wiemy tylko o tych, które z dużym prawdopodobieństwem nie są ucieczkami. Trzecia była Millie Sawyer.

Adam zeszywniał.

– Znam ją. Około osiemdziesiątki, mieszka w West Richland nieopodal takiej pizzerii? Elizawieta przyprowadziła ją raz, współpracowały przy jednym zadaniu. To było jeszcze za czasów Christy – dodał tonem wyjaśnienia dla mnie.

– Raczej bliżej dziewięćdziesiątki, z tego, co wiem. Nie wychodziła za dużo z domu, ale jedna wiedźma z mojego sabatu grywała z nią w soboty w brydża. Dwa tygodnie temu zastała jej drzwi wyważone, a w mieszkaniu ani śladu Millie. Podobnie jak Ruben, nie spakowała niczego i nie uprzedzała o wyjeździe. Samochód stoi w garażu.

Adam popatrzył na George'a.

– To trzy zaginione wiedźmy, a wspominałeś jeszcze o czymś?

– Tak. – Geena uprzedziła George'a. – Nie znam prawdziwego imienia i nazwiska następnej, ale kazała się nazywać Sariną. A raczej tytułować Sariną, jakby to była jakaś godność, nie imię. Udawała, że jest wcieleniem rosyjskiej Czariny...

Prychnęłam mimowolnie.

– Właśnie – uśmiechnęła się Geena. – Prędzej uwierzyłabym, że jest wcieleniem pokojówki albo kucharki. W każdym razie Sarina prowadzi... Robiła odczyty, na żywo i online, w pokoju nad sklepem z antykami w Kennewick. Wynajmowała go jej właścicielka sklepu, też wiedźma, tyle że szara. – Geena zmarszczyła nos, jakby za nią nie przepadała. – W poniedziałek jedna ze stałych klientek Sariny zeszła do Heleny, właścicielki sklepu, i powiedziała, że drzwi do pracowni są zamknięte. Helena pozbyła się klientki i poszła sprawdzić górę. – Geena

wyciągnęła telefon, otworzyła galerię i podała aparat Adamowi.  
– A potem napisała SMS-a do przywódczyni naszego sabatu i wysłała jej te zdjęcia. Ostrzegaliśmy nas w wiadomości i pisała, że wyjeżdża na jakiś czas.

Pochyliłam się, żeby zobaczyć ekranik telefonu.

Zdjęć było sporo, ale dopiero po czwartym zorientowałam się, na co patrzę, ponieważ zostały zrobione ze zbyt bliska. Były to fotografie ludzkiego ciała pokrojonego ostrym narzędziem. Cięcia zostały wykonane w pewnych odległościach, według jakiegoś wzoru, ale nie widziałam dokładnie jakiego.

– Czemu o tym nie słyszałem? – zasepił się Adam.

– Bo jeszcze nie dostało się do mediów – wyjaśnił George. – Geena zaprowadziła mnie do sklepu. Na drzwiach wisi kartka „nieczynne do odwołania”, a wszystko jest zamknięte na głucho. Zastanawiałem się, czyby się nie włamać, ale w sumie wezwałem policję. To było godzinę temu.

Uniosłam brwi. To George był policją.

– Policję z Kennewick – doprecyzował z uśmiechem.

Ciekawe. Zazwyczaj staraliśmy się ukryć zbrodnie związane ze społecznością istot nadnaturalnych. Prowadzenie dochodzeń było zbyt niebezpieczne dla ludzkich władz.

– I ciało nadal tam było? – zapytał Adam.

– Sam się zdziwiłem.

– Helena musiała się nieźle wystraszyć, skoro zostawiła trupa – zauważyła Geena. – Dla szarej wiedźmy ofiara morderstwa to jak... – Urwała.

– Prezent gwiazdkowy i urodzinowy w jednym? – podsunęłam.

Przytaknęła skinieniem głowy.

– Jeśli to nie Helena jest morderczynią, a nie sądzę, że to jej dzieło, to takie ciało stanowi nieocenione źródło komponentów do zaklęć, nawet jeśli nie jest już na tyle świeże, by czerpać z niego magiczną energię.

– Czy mogę sobie przesłać te zdjęcia? – zapytał Adam, przeglądając nadal galerię.

– Oczywiście. Powinieneś je mieć u siebie. Choć są koszmarnie. – Skrzywiła się.

– Wpiszę ci też mój numer w kontakty – powiedział, stukając w ekran jej aparatu. – Dzwoń do nas zawsze w razie potrzeby.

– Nas?

– Watahy – wyjaśnił Adam, oddając jej telefon.

– Dziękuję. – George ujął Geenę pod łokieć, dając sygnał, żeby wstała. – Dowiemy się, o co w tym chodzi.

– Tylko te trzy wiedźmy zniknęły? – zapytałam.

– Nie licząc Helen, która uciekła. – George wzruszył ramionami.

– Myślisz, że te sprawy są powiązane? – zastanawiał się Adam. – Białe wiedźmy to... – Zerknął na Geenę i zamilkł.

– Łatwe ofiary – dokończyła za niego. – Słyszałam plotki o innych, nie tylko wiedźmach. Ludziach posiadających trochę magii albo odrobinę krwi pradawnych. A nawet słabszych pradawnych, na przykład goblinach. Mówi się też, że wy i Szara Rada macie gdzieś, co dzieje się ze słabszymi, że ta niby bezpieczna strefa w Tri-Cities to tylko zagrywka polityczna... Albo gorzej, pułapka. – Geena uniosła głowę. – Nie chciałam tu przychodzić. Mówiłam George'owi, że skoro zabijacie swoich sojuszników albo pozwalacie, żeby inni ich zabijali, to na pewno nie będziecie się przejmować zniknięciem paru wiedźm.

– Zabijamy sojuszników? – powtórzyłam zdziwiona.

– Geena mówi, że Wulfe zniknął – wyjaśnił George.

– Tak właśnie ludzie mówią – potaknęła odważnie Geena. – I że kiedy Marsilia was o to zagadnęła, zagroziliście, że zabijecie wszystkie wampiry tak, jak zgładziliście wiedźmy Hardesty. I że już zabiliście Wulfe'a. – W jej oczach pojawił się lęk. Nic dziwnego, ja też bym się bała kogoś, kto zdołałby zabić Wulfe'a. Spojrzała na George'a, jakby prosiła go o wsparcie.

– To prawda – westchnął George. – Ludzie mówią – podkreślił niesprecyzowany podmiot – że może zabiliśmy czarne wiedźmy nie dlatego, że były złe, tylko dlatego, że stanowiły zagrożenie dla naszej władzy. I że teraz to samo chcemy zrobić z wampirami. A przynajmniej takie wieści dotarły do sabatu Geeny. Czy naprawdę Wulfe zaginął?

Wymieniłam spojrzenia z Adamem.

– Nie wiemy – odparł Adam. – Ale Marsilia poleciła nam go znaleźć.

– Kiedy usłyszeliście pierwszy raz o naszym spotkaniu z Marsilią? – chciałam wiedzieć.

– Dzisiaj rano – odparła Geena. – Słyszałam, że spotkaliście się z nią w pubie Wujka Mike’a.

– Wyszedłem jako jeden z pierwszych – przypomniał George na wpół przepraszająco, na wpół poirytowany.

– Pojawiła się, kiedy byliśmy tam tylko z Sherwoodem i Zackiem. Wiedział o tym też Mike. Myślisz, że któryś z nich podzielił się tą nowiną już rano? – zastanawiałam się na głos.

– Wataha wie – oznajmił Adam beznamiętnie. – Powiadomiłem ich.

– No tak, zapomniałam, że nie umiesz trzymać języka za zębami – stwierdziłam, udając frustrację.

– Dobrze, już dobrze – zaśmiał się Adam. – Ale wiem, o co ci chodzi. Nie rozmawiałem z nikim przed spaniem. Jakies dwie godziny temu zadzwoniłem do Darryla, opowiedziałem o wszystkim i kazałem poinformować resztę.

– A żadne z nas nie rozpuszcza tych plotek – oświadczyłam.

– I naprawdę groziliście, że zgładzicie wszystkie tutejsze wampiry? – zapytał George nazbyt ochoczo.

– Ależ skąd – rzekł Adam. – Przecież mamy z nimi sojusz. Marsilia poprosiła, żebyśmy odnaleźli Wulfe’a, i to właśnie robiliśmy z Mercy przez resztę nocy.



– Patrz, przecież Marsilia mówiła, że nas oskarżą... A ja nie brałam tego na poważnie – przyznałam. – No to chyba rzeczywiście musimy znaleźć Wulfe’a. – Spojrzałam na Geenę. – I zaginione więdźmy. I zaginionych innych.

– Hm – sapnął George, mrużąc oczy.

– Robi się ciekawie – podsumował Adam. – Wolałbym nudę.

– Teraz kiedy z wami porozmawiałam osobiście, nie wierzę, że zabijacie więdźmy – oświadczyła Geena poważnie, patrząc na Adama. Kobiety często spoglądały na mojego męża z taką miną. George uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

Dobrze, że w odpowiedzi nie przewróciłam oczami, bo Geena zaraz potem spojrzała na mnie.

– Nie jesteście bezwzględnyimi zabójcami... Zależy wam na ludziach. – Zrobiła dziwny gest rękami. – Dłonie ujawniają mi prawdziwą naturę ludzi.

– Dobrze wiedzieć – skomentowałam, myśląc, że przecież zdarzyło mi się bezwzględnie zabijać. A w każdym razie bez żalu.

– Chodźmy – zwrócił się George do Geeny. – Odprowadzę cię do samochodu.

– Dziękuję, że podzieliłaś się z nami informacjami – powiedział Adam. – I przykro mi, że nie udało mi się ochronić twoich znajomych. Dowiemy się, co się dzieje, i powstrzymamy to. Zadzwoń, proszę, jeśli dowiesz się czegoś nowego. Możesz dzwonić do mnie lub George’a o każdej porze.

Potoczyła po nas wzrokiem i skinęła głową.

– Dziękuję.

– Zaraz wracam. – George ruszył za nią do drzwi.

Gdy tylko wyszli, Adam złapał za telefon i zadzwonił do Larry’ego. Szybko streścił mu rozmowę z Geeną.

– Białe czarownice zawsze znikają – skwitował Larry.

– Owszem, ale nie zawsze towarzyszyła temu fala plotek, że znikają za sprawą naszej watahy. Jest również jedna martwa

wiedźma. – Opowiedział o wróżbitce.

– Nasza informatorka mówiła też o innych zaginionych istotach – dodałam, wiedząc, że Larry mnie usłyszy. – Pomniejsi pradawni, również gobliny. Istoty, które nie mają silnych przyjaciół.

– Tacy również zwykle w razie problemów salwują się ucieczką – burknął Larry. – Poza goblinami. – Przez chwilę milczał. – I mówiła też o goblinach? Podała jakieś imiona?

– Nie. Tylko słyszała o zaginięciu jakichś goblinów. Czy któreś twoje gobliny zginęły?

– Nie wiem, ale jest kilka, z którymi od jakiegoś czasu nie miałem kontaktu. To samotnicy. Jeśli zaginęli, oznacza to, że mamy wroga, który nas zna i wie, gdzie mieszkamy.

– To mogą być tylko plotki – zastrzegł Adam. – Ale byłbym wdzięczny, gdybyś to sprawdził.

– Zdobywanie informacji to moja specjalność – powiedział Larry i się rozłączył.

– Powiem Benowi i Zackowi, żeby się temu przyjrzeni – powiedział Adam.

Zack znał wiele słabszych istot nadnaturalnych mieszkających w mieście. Komunikowali się z nami za jego pośrednictwem, ponieważ nie przerażał ich tak, jak reszta wilkołaków. Ben z kolei, wedle własnych słów odsączonych z wulgaryzmów, był geniuszem komputerowym, który potrafił włamać się do każdej bazy danych, a nie robił tego tylko dlatego, że nie chciał.

George wrócił, gdy Adam rozmawiał z Zackiem, i już razem czekaliśmy, aż zadzwoni i wyda polecenia Benowi.

– Białe wiedźmy to doskonałe ofiary, co? – skrzywił się George, kiedy Adam odłożył telefon. – Nic dziwnego, że znikają, nic dziwnego, że ratują się ucieczką. Nawet ich nie szukamy, kiedy znikają.

– Co ciekawsze, same wiedźmy mówią teraz głośno o tych zniknięciach. – Adam nie zaprzeczył słowom George’a. – A zwykle nie chcą ściągać na siebie uwagi.

– Pamiętasz moje wczorajsze wezwanie podczas imprezy w pubie? – rzucił George, a Adam przytaknął, wyraźnie zaskoczony tą nagłą zmianą tematu. – Chodziło o spożywcza na Sześćdziesiątej Ósmej w Pasco. Nie hipermarket.

– Nie zdążyłem dzisiaj zajrzeć do wiadomości. Co tam się stało?

– Jeszcze nic nie trafiło do wiadomości. Ale pewnie lada moment sprawa się sypnie. Jacyś studenci robili tam zakupy, w pewnym momencie jeden poszedł do alejki z produktami do wypieków i zniknął. Kwadrans później pracownik dokładający towar na półki znalazł jego ciało na zapleczu. Problem w tym, że ciało bardzo przypominało to ze zdjęć Geeny.

– Chłopak był czarownikiem? – zapytałam.

– Sądząc po zapachu, śmiertelnik – zaprzeczył George. – Ale jego zabójca raczej nie był człowiekiem. Nie widać tego na fotografiach, ale ja widziałem ciało w sklepie. Narzędziem zbrodni jest jakiś ostry przedmiot, a ślady wskazują, że posługiwał się nim w ten sposób. – George nakreślił w powietrzu wzór w kształcie ósemki. – Ciął na krzyż, po przekątnej z zaobleniami na końcach. Myślę, że pierwsze cztery ciosy zostały zadane, jak chłopak upadał. Potem zabójca przekręcił ciało i dokończył robotę. Rany są bardzo głębokie, aż do kręgosłupa.

To dlatego George wezwał policję do tej martwej wiedźmy. Teraz ofiarą padł człowiek. Nie chciał tego mówić przy Geenie.

– W poniedziałek wiedźma, a wczoraj człowiek. Szybko – dokończył.

– Co jeszcze wiesz? – zapytał Adam. – Chłopak jest jakoś powiązany z wiedźmą? Albo z innymi zaginionymi?

– Nie wiem. Zawiadomiłem Tony’ego o morderstwie w Pasco, kiedy przekazywałem mu informację o wiedźmie. – Tony Montenegro był policjantem związanym ze społecznością istot nadnaturalnych, głównie przez to, że się przyjaźniliśmy.

– Ta sprawa to koszmar piarowy dla watahy. Szczególnie jeśli ktoś powie policji o zaginionych wiedźmach.

– Na pewno. – Adam potarł twarz. – A co możesz nam powiedzieć o tym morderstwie w sklepie?

– Niewiele, jak na tak uczęszczane miejsce jak ten sklep. Pół nocy szukaliśmy i przesłuchiwaliliśmy ludzi, którzy tam wtedy się znajdowali. Mamy nagranie ofiary, ale na żadnej klatce nie ma zabójcy. Kamera skierowana na miejsce zabójstwa była wyłączona.

– Wyłączona? – zdziwił się Adam, który przecież znał się na ochronie. – Ktoś ją wyłączył? Kto ma dostęp do komputera?

– To system wewnętrzny, dostęp do niego jest jedynie z biura ochrony. A biuro było zamknięte przed i w trakcie zdarzenia. Urządzenie zostało ponownie włączone również w czasie, gdy biuro było teoretycznie niedostępne, tuż przed tym jak sprzedawca znalazł ciało. Nie działała przez jakieś dziesięć minut.

– Podejrzani? – zapytałam. – Pewnie nikt niczego nie widział?

– Tak jakby. – George miał dziwną minę.

– No? – ponaglił go Adam.

– Nie wiem, czy to nie ściema... – zaczął George niepewnie. – Jeden ze sprzedawców kończył zmianę mniej więcej w czasie zniknięcia ofiary. Przysięga, że kiedy cofał z parkingu, z tyłu za jego samochodem przechodził Żniwiarz.

– Kto?! – zapytał Adam.

– Ten Żniwiarz? – zdumiałam się. – Ten z filmu? Ubrany w kapotę jak strach na wróble i z sierpem?

– Pracownik mówił o kosie. Mówił, że patrzył w ekran tylnej kamery, kiedyś ktoś ubrany jak Żniwiarz przechodził za jego

samochodem. Ale kiedy się odwrócił, nikogo już nie było.

– Wierzysz mu?

– Hmm. Parking dla pracowników jest spory, dobrze oświetlony i o tej porze prawie pusty. Mamy nagranie, jak wyjeżdża z placu. Z całą pewnością dał ostro po hamulcach i zatrzymał się na moment podczas cofania. Ale kamery nie obejmują porządnie miejsca za jego samochodem, a nagranie jest czarno-białe i kiepskiej jakości. Za samochodem akurat jest dość ciemno. Mogło tam coś być, jakiś ruch, albo i nie.

– Spożywczy na Sześćdziesiątej Ósmej... – zamyśliłam się. – Obok jest kino?

– Uhm – potaknął George. – I puszczają „Żniwiarza”. Mniej więcej wtedy kończył się seans. Kierownik kina twierdzi, że sporo widzów przyszło w przebraniach.

Wymieniliśmy z Adamem spojrzenia. Jesse, Izzy i Tad byli wczoraj na „Żniwiarzu”. Co prawda w mieście jest multum kin, ale lubili chodzić właśnie do tego.

– Dostałem zezwolenie, żeby przyprowadzić dwie osoby z watahy na miejsce zbrodni i do kostnicy. Masz lepszy nos niż ja, Mercy. Może coś wyniuchasz.

Na przykład magię.

Właśnie mieliśmy jechać do siedziby chmary... Popatrzyłam na Adama.

– Powinniśmy obejrzeć ten sklep i ciało, zanim odwiedzimy wampiry – zasugerowałam.

– Ale najpierw zajrzemy do warsztatu – oświadczył Adam stanowczo.

– Po co? – Skrzywiłam się.

– Żeby Zee obejrzał twoje stopy.

– Ale czemu? – zdziwiłam się.

– Pająk, pamiętasz?

Przez chwilę nie mogłam zrozumieć, o co mu chodzi. A potem poczułam zimny dreszcz.

– Tak, zdecydowanie jedźmy do Zee.



## Rozdział 8

Jeszcze raz – powiedział Zee, czyszcząc ręce pomarańczową pastą BHP, którą zmywaliśmy ze skóry smar i inne substancje. – Nadepnęłaś na kolczaste włoski pająkowego półpradawnego, a wampir kazał ci przyjść do mnie, żebym obejrzał twoje rany. – Na moment zawiesił głos. – We śnie.

– W twoich ustach brzmi to znacznie bardziej niedorzecznie – ofuknęłam go, co miało pokryć moje zdenerwowanie. Niespodziewanie dla siebie samej poczułam opór przed pokazywaniem mu tych ran.

Wytarł dłonie do sucha i popatrzył na mnie.

– Nic nie poradzę na to, jak to brzmi, *Liebchen*.

Rozdzwonił się telefon, na co Zee syknął z irytacją, a w jego oczach pojawił się autentyczny gniew.

– Kiedyś wyrwę temu ustrojstwu kabel – zagroził. Potem spojrzał na Adama i przymknął powieki w zamyśleniu. Wyglądał teraz jak demon kontemplujący pożarcie kolejnego dziecka. – Ty – wskazał na Adama – i ty – na George’a. – Idźcie tam i odbierzcie ten przeklęty telefon. I niech mi tu nie przeszkadzają żadne...

– Żadni klienci? – dopowiedział Adam kpiąco.

Zee zbył go machnięciem ręki.

– Klienci, utrapieńcy... *Nenn sie wie Du willst.*

– Nazywajmy ich klientami, proszę – wtrąciłam. – W końcu płacą mi, żebym mogła zapłacić tobie.

Zee prychnął lekceważąco i gestem ponaglił wilki.

– Idźcie. Powiedzcie im, że nie ma mnie przez godzinę.

Czekałam... Liczyłam, że... Miałam nadzieję, że Adam obruszy się tonem Zee i jakoś zareaguje. Co odwlekłoby badanie moich stóp.

Adam popatrzył na mnie przenikliwie i skinął głową na George'a, który w przeciwieństwie do mojego męża wyglądał na urażonego zachowaniem Zee. Kiedy Adam zamykał za nimi drzwi, trochę nimi trzasnął, ale co z tego, skoro i tak zostałam sam na sam z Zee.

I przecież o to chodziło. W sumie. Bo Zee miał obejrzeć moje rany na stopach. Nie mogłam pojąć, skąd we mnie taka niechęć do tego.

– Nie mogę tego zrobić bez zapłaty – oznajmił Zee, marszcząc brwi.

Co było wstępem do negocjacji. Nie bez powodu pradawni targowali się, kiedy prosiło się ich o przysługę. Dla nich zachowanie równowagi magii było niezwykle istotne. Mieli to we krwi tak samo, jak ludzie mieli we krwi potrzebę osiągnięcia sukcesów. Pomimo odrobiny nadziei, którą poczułam po jego pierwszych słowach, szybko stało się jasne, że Zee jest w wybitnie wielkodusznym nastroju. A może martwił się o moje stopy? W każdym razie nie targował się zbyt ostro.

W ramach opłaty za pomoc medyczną zażądał opowiedzenia wszystkiego, co się wydarzyło, począwszy od tego, co zostawiło siny ślad na mojej twarzy, po przyczynę tego, że siedziałam teraz u stóp Zee na zimnej, betonowej posadzce warsztatu, z uniesionymi nogami opartymi o jego kolana.



Wynegocjowałam pominięcie kwestii Sherwooda, ponieważ była to sprawa watahy i nie miała nic wspólnego z aferą z wampirami. Pewnie mogłabym też wytargować pominięcie tajemniczych zniknięć wieźm i morderstwa w sklepie, ale ponieważ Zee był użytecznym źródłem informacji, uznałam, że im więcej mu powiem, tym więcej mogę się od niego dowiedzieć.

– Pająki, hm? – rzucił Zee w zadumie, przesuwał ciemnym od smaru palcem po mojej podszwie.

Czułam się coraz bardziej nieswojo, moja nerwowość narastała. Dłonie i pośladki miałam zlodowaciałe od chłodu betonu. W warsztacie śmierdziało starym olejem, dieslem i gumą – czyli jak zawsze, ale teraz zaczęłam się dusić od tej mieszanki. Blask lamp zaczął mnie razić. Generalnie najbardziej na świecie nie chciałam, żeby stary, pobłogosławiony darem żelaza pradawny dotykał moich stóp.

Poddając się rozpacz, gwałtownie cofnęłam jedną nogę, ale z drugą, którą Zee właśnie trzymał, mi się nie udało. Zee uniósł brwi i wzmocnił chwyt na mojej kostce.

Adam otworzył drzwi i wetknął głowę do hali.

– Co się dzieje? – zapytał ostro. Chyba poczuł moją panikę.

– Mercy została zainfekowana szczególnie złośliwą magią – odrzekł Zee chłodno. – Następnym razem, kiedy wbije sobie jakiś fragment magicznego pająka, radzę przyprowadzić ją do mnie bezzwłocznie. Łatwiej byłoby naprawić to zaraz po zranieniu.

Kiedy szarpnęłam nogą, przytrzymał ją bez wyraźnego wysiłku.

– Myślę – ciągnął Zee – że ty i twój kompan powinniście pozbyć się wszystkich postronnych z tego budynku, zamknąć wszystko na cztery spusty i wywiesić kartkę, że mamy zamknięte. A potem obaj przyjdźcie tutaj. To potrwa dłużej, niż zakładałem.

Podniósł oczy na automatyczne wrota hali i napędzające mechanizm silniczki zawarczały. Wielkie metalowe połączenie zadrżało i opuściło się, zamykając mnie w środku.



Nie wiedziałam, co Zee robił z moimi stopami, bo przez większość czasu leżałam z twarzą wciśniętą w beton. George przytrzymał mnie kolanem opartym na moich plecach, nad zamkniętymi w żelaznym uścisku nadgarstkami.

Pozycja ze wszech miar niedogodna, przeznaczona zazwyczaj dla kogoś, kto mógł według Adama stanowić zagrożenie. Ale dwa razy zdołałam się im już wyrwać. Adam przyciskał nogą moje łydki tuż pod kolanami i unieruchamiał mi stopy, żebym nie kopała, podczas gdy Zee pracował nad podszewkami.

– Pewne magiczne istoty mogą się w ten sposób rozmnażać, a niektóre z nich dzielą różne cechy z pajakami. Choć twierdzą, że jest odwrotnie, i to pająki posiadają ich cechy – mówił Zee, nie przerywając zabiegu. – Część z nich posiada kolce, które odłamują się i pozostają w ciele ofiary.

Stopa, nad którą się biedził, paliła żywym ogniem, a ból przeszywał mnie niczym wyładowania elektryczne wzdłuż nogi, kręgosłupa i owijał się wokół głowy, jakby wydobywał się z tych urządzeń ze starych, czarno-białych horrorów i filmów sci-fi. Wrzasnęłam.

Niewzruszony Zee ciągnął swoje wynurzenia:

– Fragmenty tych kolców to odpowiednik zapłodnionych jaj. Kiedy zostają złożone w ciele żywiciela, uwalniają magiczną zarazę, która przemienia gospodarza w strażnika broniącego ich za wszelką cenę.

Rozległ się metaliczny brzęk, jakby ktoś wrzucił orzech na metalową patelnię. Nie widziałam, co Zee robi, bo George

przytrzymał mnie mocno, nie zostawiając mi na tyle swobody ruchu, żebym mogła odwrócić głowę. Z łatwością uwierzyłam, że ten dźwięk to kawałki moich kości, które przerażający kowal zamienia w klejnoty.

– Gdybyście zwlekali chwilę dłużej, nie obyłoby się bez uzdrawiacza – burczał Zee – a to kosztowałyby o wiele więcej niż opowieść.

– Opowieść? – warknął Adam głosem wibrującym gniewem wilka.

– Mercy zapłaciła mi opowieścią o wydarzeniach minionej nocy. Z wyłączeniem jakichś spraw dotyczących tylko watahy. Wiem o wampirach, Stefanie, zaginionych wiedźmach i martwych ludziach. I może mogę coś do tego dodać od siebie. – Brzdęk, brzdęk, brzdęk.

Oczyszczanie ran zajęło mu dwadzieścia pięć minut, a kiedy skończył z jedną i zabrał się za drugą stopę, najwyraźniej mniej poszkodowaną, większość desperacji, żeby go powstrzymać, już ze mnie wyparowała. Dzięki temu przestałam wrzeszczeć. Co i tak niewiele pomogło, bo gardło miałam całkiem zdarte.

– Lepiej? – zapytał Zee.

Przytaknęłam.

– George, możesz już ze mnie zejść.

– Nie – zaprotestował Zee stanowczo. – Zostań tam, gdzie jesteś, dopóki nie skończę.

Czułam, że George zeszywniał, dotknięty rozkazującym tonem Zee, ale zmilczał. Ciekawa byłam, co wpędziło pradawnego zrzędę w tak podły nastrój. Teraz kiedy myślałam już jaśniej, przypominałam sobie, że od samego początku był bardzo nieprzyjemny, nawet jak na niego. Liczyłam, że Adam się w końcu wkurzy, jednak z drugiej strony Zee zazwyczaj nie rozstawiał tak ludzi po kątach. Lubił Adama i rozumiał, z czym wiąże się jego pozycja Alfya watahy.

Wcześniejszą nieuprzejmość mogłam zrzucić na karb troski o mnie. Na upartego. Ale teraz jego zachowanie pozostawało dla mnie zagadką. Przypomniałam sobie opowieść Izzy o tym, jak obcesowo ją wypytywał, i poczułam niepokój. Zee zazwyczaj zachowywał się... Nie, Zee był starym, zręcznym mechanikiem, który serce okazywał nielicznym, ale miał tę inną, prawdziwą naturę. Był starożytną istotą, brutalną, niebezpieczną, i tamten Zee byłby zdolny do podania ojcu wina w wysadzanych klejnotami czaszkach jego dzieci.

Kiedy Zee skończył operację, byłam powalana warsztatowym brudem i krwią, miałam obolałe barki i gardło. Nowe siniaki na ramionach mogłam zakryć długim rękawem. Na szczęście nadgarstki mnie nie bolały, choć George trzymał je bardzo mocno. Widocznie posiadał jakieś wyjątkowe umiejętności nabyte w policji. Lub podczas zabaw BDSM.

Za to stopy bolały jak diabli – prawa bardziej.

– Jestem szczęśliwa, że z mojego truchła nie wylęgną się sześciopalcowe pajakowate cosie – zwróciłam się ochryłym z bólu głosem do Zee, co było najbliższe podziękowaniom, jakie mogłam mu złożyć.

Zgodziliśmy się co do zapłaty, a podziękowania znów postawiłyby mnie w pozycji osoby zobowiązanej. Z pewnością by tego nie wykorzystał, ale martwiłby się i marudził, i mnie pouczał.

– Walczyłaś z tym pradawnym w formie kojota – rzekł z zadumą.

– No i co?

– Pokaż dłonie.

Gdyby Adam nie stał pomiędzy mną a dostępną dla mnie drogą ewakuacyjną i gdyby nie miał takiego refleksu, zdołałabym uciec.

Przytrzymał mnie, oplatając ramionami i więżąc moje nogi pomiędzy swoimi, a tymczasem George unieruchomił dłoń, nad

którą Zee nie pracował.

Oczyszczanie rąk zajęło jeszcze więcej czasu niż wydłubywanie kolców ze stóp.

Po wszystkim Adam opadł na stołek, trzymając mnie brudną i spoconą w objęciach. Wtuliłam twarz w jego ramię i wdychałam jego zapach – on też się spocił – nurzając się w świadomości, że znów jestem sobą. Jeśli potrzebowałam przypomnienia, że istnieją gorsze rzeczy niż połączenie z wampirem, któremu naprawdę ufam, to właśnie je otrzymałam.

– Jak wcześniej wspomniałem – odezwał się Zee – mam coś do dodania do historii opowiedzianej przez Mercy. Mówiła, że sprzedawca widział za samochodem kogoś przebranego za tego potwora z filmu, Żniwiarza, tak?

Oderwało mnie to od własnych lęków i przestałam się trochę trząść. Nie poruszyło mnie to, że Zee skupił się na tym konkretnym wydarzeniu, ale że znał nazwę postaci z filmu. Zee nie chodził do kina i bardzo rzadko, jeśli w ogóle, oglądał telewizję.

– Tak – odparł George krótko. Jego uraza spowodowana zachowaniem Zee jeszcze nie wygasła.

– W tym filmie bohater znajduje sierp, przez który przemienia się w Żniwiarza, tak?

– Zee? Czy ty oglądałeś ten film? – zapytałam z niedowierzaniem.

– A co? – burknął.

– Jeszcze nie wszedł do kin. Wczoraj był pokaz przedpremierowy. Byłeś na nim?

– Tak – odparł, a jego wyzywająca mina mówiła: „No i co z tego?”.

– Śledziłeś Tada? – kontynuowałam przesłuchanie. – Zaraz, zaraz! – Uniosłam rękę, żeby powstrzymać jego wypowiedź. – Izzy mówiła, że pomogłeś jej z samochodem. – Wytrzeszczyłam

na niego oczy. – Czyżbyś upewnił się, że złapie kapturę we właściwym czasie, żeby sprowadzenie ciebie na pomoc wyszło całkiem naturalnie? – Nie, przecież to nie ona tu zadzwoniła, tylko Jesse. – A raczej, żeby Jesse, słysząc, gdzie stanęła jej przyjaciółka, wpadła na pomysł, że to ty powinienes jej pomóc?

Zacisnął usta i nic nie odpowiedział.

Wyprostowałam się, opuściłam nogi na beton, ale zaraz je podciągnęłam, bo zabolęły.

– Czy w jakiś sposób zagrażasz Izzy?

– Wszystkim w jakiś sposób zagrażam – prychnął.

– Czy zagrożenie dla Izzy wynika z tego, że umawia się z Tadem? – Wydobycie informacji z pradawnego zależało od zadania właściwych pytań.

– Jeśli nie stanowi zagrożenia dla mojego syna, nic jej z mojej strony nie grozi – odrzekł ostrożnie.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem.

– Istnieją rzeczy, których nasza przyjaźń nie przetrwa – powiedziałam. – Należy do nich sytuacja, w której Izzy w jakikolwiek sposób ucierpiałaby za twoją sprawą.

Przekrzywił głowę w zastanowieniu.

– Zgadzam się wysłuchać twojej opinii – powiedział z wolna – jeśli skrzywdzi mojego syna.

– Nie zrobisz niczego bez wcześniejszej rozmowy ze mną – przetłumaczyłam jego wypowiedź. – A jeśli powiem, żebyś zostawił ją w spokoju, właśnie to zrobisz.

Gwałtownie potaknął, a ja się uspokoiłam.

– Tad, o ile nie spotykał się z kimś na poprzedniej uczelni, nie miał wcześniej dziewczyny na poważnie – powiedział Adam, rozważając coś. – Rozumiem cię doskonale.

W głosie Adama było tyle empatii, że aż na niego spojrzałam, mimo że wymagało to nieco ekwilibrystyki.

– Ale ty nie śledzisz Jesse – stwierdziłam.

Adam milczał.

– Jestem rozczarowany. Obama – oświadczył George, po czym zrujnował efekt. – Zee, dysponujesz potężną magią, a łazisz za Tadem jak jakiś śmiertelnik. A ty, Adam, masz na wyciągnięcie ręki najlepszą dostępną technologię inwigilacyjną i całą watahę na skinienie palca.

– Obserwacja za pomocą technologii byłaby czymś niedopuszczalnym – bronił się Adam. – Jesse wyciosałaby mi kołki na głowie, gdyby mnie przyłapała, że za nią chodzę. Ale gdyby znalazła pluskwę albo kamerkę... już nigdy by mi nie zaufała.

Nie przestałam obserwować twarzy Zee.

– Przyłapał cię! – stwierdziłam zachwycona i aż się pochyliłam, kładąc stopy na posadzce. Zaraz je cofnęłam. – Tad przyłapał cię, jak szedłeś za nim do kina!

Twarz Zee stężała, cały Zee zeszywniał na moment, a potem rozluźnił się i uśmiechnął szeroko.

– Chłopak jest bystry jak jego matka – rzekł. – Jestem z niego dumny.

Wyjaśniło się, dlaczego Zee tak łatwo ustąpił, kiedy przycisnęłam go w sprawie Izzy. Tad również wiedział o spotkaniu ojca i dziewczyny pod przykrywką pomocy z samochodem. Odetchnęłam z ulgą, bo Zee nic już nie mógł zrobić Izzy za plecami Tada. Czyli groźba, że Izzy przytrafi się coś złego, wydatnie zmaląła.

– Miałeś nam coś powiedzieć o Żniwiarzu – przypomniałam.

– No tak. – Uśmiech Zee zbladł. – To film o człowieku opętanym przez sierp, który z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu nazywają kosą.

– Słyszeliśmy – potwierdził Adam.

– *Ja, gut* – mruknął Zee. – W filmie ten sierp zmusza bohatera do zabijania, a im dalej w las, tym te zabójstwa są bardziej wymyślne, *ja?*

– Uhm – przytaknęłam.

– Taki sierp istniał naprawdę – westchnął Zee. – Nie wiem, jak się tu znalazł, tutaj konkretnie, ale jakieś czterdzieści lat temu jakiś głupi smarkacz go znalazł... Albo ktoś mu go dał. Ten sierp posiada świadomość, jak twój kostur, Mercy. Ale to nie wszystko. Nagina wolę ludzi, żeby wykorzystać ich do własnych celów. Ten chłopak zaczął zabijać pewnych ludzi.

– Było ich więcej? – George zmarszczył brwi.

Zee przytaknął.

– Ofiary były nieprzypadkowe. W ich żyłach płynęła krew magicznych istot, ale nie za wiele. Nie były powiązane z żadnymi silnymi grupami, wampirami, czarnymi wiedźmami czy potężnymi pradawnymi. Były to pomniejsze istoty magiczne, gobliny, białe wiedźmy, słaba szara wiedźma oraz potomkowie ludzi i istot nadnaturalnych.

– Chcesz powiedzieć, że sierp jest na tyle inteligentny, żeby działać celowo w ten sposób? – zapytał Adam.

– Mówię, jak było – odparł Zee szorstko.

– Nie mamy tylu ciał, żeby określić wzorzec działania – powiedział George. – Owszem, wśród ofiar jest czarownica, ale jako drugi zginął człowiek.

Zee nie odniósł się do tego wprost.

– Był kiedyś pewien policjant. Jeszcze w czasach, kiedy się ukrywaliśmy, żyli ludzie, którzy mieli otwarte umysły. Nie starali się na siłę znaleźć logicznego wyjaśnienia dla rzeczy niewytłumaczalnych. Ten policjant należał właśnie do tego rodzaju ludzi. Zobaczywszy ciała pochlastane tak, jakby ktoś żął zboże, nie uważał, że zrobił to człowiek. Kierunek jego śledztwa zaniepokoił pewną osobę, która postanowiła zadziałać. Miała ona niejaki podejrzenia, o co może chodzić, i w związku z tym przybyłem do Tri-Cities. To nie ja wykułem sierp, ale osoba ta o tym nie wiedziała.

Zee wzruszył ramionami i przesunął kilka leżących na wózku narzędzi, odwracając w ten sposób od nas twarz i ukrywając jej



wyraz. Przemknęło mi przez myśl, że może nadal jest urażony wezwaniem do wyjaśnień, ale nawet jeśli, to raczej by tego nie ukrywał.

Kiedy zadzwonił mój telefon, sięgnęłam do kieszeni, nie spuszczać jednak wzroku z Zee, i udało mi się dostrzec jego minę.

Chciwość to jeden z grzechów głównych, czyż nie?

Zerknęłam na ekran telefonu – numer nieznany. Odebrałam pochłonięta zastanawianiem się nad reakcją Zee.

– Halo? – Rano dzwoniłam do Samuela, żeby zapytać go o Sherwooda, a ponieważ nie odebrał, zostawiłam mu wiadomość. Czasami jego numer nie identyfikował się poprawnie. – Halo? – powtórzyłam.

Cisza. Telemarketerzy dzwonią czasem hurtowo i nie są w stanie obsłużyć wszystkich aktywnych połączeń, więc telefony wyglądają na głuche. Ale zazwyczaj szybko się rozłączają. A ten nie.

Nie słyszałam oddechu osoby po drugiej stronie, ale coś słyszałam. Szelest wiatru i szum ruchu ulicznego. Poczułam, jak włoski jeża mi się na karku. Miałam pewność, że to nie Samuel. Nie wiedziałam skąd, jak, ale był to ktoś inny.

– Stefan? – zaryzykowałam.

Pyknięcie – przerwano połączenie.

– Mercy? – zapytał Adam czujnie.

Pokręciłam głową. Teraz już nie potrafiłabym powiedzieć, dlaczego się tak wystraszyłam. Poruszyłam dłońmi. Bolały. Zadrżałam.

– Mercy? To Stefan? – Głos Adama przywrócił mnie do rzeczywistości.

– Nie, nic. To moja paranoja. – Machnęłam ręką, wskazując światło dnia wpadające przez świetliki w dachu. – Jest dzień. Stefan śpi. Poza tym czemu miały dzwonić i się nie odzywać? – Niektóre wampiry mogły funkcjonować za dnia. Na przykład

Wulfe. – Pewnie telemarketing. – W tej chwili sama już byłam gotowa w to uwierzyć. – Po nadzianiu się na piekielnego pająka każdy byłby przez parę godzin przewrażliwiony.

– Sprawdzę, kto to był. – Adam wyjął swój telefon i napisał coś w wiadomości.

– Czy twoi ludzie znów będą się włamywali do cudzego systemu? – George wyszczerzył się promiennie.

– Jesteś gliną – stwierdził Adam. – Czy ja wyglądam ci na imbecyla?

– Jeśli nic nie znajdziesz, pchnij to do mnie – zaproponował George. – Mam znajomych.

– Widzisz, przez co ja muszę przechodzić? – poskarżyłam się Zee. – Byle telefon od telemarketera, a oni rozpętują piekło.

– Mówiłem ci, że tak będzie, kiedy zaczęłaś się spotykać z Alfą – prychnął Zee niewspółczująco.

Po ustaleniu, co robić z tajemniczym połączeniem telefonicznym, George, poważniejąc, wrócił do wcześniejszego tematu.

– Ile osób wtedy zginęło, Zee? – dociekał. – Kiedy to było? Służyłem parę lat w wydziale nierozwiązanych spraw i bywałem na różnych seminariach dotyczących seryjnych morderców. Kilka z nich skupiało się nawet tylko na dawnych i trwających seriach w stanie Waszyngton, ale nie słyszałem o żadnym mordercy z sierpem.

– I nie usłyszysz – stwierdził Zee. – O większości ofiar do tej pory nikt nie wie. Z podobnych powodów, dla których nie zgłasza się zaginięć białych wiedźm. Chyba zgłoszono ze trzy, ale dokumentację zniszczono. Sytuacja została opanowana i nic nie przeciekło do prasy, a prowadzący śledztwo został uciszony.

– Zee się skrzywił. – To akurat mi się nie podobało. Był porządnym człowiekiem, odwalał kawał dobrej roboty, a obeszlili się z nim w wyjątkowo prostacki sposób. Wkrótce po tym zrezygnował z pracy.

- Ale złapaliście mordercę – podsumowałam.
- Zabójstwa ustały – westchnął Zee. – Nie ja się do tego przyczyniłem. Mnie pozostawiono rozprawienie się z chłopcem i sierpem. Zostali podrzuceni w miejscu, gdzie Wujek Mike mógł ich znaleźć, ale obaj wiedzieliśmy, że to robota dla mnie.
- Co się stało z sierpem? – zapytał Adam.
- Zniszczyłem sierp. – Zee uśmiechnął się pogardliwie. – To były prymitywne czary. Magia wiedźm. – Zawiesił głos, a potem się poprawił. – Efektywna – przyznał – ale prymitywna.
- Ciała pocięte, jakby ktoś żął zboże – powtórzył George. – Tak samo opisałem wczoraj rany tego chłopca w sklepie. Ale przecież zniszczyłeś sierp?
- Zniszczyłem sierp. Jakiś. Ten, który przedstawiono mi jako narzędzie zbrodni. Ale nie ten, po który tu przybyłem.
- Po słowach Zee zapadło pełne zadumy milczenie.
- Ale i tak powinienem o tym coś słyszeć – upierał się George.
- Papiery czy nie, przecież iluś ludzi widziało ciała. To wyciszenie sprawy musiało być naprawdę skuteczne.
- A jednak powstał ten film – powiedział Adam ostrożnie.
- Tak – przyznał Zee. – Powstał film. Na podstawie tego, co stary policjant opowiedział wnukowi. Poza głównym motywem, mordercą, który zabija za pomocą sierpa, film nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.
- Hm, chyba będę musiała obejrzeć tego „Żniwiarza” – stwierdziłam. – Czyli mamy wieczorem randkę, drogi mężu.
- Przytaknął, choć nieszczególnie entuzjastycznie. Krwawe horrory nie robiły dobrze wilkołakom. Nagłe głośne dźwięki, napięcie i kino pełne wystraszonych ludzi to recepta na katastrofę.
- Może idź lepiej z Tadem? – zasugerował Zee. – Kiedy rano opowiedziałem mu o prawdziwym Żniwiarzu, uznał, że musi zobaczyć film jeszcze raz.

– Dzieciak w sklepie mógł być z powodzeniem zasiekany sierpem – powiedział George, którego rozmowa o filmie nie odciągnęła od myśli o prawdziwej zbrodni. Spojrzał na telefon, który piknął, oznajmiając przybycie wiadomości. – Tony pisze, że zaraz jedzie do Kennewick na miejsce zbrodni, żeby pogadać ze śledczymi od śladów. Jeśli ruszymy teraz, możemy się z nim spotkać w spożywczaku w Pasco.

Zerknęłam na Zee.

– Chcesz jechać z nami i rzucić okiem na miejsce zdarzenia?

Zee pokręcił przecząco głową.

– Ty nigdzie nie jedziesz – oznajmił Adam stanowczo. – Nie z tymi stopami.



Oczywiście pojechaliśmy wszyscy.

– Tak to wygląda, kiedy kojot spotyka Alfę wilkołaka – mruknął George, radośnie błyskając zębami z tylnego siedzenia.

– A pradawny...

– Dość – fuknął Zee, sadowiąc się obok niego.

George nie przestał się szczerzyć, ale zamilkł – nie był głupi.

Sklep pozostawał nieczynny.

– Nie chcemy przeszkadzać w śledztwie – wyjaśnił kierownik, zamykając za nami drzwi.

Koło pięćdziesiątki, solidnej budowy, miał jasne, platynowe włosy, które zaczynały siwieć. Okrągła twarz przypominała oblicze Świętego Mikołaja, a podobieństwo wzmagala krótka biała broda. Obrzucił mnie surowym spojrzeniem, ale nie skomentował mojej obecności.

– Musicie wyjaśnić, co się stało temu biedakowi – powiedział nieco zapalczywie.

– To pan widział Żniwiarza za samochodem? – zapytał go Adam.

– Nie, to Andy. Andy Vargas. – Zatrzymał się, a jego ręka z kluczami zawisała nad kieszenią. – Andy nie jest typem histeryka czy żartownisia – podkreślił trzeźwo. – Jest prawdomówny, a wczoraj był naprawdę wystraszony. – Wzruszył ramionami. – Dzisiaj mu głupio i żałuje, że o tym w ogóle powiedział. Jest przekonany, że to był jakiś przebieraniec.

Przytknęłam nos do posadzki i obwąchałam okolicę drzwi. Zapachów było wiele, ale żaden nietypowy.

– Przepraszam – złamał się w końcu kierownik – czy to jest kojot?

– Tak – potwierdził Adam. – Może powie nam coś więcej o tym, co się tu wydarzyło.

– Nie przyprowadził pan jednego ze swoich... – Kierownik zająknął się pod uważnym spojrzeniem Adama. Bywało, że Adam zbijał z tropu osoby przyzwyczajone do kierowania innymi. Uśmiechnął się do niego i kierownik się odprężył.

– Uznałem, że nie potrzebuje pan tu więcej potworów.

– Nie jesteście potworami – zachnął się kierownik nieoczekiwanie. – Mieszkam w zachodnim Pasco. Nie tak dawno pana wilki zabiły krowę-zombi tuż za moim płotem. A akurat odwiedzały mnie wtedy wnuczki.

– Dziękuję. Powiedzmy więc, że nie chciałem niepotrzebnie wprowadzać jeszcze bardziej nerwowej atmosfery. Zresztą ona ma lepszy węch.

– Kojocica? – upewnił się kierownik.

– Generalnie... – Adam obrzucił mnie spojrzeniem. – Dobrze, chodźmy do alejki, w której zginął chłopak. Potem zobaczymy, czy uda się podjąć trop zabójcy.

Kierownik zaprowadził nas w stronę zaplecza i zatrzymał się przed dużymi drzwiami wahadłowymi.

– To zaraz za nimi. – Uśmiechnął się nerwowo. – Zostawię was samych. Gdybyście czegoś potrzebowali, będę w biurze,

mam trochę papierkowej roboty. A jeśli nie, kiedy skończycie, możecie wyjść sami, drzwi zamykają się automatycznie.

– Dziękuję, damy sobie radę – zapewnił go George.

Kierownik wydał westchnienie ulgi, prawdopodobnie niesłyszalne dla ludzkiego ucha, a my poszliśmy za George'em na zaplecze.

Pomieszczenie wyglądało tak, jak chyba każdy przeciętny magazyn sklepu spożywczego. W rogu stał wózek widłowy, a obok niego stos pomarańczowych pacholek i potykaczy z różnymi napisami. Ten z przodu ostrzegał o mokrej podłodze.

Po obu stronach wielkich wrót żaluzjowych, przystosowanych do wjazdu półciężarówek, znajdowało się jeszcze dwoje drzwi, dalej od nas, też podnoszone, ale mniejsze, takie na wózek widłowy, i bliżej skrzydłowe z napisem „wyjście ewakuacyjne”. Obok tych ostatnich stała oklejona różnymi ostrzeżeniami zgniatarka do kartonów. Zorientowałam się, co to, ponieważ maszyna była pełna spłaszczonych pudeł, teraz przesiąkniętych krwią.

Żółta taśma policyjna rozpięta na plastikowych słupach odgradzała drzwi ewakuacyjne, wózek widłowy i jakieś trzy metry kwadratowej betonowej posadzki, również zakrwawione. Ciemna ciecz zebrała się w nierównościach podłogi, ale i ściany wokół były pokryte bryzgami.

Na ten widok przypomniały mi się słowa lady Makbet: „Kto by się był spodziewał tyle krwi w tym starcu!”<sup>[2]</sup>. Sama byłam drapieżnikiem i zabijałam – głównie myszy i króliki – i krew zazwyczaj nie robiła na mnie wrażenia, ale tutaj, patrząc na te obryzgane ściany, czułam się bardziej jak ofiara niż łowca.

Brałam udział w polowaniu, kiedy wilkołaki zabiły wapiti, a raz nawet łośia. Oba zwierzęta miały w sobie więcej krwi niż człowiek, a mimo to...

– Wygląda to tak, jakby sprawca specjalnie postarał się o makabryczny efekt – zauważył Adam. – Rzeczywiście

większość tego bałaganu może wynikać z tego, jaką broń wybrał. Widziałem coś podobnego, kiedy byliśmy z Christiansenem w dżungli...

David Christiansen został przemieniony w wilkołaka w tym samym czasie co Adam. Wraz z niewielką grupą najemników zajmował się odbijaniem ofiar porwań dla okupu.

– Ścigaliśmy wtedy bosa narkotykowego, który mordował w wyjątkowo krwawy sposób, żeby zastraszać ludzi, i wrogów, i podwładnych. – Wzrok Adama powędrował w górę ściany. – W jego wypadku to działało.

– Musimy trzymać się poza rejonem ograniczonym taśmą – przypomniał George.

Zee przykucnął tak zwinnie, jak żaden zwykły człowiek w tym wieku nie powinien móc, i uważnie obejrzał pomieszczenie, przechylając głowę tak, żeby zobaczyć też rozbryzgi sięgające najwyżej.

– Mówiłeś, że to były cztery cięcia, zanim ciało upadło. – Zrobił gesty inne niż wcześniej George, opisując sposób działania zabójcy. Wilkołak wykonał je szybko i z gracją, na kształt ósemki, Zee również szybko, ale jego zamachy kończyły się szarpnięciem do siebie.

– Nie, na ofierze wyglądało to inaczej – zaprotestował George. – Cięcia są od przodu.

– Wobec tego chłopak stał tyłem do zabójcy – orzekł Zee, wstając. Mrużąc oczy, przyjrzał się śladom krwi, po czym skinął głową do siebie. – Sierp ma ostrze po stronie wewnętrznej. Posługuje się nim ruchem zagarniającym. Zakładając oczywiście, że narzędziem zbrodni jest sierp. Ale ten wzorzec śladów krwi nie różni się od tego na jednym miejscu zbrodni, które widziałem poprzednio, gdy działał Żniwiarz. – Znów bacznie prześledził wzrokiem rozbryzgi. – Jeśli to nie jest sytuacja, gdy historia się powtarza – machnął ręką – takie rany

można zadać długim nożem. Z większą pewnością mógłbym to stwierdzić, gdybym zobaczył ciało.

– Zamierzałem zabrać Adama do kostnicy – powiedział George.

– Wobec tego pójdę z wami. – Zee otrzepał ręce, choć nie widziałam, żeby czegokolwiek dotykał. – Mercy, znalazłaś zapach zabójcy?

No tak, przecież i ja miałam tu swoją część pracy. Kojocia forma była wynikiem zawartego z Adamem kompromisu. Noszenie ciężaru siedemnastu kilogramów rozłożonego na cztery łapy bolało mniej niż noszenie ciężaru ludzkiego ciała rozłożonego na dwie stopy. Zresztą bolało i tak, ale nie zamierzałam tego okazywać. Jeśli wszystkie cztery poduszki bolą, i tak nie da się kuleć.

Przytknęłam nos do ziemi i usiłowałam rozdzielić zapachy. Woń ofiary znalazłam łatwo – jej płyny ustrojowe przesyciły rampę rozładunkową żelazistym zapachem. Nie znałam imienia chłopaka, ale jego zapach mówił mi o nim więcej prywatnych szczegółów. Wiedziałam, jakiego używał szamponu i antyperspirantu.

Wyczułam również magię.

W kojociej formie byłam w zasadzie sobą, lecz mój kojot posiadał zmysły, których nie miałam w ludzkiej formie. Przetwarzał bodźce też w nieco inny sposób. Czasami zaskakiwał mnie odbiór dobrze znajomego otoczenia, zwłaszcza gdy bywałam w nim jako człowiek, kiedy znalazłam się w nim jako kojot.

To dlatego w pierwszej chwili zrzuciłam nietypowe doznanie na zmianę postaci. Zwróciłam uwagę na ten dziwny element od razu po wejściu do sklepu, ale teraz, z nosem przy ziemi, czułam smak mroku niemal na języku.

Magia przeniknęła przez moje futro i nagle coś się zmieniło w zapachu martwego chłopca. Wiedziałam już, kim był. Nie



chodziło o imię, bo nie ono było w tym istotne. Wiedziałam, że był wesoły i impulsywny, że zależało mu na ludziach, ale na szkole lub pracy już mniej. Wychwyciłam wyraźnie jego magiczną cząstkę – zapach spalenizny wskazywał na magiczną istotę związaną z ogniem. Ten dopalacz pochodzący z jego aury pozwolił mi odkryć, że jego matka potrafiła latać i że już nie żyła.

Pławiłam się w zapachu chłopaka, w tej mocy, która rozkwitła w chwili jego śmierci. Magii, która pragnęła...

Uświadomiłam sobie ponuro, że zapamiętam tego chłopca do końca życia. Uczucie było tak przemożne, że dopiero po chwili zdołałam się od niego oderwać.

Pomyślałam, że może właśnie sposób, w jaki chłopak został zamordowany, wytworzył magiczną zupę, która mnie oblepiła. Z całych sił starałam się ją z siebie strząsnąć, żeby skupić się na zabójcy.

Koncentrując się na tym, usłyszałam nowy, cichy głos w pomieszczeniu. Tony dotarł już do nas z Kennewick.

Przez chwilę ignorowałam jego obecność, obawiając się, że znów wpadnę w bagno informacji i nie będę mogła się z niego wydostać. W końcu, choć z trudem, udało mi się powstrzymać zalew magii i mogłam wykryć coś poza chłopcem i jego zabójcą.

Wyczułam zapach pracowników – poznałam ich po tym, że zapach pochodził z różnego czasu w ciągu wielu tygodni. Potem dzięki metalicznym nutom broni plus prochu i smaru – zidentyfikowałam policjantów. I chemikaliowo-nitrylowo pachnących kryminalistyków. Pomimo mroczności wypełniającej mi pysk te zapachy przyplýwały do mnie tak samo, jak zawsze.

W stronę drzwi wiódł ślad zakrwawionych odcisków podszew. Poszukałam wokół nich woni zabójcy. Przez ogrodzenie z taśmy nie mogłam się do nich zbliżyć, ale nie miało to znaczenia.

Krew należała zdecydowanie do ofiary. Byłam pewna, że już zawsze będę mogła wyczuć chłopaka nawet przez sen. Prawie się poddałam, podniosłam oczy na Adama, kiedy to do mnie dotarło.

– Mercy? – zapytał, widząc, że przestałam niuchać.

Zignorowałam go i zamknęłam oczy, ponieważ to, co poczułam, było tak nieuchwytnie i było czymś, czego nie powinnam w ogóle zauważyć. Na obrzeżu zapachu śladów, w cieniu natłoku wiedzy, czym była ofiara, na samym skraju pola tego zrozumienia, wyczułam otchłań.

Kojarzyłam ją z tej wizji, którą dzieliłam ze Stefanem, i tej, której doznałam w domu Stefana, kiedy zerwałam pajęczynę zaklęcia. Zapomniałam o tej nieskończonej, bezdennej głębi. Jednocześnie nie miała żadnego zapachu i pachniała wszystkim. Magią. Szaleństwem. W momencie, gdy sobie uświadomiłam tę woń, poczułam, jak żeruje na śmierci, która miała tu miejsce, ale jej nie pożera.

Potrafiłam powiązać tę woń ze zjawiskiem od chwili, gdy przerwałam zaklęcie i zwróciłam na siebie jej uwagę. Powinnam spanikować, ale w kojocie formie byłam całkowicie skupiona na tropieniu nie-woni, którą zostawił zabójca.

Adam złapał mnie, powstrzymując od przekroczenia taśmy. Przez moment, oszołomiona znalezieniem zapachu otchłani, zastanawiałam się rozpaczliwie, jak mam pójść za śladem, skoro nie mogę wejść za żółtą taśmę. Próbując się wyrwać Adamowi, dyszałam z otwartym pyskiem, jakbym cierpiała z bólu.

– Otwórzcie jej – polecił Adam i George podciągnął mniejsze drzwi żaluzjowe, które znajdowały się dalej od miejsca zbrodni.

Kiedy Adam mnie puścił, pognałam naprzód, zbiegłam po schodkach i skierowałam się natychmiast w stronę wejścia, którym zabójca opuścił magazyn. Tu też zawieszono taśmę, ale nie musiałam podchodzić do drzwi.

Odnalazłam zapach, który nie był zapachem, to wrażenie śladu otchłani, i szłam za nim aż na mały placzyk oznaczony jako parking dla pracowników, gdzie znikał.

Spróbowałam ponownie. I znów trop urwał się na parkingu. Nie tak, jakby zabójca wszedł do samochodu, tylko jakby rozpułynał się w powietrzu.

Stefan potrafił tak znikać.

Ale nic tu nie pachniało Stefanem. Obwąchałam wszystko raz jeszcze, żeby się upewnić.

Zostałam wychowana przez wilkołaki, przez potwory. I widywałam potworności. Wiedziałam, do czego są zdolne wampiry. Stefan był do tego zdolny, do tego, żeby zabić chłopaka, który wybrał się na zakupy. Stefan był też bardzo stary, a dzięki łączącej nas więzi mógł rozkazać mi nie rozpoznać jego zapachu – możliwe, że właśnie dlatego nie czułam woni mordercy, a tylko ten nieokreślony posmak otchłani.

Pomyślałam o tej nienawiści do siebie, jaką słyszałam w głosie Stefana.

„Ja i Marsilia przetrwamy. Jak zawsze. Podsunęliśmy ci z Marsilią partię do rozegrania”.

To mogło być dzieło Stefana.

Wróciłam do magazynu i podążyłam za śladem ofiary, bardziej określonym niż ten należący do otchłani. Zaprowadził mnie do alejki z mąką i dodatkami cukierniczymi, skąd chłopak został porwany. Zastanawiałam się, czy wybór miejsca był celowy – zapach przypraw zagłuszał wszystkie inne wonie.

Kichając, usiłowałam pochwycić wrażenie, jakie pozostawiała po sobie otchłań. Proces był podobny jak w przypadku tych stereogramów, kiedy należy przesunąć punkt styczny linii wzroku, żeby zobaczyć ukryty obraz. No, niedokładnie o to chodziło, ale o coś w tym stylu.

Poszłam za śladem otchłani. Byłam tak skupiona na niezgubieniu go, że dopiero przy drzwiach do magazynu zorientowałam się, że podążyłam za zabójcą idącym już z ofiarą na miejsce przyszłego mordu. Zawróciłam do alejki, gdzie zapachy się zetknęły, i zaczęłam krążyć. Nic. Zupełnie jakby mrok się tam pojawił w procesie koalescencji.

Byłam gotowa uwierzyć, że zabójca potrafił się teleportować jak Stefan czy Marsilia. I może tak rzeczywiście było, choć na samą myśl skręcało mnie w brzuchu. Logika podpowiadała jednak, że musiał w jakiś sposób namierzyć ofiarę. Wybrać tę konkretną i zaczekać, aż będzie sama.

Zadarłam łeb.

Sklep nie przypominał półhurtowni o wysokich regałach, z górnymi półkami, na których przechowuje się artykuły w opakowaniach zbiorczych, ale najwyższa półka i tak znajdowała się wysoko, jakieś pół metra nad głową człowieka przeciętnego wzrostu. Nie do końca poza zasięgiem wzroku, ale wiele magicznych istot zdołałoby się tam przyczaić, pozostając w bezruchu. Na przykład wilkołak. Wampir z pewnością też.

Odbiłam się i dałam susa w górę. Wylądowałam na paczkach z mąką. Powędrowałam środkiem, gdzie łączyły się regały sąsiednich alejek. Nic.

Przesadziłam alejkę między regałami i znalazłam to, czego szukałam. Ślad otchłani. Zabójca siedział na półce przez jakiś czas, dość długo, sądząc z wrażenia głębi mroku, jaki po sobie zostawił. Cofałam się za śladem wzdłuż półek. Był na tyle zwinny, że biegł po rancie szerokości kilku centymetrów. Też nie miałam z tym problemu jako kojot, ale w ludzkiej formie nie dałabym rady. Na końcu regału zeskokczyłam, lecz ślad mroku zniknął.

Po chwili zastanowienia wskoczyłam na kolejny regał i znów udało mi się podjąć trop. Morderca poruszał się górą. Dopiero w okolicy głównego wejścia odnalazłam ślad na podłodze.

Wiódł prawie do samych drzwi, gdzie znów zniknął. Wyjrzałam przez okno i pomyślałam, że istota, która potrafi się teleportować, mogłaby obserwować wewnątrz przez przeszklenie i przenieść się prosto do sklepu.

Nie wiedziałam tylko, dlaczego ten ktoś nie wszedł po prostu drzwiami.

*...zwierzyna...*

A może jednak wiedziałam?

---

2 William Szekspir, „Makbet” w tłum. Józefa Paszkowskiego.



## Rozdział 9

### Adam

**A**dam poprowadził Zee, George'a i Tony'ego do biura koronera hrabstwa Benton, niewielkiego budynku w rogu wielkiego kompleksu sądowego. W zasadzie ofiara mordu w sklepie powinna zostać przewieziona do kostnicy we Franklin, ale to w Benton pracował specjalista od zbrodni z udziałem istot nadnaturalnych, więc oba ciała, chłopaka oraz wiedźmy, znalazły się tutaj.

– Wszystko w porządku? – zapytał George.

Adam przytaknął. Na wyraźniejsze kłamstwo sobie nie pozwalał. Jego wilk był wybitnie niezadowolony z pozostawienia Mercy w samochodzie.

Po powrocie do ludzkiej postaci jego towarzyszką była dziwnie milcząca, w dodatku wyraźnie wstrząsały nią dreszcze. Normalnie uznaliby to za efekt szoku, ale w przypadku Mercy „normalność” nabierała innego znaczenia. Odmówiła posiłku, który chciał przynieść, a przy innych nie chciał zbyt mocno

naciskać. Kiedy powiedziała, że zostanie w samochodzie, ponieważ bołą ją nogi, zaufałam, że wie, co jest dla niej najlepsze.

Nie było mu jednak łatwo. W jego naturze, tak ludzkiej, jak i wilczej, leżała potrzeba opieki nad bliskimi. Już w czasie zalotów jednak zrozumiał, że próby przejęcia kontroli nad życiem Mercy – nawet jeśli dla jej własnego dobra, a może szczególnie dla jej własnego dobra – przynoszą efekt przeciwny do zamierzonego. W ramach eksperymentu zastosował tę filozofię w stosunku do swoich ludzi i okazało się, że wataha stała się zdrowsza, silniejsza. Larry, król goblinów, miał rację, mówiąc, że Mercy zmienia jego i całą watahę.

Mimo to nawet świadomość, że lepiej zostawić Mercy, skoro o to prosi, nie ułatwiała mu tego.

Zanim wyszedł, otulił Mercy płaszczem, bo trzęsa się, mimo że ogrzewanie w samochodzie działało na maksymalnych obrotach. I pożegnał spojrzeniem dającym jej do zrozumienia, że oczekuje od niej wyjaśnień tak szybko, jak się da. Skinęła krótko głową. Ta niewypowiedziana obietnica pozwoliła mu w końcu zamknąć drzwi i oddalić się od auta.

Trzęsa się.

Istniało wiele powodów, dla których mogła tak drzeć. Te bardziej oczywiste mogła wyjawic mu przy wszystkich. Zasepił się.

Fakt, że Mercy została w SUV-ie, niepokoił go tak samo, jak niepokoił wilka. Ale to coś bardziej potwornego niż jego wilcza bestia sprawiło, że w gardle Adama zawibrował warkot. Powściągnął go, zanim dźwięk wyrwał mu się z ust.

Mercy nadal uważała, że to Elizawieta powołała do życia wynaturzonego potwora. Wierzyła również, że przełamując klątwę wiedźmy, sprawi, że stwór – który przypominał jego wilka o tyle, o ile czołg przypominał jej zniszczonego ukochanego Królika – odejdzie na dobre. A gdy tak się nie stało, uznała, że zniknie z czasem.

Adam wiedział jednak, że tak się nie stanie.

Elizawieta może i nadała temu określoną formę, ale ta bestia tkwiła w nim dłużej, niż Mercy żyła na tym świecie. Narodziła się, gdy bogobojny chłopiec, wierzący, że świat jest dobrym miejscem zamieszkałym głównie przez dobrych ludzi, zobaczył z bliska wojnę w południowej Azji. Adam wyhodował tę bestię, by chronić siebie, i korzystał z jej pomocy, gdy musiał przetrwać sytuacje tak makabryczne, że choć już od pół wieku był wilkołakiem, nadal nawiedzały go w koszmarach. Wypuszczał bestię, gdy musiał wykonywać rozkazy, których nie zdołałaby wykonać żadna istota posiadająca zasady moralne, a o których wiedział, że choć to, co trzeba zrobić, jest potworne, to jest też właściwe.

Nauczył się panować nad tym potworem, podczas gdy jego towarzysze broni poddali się swoim. Niektórych z tych ludzi sam zabił, na przykład mężczyznę, który mordował wietnamskie dzieci, dlatego że jego oddział został wysadzony w powietrze przez małego pucybuta. Pułkownika, który kolekcjonował palce zabitych. Adam nie pamiętał nawet większości z nich, ponieważ ich śmierć nie poruszyła go, a cmentarzysko w jego duszy i tak nie mieściło już żalu po innych, którzy zginęli na tej wojnie.

Gdy Adam został ukąszony przez wilkołaka, panowanie nad wilkiem przychodziło mu bez wielkiego trudu. Przez wiele lat kontrolował w końcu znacznie straszniejszą bestię. A gdy pobyt w Wietnamie się skończył, nie potrzebował już tego starszego, pierwotnego potwora, zamknął go więc w klatce i zapomniał o nim do czasu, gdy uwolniła go Elizawieta.

Adam był przekonany, że tym razem bestia z nim pozostanie. Przemknęło mu przez głowę wspomnienie z warsztatu Mercy, kiedy go zaskoczyła i wyrwała się na wolność.

Ważne jest to, w co się wierzy, napomniął się ostro. Potrafił kontrolować swoje potwory, oba swoje potwory. I mógł



wykorzystać oba do obrony swojej watahy, terytorium. I swojej towarzyszki.

– Kiedy tak warczysz, to zły znak, *ja?* – zapytał Zee.

– To nic takiego – wtrącił się George. – Po prostu trudno mu zostawić tę małą kojocicę w takim stanie. A musi się czuć kiepsko, skoro idziemy oglądać ciała ofiar zbrodni, a ona postanowiła zostać. Kto wie, może jakiś ghul tylko czeka, aż zostanie sama... – George szedł z tyłu, ale Adam słyszał w jego tonie złośliwe rozbawienie. – No cóż, musi w ten sposób myśleć. Niełatwo być Alfą. – George również wierzył, że Adam jest w stanie panować nad swoimi potworami.

– Nie pomagasz – ofuknął go Adam, wiedząc, że George wychwyci kłamstwo w jego głosie. Ponieważ pewność George'a pomogła.

– No, Mercy z pewnością nie jest bezbronna – stwierdził Tony stanowczo. – Jest uzbrojona. Niebezpieczna. I siedzi w samochodzie zaparkowanym pod kompleksem sądowym, a nie na opuszczonym cmentarzu gdzieś w Transylwanii.

Mniej więcej takie argumenty pozwoliły Adamowi zostawić Mercy, kiedy go o to poprosiła.

Przytrzymał drzwi do biura i przepuścił towarzyszy przodem. Przechodząc, George zerknął na niego współczująco. Na George'a zawsze można było liczyć. Wykonywał polecenia, samodzielnie podejmował właściwe decyzje i troszczył się o powierzonych mu ludzi. Więcej myślał, niż mówił, co było pożądaną cechą i w wilkołaku, i w policjancie.

A Tony Montenegro... Znajomy Mercy z czasów, zanim spotkała Adama. Bystry, potrafił się zaadaptować do różnych sytuacji i choć Adam nie widział go w akcji, poruszał się jak ktoś, kto potrafił się bić.

Tony pracował pod przykrywką. Według wywiadu Adama brał udział w kilku akcjach jako tajniak, choć nie w Tri-Cities. Pomógł złapać kilku handlarzy narkotykami i dwa gangi

handlujące ludźmi. Adam przeczuwał, że Tony ma swoją wersję bestii. A jeśli miał rację, Tony świetnie sobie z nią radził.

Tony nadawał się doskonale na łącznika wilkołaków z policją, ponieważ miał znakomite wyczucie, kiedy należy kłamać, i potrafił robić to tak dobrze, że jego przełożeni nie wiedzieli, kiedy kłamie. A ciężko znaleźć kłamcę i uczciwą osobę w jednym.

Jako ostatni wszedł Zee.

Ta legenda o pucharach z czaszek wysadzanych oprawnymi w kruszec gałkami ocznymi nie zadziwiła Adama. Niektórzy Szarzy Panowie z pobliskiego rezerwatu, mimo że uznawano ich za bogów, i tak obchodzili się z Zee jak z jajkiem. Wszyscy poza Wujkiem Mikiem, który według Adama był typem osoby z krzykiem pędzącej ku niebezpieczeństwu, zamiast od niego uciekać.

Mercy traktowała Zee jak starego, zrzędliwego mechanika, a on takim się stał. W magii takie przekonania są ważne. Im dłużej Zee nosił swoją iluzoryczną formę, im więcej ludzi wierzyło w tę wersję starego kowala, tym więcej prawdziwości nabierała.

Wiara jest bardzo ważna.

Wilk Adama apróbował Zee, ponieważ pradawny troszczył się o bezpieczeństwo jego towarzyszek. Adam przykładął wielką wagę do tego, by traktować Zee tak samo, jak robiła to Mercy, więc bardzo starał się patrzeć na twarde mięśnie i rzednące włosy i widzieć tylko żylastego staruszka. Nigdy jednak nie zapomniał, że jak niebezpieczną istotą ma do czynienia.

Wnętrze biura koronera zostało urządzone w stylu rządowym – tanio i nie do zdarcia. Cuchnęło w nim śmiercią. Podczas gdy dzika część Adama wzmogła czujność, koroner, Hindus około pięćdziesiątki, powitał George'a i Tony'ego jak starych znajomych.

– Przeprowadziliśmy ci z Tonym gości – wyjaśnił George. – Rahul, to Zee Adelbertsmiter. Zee, to nasz koroner, Rahul Amin. Przeszliśmy zerknąć na ciała Aubreya Wortha i Sariny, nazwisko nieznane.

Amin uraczył staruszką w zaplamionym smarem kombinezonie pełnym profesjonalizmu uśmiechem. I bardzo starał się podeprzeć rzeczonym profesjonalizmem, kiedy przedstawiono mu Adama, usiłując traktować go jak każdego innego gościa. I nawet prawie mu się udało.

Adam przywykł do tego, że jest lokalną znakomitością, a ostatnio uzyskany status bohatera nawet sobie cenił, ponieważ oznaczało to, że nie wzbudzał już z miejsca takiego strachu, jak wcześniej. Podobnie jak ostrze Mercy – nieodżałowany kordelas – postrzegano go teraz jako obrońcę, a nie broń, choć skuteczną, to obosieczną. Ta zmiana atmosfery przyczyniła się nieco do bezpieczeństwa wszystkich.

– Dimitrij, nasz specjalista, przychodzi dopiero jutro, proszę więc nie dotykać ciał – zastrzegł koroner, wpuszczając ich do chłodni.

– Oczywiście – zapewnił go Adam.

We właściwej części kostnicy dominowała szafa chłodnicza, stojąca naprzeciwko wejścia. Ściany i posadzkę pomieszczenia wyłożono materiałami łatwymi w czyszczeniu. Przypominało kuchnię w eleganckiej restauracji, tylko bez tej różnorodności zapachów. Tu powietrze przesyciły wonie świeżego mięsa, psującego się mięsa, świeżej i zakrzepłej krwi. Czyli jedzenia.

Kiedyś Adam zżymałby się na siebie i starał wypchnąć tę myśl ze świadomości, ale już zaakceptował to, że jest potworem i że jego wilk jest mało wybredny, jeśli chodzi o rodzaj mięsa, które stanowi jego posiłek. Podobnie jak nie odrzuca go smrodek zgnilizny.

– Kto na pierwszy ogień? – zapytał Amin. – Tylko uprzedzam, że Sarina leżała przez dwa dni w temperaturze pokojowej. –

Zerknął na Adama i Zee. Najwyraźniej policjanci z założenia dysponowali silniejszymi żołądkami.

– To nie problem – zapewnił go Zee. – Może być kobieta.

Amin najwyraźniej nie spodziewał się odpowiedzi z tej strony, bo zerknął pytająco na George'a, który potwierdził skinieniem głowy. Koroner wzruszył ramionami i wyciągnął metalową szufladę.

W pomieszczeniu zrobiło się nagle ciasno, więc Adam cofnął się i wzrokiem dał znać policjantom, żeby zrobili to samo. W ten sposób nad kobietą pochyłili się koroner i Zee.

Twarz Sariny była nienaruszona. Adam ocenił wiek wiedźmy na zadbaną sześćdziesiątkę. Gładkie, czarne włosy zachowały kształt fryzury nawet po tym, co przeszła, umierając, i co potem działo się z jej ciałem. Nosila bardzo mocny makijaż, prawie sceniczny. Krople krwi znaczyły policzek, a krwistoczerwona szminka była rozmazana.

Zdjęcia, które pokazał im George, odzwierciedlały rzeczywistość, ale nie ukazywały szerszej perspektywy. Teraz dopiero dało się zauważyć, że choć rany zadano od przodu, najpoważniejsze obrażenia dotyczyły boków. Rany były głębokie, a w dwóch miejscach ciało prawie przecięto na wylot.

Adam widział wiele ciał brutalnie zabitych ludzi, wystarczająco dużo, by móc wyciągać własne wnioski. Narzędziem musiał posługiwać się ktoś nadludzko silny, ale sierp wymagał naostrzenia, świadczyły o tym poszarpane brzegi ran. Uważał też, że wzorzec ran odpowiada raczej temu, co pokazywał Zee na miejscu zbrodni, niż wcześniejszemu opisowi George'a.

Zee przesunął dłonią tuż nad ciałem i Adam był pewny, że posiadając zmysły Mercy, wyczułby teraz, iż w kostnicy buzuje magia. A tak tylko zjeżyły mu się włoski na karku. Pradawny miał kwaśną minę – czyli standardowy wyraz zadumy. Adam

przypuszczał, że Zee nie odkrył niczego, czego by się nie spodziewał.

Adam zastanawiał się, czy nie należy ostrzec koronera, że to ciało może stać się przedmiotem kradzieży przez szare wiedźmy, które o nim wiedziały, ale uznał, że powie mu to wyczekiwany specjalista. Ale co przeraziło Helenę, właścicielkę sklepu ze starociami, na tyle, że sama nie zagarnęła dla siebie ciała? Co ją odstraszyło?

Szare wiedźmy, jak wszystkie drapieżne istoty, nie były szczególnie wrażliwe, jeśli chodzi o krew i trupy. W końcu zrobiła zabitej zdjęcie. Czemu wobec tego nie wzięła ciała? A przynajmniej jego części? Najbardziej przydatne do zaklęć były organy, a nic nie świadczyło, żeby ktokolwiek próbował wyjąć z ciała martwej czarownicy nerki czy serce.

– Zee? – Adam nabierał przekonania, że jednak powinien był nalegać, aby Mercy z nimi tu przyszła, i to nie dlatego, że nie chciał zostawić jej samej. – Dowiedziałbyś się więcej, gdybyś dotknął ciała? – Helena z pewnością to uczyniła. A potem uciekła nie tylko z pokoju, ale w ogóle z miasta. Co odkryła?

– *Ja.* – Pradawny wyprostował się i zerknął na koronera. – Ale jesteśmy tutaj gośćmi. Możemy już obejrzeć chłopca.

Widok drugiej ofiary poruszył Adama nadspodziewanie silnie. Widział już tyle ciał, tyle śmierci, że teraz jedynie śmierć bliskich czy znajomych osób robiła na nim wrażenie. Ale Aubrey Worth był w wieku Jesse.

W czasie gdy jego córka w pobliskim kinie oglądała film, ktoś rozorał ciało Aubreya, wytaczając z niego życie na betonową posadzkę. Chłopak miał plany, miał ukochanych, bliskich, którym na nim zależało. A teraz pozostała po nim jedynie wyrwa w świecie w miejscu wcześniej wypełnionym jego życiem.

Adam poprzysiągł sobie, że znajdą zabójcę i dopilnują, żeby już nigdy nikt nie zginął z jego ręki przed swoim czasem. Potem

musiał przekierować myśli, żeby jego wilk nie uznał, że czas się pojawić.

Podczas gdy Adam stał pogrążony w ponurych rozważaniach, koroner musiał się domyślić, że Zee jest niebezpieczny. A może dodał dwa do dwóch i wyszło mu pięć, kiedy Adam zapytał Zee o dotykanie ciała? Tak czy owak, Amin zaprzestał prób podtrzymywania rozmowy i przysunął się do Tony'ego i George'a, choć nie opuścił swojego posterunku przy wysuniętej z komory chłodniczej półce. Robił wrażenie zatroskanego o swych podopiecznych, jakby rozważał, czy nie powinien zasłonić sobą Aubreya przed zakusami Zee.

Zee zaczął od tego samego, co w wypadku wiemy, kiedy jednak cofnął dłonie, nachylił się nad ciałem, przysuwając do niego twarz, bardzo blisko. Amin zrobił minę, jakby zamierzał zaprotestować, a wtedy Tony położył mu rękę na ramieniu uspokajającym gestem. Nie, jakby próbował go powstrzymać, a raczej nakłonić do współpracy.

Ignorując tę milczącą konwersację, Zee przymknął oczy i głęboko wciągnął powietrze. Adam znalazł się na węszeniu. Czasem warto było zatrzymać oddech na parę sekund, a potem wypuścić powietrze nosem, bo dzięki temu dało się wyczuć subtelniejsze zapachy. Nie sądził, że nos pradawnego jest tak wrażliwy jak u wilkołaka, lecz mógł się mylić.

Przyglądał się scenie bardzo uważnie, więc nie uszedł jego uwadze moment, kiedy Zee zamarł. Powieki pradawnego uniosły się, a Adam odniósł wrażenie, że patrzy w pustkę. Zwykle niebieskoszare tęczęwki zniknęły, a cała widoczna część gałki zasnuła się szarością, lśniąca jak srebrzyste ostrze. Kostnicę wypełnił ostry zapach ozonu i atmosfera grozy.

Zee znów zamknął powieki i zaczerpnął tchu, a kiedy się wyprostował i spojrzał na towarzyszy, oczy miał znowu ludzkie, choć czaiło się w nich wzburzenie. Zachmurzony, zwrócił się do Adama.

– Przydałby się nam tu nos Mercy – oznajmił swoim całkiem normalnym głosem.

Przy obcych nie powiedziała „Mercy potrafi lepiej niż ja wyczuć pewne rodzaje magii”, choć z pewnością właśnie to miał na myśli.

– Pójdę po nią – zgodził się Adam.

Zee znów wyglądał jak sterany mechanik samochodowy, z rękami w kieszeniach, nieco zamyślony. Jednak woń ozonu nadal była wyraźna, a Adam poczuł ciarki, kiedy odwrócił się do pradawnego plecami, żeby wyjść.



Mercy wciąż kulila się w samochodzie, okutana w płaszcz tak, że spod tkaniny wystawał jej zaledwie czubek głowy.

Zawołał ją po imieniu, zanim zastukał w szybę, żeby jej nie zaskoczył. I tak drgnęła, co świadczyło, jak bardzo jest spięta. Po otwarciu drzwi z samochodu buchnął żar, choć Mercy nadal szczykała zębami.

Wykorzystał to, że nikt nie patrzył, odpiął jej pas i przygarnął do siebie tak, jak marzył o tym od godziny. Wtuliła się w niego i po chwili dreszcze ustały.

Przelotnie pomyślał o George’u i ludziach uwięzionych w kostnicy ze zdenerwowanym pradawnym, ale Mercy była dla niego ważniejsza. Poza tym nie wierzył, żeby Zee zaczął wyżywać się na niewinnych, stosując narzędzia groźniejsze niż ostre słowa. Możliwe, że te dzieci króla od kielichów z czaszek nie były wcale takie niewinne...

– Och, potrzebowałam tego – przyznała Mercy głosem stłumionym przez tkaninę jego płaszcza. – Dziękuję.

– Powiesz mi teraz, o co chodzi?

Na parking wjechał samochód, ale kierowca nawet na nich nie spojrzał. Stali w rogu placu oddalonym od budynku, a nowo

przybyły pewnie szukał miejsca bliżej wejścia.

– Zabójca nie miał zapachu – wyszeptała mu w szyję, wyraźnie wystraszona.

– Chcesz powiedzieć, że używał magii, żeby zamaskować zapach? – dopytał Adam. – Ale przecież szłaś za tropem? – Nie wątpił w jej słowa, bo chociaż sam nie wychwytał żadnej woni, to wiedział, jak wygląda tropiciel podążający za śladem, a Mercy bez wątpienia szła po tropie zabójcy.

Skinęła głową.

– To zabrzmiało głupio... – zaczęła z ociąganiem.

Czekał.

Westchnęła.

– Kiedy przerwałam pajęczynę zaklęcia, mówiłam ci, że widziałam otchłań, prawda? Potem pojawiła się w moim śnie ze Stefanem. Nie wiedziałam, skąd się tam wzięła.

Pocałował Mercy w czubek głowy.

– Chyba to ja ją tam wniosłam – pisnęła. – Wydaje mi się, że tam w piwnicy, gdy zerwałam sieć tej pajęczej tkaczki, zatopiła we mnie kły i od tamtej pory jest ze mną.

– Myślisz, że jest powiązana z tymi kolcami, które wyjął z ciebie Zee?

– Nie – zaprzeczyła po chwili zastanowienia. – Moim zdaniem była powiązana z tym drugim pająkostworem, tym z piwnicy.

– W porządku. Tylko jak to się ma do braku woni zabójcy ze sklepu? Zaznaczam, że ja też niczego nie wyczułem. Jako człowiek nie mam tak dobrego węchu jak mój wilk, ale mimo to powinienem coś podłapać, kiedy stałem tuż przy krwawych śladach stóp mordercy.

– Zastanawiałam się nad tym, kiedy byliście w kostnicy – rzekła Mercy z wahaniem. – Choć to teoria oparta na daleko idących założeniach.

– Dawaj – zachęcił.



– Poszłam za śladem zbrojcy, ale to nie był zapach. To coś bardziej jak pozostałość czegoś w rodzaju magii. – Na moment zawiesiła głos. – Muszę to przegadać z Zee, bo na miejscu zbrodni w ogóle działa się coś dziwnego z magią.

– On też chce z tobą porozmawiać. Ale wróćmy jeszcze do tej otchłani, która wczepiła się w ciebie pazurami i jest też powiązana ze śmiercią tego chłopca.

– Mówiłam ci, że to dziwne. – Wzruszyła ramionami. – Po prostu dziwne. Nie wiem nawet, jak to opisać. To coś związane jakby z mocą i wolą... – Głos uwiązł jej w krtani. Nie dokończyła tej myśli. – To, za czym podążałam, ślad zbrojcy, to było właśnie to wrażenie, które za sobą zostawiła.

– Zee mówił, że sierp, ten, którego przybył tu szukać, posiadał świadomość – przypomniał Adam. – A może to, co wyczuwasz, to właśnie ten sierp?

– Ktoś nim morduje. Ktoś, kto nie posiada woni, ale ponieważ mam powiązanie z tą otchłanią, odbieram to wrażenie, które zostawia.

– Masz doskonałą intuicję.

Ani przez chwilę nie wątpił, że Mercy się nie myli. Jej magia, dar od Kojota, była dokładnie taka, jaki może być dar od boga-krętacza – nieracjonalna, chaotyczna i działająca nieregularnie. Ale Mercy rozgryzła, jak z niej korzystać, bazując na sprycie i intelekcie.

Tyle że Mercy przy okazji osiągnęła również mistrzostwo w pakowaniu się w tarapaty – wiedzona swoją magią, co rusz znajdowała się w niebezpiecznych sytuacjach. Adamowi stanął przed oczyma widok z maltretowanego ciała wiedźmy. O nie, nie pozwoli, żeby coś takiego stało się z Mercy.

– Wierzysz mi?

– Oczywiście – zapewnił.

– To dobrze – odetchnęła, zaraz jednak spięła się, jakby musiała pokonać własny opór przed wypowiedzeniem

kolejnych słów. – Myślę, że tym mordercą może być Stefan.

– Dlaczego?

Stefan zabijał, podobnie jak Adam. Ale istniał powód, dla którego zyskał przydomek Żołnierz. Tak jak Adam, kiedy było to możliwe, zabijał szybko. Taka teatralność nie była w jego stylu, nawet gdyby używał artefaktu.

Zee co prawda mówił, że sierp potrafi kontrolować tego, kto się nim posługuje, lecz Stefan był bardzo stary i potężny, i Adamowi trudno było uwierzyć, że jakiś artefakt mógłby zyskać na niego aż taki wpływ.

– Ponieważ szłam za tropem zabójcy, a ten pojawił się jakby znikąd i zniknął nagle, jak kamfora, na parkingu na tyłach sklepu. Zabójca nie wszedł do samochodu, nawet po tym zostaje ślad otwieranych i zamykanych drzwiczek.

Adam wiedział, o czym ona mówi, a ponieważ sam nie umiał wyczuć zabójcy w taki sposób, jak robiła to Mercy, nie potrafił wyobrazić sobie, jak ślad kogoś wsiadającego do samochodu wygląda w jej przypadku. Mimo to wierzył jej ocenie, że morderca pojawił się i zniknął w ten sam tajemniczy sposób. A to rzeczywiście przypominało teleportację, zdolność, którą dysponował Stefan. Ale również Marsilia, jego stwórczyni.

– A może to Marsilia? – zasugerował.

– Tyle że nie było żadnego zapachu – upierała się Mercy. – Stefan mógł nakazać mi siebie nie wyczuć, a ona nie.

– Nie mógł w ten sposób wpłynąć na mnie – zauważył trzeźwo Adam. – A nie byłem w stanie wyczuć zapachu zabójcy. I Marsilia również potrafi się teleportować.

– Po tym, jak zamordował... – zawahała się. – Albo zamordowała – dodała i znów zamilkła.

– Aubreya Wortha – podsunął.

Mercy stuknęła go delikatnie głową w żuchwę.

– Nie chciałam wiedzieć, jak się nazywał – westchnęła.

– A więc po tym, jak zamordował bądź zamordowała chłopca... – Adam zawiesił wyczekująco głos. – Może to sierp w jakiś sposób zapobiega odkryciu zapachu tego, kto nim zabija? – zasugerował, kiedy nadal milczała.

Prychnęła z frustracją.

– W przypadku magii nigdy nic nie wiadomo – stwierdził ze współczuciem.

– Tu chodzi o magię... A raczej o to, że było jej tam bardzo dużo, wszędzie. – Mercy sapnęła z irytacją, ale ten wydech brzmiał już prawie normalnie.

Robiła tak, kiedy nie potrafiła ubrać w słowa czegoś, co tylko wyczuwała swoim magicznym zmysłem. Zwłaszcza że jako mechanik niechętnie wdawała się w wyjaśnienia zjawisk, których istnienie dało się łatwo podważyć z braku dowodów empirycznych. Nawet jeśli miała je wyjaśniać Adamowi. Im bardziej sprawa była „hokus-pokus”, jak to nazywała, tym bardziej obronny ton przybierała.

– Chcę porozmawiać z Zee o tym, co wydaje mi się, że tam czułam. I usłyszeć, co on o tym wszystkim sądzi. Kiedy ten chłopiec... – Urwała. – Dobrze, już dobrze.

Wciągnęła gwałtownie powietrze do płuc, zrobiła warkliwy wydech i zaczęła się wiercić. Kiedy się uspokoiła, siedziała bokiem, jakby gotowa do wyjścia z samochodu. Odstąpił nieco i oparł się plecami o drzwiczki, żeby w każdej chwili mogła wysiąść i żeby dać jej trochę przestrzeni, której, jak sądził, teraz potrzebowała.

Nie było mu przykro. Spodziewał się, że będzie chciała zwiększyć fizyczny dystans między nimi, odkąd przestała się tak trząść. Mercy nie lubiła publicznego okazywania uczuć, a tym bardziej, jeśli potrzebowała bliskości w ramach pocieszenia. Nie lubiła okazywać słabości – co akurat świetnie rozumiał.

– Dobrze, już dobrze – powtórzyła, machając rękami w geście poddania. – Naprawdę potrzebuję to przegadać. Przykro mi, że to takie hokus-pokus.

– Daj spokój.

Spojrzała na niego podejrzliwie, ale chyba udało mu się ukryć rozbawienie jej zakłopotaniem, bo zaczęła mówić.

– Kiedy Aubrey zginął, nastąpiła tam jakaś eksplozja magii. Czułam jej pozostałości. Coś jakby ta cała krew była nadal połączona z zabójcą. Czułam, że łączy się z obiema postaciami...

– Z Aubreyem i z zabójcą – dopowiedział Adam i skrzywił się, bo nie spodobało mu się, jak to zabrzmiało.

Mercy skinęła głową i zatrzęsa się. Uniosła nieco brwi, odetchnęła i znów na niego spojrzała.

– Myślę, że mogę iść za śladem tej magii, ponieważ jest również połączona ze mną. Taka jakby koszmarna trójstronna więź.

Zerknęła na tylne siedzenie i twarz jej stężała.

– Mamy towarzystwo? – zapytał. Przywykł do tego aspektu jej magii. – Nic nie czuję.

Czasami się zdarzało, że potrafił wyczuć obecność duchów, a nawet je zobaczyć – jak tego chłopaka w domu Stefana. I wcale go to nie zachwycało. Przebywając w starym domu Mercy, zawsze czuł się jak kot o długim ogonie w pokoju pełnym bujanych foteli.

Przytaknęła, a przez jej twarz przemknął wyraz ulgi. Adam nie wiedział, czy powód ulgi stanowiło to, że duch był zbyt słaby, by również go zobaczyć, czy że nie musiała o nim mówić, dzięki czemu go nie wzmacniała. Potrafił jednak z dużym prawdopodobieństwem odgadnąć, czyj to duch.

– To magiczne połączenie dało mi wgląd w chłopaka... – drgnęła i skrzywiła się, jakby ktoś dźgnął ją w plecy – w Aubreya, jakiego zazwyczaj nie miewam. To było coś jakby duchowy odpowiednik zapachu. Wiesz, jak kiedy zaciągniesz

się porządnie i wiesz, jakiego szamponu używała dana osoba, czy w samochodzie ma skórzaną tapicerkę, ile kotów uważa ją za swoją. – Kiedy Adam przytaknął, ciągnęła: – No, więc dzięki temu wiem, że Aubrey może nie był geniuszem, za to był słodki. Podkochał się w jednym ze swoich współlokatorów i trochę bujał się w jednej dziewczynie ze swojej grupy na studiach, ale przez nieśmiałość nie podszedł do niej i nie zagadnął. Uwielbiał herbatę bąbelkową i sushi. Marzył o podróży do Japonii. Był niezły z matematyki, ale nie chciało mu się zapisywać na informatykę.

Ostatnie zdanie widać wywołało jakąś reakcję ducha, bo Mercy mimowolnie odwróciła głowę i zmarszczyła brwi, zanim się połapała, że nie powinna tego robić. Potarła twarz dłońmi i wysliznęła się z samochodu. W pierwszej chwili zeszywniała nieco, ale poza tym nie pokazała po sobie, jak bardzo bolą ją stopy. Przysunęła się do Adama i wsparła czołem o jego tors.

– Pewnie czujesz się przez to, jakbyś straciła przyjaciela – rzekł Adam łagodnie, gładząc ją po ramionach. Uporczywie nie patrzył w stronę tylnego siedzenia, gdzie, jak był przekonany, siedział duch Aubreya.

– Czemu przyszedłeś tu bez reszty? – zapytała Mercy po chwili.

– Zee przysłał mnie po ciebie. Chce, żebyś jednak spojrziała na ciała. Odkrył coś, co nieźle go zdenerwowało. – Adam przywołał wspomnienie miny Zee. – Chyba rozgniewało.

– I co niby mam zrobić? – zdziwiła się. – I odkąd to ja jestem ekspertem od trupów? – Wydęła usta, pokrywając uśmiech, i ciągnęła, udając przerażenie: – I jak to? Zostawiłeś ich w kostnicy i pozwoliłeś mi pleść o hokus-pokus? Zostawiłeś ich na pastwę wkurzonego Zee?

– Nic im nie będzie. – Machnął ręką.

Prychnęła i wgramoliła się z powrotem do samochodu, żeby zgasić silnik. Zamknęła, oddała mu pilota i lekko kulejąc,

ruszyła w stronę biura koronera.

– Może się przemienisz? – zasugerował, idąc przy jej boku. Nie zapytał, czy może ją ponieść, nie był taki głupi.

– Nie, nie wejdę tam jako kojot. A jeśli Zee będzie potrzebował kojota, na pewno znajdę tam jakąś łazienkę, żeby przemienić się, nie szokując postronnych.

Zatrzymała się nagle, zeszywniała. Adam rozejrzał się, ale nie zobaczył nic, co mogłoby wywołać jej reakcję.

– W porządku – mruknęła pod nosem, a potem spojrzała na kogoś niewidzialnego stojącego z jego prawej, pewnie na ducha Aubreya. – Słuchaj – rzekła stanowczo. – Musisz odejść. Idź w stronę światła czy gdzieś tam. – Umilkła, nasłuchując. – Nie wiem, jakiego światła. Podobno jest jakieś światło. Albo ścieżka. – Milczenie. – Nie mam pojęcia, nie mam instrukcji obsługi! To ty raczej powinieneś wiedzieć, co robić, nie ja. – Milczenie. – Bo kiedy się umiera, to gdzieś się idzie. Dusze ludzi tu nie zostają, nawet jeśli ich duchy tak. To może ci zaszkodzić. – Dłuższe milczenie.

Adam położył jej rękę na ramieniu.

– Mercy, zaczerpnij mocy watahy, mojej i odeślij go.

– A co, jeśli tylko go odpędzę od siebie i dalej będzie się tu gdzieś błakał? – powiedziała, kuląc się.

– Wszystkim nie pomożesz.

– Posłucham twojej rady zaraz po tym, jak sam z niej skorzystasz – prychnęła.

Cóż, sprawiedliwe postawienie sprawy.

– A może wezwiesz kogoś na pomoc? – zaproponował. – Swojego brata, Gary’ego? Albo innego ze zmiennokształtnych?

Pokręciła głową.

– Tad zawsze powtarza, że najfajniejszą rzeczą w tym, że jest się w połowie czymś, a w połowie czymś innym, jest to, że nikt nie może cię rozgryźć. Najfajniejszą w sensie sarkastycznym.

– Załapałem.

– Nawet moce Gary’ego działają inaczej niż moje. – Mercy zmarszczyła brwi, a Adam poczuł, jak czerpie z mocy watahy. Pomógł jej trochę, żeby przyspieszyć sprawy. – Aubreyu Alanie Worcie – rzekła, wkładając w to autorytet Alfy, który pozwalał Adamowi naginać członków watahy do swej woli. Adam nie poznał drugiego imienia chłopaka i wątpił, by Mercy je gdzieś zasłyszała. – Twój czas tutaj dobiegł końca. – Jej ton, mimo że wybrzmiewała w nim moc, był łagodny. – Odpoczywaj w pokoju.

Adam rzadko czuł magię, w każdym razie tę niezwiązaną z byciem wilkołakiem i Alfą. Lecz Mercy była jego towarzyszką, miał z nią fizyczny kontakt i używała mocy czerpanej od niego. Poczuł moc jej magii i poczuł też gwałtowny opór czegoś zimnego, starego, pustego.

Mercy zachwiała się i Adam przez moment miał wrażenie, że stoi jeszcze tylko dzięki temu, że ją podtrzymuje. Nagle chwyciła go za rękę i zacisnęła na niej zimne palce.

– Nie, nie – powiedziała pospiesznie pocieszającym tonem. – Rozumiem. Rozumiem. Nie możesz jeszcze odejść. Nie. Nie panikuj. Zaradzimy temu. Uspokój się. – To ostatnie znów wzmocniła magią watahy. – W porządku. Rozumiem. Ale nie zabiorę cię ze sobą do tego budynku, to nie byłoby dla ciebie dobre. Możesz poczekać na nas w samochodzie?

Odczekała chwilę, a potem puściła rękę Adama i ruszyła w stronę kostnicy.

– Jeśli do końca życia będzie się za mną włóczył duch, to przynajmniej będzie to uroczy chłopiec, który słucha poleceń – wymruczała pod nosem.

– Myślisz, że tak się to może skończyć? – Adam mówił przyciszonym głosem. Cokolwiek się wydarzyło, wystraszyło Mercy, więc musiała się od tego oderwać. Wystraszyło również jego, bo chyba przed tym czymś żaden wielki, zły wilk nie zdołałby jej ochronić.

Mercy zrobiła ruch, jakby miała wzruszyć ramionami, ale się powstrzymała.

– Myślę, że jeśli uda się nam znaleźć jego mordercę, przerwiemy to coś, co trzyma go tutaj. Nie jest to coś takiego, co Frost zrobił Peterowi, ale skutek jest podobny.

Frost, wampir żywiący się duszami zmarłych, przywiązywał esencję duchową swych ofiar – w tym jednego z wilków Adama – do ciała. Frost był wyjątkowym sukinsynem.

– Oczywiście – powiedział Adam, starając się zabrzmieć pewnie. W końcu stawili czoła tylu innym piekielnym istotom, które stanęły na ich drodze, łącznie z Frostem. Tym razem też sobie poradzą.

– Ale wiesz, sama niewiele wiem o tym wszystkim – przypomniała. – Ech, żałuję, że naprawdę nie mam jakiejś instrukcji obsługi własnego działania.

– Na pewno to rozgryziesz – stwierdził z przekonaniem.

– Nie słódź mi tu – ofuknęła go z oczami płonącymi gniewem.

Uśmiechnął się szeroko, nie mógł się powstrzymać. Była taka wspaniała.



Mercy znów wciągnęła nosem powietrze. Uważała przy tym, podobnie jak Zee, żeby nie dotknąć ciała. Ściągnęła brwi w zamyśleniu, a potem przechyliła głowę, jakby próbowała coś dosłyszeć. Nagle zamarła, zamknęła oczy, a Adam poczuł, jak sięga do magii watahy – nie, aby zaczerpnąć mocy, ale żeby się zakotwiczyć. Instynktownie postąpił ku niej, pragnąc jej dotknąć.

Zee zastąpił mu drogę. Gdyby byli sami, Adam z pewnością by go odtrącił, jednak Zee chronił Mercy i znał magię. Skoro uważał, że Adam nie powinien jej teraz dotykać, należało



zawierzyć jego osądowi. Choć oczywiście nie musiało się to Adamowi podobać.

– Wiecie coś, co wiąże się z ich śmiercią – stwierdził obserwujący ich Amin. – Czy mam ostrzec Dimitrija, żeby czegoś nie robił podczas autopsji?

Mercy wyprostowała się, zadrżała i uciekła wzrokiem w kąt pomieszczenia.

– Uważam, że powinniście opóźnić autopsję możliwie jak najdłużej. Nie dowiecie się niczego przydatnego, co wskazałoby na mordercę, a... – Popatrzyła na Zee.

Gniew pradawnego nie osłabł przez ten czas, gdy Adama nie było. Gromadził się wokół Zee, gęstniał jak przed uderzeniem gromu i był dużo silniejszy, niż kiedy Adam wychodził. Przeczucie niebezpieczeństwa spływało Adamowi dreszczem po kręgosłupie, a zapach furii bojowej o żelazistych nutach musnął jego nos niczym wspomnienie przyszłości.

Adam był pewien, że Mercy też to czuje, tyle że się tym nie przejmowała. Dorastanie w watasze Marroka, pełnej szaleńców, uodporniło ją na przejawy gniewu.

George zasłonił sobą koronera i drugiego policjanta, co świadczyło, że również wyczuwa atmosferę zagrożenia. Ponieważ jednak ani Tony, ani Amin nie przyciskali się do ściany, trzęsąc się ze strachu, Adam doszedł do wniosku, że są całkiem nieświadomi powagi sytuacji. W sumie dobrze.

– Prawdopodobnie nic się nie stanie – oświadczył Zee spokojnie. – Ale tylko prawdopodobnie.

– To nasza praca – powiedział Amin i machnął ręką w stronę komory. – A to nasi podopieczni. Moi i Dimitrija.

– Może dacie nam choć tydzień? – zapytała Mercy. – Nie wiem jeszcze, o co w tym chodzi, ale wtedy będziemy mieć czas, żeby się czegoś dowiedzieć.

– Wiecie, kto jest sprawcą? – zapytał koroner.

– Wiemy, co go zabiło – rzekł Zee. – Odpowiedź na pana pytanie może być mniej ciekawa, niż się panu wydaje.

– Są pod naszą pieczęcią. – Amin pokręcił głową. – „Prawdopodobnie nic się nie stanie” musi nam wystarczyć. Dajcie nam znać, jeśli okaże się „zdecydowanie niebezpieczne”. W innym wypadku będziemy trzymać się procedur.



Na prośbę Zee zatrzymali się na cmentarzu nieopodal autostrady oddzielającej rzekę Yakima od Richland. Nie wyjaśnił, po co, a nikt w samochodzie nie był na tyle głupi, żeby go indagować. Tony był bystry, więc w końcu zorientował się, że coś jest na rzeczy. Prawdopodobnie po tym, jak wszyscy, z wyjątkiem Mercy, traktowali Zee.

Pradawny pokierował Adama labiryntem zwirowych uliczek. Kiedy dał znak, żeby się zatrzymać, wziął ze sobą Mercy, a reszcie kazał czekać w wozie.

– Nie znoszę tego – wymamrotał Tony, obserwując Zee i Mercy kluczących między kamiennymi znacznikami, ustawionymi w celu łatwiejszego poruszania się po terenie.

– Sam nie przepadam za cmentarzami – przyznał George, opierając się o SUV-a w sposób, który nie wróżył dobrze lakierowi.

Adam już miał zwrócić mu uwagę, kiedy pomyślał, że to nie zadrapania obniżały wartość odsprzedażową jego samochodów. Od wielu lat żaden z wozów nie przetrwał na tyle długo, by go oddać w rozliczeniu czy sprzedać.

– Cmentarze są w porządku. – Tony rzucił George’owi poirytowane spojrzenie, a potem potoczył wzrokiem po wypiełgnowanych trawnikach, zielonych nawet o tej porze jesieni. – Hm, no dobra, nie są. Nienawidzę, kurwa, nie wiedzieć, co się dzieje, kiedy ludzie wokół mnie padają trupem.

– Łypnął spod oka na Adama, jakby ten coś wiedział, ale to przed nim ukrywał.

– Nie byłeś nigdy w wojsku, co? – zapytał George kpiąco.

Adam poczuł, jak i jego usta się unoszą. George służył podczas pierwszej wojny światowej, jednak pewne rzeczy się nie zmieniały.

Zee i Mercy przystanęli wreszcie przy jakimś grobie. Mercy usiadła po turecku na trawie i przytknęła dłoń do nagrobka. Hm, Zee powiedział, że Mercy ma lepszy nos do magii niż on. A nos czy nie nos, na zmarłych magia Mercy z pewnością działała lepiej niż jego. Nie żeby Mercy skakała z tego powodu z radości.

Adam wyjął telefon i sprawdził informacje o cmentarzu. Istniał od 1956 roku.



– Powiecie mi, co się dzieje, kiedy się tego dowiecie? – zapytał Tony tonem, jakby z góry wykluczał, że tak się stanie.

– Wiesz, jak jest. – George wzruszył ramionami.

Po wizycie na cmentarzu pojechali do warsztatu, gdzie George i Zee zostawili samochody. Adam nie sądził, żeby Mercy chciała jeszcze dzisiaj otwierać, ale gmerali z Zee przy zamku wejścia do biura, wywnioskował więc, że coś planują. Możliwe, że Mercy chciała coś zabrać, ale bardziej prawdopodobne, że chcieli omówić swoje odkrycia.

Adam zgadzał się z tym, na co na cmentarzu narzekał Tony. Ile razy posiadanie informacji znanych osobom o wyższym stopniu pozwoliłoby stracić mniej żołnierzy? Z pewnością więcej niż raz.

– Tony – zwrócił się do policjanta – jak głęboko jesteś gotów wskoczyć do tej króliczej nory?

Montenegro zeszywniał, a potem spojrzał na niego zaskoczony.

– Czy to propozycja?

– Już od dawna nas wspierasz. Myślę, że powinieneś znać fakty. Na razie jeszcze nie wiedzą – wskazał podbródkiem na Zee i Mercy – o co w tym chodzi, ale powiem ci, jak będziemy mieć już jakąś roboczą teorię.

– A haczyk?

– Będziesz musiał okłamywać kumpli z pracy, wiedząc, że trzymanie ich w nieświadomości może skończyć się dla nich śmiercią... Choć może nie tak szybko, jak gdybyś i ty nic nie wiedział.

– Myślisz, że to dla mnie coś nowego? – Tony zmrużył oczy. – Może nie brałem udziału w regularnej wojnie, ale nieraz bywałem w sytuacjach, w których trudno jest zdecydować, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem.

– Regularna wojna? – powiedział George w zastanowieniu. – Nie, w takiej nie brałem udziału.

Adam skwitował jego żart śmiechem.

– Wojna i reguły, zabawne zestawienie, prawda? – Szybko jednak wrócił do tematu. – Pamiętaj, Tony, istnieje nienaruszalna granica tego, co mogę ci powiedzieć. Poza nią są na przykład sekrety innych. Podzielę się z tobą tym, czym mogę, ze względu na twoje bezpieczeństwo, ale musisz bezwarunkowo zachować dla siebie to, o czym nie mogą wiedzieć postronni. A to oznacza, że czasem, gdy trup będzie ścielił się gęsto, będziesz świadomy, że dzieje się tak przez to, że milczałeś. Ty, nie ja.

Tony spojrzał mu w oczy i patrzył w nie na tyle długo, że Adam musiał łagodzić swojego wilka.

– Uczciwe postawienie sprawy – podsumował. – Mogę się zastanowić?

– Dobrze, więc bezterminowa oferta – przystał Adam, a potem odprowadził wzrokiem wyjeżdżający z parkingu samochód George’a.



## Rozdział 10

**W**eszłam za Zee do warsztatu, spodziewając się, że będzie chciał porozmawiać ze mną o tym, co się dzieje. Odnosiłam wrażenie, że posiadam nadmiar informacji, które są całkiem od siebie oderwane. Zupełnie jakbym miała przed sobą pudełko puzzli i nie umiała powiedzieć, czy są z jednego, czy z trzech kompletów.

Pewnie wyglądałam głupio opatulona szczelnie płaszczem Adama, ale byłam tak umęczona, obolała i wystraszona, że nie miałam siły się tym przejmować, a przynajmniej nie miałam jej na tyle, by podjąć jakieś działania w kierunku poprawy swojej aparycji.

Aubrey wszedł za mną.

Przestałam z nim rozmawiać, choć może poniewczasie. Choć nie wiedziałam, czy moja atencja ma na niego wpływ, bo przecież nie był typowym duchem. W czym zorientowałam się zresztą dopiero po tym, kiedy usiłowałam mu pomóc iść w stronę światła czy gdzie tam się szło. Duchy to pozostałości eteryczne, które nie odeszły wraz ze śmiercią człowieka. A Aubrey był świadomą istotą, tylko bez ciała, jego dusza

pozostawała nadal związana z ziemią, jakby wciąż żył. No w zasadzie nie całkiem bez ciała, choć to było martwe. Jednak kiedy próbowałam go odesłać, poczułam, że połączenie z ciałem nie zostało prawidłowo odcięte.

Zee usiadł na jednym z metalowych krzesełek na kółkach, splótł ramiona na piersi i zacisnął usta.

Poranne niezadowolenie, które przerodziło się w gniew w sklepie, kostnicy i na cmentarzu, narastając nieustannie, towarzyszyło mu i teraz. Nie znałam nikogo, kto potrafiłby trzymać się złości tak długo, jak Zee.

– Mercy... – zaczął, ale go powstrzymałam.

– Możemy poczekać na Adama?

Uniósł brwi ze zdziwieniem.

Adam nie wyczuwał tego rodzaju magii, z którym ja i Zee mieliśmy do czynienia przez cały dzień. Sama nie byłam pewna, czy nawet do mnie dociera w pełni. Liczyłam, że tego, co wychwytywałam, nie interpretuję prawidłowo, bo jeśli tak, oznaczało to poważne kłopoty. I miałam wyraźne przeczucie, że wyjaśnienia Zee nie poprawią mi nastroju i nie zmniejszą obaw.

Nosiłam w sobie przez jakiś czas kolce, czy cokolwiek to było, które wszczepił mi w stopy i dłonie pająkowaty pradawny i które zamieniły się w jaja. Te embriony przejęły kontrolę nad moim umysłem i choć się ich pozbyłam, jeszcze długo będę miała mdłości na wspomnienie o tym. Potem brodziłam w magicznych i materialnych szczątkach, które pozostawił po sobie zabójca, i oglądałam trupy zabitych przez niego ludzi. Jeśli miałam usłyszeć złe wieści, a byłam przekonana, że będą złe, chciałam, żeby Adam usłyszał je razem ze mną.

W odpowiedzi na uniesione brwi Zee zadarłam podbródek na znak, że bez względu na to, czy Adam może czynnie uczestniczyć w rozmowie, czy nie, chcę na niego poczekać. Najwyraźniej go to rozbawiło, choć nie osłabiło lodowatej furii,

jaką emanował. Wzruszył ramionami, wskazując, że nie ma nic przeciwko czekaniu, nawet jeśli uważa, że to głupie.

Bolały mnie dłonie i stopy, co nie powstrzymywało mnie od nerwowego dreptania po warsztacie. Ciągły ruch oznaczał, że Aubreyowi było trudniej wbić się w moją bańkę przestrzeni osobistej. Poza tym ból podczas chodzenia odrywał mnie od analizowania najgorszych jak dotąd chwil tego dnia.

Świadomość, że jestem w jakiś sposób powiązana z tym mrocznym bytem, nie zniknęła tak jak wcześniej, kiedy wybudziłam się ze snu. Może gdybym nie próbowała odesłać Aubreya do miejsca, gdzie wędrują dusze po śmierci, może gdybym nie badała ciała chłopaka, gdybym nie tropiła zabójcy, wykorzystując to połączenie z otchłanną czernią – hej, może gdybym dzisiaj nie wstała z łóżka – nie miałabym nieustannie tego posmaku mroku w ustach, tak silnego, że prawie dławiącego.

Prawdopodobnie, jak całkiem nieużytecznie po fakcie powiedział mi Larry, rozrywanie własnym ciałem pajęczego zaklęcia nie było najlepszym pomysłem. Coś w tym ładunku nieukierunkowanej mocy, na który się wystawiłam, sprawiło, że otchłań, czymkolwiek była, wykorzystwała moją słabość i mogła się ze mną związać.

Usłyszałam, jak Adam wchodzi i zamyka drzwi do biura na klucz. Mądrze – po co jakiś klient ma tu wchodzić i podsłuchiwać nasze rozmowy o seryjnym zabójcy.

Kiedy Adam wszedł, od razu poczułam się lepiej. Jego aura kompetencji i pewności siebie była zaraźliwa. Działała na watahę i działała na mnie. Wierzyłam, że Adam, bez względu na to, jak trudna jest sytuacja, znajdzie rozwiązanie mniej głupie niż inne.

Adam zerknął na Zee, który mógłby wyglądać komicznie, skulony na niskim siedzeniu, gdyby nie był wcieleniem grozy. Już to, że w pierwszej kolejności spojrział na Zee, świadczyło, że



widzi w nim potencjalne niebezpieczeństwo. Mój ukochany nie jest głupi.

Potem popatrzył na mnie. Widziałam jego minę, kiedy zauważył, że nadal siedzę w ciepłym płaszczu, mimo że temperatura w warsztacie pasowała raczej do krótkiego rękawka. Uśmiechnęłam się, gdy nasze spojrzenia się spotkały. Nie był to wesoły uśmiech. Lubił, kiedy zakładałam jego ubrania. I naraz, dzięki temu jednemu uśmiechowi, zamiast idiotycznie poczułam się w tym stroju seksownie.

– Pozwólcie, że to ja zacznę – powiedział, unosząc palec. – Mercy, odkąd przerwała zaklęcie w domu Stefana, jest połączona z jakimś świadomym bytem i więź ta jest coraz silniejsza.

– Czy to prawda? – zwrócił się do mnie Zee.

Wzruszyłam ramionami, zadowolona, że płaszcz Adama daje tyle ciepła.

– Tak.

– Niedobrze.

– Fakt – potwierdził Adam warkotliwie i odgiął drugi palec. – W sklepie Mercy wyczuła, że ten byt jest związany ze śmiercią tego zabitego chłopca, a to z dużym prawdopodobieństwem oznacza, że również ze śmiercią tej wiedźmy, która zginęła wcześniej. Uważa, że ten świadomy byt karmi się śmiercią i wykorzystuje ją.

Zee przytaknął krótko.

Adam wyprostował trzeci palec.

– Duch chłopca chodzi za Mercy, ponieważ nie może odejść z naszego świata, gdzie utrzymuje go ten byt. Po twojej reakcji w kostnicy oraz z faktu, że potem odwiedziliśmy cmentarz, wnioskuję, że moc tego bytu jest również powiązana z ciałami jego ofiar. – Nie czekając na reakcję Zee, odgiął kolejny palec. – Po czwarte – rzekł i urwał. Potrząsnął głową. – Nawet nie masz pojęcia, jak mnie to niepokoi. Gdybym nie mieszkał z kosturem

Mercy, w ogóle nie uznałbym tego za możliwe. A więc po czwarte, ta świadomość odkryta przez Mercy należy do sierpa, o którym ty, Zee, nam mówiłeś, że zabijał czterdzieści lat temu. Cmentarz, na którym się zatrzymaliśmy, założono na długo przed serią tych zabójstw z przeszłości, więc zakładam, że niektóre z ofiar pochowano właśnie na nim, a wy sprawdzaliście ich groby. I pewnie okazało się, że dusze tych ludzi nadal przywiązane są do doczesnych szczątków, choć powinny odejść dekady temu. Czyli pozostają tu uwięzione. – Przekrzywił głowę, przyglądając się uważnie Zee. – Jakieś cholerne coś potrafi kontrolować ludzkie umysły, wybierać konkretne ofiary, więzi ich dusze za pomocą magii i broni tego połączenia. A teraz związało się dodatkowo z Mercy. – Głos wibrował mu gniewem przy ostatnich słowach, ale Adam nadal całą uwagę skupiał na Zee.

– *Ja* – przytaknął Zee. – Szerzej mówiąc, to bardzo stary przedmiot. – Wzruszył ramionami, a stołek pod nim zaskrzypiał. – A magia rozwijana przez długi czas jest nieprzewidywalną i potężną siłą.

– I na koniec – podjął Adam wyliczankę – jesteś zły jak osa, bo ktoś te czterdzieści lat temu zamydlił ci oczy i podłożył pod nos podróbkę w miejsce potężnego artefaktu, którego szukałeś.

– Przenikliwie jak na kogoś, kto nie wyczuwa magii – skwitował Zee kwaśno, przyglądając się Adamowi, i po chwili dodał: – Moim zdaniem byt, który wyczuwa Mercy, to artefakt zwany *Seelenehmer*.

– Zbieracz Dusz? – zapytałam, wygrzebując słowa z mało używanych zasobów niemieckiego. – Jak w tej dziecięcej modlitwie?

Wydawało się, że Zee nie wie, o czym mówię, więc Adam wyrecytował mu wierszyk, a ja dołączyłam w ostatnim wersie, przypominając sobie, że Stefan też go przytoczył.

– A jeśli umrę zgodnie z wolą Twoją, zabierz do siebie, Panie, duszę moją.

– I takie coś każe się odmawiać dzieciom? – prychnął Zee.

Przytaknęłam.

– Urocze. – Skrzywił się. – Tak. Zbieracz Dusz. A raczej Siepacz Dusz. *Ja*. Długo polowałem na ten artefakt. Czterdzieści lat temu powiedziano mi, że może być właśnie tu, i to było powodem mojego przybycia tutaj. – Posłał Adamowi dziki uśmiech. – I wykonania poleceń.

– Rozumiem – powiedział Adam, a Zee skinął głową.

– Kiedy przybyłem, zabójca nie żył, a mnie podano na tacy przedmiot, który mógł być narzędziem zbrodni. To moja wina, że nie szukałem dalej, zaślepiony rozczarowaniem. – Zasepił się i przez moment warsztat wypełnił się zapachem jego wściekłości, aż Zee schłodził ją w coś zimnego. – Ktoś sobie ze mną pogrywał.

– Mieli drugi sierp, zdolny zabijać w taki sposób, jak w przypadku Aubreya? – dopytałam, bo w tej części opowieści coś mi się nie zgadzało. – Tak po prostu pod ręką, żeby ci podsunąć, gdybyś się tu pojawił?

– Dlatego właśnie nie szukałem dalej – prychnął Zee poirytowany. – No bo kto ma takie rzeczy w zanadrzu? Z pewnością nie dorównywał Zbieraczowi Dusz, ale był magicznym artefaktem, którego stworzenie wymagało umiejętności i czasu, mimo że był dziełem śmiertelnika. Miał kilkaset lat, był stary i z pewnością cenny na swój sposób. Poza tym sierp nie stanowi wygodnej broni, więc nie wyrabiało się ich często w tej postaci. Jest znacznie bardziej użyteczny jako narzędzie rolnicze.

– Niezwykle dogodny zbieg okoliczności, że ktoś dostarczył i sierp, którym można było dokonać zbrodni, i chłopaka, którego nie dało się przepytac – zauważył Adam. – Jak

zakładam, upewniłeś się, że to właśnie martwy chłopak dokonywał morderstw?

– Tak. Ale nigdy nie odkryłem, kto pozostawił sprawcę i narzędzie w miejscu, gdzie Wujek Mike łatwo mógł je znaleźć. Miałem swoje podejrzenia, lecz nie drążyłem, bo nie interesowało mnie, jak i dlaczego, chciałem tylko znaleźć Zbieracza Dusz.

– Przybyłeś tu, żeby odnaleźć sierp – zaczęłam powoli. – Znalazłeś go, uznałeś, że to nie ten, i go zniszczyłeś. A potem tu zostałeś. Dlaczego?

Krzesło pod nim znów zaskrzypiało, kiedy się odchylił.

– Od bardzo dawna poszukiwałem Zbieracza Dusz, a istotom żyjącym tak długo jak ja kiedyś kończą się wyzwania, które sprawiają, że życie jest interesujące. Dlatego uznałem, że tu osiadę i zaczekam.

– I czekałeś czterdzieści lat, żeby zobaczyć, czy może pojawi się tu prawdziwy artefakt?

– Na początku tak. Czterdzieści lat to niedługo, *Liebchen*. A ja jestem cierpliwy.

Adam przyciągnął drugi stółek na kółkach i trącił mnie nim w nogę.

– Siadaj – powiedział. – Jak na ciebie patrzę, to mnie bolą stopy.

Klapnęłam ciężko.

Adam stanął za mną, kładąc mi ręce na barkach.

– Mamy kilka niewiadomych do rozwiązania – rzekł. – Istnieje możliwość, że jakieś czterdzieści lat temu przypadkowo pewien potężny artefakt znalazł jakiś Bogu ducha winny dzieciak... – Spojrzał na Zee, który przytaknął.

– Nikt szczególny, zwykły nastolatek, śmiertelnik – dopowiedział pradawny.

– Następnie ktoś go zabił, a tobie podsunął fałszywkę – kontynuował Adam.

Nawet nie zauważyłam, że Zee uspokoił się w czasie naszej rozmowy, dopóki znów nie zapalał gniewem.

– Taaak – syknął.

– Nie wiemy, kto za tym stał – mówił Adam. – Ale założmy, opierając się na fakcie, że Zbieracz Dusz znów jest aktywny, że ta sama osoba, która zabiła nastolatka i podsunęła ci podróbkę, teraz postarała się, żeby Zbieracz Dusz znów zaczął zabijać.

– Zgadzam się. I uważam, że ta sama osoba jest odpowiedzialna za działanie artefaktu czterdzieści lat temu – powiedział Zee. – Przedtem Zbieracz Dusz zabijał trzy wieki wcześniej we wschodniej Europie. Ktoś musiał go tu stamtąd przywieźć.

– Kolejną zagadką jest osoba teraźniejszego mordercy. Wygląda na to, że tym razem nie jest to śmiertelnik. – Adam zerknął na mnie.

– Teleportuje się – wyjaśniłam pradawnemu, pstrykając palcami, i dodałam „puff”. – Możliwe, że to Stefan, ale coś uniemożliwia mi rozpoznanie zapachu. – Powiedziałam to lekko, jednak Zee spojrzał na mnie bacznie, a dłonie Adama zacisnęły się mocniej na moich ramionach.

– Możliwe też, że to Marsilia – zauważył Zee. Nie powinnam być zaskoczona, że zna jej umiejętność, ale byłam. – Lub któryś z wampirów, którego stworzyła, posiadał ten sam dar.

– To samo jej powiedziałem – podkreślił Adam. – Chociaż nie wydaje mi się, żeby któreś z nich mogło poddać się władzy artefaktu, jakkolwiek potężny jest ten sierp. Wampiry to stworzenia posiadające z natury moc woli, a i Stefan, i Marsilia są starzy i potężni.

– To prawda – przytaknął Zee w zadumie. – Istnieje też możliwość, że Zbieracz Dusz jest używany dobrowolnie, ale w takim razie wampiry to jeszcze mniej prawdopodobna opcja, ponieważ najbardziej spośród wszystkich nadnaturalnych istot

zależy im na uniknięciu złego rozgłosu. A raczej jakiegokolwiek rozgłosu.

– A może w grę wchodzi tortury? – poddałam.

Adam natychmiast zrozumiał, o co mi chodzi.

– Myślisz o tym, że Stefan ukazał ci się z wyłupionymi oczyma?

– Męczarnie osłabiają wolę – orzekł Zee z większą pewnością, niż chciałabym usłyszeć z ust kogoś, kogo uważałam za przyjaciela. Skinął powoli głową. – To nie jest nieprawdopodobne, ale żeby przedrzeć się przez osłony mentalne pana wampirów, trzeba by całych tygodni, jeśli nie miesięcy, dręczenia.

– Czy sam artefakt mógłby zapewnić użytkownikowi umiejętność teleportacji? – zapytałam. – No wiesz, czy to może być zwykły człowiek, który otrzymał nadnaturalne moce dzięki posługiwaniu się sierpem?

– Mógłbym odpowiedzieć na to pytanie, gdybym kiedyś trzymał go w rękach – wzruszył ramionami Zee. – Ja robiłem broń, która podnosiła umiejętności tego, kto się nią posługiwał. Dodawała mu siły, wytrzymałości i innych cech. – Zmarszczył brwi. – Inni pradawni tworzyli artefakty dające niewidzialność, jak pewien płaszcz, czy umożliwiające przemianę w jelenia bądź rumaka. – Podniósł rękę, gestem prosząc, żebyśmy dali mu pomyśleć. Po chwili potrząsnął głową. – Legendy o Zbieraczu Dusz nie wspominają o mocach przydawanych temu, kto go dzierży. Nie da się tego wykluczyć, choć to mało prawdopodobne. – Na widok mojej miny dodał: – To rzadka umiejętność, ale istnieją pradawni, którzy potrafią się teleportować, zresztą nie tylko pradawni, inne nadnaturalne istoty również. Wujek Mike będzie wiedział które.

– Dobrze, to daj mi znać, jeśli kogoś wytypuje – powiedziałam i zmieniłam temat. – Nie wiem, czy to ma coś wspólnego ze Zbieraczem Dusz, czy nie, ale w chmarze coś się dzieje. Stefan

przepadł. Szukamy też Wulfe'a. A Larry twierdzi, że pod siedzibę chmary podjechały luksusowe samochody i wszystkie tamtejsze wampiry odjechały nimi, zostawiając budynek opuszczony.

– Larry uważa, że stoi za tym Wulfe – dorzucił Adam. – Nie zgadzam się z nim. Gdyby Bonarata nie przebywał we Włoszech, bardziej skłaniałbym się ku niemu. Choć już raz posłużył się Wulfe'em w swoich gierkach. Ale też nie jestem pewny, czy to się jakoś wiąże ze Zbieraczem Dusz.

– Tyle że Mercy twierdzi, że Zbieracz Dusz dostrzegł ją, kiedy złamała zakłęcie utkane przez pajęczycę w domu Stefana. – Zee zaakcentował imię wampira.

Pokiwałam głową, machinalnie prostując i zaciskając dłonie.

– Istnieje za to jakieś powiązanie pomiędzy Zbieraczem Dusz a pajakami. – Zee postukał się w czoło. – Gdzieś tu jest, ale jestem już tak stary, a to chyba jakaś pradawna historia... Postaram się sobie przypomnieć. Może kto inny będzie ją pamiętał?

– Czyli wygląda na to, że to jeden problem, nie dwa – podsumował Adam. – Nie żeby to zmieniało cokolwiek na lepsze.

– Ano nie – przytwierdziłam.

– Nie zdołam jutro przyjść do warsztatu, *Liebchen* – rzucił Zee całkiem bez związku. – Albo sama będziesz pracowała, albo zamkniesz na jeden dzień, aczkolwiek to ostatnie nie przysłuży się interesowi.

Stało się jasne, że nie rozwinie tematu, jeśli nie odpowiem. Potarłam dłońmi twarz i spojrzałam na Adama.

– Jutro planujemy wizytę w siedzibie chmary – rzekł Adam. – Skaptowałam kilka osób, żeby poszli z nami. Ale „z nami” równie dobrze może oznaczać „ze mną”, jeśli musisz otworzyć, Mercy. Jeśli trafimy na coś, do czego będziesz nam potrzebna, zawsze możemy po ciebie zadzwonić.

Powinnam iść z nimi, ale byłam zmęczona i psychicznie, i fizycznie. Wizja, że miałabym przyjść do warsztatu i robić coś, co znałam i umiałam, wydawała się bardzo kusząca. Podczas grzebania w gaźnikach nic przynajmniej nie złoży we mnie jaj.

– Mary Jo miała iść jutro z nami do chmary – powiedział jeszcze Adam. – Chciałbym, żeby się tu pokręciła, jeśli postanowisz otworzyć.

Spojrzał mi w oczy i czekał. Nie była to prośba w stylu „muszę zapewnić ci bezpieczeństwo, mała, słaba kobietko”. To mówił Alfa watahy, który nie chce, aby członek jego stada narażał się, pracując samotnie, gdy w pobliżu grasuje seryjny zabójca.

– Może ci pomóc obrobić się z papierami – podsunął, bez skrępowań obarczając Mary Jo częścią pracy, której najbardziej nie znosiłam.

Po kilku koszmarnych incydentach zaczynałyśmy się z Mary Jo tolerować. Może nie była to przyjaźń, choć w przyszłości nie było to wykluczone, raczej coś w rodzaju wzajemnego szacunku.

– Znaczy miałabym ją torturować, tak? – upewniłam się.

Adam zaśmiał się głośno, odrzucając głowę do tyłu.

– Oczywiście, że idę z wami – oświadczyłam. – Zamknę na jeden dzień, nic się nie stanie. – Zerknęłam na Zee. – Jeśli od czasu do czasu nie zamknę znienacka, klienci mi się zaczną za bardzo panoszyć.

– *Passt* – powiedział Zee z satysfakcją, jaka oddawała znaczenie niemieckiego słowa w stopniu wystarczającym, żebym nie musiała sięgać po słownik Langenscheidta, który trzymałam w szufladzie w biurze.

– Zee – zwróciłam się do niego stanowczo – musimy porozmawiać o tym Zbieraczu Dusz. Co to jest. Jak działa. I jak to unieszkodliwić.



Przez chwilę wpatrywał się w swoje buty, splatając i rozplatając palce, jakby gotował się do żmudnego zadania.

– Większość artefaktów tworzy się celowo – zaczął. – Powstają raczej w konkretnym celu niż przez przypadek. Ponadto większość stworzyli pradawni.

Wyciągnął przed siebie dłoń i wyjął jakby z powietrza kostur. Mój kostur. Cały czas patrzyłam na jego ręce, a nie potrafiłam dokładnie określić momentu, kiedy laska się w nich pojawiła. Zupełnie jakby przez cały czas tkwiła w jego palcach. Zee obrócił ją, jakby się jej przyglądał, a światło z lamp przesunęło się po starym drewnie i srebrnych okuciach.

– Ludzie również mogą tworzyć magiczne przedmioty – podjął po chwili – ale jako że są śmiertelnikami, nie zależy im, żeby przetrwały one po ich śmierci. Co bardziej świadomi wręcz obawiają się, żeby to, co stworzyli, nie przetrwało ich i nie wyrządziło przypadkiem krzywdy. – Jego rysy złagodniały na moment, jakby miał na myśli kogoś konkretnego. – Zaklęcia więdzm zazwyczaj przestają działać, kiedy ta, która je rzuciła, umiera. Jeśli nawet nie od razu, to z czasem tracą moc. Ludzie rzadko potrafią stworzyć prawdziwy artefakt. Poza śmiertelnikami potrafiącymi posługiwać się magią oraz pradawnymi niewiele istot posiada zdolności umożliwiające tworzenie magicznych artefaktów.

Mówił coś, co było dla nas całkiem oczywiste. A mnie bolały stopy. I byłam zmęczona. I, jak nagle zdałam sobie sprawę, głodna. Żałowałam, że nie chciałam tego posiłku, który proponował mi Adam. Ale uzmysłowiłam sobie, że przecież Zee rzadko głądził siebie a muzom. Skoro się tak rozgadywał, to widocznie według niego było to ważne.

– Nawet pośród pradawnych nie ma wielu zdolnych do stworzenia choćby tak pomniejszego artefaktu jak ten. – Postukał lekko kosturem, a potem nim obrócił. Nie sądziłam, że stary Zee ma talent tamburmajora, ale wywijał laską tak biegle,

że aż mieniło mi się w oczach. Nie przestając poruszać kosturem, podjął: – Ariana, towarzyszka Samuela, była jedną z najlepszych twórczyń artefaktów, dopóki celowo się nie okaleczyła. – Podrzucił kostur w górę i złapał go. – Lugh. – Kiedy wypowiedział imię, iskra zatańczyła na srebrnym okuciu szarego drewna, które Lugh obrobił nie wiadomo jak dawno temu.

Może Zee wiedział, choć raczej w to wątpiłam. Te bardzo stare istoty, które znałam, nie rozpamiętywały przeszłości i nie liczyły lat.

– Artefakt jest tworzony, a potem wykańczany, pieczętowany tak, żeby nie tracił ani nie zyskiwał mocy. Aby nie zmieniał celu, w jakim go stworzono. Lugh z czasem stał się nieostrożny, choć w większości przypadków oznaczało to, że jego dzieła traciły moc, słabły, aż niszczały ostatecznie. – Bez ostrzeżenia rzucił do mnie laskę. Złapałam ją. Albo może wpadła mi w dłonie. – To nie oznacza, że twój kostur został wykonany niewłaściwie. Kiedy pozostawał w twoich rękach, działały się z nim niesamowite rzeczy, dzięki którym się zmienił. Które pozwoliły mu się zmienić. – Spojrzał na mnie.

– Ja nie chciałam...

To prawda, że zrobiłam coś z kosturem, dużo cosiów, czego efektem był przedmiot, na którym teraz zaciskałam palce. Użyłam go do zabicia nieśmiertelnego potwora. Po chwili namysłu poprawiłam się: kilku potworów, w tym jednego, o którym mówiono, że jest bogiem. Podarowałam go Kojotowi, co z perspektywy czasu nie wydawało mi się już takie mądre. Kostur zyskał moc, nowe możliwości i... świadomość. Nie wiedziałam, co potrafi zrobić... nikt inny również.

– Ponieważ jest jeszcze jeden sposób na stworzenie artefaktu – rzekł Zee łagodnie. – Oddawanie czci. Krew. Rozpacзлиwa potrzeba. W ten sposób ty stworzyłaś na nowo kostur Lugh. Inne katalizatory to czas i wiara.

Sięgnął do jednej z kieszeni kombinezonu i wyciągnął niewielki metalowy drobiazg. Rzucił przedmiot Adamowi, który bez trudu go chwycił.

Adam rozwarł palce, a na jego dłoni ujrzałam matową metalową obrączkę.

– Wydaje się bardzo ciężka – stwierdził. – To ołów?

– Żelazo – powiedział Zee.

Dotknęłam obrączki i z sykiem cofnęłam palec. Nie zabolalo, ale dotyk pozostawił wrażenie niewłaściwości i poszukiwania.

– Oddaj ją – kazałam Adamowi, który odrzucił obrączkę Zee.

Ujęłam dłonie Adama i przyjrzałam się im dokładnie z każdej strony. Nie zauważyłam niczego dziwnego, ale skóra na moich dłoniach piekła. Może to jeszcze od pajęczych jajek?

– Idź, umyj ręce – poleciłam Adamowi. Bieżąca woda skutecznie pozbawiała zaklęcia mocy. Powinna spłukać ślady, które zostawił ten okropny przedmiot. – Uwierz, nie chcesz, żeby zostały ci po tym jakieś resztki.

Adam nie zapytał, o czego resztki mi chodzi, tylko bez słowa poszedł do łazienki. Gdy usłyszałam szum płynącej wody, część mojego niepokoju uleciała, robiąc miejsce na złość.

– Co ty wyprawiasz? – warknęłam. – Nie możesz ot tak rzucać takich rzeczy, jakbyś kupił je w Walmarcie. I nigdy, przenigdy nie rzucaj czegoś takiego do mojego męża!

Adam zaśmiał się za moimi plecami. Odwróciłam się, oburzona, z zamiarem zbesztania go wzrokiem, ale wycierając ręce, patrzył na Zee.

– Bran ma taką minę, jak go ochrzania – powiedział do pradawnego. – Urażoną, ale niedowierzającą i zachwyconą. Przyznaj, kiedy ostatnio ktoś na ciebie nakrzyczał za... – z jego głosu uleciała wesołość – „głupi numer”. – Pozwolił wybrzmieć słowom, a potem dodał: – Powiesz, co to było?

– Magiczny artefakt – powiedział Zee.

– Przeklęty przedmiot – prychnęłam równocześnie rozeźlona.

– Może i przeklęty. – Zee wzruszył ramionami. – Ale twojemu mężowi nic by się nie stało. Magia znika, kiedy tylko przedmiot traci kontakt ze skórą.

– Nie zmienię zdania – oświadczyłam. – Nieważne, czy uważasz to za bezpieczne, po prostu nie rzucaj mojemu mężowi przeklętych przedmiotów.

– Dobrze, już dobrze! – burknął Zee, unosząc ręce w geście poddania.

Adam przywołał nas do właściwego tematu.

– Co by się stało, gdybym nosił to dłużej niż chwilę?

– Ci, którzy często zakładają tę obrączkę, popełniają samobójstwo. Po jakimś czasie – wyjaśnił Zee, popatrując na mnie.

– To zupełnie jak większość twoich pracowników – mruknęłam opryskliwie, a Adam zdusił śmiech.

Zee spojrział na mnie naburmuszony.

– Przestań rzucać w moich ukochanych niebezpiecznymi przedmiotami, to nie będę do ciebie pyskowała do końca dnia – powiedziałam po chwili pojednawczo.

– Niech będzie – rzekł usatysfakcjonowany. – Obrączka to pomniejszy artefakt.

– Pomniejszy czy nie, jest przeklęty. – Potarłam palce, żeby pozbyć się wstrętnego uczucia. – I w ogóle jak możesz nosić coś takiego ot tak sobie, w kieszeni?

– Noszę w kieszeniach dużo różnych rzeczy – odrzekł pradawny z wyższością. – Od tego są kieszenie.

Adam uśmiechnął się łobuzersko.

– A ty go nie zachęcaj – zbeształam mojego męża i zwróciłam się do Zee. – I co, mam rozumieć, że ten pierścionek nie został przez nikogo stworzony?

– Właśnie. Jest bardzo stary, ma z półtora tysiąca lat. W ciągu takiego czasu wiele złych rzeczy może przytrafić się wielu ludziom związanym z obrączką, a w końcu przedmiot zostaje

nimi obarczony. Otrzymuje miano przeklętego. Może jest, może nie, ale z pewnością wywołuje przewidywany efekt magiczny u tego, kto go nosi, i nawet po tym, jak nikt nie zakładał go przez dwieście lat, nie utracił mocy. To czyni z niego artefakt. Można powiedzieć, że powstał samoistnie. A ponieważ powstał bez uprzedniego zamierzenia, jego moc jest efektem przemiany w długim okresie. Czworo ostatnich ludzi, którzy go nosili, zagłodziło się na śmierć. Za kolejne tysiąc lat może nie mieć już żadnej magii, ale może też sama jego bliskość sprawi, że wszyscy w mieście przestaną jeść.

– Ten sierp, który zabił Aubreya, jest tego rodzaju artefaktem – domyśliłam się.

– Tak – potwierdził Zee. Wydał usta i przez chwilę w zamyśleniu jeździł w tę i w tę na krzeselku jak nastolatek. Czekałam, że lada chwila zacznie się kręcić, ale nie, zatrzymał się. – Bardzo, bardzo długo docierały do mnie różne pogłoski o Zbieraczu Dusz – odezwał się w końcu. – Pierwsza legenda opowiadała o ostrzu, które przemieniło ośmiolatka w wojownika, a ten zabił kilku atakujących go bandytów. Chłopiec w końcu umarł, a o ostrzu słuch zaginął na kilka wieków.

Spojrzałam na leżący na moich kolanach kostur i przypomniałam sobie bitwę z kilkoma pradawnymi, kiedy artefakt mnie wykorzystał. Wzdłuż drewna przesunęła się błękitna iskra, muskając moje palce i delikatnie szczypiąc w drodze na okuty koniec, który czasem przemieniał się w ostrze. Dokładnie taka sama iskra pojawiła się na nim, gdy Zee wypowiedział imię Lugha.

– Zacząłeś go szukać? – zapytał Adam.

– Mam w zwyczaju poszukiwanie dzikich artefaktów. Niemądrze jest pozostawiać takie przedmioty w rękach nieświadomych osób, ponieważ, jak widzieliście na przykładzie obrączki, nieprawidłowo wykończone, mogą nabrać z upływem

czasu nieprzewidywalnych właściwości. Jestem istotą rozważną, zapobiegam więc, żeby takie przedmioty trafiły w ręce moich wrogów. – Na jego twarzy pojawił się grymas, uśmiech, lodowaty, zacięty, nienależący do mojego przyjaciela. – Ale Zbieracz Dusz jest inny. – Zee zamknął dłonie, jakby czuł pod palcami rękojeść sierpa. – Możliwe, że to najpotężniejszy samoistnie powstały artefakt, jaki kiedykolwiek istniał. – Słowa te wypowiedział Mroczny Kowal z Drontheim. Ten, który wytwarzał puchary z czaszek wrogów i oprawiał ich oczy jak klejnoty. – Czująś to, prawda? – Jego głos przeszywał mnie dreszczem aż do kości. – Ma swój cel. Czujesz połączenie wiążące dusze z ciałami.

– Tak – potwierdziłam, nie mogąc się powstrzymać, i chwyciłam Adama za rękę. – Swoje też. Mnie również związał.

Głowa Zee podskoczyła zabawnie, powieki zatrzepotały i po chwili w warsztacie znów siedział z nami mój przyjaciel, a na jego obliczu malował się wyraz głębokiego zatroskania.

– *Ja.*

Zaczerpnęłam nerwowo tchu.

– W sumie myślałam, że pomożesz mi coś z tym zrobić.

– Moja magia jest zimna, zakorzeniona w kamieniu i metalu.

– Zee pokręcił głową. – Nie mam mocy wiązania ducha i ciała. Nawet połączenie pomiędzy Zbieraczem Dusz i zmarłymi wyczuwam bardzo słabo. – Zawiesił głos w zamyśleniu. – Nie znam pradawnego, któremu mógłbym zaufać, a który mógłby ci pomóc. Znadto łakniemy mocy.

Adam patrzył to na Zee, to na mnie.

– Czego mi nie mówicie?

– Podejrzewam, jestem prawie pewna, że Zbieracz Dusz przygotowuje ofiarę – odpowiedziałam przepaszającym tonem.

– Doszedłem do wniosku, że Zbieracz Dusz został stworzony jako narzędzie zadawania śmierci ku czci boga – rzekł Zee. –

W starożytnych wierzeniach składanie ofiar było powszechną częścią obrzędów. Sierp, symbol żniw, był często używany podczas tego rodzaju ceremonii.

– Liczyłam, że zaprzeczysz – westchnęłam do Zee.

– Jakiego boga? – Adam przysunął się do mnie bliżej i mocniej chwycił za rękę.

– *Keine Ahnung*. – Zee wzruszył ramionami. – Być może, zważywszy, że sierp jest związany ze żniwami, a bogowie plonów są krwiożerczy, to któryś z nich? Choć nadal wydaje mi się, że chodzi jednak o coś z pajakami. – Głębokie linie przecięły czoło pradawnego, ale najwyraźniej pamięć nie przyszła mu z pomocą. – Z całą pewnością nie kojarzę tego rodzaju magii z żadnym ze znanych mi bogów, ale więcej mógłbym powiedzieć, gdybym mógł go wziąć do ręki. Mówiąc, że sierp jest bardzo stary, miałem na myśli starożytny. Był stary już, gdy usłyszałem o nim po raz pierwszy. Prawdopodobnie imię boga zaginęło w odmętach czasu.

– Nie sam bóg – zaznaczył Adam.

– Niestety, bogowie nie przestają istnieć ot tak, chyba że ktoś ich zabije – powiedział Zee, który zabił przynajmniej jednego, z tego, co wiedziałam.



Telefon zadzwonił w drodze do domu.

– Zamierzasz odebrać? – zapytał Adam po chwili.

Zerknęłam na wyświetlacz.

– Numer nieznany – odczytałam. – Nie potrzebuję ubezpieczenia, żeby naprawić sobie samochód. A twoim żadne ubezpieczenie nie pomoże.

– To prawda. – Uśmiechnął się z uznaniem. – Ale może masz jakiś zaległy podatek sprzed dwudziestu lat, którym należy się zająć właśnie dzisiaj, inaczej zaczną cię nękać federalni.

– Widzę, że dostajesz fajniejszy spam telefoniczny ode mnie – skwitowałam.

– Nie zdołaliśmy namierzyć tego ostatniego głuchego telefonu – powiedział, poważniejąc. – Jeśli znów dzwoni ta sama osoba, chciałbym dać chłopakom drugą szansę. Odbierz i postaraj się zatrzymać rozmówcę na linii przez trzy minuty, to... – Zamilkł, zastanawiając się nad formą nagrody.

– To ja wybieram kolor następnego samochodu.

– O nie, nie jestem taki głupi – prychnął. – Odbierz, proszę.

– Niech ci będzie. – Przyjęłam połączenie.

– Mercy?

Głos Samuela zupełnie mnie zaskoczył. Prawie zapomniałam, że prosiłam go, żeby zadzwonił. Sherwood co prawda nie był najmniejszym z naszych obecnych problemów, ale nie był też najpilniejszym. Adam zwolnił na mgnienie, a potem znów nabrał prędkości. Ściemniało się, włączyły się reflektory.

– Cześć – przywitałam Samuela. – Jak tam Afryka?

– Nadal istnieje – odpowiedział Samuel, ale nieswoim głosem.

Napięłam się i zsunęłam na skraj fotela, jakbym mogła skoczyć w razie czego na drugi koniec świata, żeby mu pomóc.

– Coś się stało?

Milczał.

– Samuel!

– Nie da się ciebie oszukać. – Westchnął, jakby mu ulżyło.

– Coś z Arianą?

– Nie, z nią wszystko w porządku. Ze mną też. – Ostatnie słowa zawisły na moment w powietrzu.

– Kłamiesz – ofuknęłam go. – Potrzebujesz czegoś? Mogę ci jakoś pomóc?

– Albo ja? – włączył się Adam. Rozmowa nie toczyła się przez zestaw głośnomówiący, ale nie miało to znaczenia. – Albo wataha? Zrobimy dla ciebie wszystko...



– Dziękuję... – Samuel zdawał się znużony, choć jakby podniesiony na duchu. – Chyba na razie ogarnęliśmy sprawę. Jesteście moim składem rezerwowym, ale pierwszy na razie jest na boisku.

– Futbolowe metafory są nie w twoim stylu – próbowałam pociągnąć go za język.

– Nie uwierzyłabyś, jak potrafią rywalizować ze sobą lekarze – powiedział Samuel już bardziej naturalnie. – W tym roku nagrałem się w futbol, ten prawdziwy, nie amerykański.

– Gdzie jesteś? – zapytał Adam.

Afryka to ogromny kontynent. Nigdy nie wiedziałam dokładnie, gdzie znajdują się Samuel z Arianą. Czasami opowiadał o tym, co robili w zeszłym tygodniu czy miesiącu, jednak nigdy o tym, gdzie są.

– W środku zawiei śnieżnej. Nie tylko w jednym znaczeniu. Mam trzy minuty do końca baterii. Czego potrzebujesz, Mercy?

– Burza śnieżna w Afryce? – To prawda, że to cały wielki kontynent, ale raczej kojarzył mi się z dżunglą i pustyniami.

– Czego potrzebujesz, Mercy? – powtórzył Samuel.

Z jego tonu wyraźnie wynikało, że więcej o sobie nie powie.

– Sherwood odzyskał wspomnienia.

– Ha! – Wyraźnie usłyszałam uśmiech w głosie Samuela. – Mówiłem tacie, że nie udaje.

– Bran uważał, że udaje?

– Wiesz, w zasadzie to nie wiem. Ale wiem, że tatę irytowała ta amnezja.

Mówił już normalniej, lecz nadal nuta napięcia w głosie wskazywała, że znajduje się w trakcie jakiejś katastrofy. Skoro więc rozmowa o Sherwoodzie dawała mu odrobinę wytchnienia, rozrywki, to mogliśmy rozmawiać o Sherwoodzie. W każdym razie przez trzy minuty.

– Kim jest? – zapytałam wprost.

– Nie wiem, czy mogę ci to powiedzieć.

– Wiem, że jest jednym z was, Cornickiem. I że jest stary.

– Pytałaś go?

– A kto mi powiedział, żebym nigdy nie wypytywała starego wilka o przeszłość? – odgryzłam się. Gdyby Sherwood zamierzał przyznać się, kim jest, z pewnością by to uczynił.

– Ja tak powiedziałem? – Samuel roześmiał się, a szczere rozbawienie odsłoniło też znużenie.

Wymieliliśmy spojrzenia z Adamem, który przysłuchiwał się naszej rozmowie z marsowym czołem.

– Tak. A jeśli telefon ci padnie, zanim zdążysz mi odpowiedzieć, to sprzedam twój gwiazdkowy prezent na eBayu, a zysk oddam... – Zastanawiałam się przez moment nad czymś, czego nienawidził. – Towarzystwu Johna Laurena. – Było to ugrupowanie siejące nienawiść wobec pradawnych, wilkołaków i wszystkich innych istot nadnaturalnych, działające w kręgach elit.

– A, co mi tam – zaśmiał się Samuel. – To starszy brat taty.

Po długich namowach udało mi się kiedyś nakłonić Samuela do opowiedzenia mi o tym, jak spotkali się z Arianą. Wyszła przy tym na jaw niejedna historia, której nie spodziewałam się usłyszeć.

– Wszyscy bracia Brana zginęli, broniąc Ariany przed jej ojcem – przypomniałam. – Sam mi to opowiadałeś.

– Sherwood opuścił watahę babki na długo, zanim to się stało. Jego ucieczka była jednym z powodów, dla których babka ściagała tatę. Bo nie mogła znaleźć... – Zaczął mówić jakieś imię, ale zmitygował się. – Sherwooda.

Znów wymieniliśmy spojrzenia z Adamem. W jakim celu Bran ukrył swojego brata u nas?! Chronił go?

– Słuchajcie, uważajcie na niego. Z nim. Wiecie, co Charles robi dla taty?

– Karci niepokorne wilki? – powiedziałam.

– I zastrasza resztę, żeby nie powstało im to w głowie – dokończył Samuel. – To koszmarne roboty, ale ktoś musi to robić. Przed Charlesem to Sherwood był straszakiem taty. Taka fucha zostawia ślady na psychice i nie sprzyja zachowaniom społecznym.

– Bran nie był Marrokiem przed Charlesem – powiedziałam.

– Nie? – Usłyszałam wyraźne rozbawienie w głosie Samuela.

– Sherwood jest niebezpieczny – stwierdził Adam.

– Każdy z nas jest niebezpieczny – poprawił go Samuel. – Sherwood jest o wiele więcej niż niebezpieczny. – Usłyszałam cichy sygnał. – Kocham was – rzucił Samuel pośpiesznie. – Muszę kończyć. Pa.

Rozłączyłam się, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

– Nie podoba mi się to – oświadczyłam.

– Jeśli do tej pory nie zorientowałaś się, że Sherwood jest niebezpieczny, to chyba wszystko przespałaś – mruknął Adam.

– Nie o to mi chodziło – zbyłam go. – Tylko o Samuela.

– Wiem, kochanie. Ale to stary wilk i nie jest głupi. Ma wsparcie i skorzysta z niego, jeśli będzie potrzebował. Wygląda na to, że Bran już jest zaangażowany.

Telefon zadzwonił ponownie.

– Samuel?

Osoba na drugim końcu linii milczała. Nie słyszałam oddechu, tylko cichy szelest wiatru w drzewach. Rozłączyłam się.

– Pomyłka albo coś w tym stylu – wyjaśniłam Adamowi. Miałam teraz znacznie ciekawsze sprawy do rozważania niż jakieś głuche telefony. – Bran to nie pierwszy skład. Nie gra w drużynie. Mógłby być, bo ja wiem...? Trenerem? Albo prezesem klubu. Pierwszy skład to Charles.

– Masz rację.

– No dobra, może być. Skoro Charles działa, to nic mu nie będzie.

– No i wie, że w każdej chwili może się zwrócić o pomoc do nas.

– No i mogę skontaktować się Charlesem i dopytać, czy aby na pewno nic nie możemy zrobić.

– Tak.

Zaczęło padać. Z przyzwyczajenia sprawdziłam temperaturę, ale było jeszcze za ciepło, żeby martwić się o gołoledź. Co najwyżej mogliśmy zmoknąć.

– Co może być aż tak złego, że Samuel musi uciekać? – zastanawiałam się, słysząc niepewność we własnym głosie.

– Nie mam pojęcia.

Adam położył mi rękę na kolanie i ucisnął je lekko. Nie było ku temu absolutnie żadnego logicznego powodu, ale pomogło.



W domu zastaliśmy Jesse i Tada odrabiających pracę domową przy kuchennym stole.

– O, cali i zdrowi – ucieszyła się Jesse na nasz widok. – W lodówce jest resztką pizzy dla was. Nawet fajnie mieszkać w składzie trzy plus jeden. Nagle lodówka przestaje być czarną dziurą.

– Też się cieszę, że nic wam nie jest. – Może włożyłam w to nieco za dużo uczucia, bo dzieciaki podniosły głowy.

– Myślałam, tato, że twoja śmierć została odroczone na czas nieokreślony – zaniepokoiła się Jesse.

– Bo tak jest. Ale ponieważ w tej rodzinie nie lubimy się nudzić, tym razem to Mercy przygruchała sobie zabójcę na wyłączność.

Tad i Jesse przenieśli wzrok na mnie.

– Żniwiarz się na mnie zasadził – oznajmiłam zgodnie z prawdą. Raczej. – Tak sądzimy.

Nie dało się z całą pewnością stwierdzić, że Zbieracz Dusz poluje na mnie dlatego, że jestem z nim połączona. Jednak Zee i Adam doszli do wspólnego wniosku, że najprawdopodobniej ma mnie na oku, mówiąc metaforycznie.

Jesse wywróciła oczami, ale Tad, który słyszał prawdę w mojej odpowiedzi – a może nawet wiedział o Żniwiarzu więcej niż jeszcze wczoraj – zmartwiał. Potem zerknął na Adama, który potwierdził skinieniem.

Jesse nie zauważyła tej komunikacji pozawerbalnej, zaprzętały ją inne kwestie.

– Tato, byłeś w południowo-wschodniej Azji, a byłeś może w południowej Korei? – zapytała.

– Tak? – odpowiedział ostrożnie.

– A dokładnie jak dawno temu? – Zmrużyła oczy.

– Jakies dziesięć lat?

– To siadaj. – Wskazała miejsce koło siebie. – Jesteś mi potrzebny. Będiesz moim pierwszoręcznym źródłem informacji. – Odwróciła się do mnie. – Ty. Maccho. Pożyw się swoją pizzą gdzie indziej, a ja tymczasem wypytam tatę, jak dziesięć lat temu traktowano kobiety w Korei Południowej.

Z szerokim uśmiechem załadowałam na talerz dwa kawałki pizzy „przeгляд tygodnia”, dołożyłam kawałek z ananasem oraz czymś, co wyglądało jak słodka papryczka, i ruszyłam do wyjścia na ogród.

Tad zerwał się i otworzył mi drzwi.

– Skoro masz na karku mordercę, to może ci potowarzyszę? – zaproponował.

– Nie musisz pisać pracy?

Miał jednak rację, powinnam zachować większą ostrożność. Nie sprzeciwiałam się już, kiedy wyszedł ze mną.

Normalnie powiedziałabym, że nasz dom jest dla mnie najbezpieczniejszym miejscem, ale normalnie mieliśmy tu trzy

lub cztery inne wilki plus demonicznego psa. Teraz jednak odesłaliśmy ich wszystkich.

Na zewnątrz było chłodno, choć wcześniejsze dreszcze już mi przeszły. Oddałam Adamowi płaszcz, zachowując tylko swój. Tad miał na sobie jedynie sweter, ale nie wyglądał na zmarzniętego.

Pracowaliśmy z Tadem razem przez kilka lat. Nie czułam się zobowiązana do podtrzymywania konwersacji, kiedy szłam w stronę stolików ogrodowych. Postawiłam na jednym talerz i zamiast usiąść na ławce, wdrapałam się na blat, gdzie usadowiłam się po turecku z twarzą zwróconą w stronę domu. Tad zajął grzędę naprzeciwko mnie, z widokiem na wrota Podgórze i na mój dom, do którego miał się lada dzień wprowadzić.

Nim zabrałam się do jedzenia, wyjęłam jeszcze telefon i wstukałam w wyszukiwarkę „śnieg w Afryce”. Okazało się, że w górach Atlasu w Maroko regularnie pada śnieg. Włączyłam apkę pogodową. Nie miałam w niej Aspen Creek, a przynajmniej nie było go ostatnim razem, kiedy sprawdzałam, ale Troy w Montanie znajdowało się wystarczająco blisko. Wyświetliło mi się ostrzeżenie o burzy śnieżnej, która miała trwać do południa w sobotę. Spodziewano się w tym rejonie wichrów i obfitych opadów śniegu, czterdziestu pięciu centymetrów śniegu do metra w samych górach w ciągu doby.

- Wszystko gra? – zagał Tad.
- Nie. Martwię się o przyjaciela.
- Mogę jakoś pomóc?
- Niestety. Podobnie jak ja.
- Kiszka.
- No.

Papryczka na pizzy okazała się nie być słodką poblano, tylko czymś znacznie ostrzejszym, choć połączenie tej pikantności ze

słodko-kwaskowatym smakiem ananasa tworzyło zaskakująco ciekawą kompozycję.

Spojrzałam w górę na srebrzysty sierp księżyca i uśmiechnęłam się. Dawno temu siedziałam na innym stole piknikowym, słuchając wykładu Samuela na temat faz księżyca. Powiedziałam mu, że ubywający księżyc można poznać po tym, że wygląda, jakby wgryzł się w niego ciasteczkowy potwór, zostawiając tylko resztkę. Zaśpiewałam też piosenkę z „Ulicy Sezamkowej”, „C jak ciasteczko”. Wtedy pierwszy raz mnie pocałował.

Działo się to wieki temu i pewnie na dobre nam wyszło, że Bran zakończył nasz romans, choć wtedy tak nie uważałam. Kiedy ma się szesnaście lat, czasem warto mieć jakiegoś dorosłego, który wejdzie w najmniej odpowiedniej chwili do pokoju.

– Układa wam się z Izzy? – zapytałam. Tad nie miał co prawda szesnastu lat, lecz nadal był całkiem młody.

– Nie możesz pomóc tamtemu przyjacielowi, więc zamierzasz pomagać mnie? – Tad ujął to bardzo delikatnie.

– Mam się nie wtrącać, tak?

– Na razie – westchnął. – Mówiłem jej o tacie. I o sobie. Ale chyba jednak nie słyszała.

Odgryzłam kolejny kawałek pizzy i natrafiłam na ukrytą pod serem część papryczki znacznie ostrzejszej niż poprzednia. Rozejrzałam się i zorientowałam, że nie wzięłam sobie nic do picia.

– Przyniosę ci wody – zaoferował się Tad, zeskakując ze stołu i uciekając od pogawędki o swoim związku.

Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły, znów zadarłam głowę na księżyc. A potem całkiem, bardzo całkiem przypadkowo powędrowałam wzrokiem w bok, na dom. Coś było nie tak z konturem dachu.

Zupełnie jakby nierówność czekała, aż ją zauważę, oderwała się od ciemnej połaci i podniosła, stając na tle nieba. Potem postać przeszła parę kroków i zatrzymała się w miejscu, gdzie oświetliła ją słaba poświata księżyca. Teraz widziałam ją wyraźnie.

Postać miała na sobie postrzępione ubranie, kojarzące się z kapotą stracha na wróble... i filmowego Żniwiarza. Podobieństwo z pewnością było celowe. Jakiś fragment mózgu wypomnił mi, że jednak może powinniśmy obejrzeć z Adamem ten cholerny film. Reszta mnie siedziała bez ruchu z uniesionym do ust kawałkiem pizzy.

Mimo że intruz stał na tle księżyca, miałam na tyle dobre nocne widzenie, że powinnam widzieć jego twarz. Jednak tak jak na plakacie w tym miejscu ziała czarna plama. Ale to nie miało znaczenia. I tak wiedziałam, kto to jest.

– O nie, nie – wyjąkałam suchymi wargami.

W rękę trzymał Zbieracza Dusz. Wyobrażałam sobie lśniące zakrzywione ostrze, coś godnego potęgi, jaką w sobie miał. Ale rzeczywistość okazała się inna. Sierp miał ospowate, wyszczerbione ostrze, a rękojeść owiniętą jakby rzemieniem, choć równie dobrze mogła to być taśma izolacyjna... W każdym razie jakimś ciemnym paskiem.

Podniosłam się, jakbym stojąc, mogła dojrzeć więcej szczegółów. Wbiłam wzrok w czerń twarzy intruza, usiłując rozstrzygnąć, czy to maska. W odpowiedzi na mój ruch przekrzywił głowę, jakby w szyderczej reakcji na moje zainteresowanie.

Ruszył w moją stronę, a stromizna dachu nie odbierała jego ruchom gracji.

Tad otworzył drzwi, wychodząc ze szklanką w rękę, ale nagle zamarł z oczyma wbitymi gdzieś poza mną. Nie mógł widzieć Żniwiarza, który zeskoczył, stapiając z ciemnością bryły



budynku. Wpatrywałam się jeszcze przez moment w miejsce, gdzie przed chwilą był, usiłując dojść, jakim cudem tak zniknął.

– Co to? – zapytała Tilly bez tchu. – Och, co to było?!

Zeskoczyłam ze stolika, lądując oko w oko z Podgórzem. Ruda lawina splątanych loków spływała jej prawie do stóp. Brudnych stóp. Zazwyczaj przybierała postać dziecka, ale tym razem postanowiła wyglądać jak nastolatka – okutana w płaszcz podobny do tego, jaki nosił Adam. W identyczny płaszcz.

Uśmiechnęła się do mnie promiennie, a jej twarz zapłonęła pazernością – tę samą minę widziałam dzisiaj u Zee.

– Zazwyczaj są takie rozczarowujące, prawda? Ale ten jest nawet lepszy niż w opowieściach. Taki mroczny i otchłanny. Pusty i pełny jednocześnie, czeluść ciągnąca się poprzez świat. Zdobędziesz go dla mnie, córko Kojota? Jeśli go dla mnie zdobędziesz, mogę... – Tad wszedł pomiędzy nas, więc przerwała, naburmuszona. – Syn pobłogosławionego żelazem – prychnęła jak rozzłoszczona kotka. – Uważaj sobie.

– Sądzę, Mercy, że lepiej będzie dokończyć kolację w środku – powiedział Tad.

– Tak, myślę, że to dobry pomysł – zgodziłam się z nim.

– Zdobądź go dla mnie – syknęła Tilly – a będę chroniła twoich ludzi.

Zastanawiałam się intensywnie, zabierając talerz ze stołu. Musiałam coś odpowiedzieć, coś właściwego, bo nieuprzejmość była w tym wypadku jeszcze groźniejsza niż milczenie.

– Obawiam się, Tilly, że zdobycie takiego przedmiotu pozostaje poza moimi możliwościami – wydukałam w końcu.

Nie spuszczaając z niej zmrużonych oczu, Tad odprowadził mnie do drzwi. Kiedy przed przekroczeniem progu zerknęłam przez ramię, wpatrywała się w dach, a na oświetlonej blaskiem księżycy twarzy malował się zachwyt.

Adam zerwał się z krzesła, kiedy weszłam do domu.

– Marsilia miała rację – powiedziałam. – Musimy namierzyć Wulfe’a. To on ma Zbieracza Dusz.



## Rozdział 11

Śniłam.

– Czemu nie zapytasz naszej pani, Stefanie, jak go znaleźć – mamrotałem pod nosem, naśladowując nieco nadęty ton Andre. – Przecież wie, gdzie jest.

Nie spodziewałem się, że będę włóczył się po wsi, gdy porządni ludzie śpią w swoich łóżkach, ale moja pani wykazywała się czasem szczególnym poczuciem humoru. Była noc, jednak okrągła tarcza księżyca i mrowie gwiazd zapewniały dobrą widoczność, nawet jeśli dróżka była niewiele więcej niż ścieżką wydeptaną przez zwierzęta na skraju pola. Powietrze pachniało wspomnieniem słońca i cienie wydawały się wręcz przyjazne.

Gdy już myślałem, że zmyliłem drogę, zobaczyłem je. Wielkie stare drzewo, jakby wyjęte z bająn babek, wystawało ponad morzem koron, królując nad lasem.

Pień na wysokości wzroku rozdzielał się na dwa grube konary, a w utworzonym przez nie siedzisku póleżał młodzieniec, z fidelem w jednej i smyczkiem w drugiej ręce, rozluźniony jakby przysnął w trakcie gry.

Ubrany był cały na biało. Luźna, przepasana tunika sięgała do łydek oplecionych wiązaniem nogawic. Prosty strój chłopski, tyle że żaden chłop nie byłby w stanie utrzymać tak nieskalanej bieli tkanin, a szarfa, opasująca dwukrotnie wąską talię, okazała się bogato haftowanym pasem jedwabiu.

Jedną nogą młodzieniec wspierał się o pień, druga zwisała luźno, a stopy, choć nieobute, były tak czyste, jakby błoto z pól nie śmiało przywrzeć do jego skóry.

Na ramiona spływała mu fala złotych, olśnionych poświata księżycy włosów, splecionych w dziesiątki połączonych ze sobą cienkich warkoczyków. Skóra, jaśniejsza o ton od włosów, była nieskazitelna, jakby nigdy nie tknęło jej słońce i jakby nie zmieniała się od wczesnego dzieciństwa.

Zanim się odezwałem, chłopiec, nie otwierając oczu, przyłożył do ramienia fidel i przeciągnął smyczkiem po strunach, które wydały głośny dwudźwięk. Ostre nuty wdarły się w cichość nocy, ale z czasem melodia złagodniała.

Zamknąłem usta, nie chcąc mu przeszkadzać.

Jego twarz pozostawała nieruchoma, ale ciało kołysało się lekko w rytm pociągnięć smyczka. Palce lewej dłoni tańczyły po gryfie pudełkowatego, zdobionego instrumentu, wydobywając z niego muzykę, jakiej nigdy nie słyszałem, nawet na dworze księżniczki.

Przyszedłem w to miejsce, aby podziękować uzdrowicielowi, który ocalił mnie od śmierci po tym, jak przyjąłem na siebie cios nożem przeznaczony dla mej pani. Nie pamiętam tego, ale mój przyjaciel Andre opisywał moje jątrzące się rany bardziej szczegółowo, niżbym chciał. Wszyscy myśleli, że umrę.

Wtedy moja pani sprowadziła uzdrowiciela, który dwa dni i dwie noce spędził ze mną sam w moim pokoju, a gdy odszedł, zastano mnie śpiącego, a moje rany czyste i wolne od zakażenia.

Pani śmiała się, kiedy powiedziałem, że chcę podziękować memu dobroczyńcy, wskazała jednak, gdzie go znaleźć. Dziwne miejsce, gdzie przebywa dziwny człowiek, tak rzekła. Prawie nie mówiła o nim po imieniu, nazywając „uczonym wędrowcem” albo „poetyckim przyjacielem”. Tajemniczy młodzieniec przynosił jej księgi, opowiadał historie, nauczał matematyki, geografii i obcych języków – i pokazywał się tylko jej. Nie wiedziałem, że jest również uzdrawiaczem.

Kiedy ją odwiedzałem, moi przyjaciele widywali jedynie okrytą płaszczem postać. Ale z mojego doświadczenia uczeni mężowie byli sędziwi, pomarszczeni, mieli brody i strzelało im w kościach. Żaden nie był młodzieńcem, grającym gwiazdom z zamkniętymi oczami i takim wyrazem twarzy, jakby pod powiekami widział oblicze Boga.

– Jesteś aniołem – zaszepotałem.

Diabelski, zmysłowy uśmiech odmienił jego oblicze. Uzdrawiciel otworzył oczy, niebieskie i ciemne jak głębiny oceanu. Ujrzał mnie, a jego muzyka nie umilkła nawet, kiedy usiadł prosto. Wtedy dopiero rozpoznałem szarfę – ulubiony pas mej pani, prezent od jednego z bogatych kochanków, ozdobił teraz talię młodzieńca.

– Nic podobnego, kochany Stefanie – odrzekł nauczyciel mej pani z lekkim akcentem, lecz zrozumiałym italskim. – Jakże miło ze strony Marsilii, że przysłała mi prezent.



Obudziłam się znów jako ja, Mercedes Thompson. Zapachy domu przywróciły mnie do rzeczywistości, podobnie jak ciężar nogi Adama zaplątanej w moje. Pomyślałam, że w tych okolicznościach mogłam się spodziewać snu o Wulfie.

Tyle że widziałam go oczyma Stefana, co zdecydowanie odróżniało ten od moich normalnych snów. Nie miał też

zwyczajnej dla wizji wyrazistości i poczucia, że jestem w niej obecna. I choć moja wieczorna przygoda wydawała się nierzeczywista, te obrazy sprawiały wrażenie prawdziwych.

Adam przekręcił się na bok.

Miał czujny sen.

– Wszystko w porządku? – wymamrotał tak, że gdybym spała, zignorowałabym to pytanie.

– Śnił mi się Wulfe – powiedziałam, nadal czując się nieswojo.

– Hm? – Niski warkot aż zawibrował mi w kościach. – Chyba muszę coś na to zaradzić.

Przez jakiś czas nie miałam okazji ponownie zasnąć, a kiedy zapadłam w sen, rozluźniona, ociążała od rozkoszy, śniłam o...

Wulfie.



– Stefanie! Stefanie!

Zamki w drzwiach grzechotały pod naporem jej gwałtowności.

– Marsilia? – Bałem się, że nie żyje, miałem nadzieję, że uciekła. Wstałem gotów jej służyć tym, czego mogła potrzebować.

Kiedy w końcu otworzyła, ujrzałem, że przyszła ze strażnikami. Chwiałem się lekko, jakbym osłabł po długotrwałym zamknięciu – to ostatnie było prawdą. Widziałem, jak tracą czujność, uznając, że nie stanowią zagrożenia, co prawdą nie było. Byłem niebezpieczny, zawsze, nawet jako człowiek. Przez wszystkie te wieki, gdy pilnowałem mej pani za dnia, uwięziony w półmrocznym świecie adeptów tak długo, jak długo stanowiłem dla niej użytek w tej postaci. Trzeba było czegoś więcej niż przegłodzenia, żebym stał się mniej niebezpieczny.

– Idź do swych pokoi – rzuciła nagłoco. – Zbierz rzeczy, spakuj się. Nie zwlekaj. Powiedział, że mogę odejść i zabrać ze sobą ciebie i Andre. Czeka nas wygnanie.

W tej chwili nieomal podziękowałem Bogu, którego już dawno porzuciłem. A potem blask pochodni oświetlił postać Marsilii i zrozumiałem, jaką cenę kazał jej zapłacić nasz pan i władca, i cofnąłem podziękowania. Poprzysiągłem sobie, że jeśli uda się nam uciec, będę wdzięczny jej, mojej pani, gdyż ona to umożliwiła, a jeśli nam się nie uda, resztę życia – zapewne krótkiego – poświęcę na zemstę.

W ciągu tych kilku tygodni, kiedy widziałem ją po raz ostatni, moja pani przeszła przemianę od krągłej, tryskającej zdrowiem, do wychudłego trupa. Cienkie, brudne włosy zwisały w strąkach, a na linii czoła czerwieniła się linia, jakby groził, że ją oskalpuje. Jej twarz – nie wzdrygnąłem się. Nigdy bym tego nie uczynił.

Lubił niszczyć swoje zabawki, nasz pan i władca. Złamany nos... W nikłym świetle przez warstwę zaschniętej krwi nie dało się nawet stwierdzić, czy została pobita, czy pokaleczona ostrzem. A wychwalał piękno swej ukochanej w sonetach... Nos został uszkodzony niedawno, może nawet parę godzin wcześniej. Ale oko... To musiało stać się dawniej.

– To nieważne – syknęła zniecierpliwiona, łypiąc na mnie zdrowym okiem. – Idź, Stefanie. Spotkamy się... – Urwała, zerkając na eskortę. – Wiesz, gdzie trzyma moje skarby. Spotkajmy się tam tak szybko, jak dasz radę. Mogę chyba zabrać skarb z nami.

Nie dodała przy świadkach „o ile uda nam się odejść, zanim zmieni zdanie”, lecz nie musiała. Znałem naszego pana i władcę tak samo dobrze jak ona.

Rozsądek podpowiadał, że powinienem zostawić wszystko, żeby już nie opuszczać jej boku. Tam gdzie się wybierała, tam gdzie znajdował się skarb, nie było bezpiecznie. Jednak nawet

ranna nie ustępowała mi w niczym, była wręcz bardziej niebezpieczna ode mnie – czego pilnujący jej strażnicy nawet się nie domyślali. A pieniądze i klejnoty, które miałem w komnatach, przydadzą się na wygnaniu.



Krzyki usłyszałem, jeszcze zanim zszedłem na poziom, gdzie znajdowały się tajne lochy. W czeluściach pod pałacem przetrzymywano tylko jednego więźnia, a on już nie krzyczał. Działo się coś niepokojącego.

Upuściłem torby i obnażyłem ostrze. Było tam, gdzie wcześniej, w moich pokojach. Reszta mego dobytku również spoczywała tam nienaruszona. Nie wiedziałem, czy Władca Nocy uznał, że po pewnym czasie wrócę na miejsce, które zajmowałem dotychczas u jego boku, czy może byłem zbyt nieistotny, żeby w ogóle zwracał na mnie uwagę. Znając go, mogło to być i to, i to.

Byłem osłabiony, ale nie tak jak śmiertelnik, a umiejętnościami przewyższałem każdego wampira, który mógł pełnić obowiązki tutaj, na dole. W przypadku krótkiej potyczki nie wątpiłem w swoje zwycięstwo.

Drzwi na szczycie schodów zostały wyrwane z zawiasów, ale na dole korytarz zakręcał, nie widziałem więc, co się tam dzieje. Nagle zapadła głucha cisza.

– Stefanie – rozległ się spokojny głos mej pani.

– Tak?

– Poruszaj się niezwykle ostrożnie.

Przeskakiwałem po dwa stopnie, lecz zgodnie z jej życzeniem na dole zwolniłem, skręcając za róg.

W pomieszczeniu panował półmrok, rozświetlany jedną migotliwą pochodnią. Nawet z moją zdolnością do widzenia w ciemnościach trudno przyszło mi pojąć, co się tu rozegrało.



Wszystko wokół pokrywała krew, świeża i zakrzepła – czego można się spodziewać w sali tortur.

Mniej spodziewany widok stanowiły ciała – mój pan wolał utrzymać swoją przestrzeń pracy w porządku. Marsilia zastygła w bezruchu obok jednej z klatek, której prymitywnie sklecone drewniane drzwiczki stały otworem.

Klatka, jak całe to pomieszczenie, była też zalana krwią.

– Otworzyłam – odezwała się. – A on zabił wszystkich poza mną.

Nie rozumiałem, o czym mówi, dopóki nie dostrzegłem postaci skulonej u stóp Marsilii, obejmującej dół sukni brudnymi rękami. Stwór przypominał ożywiony szkielet.

Na mój widok drgnął czujnie i zasyczał, błyskając niebieskimi oczyma – tylko po nich zdołałem rozpoznać w tej istocie Wulfe’a. Przystanąłem i czekałem, aż postanowi, co ze mną zrobić.

Krwawe strzępy były niegdyś strażnikami eskortującymi Marsilię. Udało mi się rozróżnić jeden mniej więcej cały but. Byli wampirami, czujnymi, silnymi – jednak na nic im się to nie zdało.

– Jesteś pewna, że to... – Urwałem nie dlatego, że wątpiłem, lecz dlatego, że nie chciałem w to uwierzyć.

– Tak – odparła moja pani.

Wulfe, nasz bystry, płochy przyjaciel, przebywał w czułej pieczy Bonaraty od wielu stuleci, a my nie mieliśmy o tym pojęcia. Dopiero przypadkowa uwaga rzucona podczas walki Marsilii z wściekłą wilkołaczą, którą wziął do łóżnicy Bonarata, skłoniła mnie do poszukiwań. Po wielu fiaskach przyszedłem do tego tajemnego miejsca za jednym ze sług, śledząc go od kuchni.

Gdy pałac należał do Wulfe’a, w lochach przechowywał swe skarby – instrumenty, gobeliny, kiepsko upleciony kosz, który otrzymał od jakiejś dziewczynki w zamian za uleczenie jej

matki. Wulfe hołubił zasuszone kwiaty na równi z pięknymi klejnotami.

Dotarłem na tyle głęboko w tym labiryncie, że zdołałem wyczuć Wulfe'a. To Marsilia sprowadziła mnie do pałacu po zniknięciu Wulfe'a, lecz moja więź z nim była jeszcze dość silna, żeby zadziałać, kiedy znalazłem się wystarczająco blisko.

Nie byłem na tyle głupi, aby sądzić, że uda mi się uwolnić Wulfe'a i uciec z nim samodzielnie, dlatego poszedłem do mej pani.

To dla niego skonfrontowała się z niebezpiecznym władcą, ponieważ oboje wiedzieliśmy, że to on musi nas wygnać. Gdybyśmy odeszli sami, ścigałby nas na krańce świata.

Na dźwięk mojego głosu stwór, który niegdyś był Wulfe'em, podbiegł do mnie na czworaka, choć pozycja ta nie odebrała mu zwinności. Z bliska jego zapach był nie do opisania odrażający. Starłem się nie patrzeć na najmocniej okaleczone części jego ciała. Jednak przy regularnych posiłkach ciało regenerowało się z czasem, natomiast umysł, bystry, nieschematyczny umysł był znacznie trudniejszy do uleczenia.

Zatopił kły w mojej łydce, ale tylko, żeby posmakować mojej krwi. Na moment przycupnął u moich stóp w zadumie, a potem śmignął z powrotem do Marsilii.

– Spodziewałem się, że was tu zastanę – rozległ się za moimi plecami znajomy głos.

Wulfe z piskiem strachu ukrył się za spódnicami Marsilii.

Przeklinając się w duchu za nieuważność, odwróciłem się z uniesionym ostrzem.

Iacopo Bonarata spojrział na nie z rozbawieniem.

– To ci się przyda. – Z uroczym uśmiechem niesięgającym dzikich oczu rzucił mi pod nogi upuszczone torby.

Kiedy przeniósł spojrzenie na Marsilię, urocza maska opadła na moment, ujawniając prawdziwe oblicze.

– A więc nie chodziło o wilka. Albo raczej nie o tego wilka – powiedział, odnosząc się do znaczenia imienia Wulfe. – Mój piękny, zabójczy kwiatuszku. – Na powrót przybrał swą czarującą fasadę. – Mój Lśniący Sztylcie, ośmielasz się na więcej, niż mogę pozwolić. Bez ciebie umrę z pewnością ze smutku i nudów, jednak muszę to uczynić. Na górze czekają słudzy z karocą, która zawiezie cię do posiadłości we Francji, gdzie pozostaniesz. – Przelotnie popatrzył na mnie i Wulfe’a, zanim znów zwrócił się do Marsilii. – Nie czyn z siebie zagrożenia dla mnie.

– Chodziło o wilka – rzekła i w przeciwieństwie do Bonaraty, jej smutek był szczery. – O oba. I o to dogadzanie sobie, i o te małostkowe okrucieństwa. Ale dopiero gdy dowiedziałam się o nim, o tym, co mu uczyniłeś, zrozumiałam, że w tym ciele nie ma już tego, kogo kochałam. Iacopo Bonarata, księżę mego serca, nie byłby do tego zdolny.

Pomyślałem, że się myli. Bonarata od zawsze był czarującym, bezdusznym, narcystycznym draniem, odkąd go poznałem, a to, że stał się wampirem, wcale nie poprawiło sytuacji.

Żaden mięsień nie drgnął na twarzy Bonaraty.

– Możesz to sobie zabrać – rzucił, wskazując Wulfe’a podbródkiem. – A także – wyjął skądś zwinięty pas bogato haftowanego jedwabiu – to. – Popatrzył na to, co zostało z anielskiego, utalentowanego uczonego, którym niegdyś był Wulfe. – To zdaje się szczególnie przywiązane do tego łąszka. Zostawiłem to z nim w tej komnacie na rok czy dwa. – Uśmiechnął się – W ramach uprzejmości.

Widzisz, Marsilio, pomyślałem. To prawdziwy Bonarata.

Rzucił swój materii na moje torby, a ja rozpoznałem w niej pas, który podarował Marsilii, swej kochance, kiedy jeszcze był człowiekiem. Według mnie już wtedy był potworem.

– Chcesz mi wmówić, że to była zemsta? – zapytała Marsilia. – Za coś, czego nigdy nie uczynił te wieki temu? To ja dałam mu

ten pas.

– Zrobiłem to dla ciebie, mój Lśniący Sztylcie – odparł Bonarata. – Na pamiątkę. Żebyś pamiętała, że jeśli mnie zdradzisz, nie ty przez to ucierpisz. – Odwrócił się, żeby odejść.

– Nie zrobiłeś tego z zemsty – powiedziałem. – W każdym razie nie tylko.

Zamarł, a potem spojrział na mnie z takim niedowierzaniem, jakby nagle koń przemówił ludzkim głosem. Miałem w zwyczaju pozwalać mu się lekceważyć, traktować się jak sługę, którym byłem. A skoro zapomniał, jaki jestem niebezpieczny, to dobrze. Jednak nie chciałem pozwolić, by wierzyła, że to, co uczynił Wulfe’owi, to jej wina.

– Bałeś się go – dokończyłem, patrząc mu prosto w oczy.

Wpatrywaliśmy się w siebie, stojąc pośrodku ohydneho lochu. I to Bonarata odwrócił się w końcu, i wyszedł.



Kiedy przecknęłam się tym razem, niebo zaczynał przecierać świt, a Adam brał już prysznic. Wyszłam z łóżka i otworzyłam sejf w garderobie, gdzie schowałam szarfę – pas, który Wulfe zostawił nam na łóżku.

Nawet nie musiałam sprawdzać. Doskonale wiedziałam, nawet we śnie, że pas ze wspomnień Stefana z pierwszego spotkania z Wulfe’em, pas, który Bonarata rzucił na jego torby, i ten w moim sejfie to ten sam.

– Dzień dobry! – zawołał Adam, wychodząc z łazienki. – Idę zrobić śniadanie.

– Dzięki. Zaraz zejde.

Pod prysznicem myślałam o Wulfie, o darach, które nie były darami. O zemstach i ofiarach.

Ubrałam się w zestaw roboczy – dzinsy i T-shirt. Zaplotłam włosy i przyjrzałam się w lustrze bladej kresce na policzku,

bliźnie, pamiętce po ostatniej walce z bogiem. Zeszłam i natknęłam się na wychodzących Jesse i Tada.

– Wcześniej jak na was – zauważyłam. W czwartki zazwyczaj chodzili na jedenastą.

– Nasza grupa projektowa ma spotkanie o wpół do ósmej. – Jesse wywróciła oczami.

Trudno powiedzieć, czy chodziło jej o grupę, czy o porę spotkania, czy może o to, że Tad, otworzywszy drzwi, przepuścił ją przodem.

– Powodzenia – życzyłam im.

Jesse zatrzymała się i popatrzyła na mnie poważnie.

– Nie daj się zabić – powiedziała. – I nie daj zabić jego. – Wskazała palcem w stronę kuchni.

– Ty też nie daj się zabić – zrewanżowałam się. – I nie daj zabić jego. – Pokazałam palcem na Tada, który parsknął śmiechem.

Jesse spojrzała na niego w zadumie.

– Czasami trzeba się poświęcić – westchnęła i wymaszerowała na zewnątrz.

– Chodzi ci o twoje poświęcenie, żebym nie został zabity? – usłyszałam wesoły głos Tada. – Czy może o moje w czyjejś obronie?

– Wsiadaj, Tad – odparła Jesse. – Obyście się szybko zeszli z tą Izzy, bo nie wiem, ile wytrzymam.

Czasami trzeba się poświęcić.



– Wiesz co, Adam? – Weszłam do kuchni.

– Dzień dobry, kochanie – odpowiedział Adam, wręczając mi kubek kakao. – Gotowa na wtargnięcie do siedziby chmary?

Podmuchałam na parujący napój.

– No tak, jeśli o to chodzi... – zawahałam się i zamilkłam.

Adam czekał, aż dokończę. Z pewnością mnie posłucha, zapewniałam się w duchu. Nie wyśmieje mojego dowodu, nawet jeśli był absurdalny. Zastanawiałam się, jak go wyłuszczyć, nie zaczynając od: „Śniło mi się...”.

Adam nie naciskał. Ale i tak wiedziałam, że to nie potrwa długo, i jeśli do tego nie wrócę, zacznie wypytywać, o co mi chodziło.

– Wczoraj wieczorem Sherwood przejechał się pod domem Wulfe’a – rzekł Adam, pochylając się nad wielkim omletem, który smażył. – Zauważył znak agencji nieruchomości i zadzwonił. Agent mu powiedział, że odświeża wnętrze i będzie wystawiał ogłoszenie we wtorek. Sherwood ma się tam spotkać z agentem o dziewiątej. Sherwood ma dobry węch, będzie w stanie określić, czy Wulfe był w domu od soboty.

– Zdążył już dzisiaj zadzwonić do agenta? – Spojrzałam na zegar, dochodziła dopiero siódma.

Adam zauważył moje zaskoczenie.

– Mnie wyjaśnił, że „kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”.

– To prawda, co nie zmienia faktu, że to nieładnie. Na miejscu agenta wyznaczyłabym mu spotkanie o drugiej w nocy.

Adam uśmiechnął się, ale wrócił do poprzedniego wątku.

– Co chciałaś powiedzieć o chmarze?

Wiedziałam, że nie odpuści.

Zanim jednak zdążyłam odpowiedzieć, rozległ się dzwonek do drzwi.

Adam zdjął patelnię z palnika, sprawdził ukrytą broń i gestem nakazał mi zostać w kuchni, a sam ruszył do przedpokoju. Nie miałam przy sobie broni, i gdy tylko o tym pomyślałam, zauważyłam leżący na stole kuchennym kostur.

Zanim Adam dotarł do drzwi, dzwonienie zamieniło się w natarczywe pukanie. Na dźwięk głosu Larry’ego wzięłam ze stołu laskę i położyłam ją na blacie kuchennym, gdzie mniej rzucała się w oczy.

– Adam – zaczął król goblinów nagłym tonem – musimy porozmawiać.

Nie wiedziałam, czy Adam zaprosił Larry'ego do środka gestem, ale z pewnością nic nie powiedział, zanim szybkie kroki kogoś w butach o twardej podeszwie oznajmiły mi zbliżanie się gościa. Aż zamrużałam, kiedy stanął w progu.

Prawie goły goblin barbarzyńca zniknął bezpowrotnie, razem z ziomkiem goblinem. Zastąpił ich goblin w typie bogatego teksańskiego biznesmena, który marzy o tym, żeby być kowbojem, więc nosi szare kowbojki ze skóry egzotycznego zwierzęcia. Koszula w stylu western oraz dżinsy leżały tak doskonale, że musiały być szyte na miarę. Brakowało mu tylko kapelusza.

Kiedy mieszkałam w Montanie, wyśmiewaliśmy się z ludzi, którzy się tak ubierali. Prawie zawsze. Ale czasami po takim wymuskanym kowboju za milion dolarów widać było, że wiele godzin spędził w siodle. Larry nosił swój strój z taką naturalnością, że jeśli miałby kapelusz, to w przeciwieństwie do pewnego polityka z Montany wiedziałby, jak go prawidłowo założyć.

Niezdetonowany moim zaskoczeniem, bez słowa powitania, Larry łupnął o blat stołu kuchennego lokalnym dziennikiem.

– Widzieliście to?

– Jeszcze nie. – Adam wziął ze stołu gazetę.

Kilka miesięcy wcześniej nasz ostatni gazeciarsz natknął się na Joela w formie tibicena i stanowczo odmówił dostarczania nam prasy, czemu w sumie trudno było się dziwić. Nie wiem, ile zarabiają dostarczyciele gazet, ale widać zbyt mało, by narażać się na spotkania z demonicznymi psami boga wulkanu.

Podeszłam do Adama, żeby też móc przeczytać gazetę. Nagłówek brzmiał: „Już piętnaście zaginionych osób! Wataha bezradna!”. Wkleili zdjęcie Adama w ciemnym garniturze ze stojącym obok Warrenem w wilczej formie. Fotografia została

zrobiona podczas niedawnych ćwiczeń z ratownikami, które Adam zorganizował w nadziei, że ludzie narażeni na częsty kontakt z wilkołakami przekonają się, żeby nie strzelać na ich widok, kiedy te chcą pomóc. Tyle że stojąc na tle krajobrazu rzeki, Adam wyglądał jak playboy. Albo bogaty, niebezpieczny mafioso. Niestety, jego aparycja nasuwała podobne skojarzenia.

Chcąc przyspieszyć sprawy, przeczytałam tylko pierwszą i ostatnią linię artykułu, tak jak mnie nauczył jeden z profesorów. Nasz reporter wydawał się wstrząśnięty i szczerze zatroskany, że może mamy zbyt dużo głowy, żeby poradzić sobie ze wszystkim, i że nie jesteśmy w stanie właściwie chronić miasta.

Sprawdziłam podpis, choć i tak podejrzewałam, że wiem, kto jest autorką artykułu – poznałam jej styl. Tamara Chin była młoda, ale miała ostre pióro. Była dobrą dziennikarką i kilka razy pisała o nas.

– Bingo – mruknęłam, a Larry i Adam podnieśli na mnie wzrok znad gazety. – Marsilia uprzedzała, że nas to czeka. – Motywacja, motywacja, motywacja, zastanawiałam się gorączkowo. – Społeczna utrata zaufania, żeby podkopać naszą pozycję obrońców.

– To moja wina – przyznał Larry, wskazując na gazetę. – Po waszym telefonie wysłałem ludzi, żeby popytali i poszukali informacji. Jak widzicie, znaleźli więcej zaginionych niż George. Wszyscy oni pasują do waszych kryteriów, są powiązani ze społecznością nadnaturalnych istot, ale sami ani nie władają dużą mocą, ani nie należą do kręgów nią władających. Dla porównania pomiędzy styczniem a lipcem zniknęło troje naszych ludzi. W normie, biorąc pod uwagę ich bezbronność i skłonność do ucieczki.

Nie mówił tylko o goblinach, a o wszystkich istotach zamieszkujących nasze terytorium. I choć z pewnością nie



zrobiliby czegoś takiego jeszcze tydzień temu, teraz z pełną powagą zaproponował nam przyjaźń.

– W sierpniu żadnych zaginięć – ciągnął. – Ale w ciągu dwóch ostatnich tygodni września znów zaczęły się zniknięcia, a w tym miesiącu było ich pięć.

Adam gwizdnął przez zęby.

– Sporo ciał do ukrycia – stwierdził. – Albo sporo ludzi do przetrzymywania.

Larry pokiwał głową.

– Raczej ciała. Nie sądzę, by byli na tyle interesujący, żeby zadawać sobie trud i ich więzić. – Wyjął z kieszeni kartkę i położył ją na stole. Zawierała spis imion, określeń rodzajowych jak „wiedźma” czy „pradawny półkrwi”, dat (prawdopodobnie zniknięcia) oraz adnotację, w jaki sposób osoby te zniknęły. – Ułożone w kolejności chronologicznej – zaznaczył.

– Czemu mówisz, że to przez ciebie gazeta się o tym dowiedziała? – zapytałam, podczas gdy Adam zaczął przeglądać listę.

– Jedna z goblinów, które wysłałem po informacje, jest negatywnie nastawiona do pradawnych. Kiedy dowiedziała się, ile osób zniknęło, uznała, że poświęćcie pomniejszych istot, oddając je wiedźmom, wampirom czy pradawnym w zamian za utrzymanie porządku w Tri-Cities.

– Poświęćmy, hm? – mruknęłam.

– Takiego określenia użyła. – Larry zerknął na mnie. – Spisała imiona i dała je znajomej dziennikarce. – Skrzywił się. – Dobrze, że dziennikarka jest przynajmniej nieco rozsądniejsza. Artykuł nie oskarża was bezpośrednio o związki z zaginięciami, tylko piętnuje niewywiązywanie się z obowiązków, które na siebie przyjęliście.

Pomyślałam, że mamy szczęście, że za temat wzięła się Chin.

– Skoro piętnaście osób zniknęło pod naszymi nosami, a my nawet o tym nie wiedzieliśmy, to nie wywiązujemy się z podjętych obowiązków – przyznał Adam.

– Nie wydajesz się zdenerwowany artykułem – stwierdził Larry z nieprzeniknioną miną. – Raczej zaginionymi?

– Piar nie jest dla nas najważniejszy – wyjaśniłam.

– Piar może poruszyć tłumy – odpalił Larry.

– Najważniejsze to znaleźć tego, kto zagraża naszym ludziom – rzekł Adam. – O wizerunek będę martwił się później.

– W porządku. W porządku. Zgadzam się – wycofał się Larry, a potem zwrócił do mnie. – Mówiłaś, że Marsilia was ostrzegła. A mnie się wydawało, że radziła wam znaleźć Wulfe’a, zanim ludzie przestaną wam ufać, a nie, że musicie znaleźć tego, kto stoi za zniknięciami słabszych członków naszej społeczności?

– Mówiłem ci o wiedźmie zabitej w poniedziałek – uprzedził mnie Adam. – Okazało się, że wtorkowa ofiara ze sklepu, ten chłopak, był półkrwi pradawnym.

Informacje o Aubreyu nie przedostały się jeszcze do prasy, ale Larry z pewnością wiedział o morderstwie w sklepie. W końcu gobliny handlowały informacjami. Adam chyba chciał powiedzieć Larry’emu, że sprawcą jest Wulfe, i dlatego Marsilia kazała nam go szukać, ale żywa reakcja króla goblinów wybiła go z rytmu.

Larry przysunął sobie krzesło i klapnął na nie, jako że wyraźnie potrzebował chwili na przetworzenie informacji.

– To Bonarata – oznajmił. – Moi ludzie twierdzą, że nadal znajduje się we Włoszech, ale to on.

– To samo miałam ci powiedzieć, Adam. Wtedy gdy mówiłeś o wyprawie do siedziby chmary.

– Moi ludzie też zapewniają, że jest w Europie. – Adam pokiwał głową. – Tyle że Bonarata to wampir, więc jest w stanie wmówić ludziom wszystko. Kiedy okazało się, że sprawcą jest Wulfe, również od razu pomyślałem o Bonaracie. – Obserwował

bacznie Larry'ego. – Ale ty nie wiedziałeś o Wulfie, więc jaki związek pomiędzy tymi dwiema ostatnimi zbrodniami naprowadził cię na Władcę Ciemności?

– Zakładałem, że czarownicę, tę wróżbitkę, zabiła szara wiedźma. Miałem zdjęcia. Widziałem też zdjęcia z miejsca zabójstwa chłopca. Nie łączyłem tego, bo myślałem, że chłopak był śmiertelnikiem. – Larry zamilkł na moment. – Do tego ten głupi film, ten „Żniwiarz”.

– A więc wiesz o Zbieraczu Dusz – stwierdziłam.

– Ale co ma z tym wspólnego Bonarata? – zapytał Adam.

– No przecież posiadał go od dawien dawna – rzekł Larry. – Od wieków. Bonarata przecież lubi gromadzić różne rzeczy. – Odchylił się na krzesło, wyciągając przed siebie i krzyżując nogi w kostkach. Buty również musiały być wykonane na zamówienie. Stopy Larry'ego za bardzo różniły się od ludzkich, by mógł założyć model produkowany masowo. – Wczoraj dzwonił do mnie Wujek Mike. Pytał, czy wiem, jakim sposobem czterdzieści lat temu na jego progu znalazły się zwłoki chłopca wraz z przedmiotem przypominającym, lecz niebędącym Zbieraczem Dusz. Ponoć Zee go o to pytał. – Goblin wyglądał na urażonego. – Czterdzieści lat temu byłem w Islandii, a do Stanów przybyłem dopiero w dwutysięcznym.

– Więc nie wiesz? – zapytałam.

– Oczywiście, że wiem – odparł jeszcze bardziej urażony. – Nie połączyłem pytania Wujka Mike'a z naszym problemem. W końcu Zee poluje na ten przeklęty artefakt od tysiąca lat z górką. Albo nawet dwóch. Właśnie to był jeden z powodów, dla których gobliny robiły wszystko, by nie wpadł w jego ręce.

Już otwierałam usta, żeby zapytać dlaczego, ale Adam mnie ubiegł.

– A jak te czterdzieści lat temu martwy chłopiec i podróbka Zbieracza Dusz trafiły na próg Wujka Mike'a?

– No moje gobliny je tam podrzuciły – oświadczył Larry i popatrzył znacząco na Adama. – Teraz byśmy tego nie zrobili, ale wtedy byliśmy zdani na siebie. Z konieczności pracowały dla chmary, ukrywając się przed pradawnymi. Ale wszystko widziały. I wiele wiedziały. – Błysnął ostrymi zębami. – Tak samo, jak obserwujemy i wiemy teraz.

– A co wiedziały? – drążył Adam.

– Bonarata zesłał Marsilię do Nowego Świata natychmiast, kiedy takie podróże stały się możliwe. A gdy tylko przekonał się, że Ameryka to pustynia zamieszkała przez nielicznych ludzi, wysłał tu też jej wampiry. Tyle sami wiecie, prawda?

Przytaknęliśmy, bo najwyraźniej tego oczekiwał.

– A gdy podróże międzykontynentalne stały się łatwiejsze i szybsze, Bonarata zaczął odwiedzać Stany raz na parę dekad. Przestał jakieś... – Larry rozciągnął wargi w przelotnym uśmiechu – czterdzieści lat temu. – Na chwilę porzucił ton lektora filmu dokumentalnego i dodał: – Poszperałem trochę na temat Bonaraty po naszym wypadzie do Pragi. Podzwoniłem do znajomych we Włoszech. Mam na niego grubą teczkę. Psychiatra płakałby nad nią ze szczęścia. – Odchrząknął i podjął swoją opowieść. – Zazwyczaj uprzedzał o takich wizytach i domagał się odpowiednich celebracji podczas zabijania wampirów, które uznał za zbyt potężne. Kilka z nich zatrzymał na własny użytek, ale większość wystawiał po prostu na słońce. Zabił też paru obiecujących adeptów. I za każdym razem upewniał się, żeby żaden z ludzi Marsilii nie był wobec niej nazbyt lojalny. – Goblin wydał usta. – Marsilia wprowadziła się w stan hibernacji, stare wampiry to potrafią. Mamy oko na jednego czy dwóch, którzy śpią od wieków.

– Podobnie jak Bran – wtrącił Adam.

– Hm, może powinienem porównać z nim notatki? – skwitował Larry z posepnym uśmiechem i wrócił do swojego opowiadania. – Ludzie Marsilii budzili ją na wizyty Bonaraty,

ale takie przebudzenia są tylko częściowo skuteczne. Prawdziwe przebudzenie może zająć wampirowi całe dekady. Nie udało mi się ustalić, czy zahibernowała się, bo myślała, że dzięki temu uda się jej ochronić swoich ludzi, czy może była to swego rodzaju ucieczka od żalosnej sytuacji.

– Ciekawe, że zdecydowała się przebudzić ostatecznie dopiero teraz – dumął na głos Adam.

– Nieprawdaż? – uśmiechnął się do niego Larry. – Zaczęła proces dziesięć lat temu, kiedy sprowadziłeś się do Tri-Cities ze swoją watahą, sprawiając, że tutejsza społeczność nadprzyrodzonych stała się silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. I ty. – Popatrzył na mnie uważnie. – Również osiedliłeś się tutaj jakoś dziesięć lat temu, prawda?

– A ty? Kiedy ty przybyłeś do Tri-Cities? – zapytałam, żeby nie miał wiele czasu, aby dodać dwa do dwóch.

Larry rzucił mi rozbawione spojrzenie i wrócił do tematu.

– A często Bonarata ukrywał swój przyjazd. Ale gobliny zawsze wiedziały o jego odwiedzinach. Kiedy się nie pokazywał, obserwował ludzi Marsilii z ukrycia. Początkowo w zastępstwie Marsilii na ich czele stali Stefan i Andre. – Postukał palcem w blat. – Pamiętasz Andre, prawda, Mercy?

– Oczywiście.

To ja zabiłam Andre po tym, jak poszczuł opętanego przez demona wampira na moich bliskich. Stefan i Wulfe ukrywali mój udział w śmierci Andre przed Marsilią. Stefan chyba dlatego, że mu na mnie zależało. A Wulfe? Kto wie co roiło się w głowie tego szaleńca. W każdym razie starałam się nie wracać do tej sprawy, lecz nie zaskoczyła mnie podejrzliwość Larry'ego.

Goblin przyjrzał mi się w zamyśleniu. Nie wiem, co zobaczył na mojej twarzy, w końcu tylko potrząsnął głową.

– I jeden, i drugi był zdolny zarządzać chmarą, choć żaden moim zdaniem nie nadawał się na przywódcę. Ale razem

współdziałali okropnie. Możliwe, że Marsilia zrobiła tak celowo, z sobie znanych powodów? – Larry zatrzymał się na mgnienie przy tych słowach. – Tak czy siak, czterdzieści lat temu wampiry zorganizowały się i przejęły władzę nad nadprzyrodzoną społecznością w Tri-Cities. Władzę, która trwała tylko do czasu, gdy Mercy stanęła na moście i objęła ten teren w imieniu watahy... Chyba nigdy nie wspominałem wam, jak my, gobliny, bardzo to doceniamy? – wtrącił.

– Nie ma za co – powiedziałam, a Larry uśmiechnął się szeroko.

– Zawsze się zastanawiałem, jakim cudem im się to udawało – powiedział Adam i na widok mojej miny sprecyzował: – Przydomek Stefana to Żołnierz, a żołnierze raczej wykonują rozkazy, a nie je wydają. A Andre...

– Ja zawsze myślałem, że to Wulfe rządzi – przyznał Larry powoli. A potem dodał żwawiej: – No, ale wtedy mnie tu nie było. Jakies czterdzieści lat temu Bonarata przybył tu ukradkiem i odkrył, że chmara Marsilii kwitnie i ma tyle zasobów oraz siły, że jest w stanie przetrwać bez jego wsparcia. Wcale mu się to nie spodobało. Jak wiecie, władza wampirów nad naszymi pięknymi miastami opierała się niegdyś na zapewnianiu nam ochrony w stylu mafijnym.

– O, to całkiem jak w naszym przypadku. Tylko my nie dostajemy za to kasy – mruknęłam.

Adam roześmiał się i cmoknął mnie w usta.

– Wiedziałem, że o czymś zapomniałem!

Lary chrząknął znacząco.

– Bonarata obmyślił plan, który teraz wydaje się zaskakująco znajomy, aby zasiać postrach w sercach niewampirów, które wspierały, również finansowo, chmarę Marsilii. Ściągnął artefakt, który trzymał u siebie na czarną godzinę. Zbieracza Dusz. Najwyraźniej uznał, że właśnie nadeszła ta godzina, choć nie był na tyle głupi, żeby zająć się tym własnoręcznie.

Narzędzie było ze wszech miar odpowiednie, ponieważ wybierało ofiary posiadające niewiele, naprawdę niewiele mocy. Nikt nie wie, dlaczego akurat takie.

– Zee uważa, że służy do składania ofiar jednemu ze starożytnych bogów – wyjaśniłam, ale nie wdawałam się w szczegóły z wiązaniem duszy, nie chcąc odrywać Larry’ego od głównego wątku.

– To brzmi nawet gorzej, niż zakładałem – skrzywił się goblin. – W każdym razie napuścił sierp na maluczkich, a ten zaczął zabijać. I pewna bystrzacha postanowiła poprosić o ochronę potężnego pradawnego, jednego z Szarych Panów. Kiedy udało się jej zwrócić uwagę na problem, Szara Rada ściągnęła tu Siebolda Adelbertsmitera. Nie wiem, czy było to z jej strony mądre posunięcie, czy głupie. – Pokręcił głową. – A ona już się tego nie dowie, bo nie żyje. Tak czy owak, wieść o rozwoju wydarzeń dotarła do Bonaraty. – Larry przerwał i popatrzył na mnie poważnie. – Mercy, to ważne, żebyś o tym wiedziała. Zdaję sobie sprawę, że masz go za przyjaciela. Ale nikt nie chce, żeby Zbieracz Dusz dostał się w ręce Mrocznego Kowala.

– Rozumiem.

– Bonarata też tego nie chciał. Zabił śmiertelnika opętanego przez Zbieracza Dusz i kazał jednemu z goblinów podrzucić chłopaka i fałszywy artefakt pod drzwi Wujka Mike’a. Mój goblin wybrał Wujka Mike’a, ponieważ uznał, że on jako jedyny z całą pewnością nie zatrzyma go sobie na własny użytek, tylko wezwie Zee do pomocy i w ten sposób Mroczny Kowal przestanie szukać Zbieracza Dusz. – Larry odkaszlnął. – No więc Wujek Mike zadzwonił do mnie rano i poinformował, że Zee jest wzburzony, iż żaden z goblinów nie powiedział mu, że podsunęto mu niewłaściwy sierp. Ale ponieważ nie było mnie wtedy w mieście, odpuszcza sprawę.

– Skoro Bonarata czterdzieści lat temu wycofał z gry Zbieracza Dusz, to czemu postanowił go użyć teraz? – zastanawiał się Adam.

– Ponieważ teraz rozgrywka toczy się o wyższą stawkę. Na tyle wysoką, że w jego mniemaniu wyeliminowanie nas warte jest nawet ryzyka utraty artefaktu. I nawet jeśli to Zee miałyby go zdobyć.

– Może nie wiedział, że Mroczny Kowal tu został? – zasugerował Larry.

– To nie to. – Pokręciłam głową. – Sama mu o tym mówiłam dwa miesiące temu.

– Może uważa, że uda mu się nakłonić Zee do działania na jego korzyść? – podsunął Adam. – Jeśli zaoferuje odpowiednio dużą łapówkę.

– To bardzo pokrętny pomysł, choć niewykluczony – podsumował Larry i spojrzał na Adama z nowym zainteresowaniem. – Patrz, a masz reputację prostolinijnego faceta.

Adam skwitował jego słowa uśmiechem.

– Już wiem, co ma z tym wspólnego ten film! – wyrwałam się, doznając objawienia. – Ja cię kręcę! To proste, jeśli spojrzeć na to z tej perspektywy. Tri-Cities jest teraz dużo większe niż cztery dekady temu, a dzięki traktatowi populacja słabszych istot nadnaturalnych gwałtownie się powiększyła. Przybyło tu mnóstwo różnych ludzi o pomniejszych mocach i jeszcze nie stworzyli swoich społeczności ani nie zdążyli się wtopić w te istniejące. A ponieważ wiemy, że mają w zwyczaju się łatwo przemieszczać, nie przejmujemy się, kiedy nagle znikają.

– Wydaje mi się, że jesteś na dobrym tropie – przyznał Adam. – Bonarata wziął na cel tych, którzy najbardziej liczyli na naszą ochronę. – Jego głos brzmiał nieco szorstko. – I nikt tego długo nie dostrzegł. Może taki był zamysł? Może, gdy wyrządziłby już odpowiednio dużo szkód, sam chciał poinformować media? –



Adam postukał palcem w gazetę, którą przyniósł Larry. – Ale nagle w mieście pojawiły się plakaty zapowiadające ten film, film oparty na wydarzeniach, do których sam doprowadził czterdzieści lat temu, przywożąc tu Zbieracza Dusz.

Larry potarł twarz, jakby nagle poczuł się bardzo znużony.

– Zrozumiał, że trafia mu się okazja, żeby w jeszcze bardziej dramatyczny sposób zachwiać iluzją bezpiecznego miejsca, którą tu podtrzymujemy. I dlatego wykorzystał Zbieracza Dusz, żeby ten znów mordował tutaj ludzi.

– Dokładnie – przytaknęłam.



## Rozdział 12

**T**y również doszedłeś do wniosku, że stoi za tym Bonarata? – wypytywałam Adama. – Kiedy? I czemu mi nie powiedziałeś? – Trochę dodawałam sobie wnikliwości, bo do wniosku, że naszym wrogiem jest Bonarata, doszłam dopiero, gdy mi się przyśnił.

Spędziliśmy poranek pracowicie. Adam głównie wisiał na telefonie ze swoimi ludźmi i rozwiązywał kwestie, które pojawiły się podczas jego nieobecności w firmie. Ja odrabiałam papierkową orkę na ugorze, którą musi wykonać każdy posiadający warsztat.

Zjedliśmy razem lunch i właśnie jechaliśmy do mojego warsztatu, żeby tam spotkać się z innymi wilkołakami i poczynić przygotowania do bitwy. Kordelas straciłam, wzięłam więc z arsenału Adama katanę o podobnej długości ostrzu, a do tego miałam broń palną w kaburze przy pasku, doskonale ukrytą pod podkoszulkiem i lekką kurtką. Baranek, mój święty symbol, wisiał na nowym łańcuszku wraz Adamowymi nieśmiertelnikami i ślubną obrączką.

Co prawda był środek dnia, ale nikt nawet wołami nie zaciągnąłby mnie do gniazda wampirów bez mojego baranka.

– Nie miałem pewności. Nawet teraz jej nie mam. Przecież może się okazać, że istnieje kult pająkowatych pradawnych praktykujący jakiś rodzaj kontroli umysłów. Oj, wybacz – dodał, widząc, że się skrzywiłam. – Trochę za mocno, co?

– Następnym razem ty bierzesz rolę pajęczego inkubatora.

– Zgoda – zgodził się potulnie. – A tak poważnie, to ta próba zasiania strachu i podkopania zaufania w nasze możliwości wpisuje się w powody twojego porwania przez Bonarotę.

Zamilkł, a kiedy na niego spojrzałam, jego oczy połyskiwały złotem.

– Szczerze mówiąc, jestem zdziwiona, że tak szybko wykonał następny krok – powiedziałam, chcąc zarówno zakomunikować informację, jak i oderwać Adama od myśli wywołujących wzburzenie. – Wydawało mi się, że przekonałeś go, że w Tri-Cities w rzeczywistości rządzą Szarzy Panowie, którzy kryją się za nami jak za fasadą.

Adam dał się oderwać, ponieważ nie był to żaden wydumany argument.

– Tak naprawdę spodziewałem się jego ruchu, choćby dlatego, że wzmacniamy pozycję Marsilii w sposób, na który nie ma wpływu. Ale Bonarata ma reputację kogoś, kto planuje trzy ruchy do przodu, więc raczej oczekiwałem, że będzie budował swoją strategię przez kolejne czterdzieści lat, zanim zdecyduje się na ponowną konfrontację z nami.

Pomyślałam o haftowanym pasie spoczywającym w naszym sejfie na broń. Adam miał rację, Bonarata był bardzo cierpliwym łowcą.

– Jak na prostolinijnego faceta masz niezwykle pokrętny sposób myślenia.

– Dziękuję za komplement. To dzięki wieloletniej współpracy z Branem. Weszło mi w nawyk.

Skrzywiłam się teatralnie.

– Ludzie znikają od września. To oznacza, że zaczęło się parę miesięcy po naszym powrocie z imprezy z Bonarata w Europie.

– Może to nie jest żaden nowy plan? – rzekł Adam powoli. – Może to kontynuacja wendetty przeciwko Marsilii, która zaczęła się, gdy wygnał ją te ileś tamset lat temu?

– Możliwe. Więc może też moje porwanie stanowiło część jakiegoś długofalowego planu?

– Niech Bóg się nad nami zlituje – uśmiechnął się Adam ponuro. – To jak rozwikływanie czegoś, co utkał Bran... Albo czego utkanie sobie przypisuje. Pewnie w końcu nam się uda. O ile dożyjemy do tego końca.

Nasze wilki czekały na parkingu. Z niejakim zdziwieniem zauważyłam, że jedne wrota wjazdowe do hali są uchylone i stoi w nich Zee, rozmawiając z Drugim Adama. Przy zgrabnym, atletycznym Darrylu Zee wydawał się wręcz nikły i kruchy. Nikt by nie podejrzewał, że to on właśnie jest niebezpieczniejszy z tej dwójki.

Wysiadłam z samochodu, pomachałam do wilków, ale poszłam prosto w stronę Zee.

– Myślałam, że nie miałeś dzisiaj przychodzić – wyraziłam swoje zaskoczenie, przywitawszy się z Darrylem.

– Masz chwilę? Chciałbym z tobą zamienić słowo – powiedział Zee.

– Dasz mi pięć minut, Adam?

– Czekamy jeszcze na Warrena i Zacka, więc się nie spiesz – odparł.

Zee zaprowadził mnie do łazienki i zamknął za nami drzwi. Na koniec włączył jeszcze wyciąg. Wsłuchał się w delikatny szum i po chwili mruknął niezadowolony.

– Wyciąg w starym budynku zagłuszałby głosy z łazienki na tyle skutecznie, że nawet wilkołak z uchem przy drzwiach niczego by nie mógł usłyszeć – sarknął, wyłączył wentylator

i poruszył ręką, a pomieszczenie wypełniło się magią. – Bonarata jest w Stanach – oznajmił.

– Tak sądziliśmy. Adamowi i Larry’emu powiedziano, że nadal jest w Europie, ale wszystko wskazuje na to, że to nieprawda.

– Rozmawiałem ze znajomym z Seattle. Bonarata buduje tam dom. Znajomy mówi, że czarny śmigłowiec wylatuje i wraca na posesję trzy, cztery razy w tygodniu. Tego śmigłowca używa tylko Bonarata. Jest w stanie Waszyngton od pięciu, może sześciu tygodni.

– Aha – skwitowałam. Czułam się znacznie lepiej, kiedy nie wiedzieliśmy tego na sto procent.

– To Bonarata jest w centrum tego wszystkiego. Dowiedziałem się, że trzymał u siebie Zbieracza Dusz od wieków. Nie prowadziłem poszukiwań w tym kierunku, bo uznałem, że w ciągu tylu wieków Zbieracz Dusz znalazłby jakiś sposób, żeby wyrwać mu się z rąk.

– Ale mówiłeś, że nie sądzisz, że mógłby przejąć kontrolę nad Bonarata – przypomniałam.

– Tak, tyle że Władca Nocy nie zapełnia swego pałacu starymi, potężnymi wampirami, więc sierp powinien znaleźć kogoś odpowiedniego. – Zee zasepił się. – Myślę, że ten wampir znalazł sposób, by go przed tym powstrzymać. Teraz kiedy pomogłaś mi zrozumieć dokładnie, co artefakt robi ze zmarłymi, że taka sieć magii śmierci sięgająca aż do otchłani, której nie jesteśmy w stanie zmierzyć, myślę, że nikt nie jest nań odporny. Ani ty. Ani Bonarata. Ani ja.

Na myśl o bezdennej czerni otchłani, którą czułam na krańcach świadomości, zadrżałam.

– Rozumiem.

Na czole Zee zaperlił się pot. Wiedziałam, że w łazience jest osiemnaście stopni, bo przegrałam z Zee walkę, żeby podnieść

ją do dwudziestu dwóch. Rozmowa o Zbieraczu Dusz napawała mnie lękiem, ale na Zee działała inaczej.

Zee osiadł w Tri-Cities ponad czterdzieści lat temu, ponieważ wierzył, że istnieje możliwość ponownego pojawienia się tutaj przeklętego sierpa. Zbieracz Dusz miał na niego podobny wpływ, co pełnia księżyca na wilkołaki. Czułam jego ekscytację.

– Jak Bonarata się przed nim chronił? – zapytałam. – Czy to sposób, który jest dostępny również dla nas?

– Niestety, już nie. I tu pojawia się pająk. Wujek Mike pamiętał tę historię. Jakies osiemset lat temu kolonia pająkowatych pradawnych odkryła Zbieracza Dusz. Kiedy z nimi skończył, przeżyły tylko dwa półkrwi pająki, które nauczyły się powstrzymywać jego magię tak, by dało się bezpiecznie go trzymać.

– To te, które zabiliśmy u Stefana? – domyśliłam się.

– Sądząc z opisu, tak.

– No cóż...

– To wszystko powinnaś powiedzieć Adamowi i reszcie. Ale jest coś, co chciałem ci powiedzieć na osobności.

– Tak?

– Kiedy znajdziecie Zbieracza Dusz, nie dotykaj go. I nie pozwól, żeby dotknął go ktoś, na kim ci zależy. Zabij tego, kto się nim teraz posługuje, i wezwij mnie.



Kiedy wyszliśmy z warsztatu, Adam był w trakcie przekazywania informacji, które do tej pory zgromadziliśmy na temat przeciwnika. Popatrzył na mnie pytająco.

– Mamy potwierdzenie, że Bonarata jest tutaj. Ma dom w Seattle i helikopter. Jest tutaj od ponad miesiąca.

Zee potaknął, potwierdzając moje słowa.

Normalni ludzie, jak ja, czuli lęk na wieść, że wpadł do nas z wizytą Władca Nocy. Widziałam, jak wzrasta czujność wilków, jak się napinają. Natomiast to, że poprzez więź popłynął do mnie sygnał, że są podekscytowane wizją polowania, świadczyło, że wilkołaki są po prostu szalone.

Uśmiezek, z jakim Adam potoczył po nich wzrokiem, oznaczał, że wychwycił to samo, co ja.

– Spodziewamy się wpaść na niego w siedzibie chmary? – zapytał George. – Bo jeśli tak, potrzebujemy więcej ludzi.

– Prawdopodobnie nie będzie dzisiaj żadnej konfrontacji z nim – odparł Adam. – Larry twierdzi, że siedziba chmary jest opuszczona. Bonarata może i jest cierpliwy, ale ma pilniejsze zajęcia niż siedzenie w pustym budynku jak pajak czekający, aż w jego sieć wpadnie jakaś mucha.

– Czy możemy dać sobie spokój z metaforami pajęczymi? – zapytałam uprzejmie i po minach wilków łatwo poznałam, że George podzielił się z nimi historią o „moich” pajakach.

– Czy ludzie Marsilii są nadal do nas przyjaźnie nastawieni? – zapytała Mary Jo. – I skoro zamieszany jest w to Bonarata, to byłoby jak z Branem? Są mu winni posłuszeństwo?

– Myślę, że to jeszcze nie ten czas, kiedy musimy się martwić, że zaatakują nas ludzie Marsilii – uspokoił ją Adam.

– Poza Wulfe'em – przypomniałam. – Trzeba im powiedzieć o Wulfie.

Adam opowiedział o moim spotkaniu ze Żniwiarzem.

– Ludzie, idziemy tam w środku dnia – rzekł Darryl, kiedy Adam skończył. – Każdy wampir, na którego się natkniemy, będzie słabszy i powolniejszy.

– Nie liczcie na to w przypadku Bonaraty – podkreślił Adam. – Jeśli na niego wpadniecie, unikajcie walki.

– Nie wiemy, jak on wygląda, szefie – stwierdził Warren stanowczo. Był nietypowo dla siebie ubrany cały na czarno:

czarny T-shirt i czarne dżinsy. I miał... dziwną, niewłaściwą sobie postawę. Zwykła swoboda gdzieś zniknęła.

– Jeśli wpadniecie na nieznanego wampira, traktujcie go jak Bonaratę, dopóki ktoś nie powie wam, że to nie on – odpowiedział Adam sucho.

– Wygląda jak oprych z mafii – opisałam Władcę Nocy.

– Nie zawsze – mruknął Zee, zerknął na Adama i kontynuował głośniej: – Ja wiem, jak on wygląda. Mam iść z wami?

Adam przekrzywił głowę. Wilkołaki ciągle tak robiły, u ludzi rzadko to widziałam.

– Doceniam twoją propozycję – zaczął mój mąż ostrożnie. Zee był na tyle stary, że mógłby uznać „dziękuję” za kłopotliwe, a niegrzeczność za naganną. – Jednak jeśli się mylę, mogę usprawiedliwić wprowadzenie watahy do domu Marsilii. Nie chciałbym być zmuszony tłumaczyć się z przyprowadzenia Mrocznego Kowala, z powodów, którymi się obecnie kieruję. To tylko szybki wypad, żeby potwierdzić, że naszych sojuszników nie ma w ich siedzibie, i ewentualnie znaleźć jakieś wskazówki, dokąd zostali zabrani.

– W porządku. – Zee wrócił do swojej postawy starego mechanika. Do tej chwili nawet nie zdawałam sobie sprawy, że wyszedł z tej roli.

Nie zdziwiłabym się, gdyby dał nam czas na poszukiwania, a potem przeprowadził swoje.

– Skoro Larry twierdzi, że siedziba chmary jest opuszczona, po co tam w ogóle idziemy? – zapytał Darryl nieco ostro.

– Masz coś lepszego do roboty? – odciął się Adam nieprzyjaznym tonem.

Nozdrza Darryla zafalowały. Nie znosił wampirów i nie dziwiłam mu się. Ja też większości nie cierpiałam. Darryl nie lubił także, kiedy przywoływało się go do porządku.



– Marsilia jest naszym sprzymierzeńcem – wtrąciłam się, zanim sytuacja eskalowała. – Ktoś stoi za ich zniknięciem. Może znajdziemy tam jakieś wskazówki. Emaile, listy, cokolwiek, co powie nam, gdzie mogą być i dlaczego.

– Niech będzie – przystał Darryl. Łatwiej mu było ustąpić mnie niż Adamowi. Co prawda nie byłam Omegą, jak Anna, ale nie stanowiłam dla niego zagrożenia w żaden sposób, żadnej formie i kształcie. Wobec tego jego wilk nie jeżył się na mnie, a ja z kolei jako towarzyszka Alfy posiadałam dość autorytetu, żeby nie czuł potrzeby mnie ustawiać.

Adam, nie marnując czasu, załadował dziesięć wilków do dwóch samochodów. Oczywiście ten pośpiech mógł wynikać z chęci działania, ale zastanawiałam się, czy przypadkiem nie ma czegoś wspólnego z Zee. Warren i Darryl wsiedli razem do samochodu Honey. Normalnie nie stanowiłoby to problemu, bo darzyli się sympatią, jednak Darryl był podminowany wizytą w gnieździe wampirów, a tajemnicza przyczyna napięcia Warrena nie ustąpiła.

Adam, widząc to, podchwycił wzrok Zacka i nasz uległy wilk usiadł obok Warrena. Licząc, że katastrofa została zażegnana, resztę wilków zapędziliśmy do samochodu Adama.

– Zakładając, że nie zginę – powiedziałam do Zee, pakując się na siedzenie obok kierowcy – wrócę do warsztatu i cię zmienię.

– Nie, Mercy, nie przejmuj się tym. Zajmę się dzisiaj warsztatem.

– No dobrze. Tylko nie odstrasжай klientów!

– Ja? Gdzieżbym śmiał – odpowiedział niewinnie.

Udałam, że nie zauważyłam zaczepki, pomachałam mu i zamknęłam drzwi.

Jechaliśmy już szosą, kiedy z ostatniego rzędu siedzeń odezwał się Ben:

– Czy któreś was, pieprzone kmiotki, wie, co odpiardoliło Warrenowi?

– Czy któryś z kmiotków wie, o co chodzi Benowi? – zripostował George ironicznie.

– Zająłem się tym – Adam odpowiedział Benowi, ignorując komentarz George’a. – Dałem mu dwa dni na powiedzenie mi, jaki ma problem. Więc nie zdręczajcie go do tego czasu.

– A powiedziałaś o tym Darrylowi? – zapytała Mary Jo.

– Nie, ale Aurielle owszem.

– Może w drodze powrotnej powinien siedzieć obok ciebie? – zaproponowałam.

– Nie – zaprzeczył Adam stanowczo. – To mój samochód, a to twoje miejsce.

– Okej – wycofałam się nieco zdziwiona i całkiem niespodziewana zadowolona z warkliwego tonu, jakim to powiedział.



Sporo czasu minęło, odkąd ostatni raz byłam w siedzibie chmary. Chyba ze dwa lata. Nie miałam powodów, by bywać w tej części miasta, a może celowo jej unikałam? Przyjaźniłam się ze Stefanem, a co do reszty wampirów podzielałam uczucia Darryla.

Wydawało mi się, że wzdłuż drogi odgraniczającej wschodnie dzielnice Kennewick od reszty miasta jest jakoś dziwnie dużo budynków. Ale nie zastanawiałam się nad tym, co oznacza to dla domu Marsilii.

Kiedy byłam tu poprzednio, jej posiadłość otaczał stepowy krajobraz, odpowiednik tutejszej dziewiczej dziczy. Obecnie roiło się od budynków.

– Czy nie stały tu kiedyś takie dziwne piętrowe, słupowate, ceglane cosie? – zapytałam, kiedy skręciliśmy w szeroką jezdnię, która zastąpiła wąski, zwirowany dojazd. Widziałam

stąd bramę posiadłości, powinniśmy więc już przejechać pomiędzy ceglanyymi konstrukcjami.

– Rozebrano je ze względu na zagrożenie katastrofą budowlaną – odpowiedział George. – Mniej więcej wtedy, kiedy powstało tu to osiedle.

Nadal rozległe tereny wokół rezydencji chmary otaczały teraz ekskluzywne domy. Granicę działki należącej do wampirów wyznaczał dwumetrowy, betonowy mur, znacznie solidniejszy niż wcześniejsze ogrodzenie. Ale ciężkie, kute bramisko pozostało to samo.

– Niektórzy debile nie mają za grosz instynktu samozachowawczego – stwierdził Ben filozoficznie. – Patrzcie, jak blisko stoją te pieprzone domy!

Zrozumiałam, dlaczego Adam nalegał, żeby jechać tylko dwoma samochodami pomimo niebezpieczeństw, jakie nastroczało stłoczenie w nich tak dużej liczby dominujących wilkołaków. W tej dzielnicy z pewnością zauważono by sznurek samochodów podjeżdżających za dnia do siedziby Marsilii.

– Ciekawe, czy sąsiedzi zastanawiają się, dlaczego każdej nocy mają koszmary – mruknęła Mary Jo.

Adam rozejrzał się po ulicy. Na lunch było już za późno, a za wcześnie na powrót dzieci ze szkół. Wokół nie widzieliśmy żywego ducha. Co nie oznaczało, że ktoś nie obserwuje nas przez te pozornie puste okna.

– Mercy, przesunij się za kierownicę i jedź, jak otworzę – polecił mi Adam, wysiadając.

Błyskawicznie wspiął się na bramę i zeskoczył po drugiej stronie. Ruch ten nawet trudno byłoby zauważyć, gdyby ktoś na nas patrzył. Pogmerał przy panelu sterującym i potężne wrota otworzyły się. Wjechałam z Honey siedzącą mi na rurze wydechowej.

Objechałam kolisty podjazd, przystając przy bramie tak, że prawie dotykałam zderzakiem zamykającego się skrzydła. Nie

chciałam tracić czasu w razie, gdybyśmy musieli szybko odjechać. Osobiście zostawiłabym otwartą bramę, ale Adam pewnie nie chciał, żeby ktoś tu się za nami dostał.

Zgasiałam silnik, a Adam tymczasem podszedł do okna Honey i coś jej powiedział. Honey podjechała do bramy, stając obok mnie i ostatecznie blokując wjazd.

Główny budynek, piętrowy, z poddaszem, zaprojektowany w hiszpańskim stylu kolonialnym, mógł pomieścić w sobie dwa nasze – a przecież nasz dom wcale nie był mały.

Wdzięczne łuki i detale architektoniczne miały głównie za zadanie ukryć brak okien. Za rezydencją rozciągały się rozległe ogrody z basenem i domem gościnnym. O ile nadal wszystko stało na swoim miejscu. Podjazd, gdzie zaparkowaliśmy, został odgradzony od reszty i tylko pod murem biegła alejka prowadząca prawdopodobnie do domku gościnnego, który miał własne garaże.

Wszelkie nadziemne konstrukcje pełniły rolę fasadową, służącą do pokazywania gościom i przyjmowania miejscowych urzędników i polityków. To pod ziemią znajdowała się właściwa siedziba chmury, gdzie w wielopoziomowych labiryntach korytarzy i piwnic mieszkały wampiry.

Pasażerowie Honey wyprysnęli z samochodu niczym rój pszczoł. Warren miał zaróżowione policzki i żółte oczy. Darryl też nie wyglądał na szczęśliwego. Zack zwrócił na Adama szeroko rozwarte, przepełnione niepokojem oczy.

– Warren! – rzucił ostro Adam i kowboj drgnął, unosząc na niego oczy i podtrzymując kontakt wzrokowy przez trzy sekundy, zanim przymknął powieki, odetchnął głęboko i skinął głową.

– Przepraszam, szefie – powiedział i odwrócił się do Darryla, nie podnosząc spojrzenia. Wszyscy widzieliśmy, jak wiele go to kosztowało.

Pozostawało dobrze strzeżoną tajemnicą, że jeśliby chciał, mógłby prawdopodobnie zająć miejsce Darryla w hierarchii stada, przewyższał go bowiem i ze względu na silniejszą dominację, i w walce. Wiedzieliśmy o tym z Adamem. Wiedział Warren. I prawdopodobnie wiedział też Darryl – co nie polepszyło atmosfery w samochodzie Honey. Jednak chociaż Warren cieszył się większą akceptacją w stadzie niż kilka lat temu, kwestia jego orientacji pozostawała problemem. Nasza wataha, podobnie jak większość, składała się głównie z mężczyzn urodzonych w minionym wieku. Emocje stada rządziły magią stadną, a jego awans mógłby zachwiać równowagą.

Nie był to czas na wprowadzanie chaosu, poza tym Warren nie chciał być Drugim. Darryl świetnie się sprawdzał w tej roli, a Warren parę miesięcy temu powiedział do mnie z tym swoim południowym akcentem: „Po co naprawiać coś, co nie jest zepsute?”.

– Wybacz, Darryl – zwrócił się do niego Warren. – Gryzie mnie parę spaw. Ale nie chciałem wyżywać się na przyjaciółach.

Darryl przez chwilę przypatrywał mu się w zamyśleniu, co było na tyle nietypową dla niego reakcją, że zaczęłam podejrzewać, że spięcie w samochodzie musiało być naprawdę poważne. A może dziwne zachowanie Warrena rozprzestrzeniało się w watasze? Darryl w końcu kiwnął głową, ale widać było, że nadal jest rozdrażniony.

– To przez bliskość siedziby chmary – mruknął do mnie Adam.

To prawda. Niechęć Darryla do wampirów wzmogła się, gdy przez kilka dni był niedobrowolnym gościem chmary. Działo się to niedługo po tym, jak sprowadził się do Tri-Cities, i na długo przed moim dołączeniem do watahy. Doszło wtedy do swego rodzaju nieporozumienia. Kiedy wataha się tu przeniosła,

Darryl został w Nowym Meksyku, żeby zamknąć pewne sprawy. Adam nie spodziewał się go wcześniej niż za tydzień, a Marsilia nie spodziewała się go w ogóle. Nadal pogrążona w swoim letargu, nie trzymała swoich ludzi tak silną ręką, jak obecnie. Może, biorąc pod uwagę zbieżność czasową, to właśnie incydent z Darrylem stanowił powód, dla którego zaczęła się wybudzać.

Tak czy owak, grupa wampirów napotkała kręcącego się w pobliżu wilkołaka i postanowiła zabrać go do domu, żeby się zabawić. Choć wzięty z zaskoczenia, ponieważ powiedziano mu, że tutaj wampiry i wilkołaki nie pozostają w ostrym konflikcie, i tak rozszarpał dwóch, zanim trójka innych zdołała go schwytać. A potem traktowali go już jak zabójcę wampirów.

Ktoś poinformował Marsilię o zaistniałej sytuacji, a ta ocknęła się na tyle, by skontaktować się z Adamem. Darryla uwolniono, ale nadal chował urazę do chmary. Pechowo dla niego, bytność w gościnie wampirów oznaczała, że zna rozkład posiadłości lepiej niż ktokolwiek inny. W innym razie Adam z pewnością nie zabrałby go na misję.

Adam potoczył wzrokiem po swoim oddziale.

– Mercy i... – po jego wyraźnym wahaniu zorientowałam się, że początkowo planował wysłać mnie z kimś innym – Warren. Przeszukacie główny budynek. Zaczniecie od parteru i pójdziecie w górę. Darryl, Auriele, Honey i Zack, przeszukacie tunele od strony domku gościnnego do głównego domu. Ben, George i Mary Jo idą ze mną. Zejdziemy do piwnic z kuchni w domu i spotkamy się z nimi w połowie drogi. Jeśli ktoś wpadnie na kłopoty, woła resztę. Komórki nie działają pod ziemią, ale zew stada dotrze. Nie oddalać się od swoich grup.

– A co ze zniszczeniami? – zapytał Darryl. Normalnie miał głęboki głos, teraz jednak zniżył go jeszcze pod wpływem zdenerwowania tak, że z trudem rozróżniało się poszczególne słowa. – Możemy wywazać zamknięte drzwi?

– Tak. Musimy porządnie przeszukać to miejsce i nie będziemy się patyczkować. Nie zostawiamy żadnych zamkniętych drzwi i niesprawdzonych pomieszczeń. Robimy to dokładnie.

Czwórka wyznaczonych wilków zrobiła sobie skrót, przesadzając parkan do ogrodu. Dojrzałam kawałek dachu domu gościnnego i podskoczyłam, żeby zobaczyć więcej.

– Mercy – upomniał mnie Adam.

– Sprawdzam tylko, czy domek nadal jest tam, gdzie był – wytłumaczyłam i dogoniłam go w drodze do głównego wejścia.

Drzwi okazały się niezamknięte.

Trudno powiedzieć, czy to oznaczało coś nietypowego. Marsilia raczej nie musiała się przejmować złodziejami, ale spodziewałabym się, że jednak na dzień zamykają drzwi na klucz.

– Jak muchołówka – ocenił Ben, zwlekając nieco z wejściem. – Wiesz, rozwiera paszczę, żeby capnąć owada.

– Dzięki za wizję – prychnęłam i uśmiechnęłam się szeroko, choć niewiele to pomogło i Ben nadal wyglądał na wystraszonego.

Wnętrza nie zmieniły się, odkąd je widziałam. Stylistyka wyposażenia korespondująca z architekturą bryły tu przejawiała się w kolorze, materiałach i ceramice. Ten rodzaj budownictwa i dekoracji wewnątrz był popularny w Tri-Cities z ich upalnymi latami.

– Wejście do piwnic jest w kuchni – powiedział Adam, skręcając w tę stronę.

– Wiem. Tędy uciekałam stąd po raz pierwszy.

– Budynek jest głównie na pokaz, ale weźcie pod uwagę nieprzewidywalność Marsilii i ani na moment nie traćcie czujności. Nie rozdzielajcie się.

Pomyślałam, że to rada skierowana raczej do mnie i Warrena, bo trudno poczuć się pewnie w tunelach cuchnących

krwią, śmiercią i wampirami.

– Szukajcie wszystkiego, co mogłoby nam wskazać, gdzie się udali.

– Jeśli cokolwiek tu jest, to raczej w domku dla gości, nie tutaj – stwierdziłam. Marsilia spędzała dni w mniejszym budynku, gdzie wrogowie by się jej nie spodziewali. – Ale będziemy się pilnować i sprawdzimy wszystko.

Przez chwilę patrzyłam Adamowi prosto w oczy, a potem kiwnęłam głową.

Kuchnia wyglądała tak samo jak wcześniej. Szafki z drewna klonowego i kremowe, kamienne blaty oraz podświetlane panele na ścianach dawały efekt jasności i przestronności mimo braku okien. Stalowe drzwi windy znajdowały się obok tych do chłodni i w jednym szeregu z lodówką, tworząc szarą metaliczną połąć bez jednego odcisku palca.

Adam ze swymi ludźmi wszedł do windy – i jeszcze raz spojrzał przeciągle na Warrena.

– Pamiętajcie, nie traćcie czujności – ostrzegł raz jeszcze.

– Jasne, szefie – wycedził Warren. Doszedł już do siebie, ale mojej uwadze nie uszło napięcie widoczne w uniesionych barkach.

Winda zamknęła się i zabrała mojego męża do trzewi ziemi.

– Przykro mi, że dostała ci się rola niańki – powiedziałam do Warrena.

Jako osoba najmniej sprawna bojowo zawsze dostawałam zadanie typu przeszukanie głównego budynku, ponieważ było to zwykle najbezpieczniejsze miejsce. Wszystko, co najstraszniejsze, kryło się w tunelach. Ale Warren, w przeciwieństwie do mnie, był jednym z najsilniejszych wojowników w stadzie.

– Chwilowo jestem tu najbardziej użyteczny, bo najmniej prawdopodobne, że wdam się z tobą w utarczkę, w której wyniku ktoś zginie. – Już bardziej do siebie dodał: –



Powinienem był powstrzymać się od zygania do Darryla przed wejściem do chmary.

– Co się dzieje? – zapytałam.

Popatrzył na mnie w zamyśleniu.

– Bonarata podważa naszą zdolność do obrony terytorium. Nasi wampiry sojusznicy zniknęli... Poza Wulfe'em, który morduje ludzi przeklętym artefaktem. Ci, za których bezpieczeństwo wzięliśmy odpowiedzialność, giną. Paliwo kosztuje więcej niż w zeszłym roku o tej porze, a mnie nadal się wydaje, że nie powinienem płacić więcej niż dwadzieścia pięć centów za galon. Dysproporcje majątkowe są największe w historii.

Zmarszczyłam brwi. Wiedziałam, o co mu chodzi.

– Nic się nie dzieje, Mercy – warknął. – Pierdolone nic. – Warren prawie nie przeklinał. – Daj spokój, Mercy – powiedział na widok mojej miny.

– Na pewno nie mogę jakoś pomóc? – drążyłam.

Uciekł spojrzeniem w bok.

– Jestem zmęczony tymi ciągłymi nagabywaniami. Powiem ci, jak będzie. Przeszukamy to cholerne miejsce i nie znajdziemy niczego. A kiedy będziemy się tak bez celu tu kręcić, zostawisz mnie w spokoju. Jestem zmęczony tym twoim wtykaniem nosa w moje sprawy i tym twoim kompleksem wybawiciela.

Zamrugałam, powstrzymując łzy, które zapiekły mnie w oczach.

Też byłam zmęczona. I bardzo się bałam. I martwiłam się o Adama i wszystkich, którzy zeszli pod ziemię. I o Zee. I żał mi było Aubreya, który nigdy nie pocałuje swojej sekretnej miłostki.

Cóż, miałam dwa wyjścia. Mogłam stać tak i płakać albo się wkurzyć. Łatwo zgadnąć, co wybrałam.

Warren zaczął metodycznie przeszukiwać kuchnię. Zabrałam się za to samo od drugiej strony.

Lodówka, chłodnia nigdy nie zostały użyte, podobnie jak zmywarka. Nadal pachniały tą szczególną wonią nowości, mimo że były to te same sprzęty, które widziałam tu kilka lat wcześniej. W szafkach nie było nic do jedzenia, choć naczynia i garnki znajdowały się na właściwych miejscach.

– To atrapa – podsumował Warren, zaglądając do puściutkiej spiżarki. – Idziemy dalej?

Nie odpowiedziałam. Nie popatrzyłam na niego. Wymaszerowałam sztywno z kuchni do kolejnego pomieszczenia. Pracowaliśmy w milczeniu, a ja pielęgnowałam swój święty gniew, dopóki nie uporałam się z nim na tyle, by móc udawać, że słowa Warrena mnie nie zaboląły.

No prawie.

Wiedziałam, że ten dom jest wyłącznie na pokaz, liczyłam jednak, że przeszukiwanie siedziby lokalnej chmary będzie ciekawsze. Ale Warren celnie to ujął, to była tylko atrapa. Wnętrze jedynie udawało miejsce, w którym mieszkają ludzie. Szafy i komody były puste. Pokoje pięknie urządzone, na ścianach gustowne, ale nie kosztowne obrazy i ani grama charakteru.

Adam ryzykował życie w tunelach, a ja zwiedzałam miejsce, które mogło być budynkiem pokazowym fabryki mebli w stylu południowo-zachodnim. W dodatku w towarzystwie kogoś, kto był mną zmęczony.

Warren tak ewidentnie się spieszył, że na złość mu zaczęłam zwlekać. Sprawdzaliśmy właśnie ostatni pokój na parterze, już drugi, który udawał gabinet, kiedy Warren w końcu pękł.

Przetrzęsął biurko, oba schowki, niewielką biblioteczkę i musiał na mnie poczekać. Tupnął zniecierpliwiony, gdy zamknęłam zupełnie pustą szufladę komody, której nieistniejącą zawartość przeglądałam od pięciu minut.

Popatrzyłam na jego stopę. Potem przechyliłam szafkę, żeby zobaczyć spód na wypadek, gdyby znajdowała się tam jakaś

skrytka. Ale dno stanowiła lita blacha.

– Czego ty tam szukasz? – warknął Warren. To były pierwsze słowa, które padły między nami, odkąd opuściliśmy kuchnię.

Zamrugałam. Postawiłam szafkę z powrotem i zaczęłam kontemplować pokój. Biurko i schowki przeglądał. Podeszłam więc do biblioteczki. Niewielka, zaledwie cztery półki, a na każdej stała seria książek. Odczytałam tytuły. Chyba dotyczyły bankowości i giełdy.

– Robiłam skrytki w książkach – powiedziałam w zamyśleniu i wyciągnęłam książkę z górnej półki. „Audyty i kontrole bankowe”. – Moja zastępcza matka pokazała mi, jak je robić – ciągnęłam, nie patrząc na Warrena. Nie chciałam, żeby uznał, że myślę, że interesuje go to, co mam do powiedzenia. – Jedną z nich mam do tej pory. Trzeba skleić razem krawędzie kartek, a potem wycina się środek.

– Chyba sobie żartujesz – burknął.

Omam się nie uśmiechnęłam. W jego głosie nadal pobrzmiwała irytacja, ale już podbarwiona ostrożnością. Jakby zaczynał pojmować, że nie będzie (ranić mnie) dawać mi prztyczka w nos i lżyć bezkarnie.

– Adam kazał to robić dokładnie – rzuciłam lekko, odkładając książkę na miejsce, i wyciągnęłam następną. Nieszczerólnie szybko.

Ku mej radości na piętrze książki znajdowały się w każdym pokoju. Zupełnie jakby ktoś powiedział Marsylii: „Ludzie mają w zwyczaju mieć na piętrze regały z literaturą”. Pozycje stały ułożone seriami, ale ich tematyka wydawała się całkiem losowa. Dzieła Dickensa stały obok jednolicie oprawionego zestawu ksiąg rodowodowych koni pełnej krwi angielskiej z przełomu wieków. Dokładnie ten rodzaj przypadkowego zbioru, jaki mógł zirytować miłośnika książek. Czyli na przykład Warrena.

Dobrze wiedział, dlaczego wertuję każdy tom, i wiedział również, że wystarczyłoby (przypuszczalnie) przeprosić, by jego męki dobiegły kresu. Ale nie przeprosił, więc przeglądałam książkę po książce, regał po regale.

Dwa pokoje i dwie biblioteczki później znalazłam w końcu skrytkę. Niestety, pustą, ale ostatecznie ktoś zrobił ten schowek. Sprawdziłam tytuł: „Dzieje schyłku i upadku Cesarstwa Rzymskiego” Gibbona, tom czwarty, wydanie z 1974 roku.

– Zawsze chciałam przeczytać Gibbona – rzuciłam w przestrzeń. Nie do Warrena. Jeszcze z nim nie rozmawiałam. Raczej jakbym mówiła do niewidzialnego przyjaciela, który mógłby być zainteresowany tym, co mam do powiedzenia. – Ale przebrnęłam przez „Wojnę i pokój” i uznałam, że spłaciłam haracz bogom historii. – Zamknęłam książkę i odłożyłam ją na półkę.

– Pewnie już taką kupiła. – Warren obrzucił zrezygnowanym spojrzeniem książkę, która usprawiedliwiała moje poszukiwania.

Pomyślałam sobie to samo, dlatego odłożyłam „Dzieje...” na bok, żeby powiedzieć o tym Marsilii. Jednak z Warrenem nie podzieliłam się tym pomysłem.

Warren poddał się – lecz nie na tyle, aby przeprosić – i przyłączył się do mojej misji wertowania książek. Robił to zdecydowanie szybciej niż ja.

– Przepraszam, że cię skłamię – odezwał się wreszcie. – Ale proszę, przestań naciskać.

Rozważałam, jak odpowiedzieć. Przeprosiny zaczynające się od „przepraszam” i kończące na „ale” nie są żadnymi przeprosinami.

– Wiesz... – zaczęłam, odkładając „Wierszyki dla dzieci” pomiędzy „Doktora Jekylla i pana Hyde’a” a „Czarną Strzałę” – podczas gdy my tu wertujemy książki, których nikt nigdy nawet

nie otwierał, nasi towarzysze brodzą w niesamowitych obrzydliwościach.

Niewypowiedziane, acz klarowne przesłanie brzmiało: „A gdybyś wcześniej pozwolił sobie pomóc, to bawiłbyś się teraz setnie w strasznych lochach, zamiast umierać z nudów, pilnując bezużytecznego kojota”.

Może byłam zdenerwowana nie tylko tym, że Warren jest na mnie zły za próby pomocy. Ale tym na dole nie działa się na razie żadna krzywda. Nie byłam Adamem, który kiedy chciał, potrafił wiele dowiedzieć się poprzez więź stadną, lecz walka w tunelach odbywałaby się na tyle blisko, że wyczulibyśmy ją i ja, i Warren.

– Naucz mnie, jak sprowokować Darryla – mruknął Warren, biorąc do ręki ostatni tom dzieł zebranych H.P. Lovecrafta.

W następnym pokoju stało pięć regałów na wpół wypełnionych książkami. W kolejnym znów pięć.

Gdzieś po drodze Warrenowi wyrwało się poważne warknięcie. Warren kochał książki. Mimo niezaprzeczalnie absurdalnej liczby byle jakich tytułów zgromadzonych na półkach Marsilii znalazło się też kilka całkiem niezłych, wciśniętych pomiędzy pełną edycją Almanachu Świata od 1900 do 1965 roku i cykl przewodników po zjawiskach paranormalnych De Agostini. Te ostatnie broszurki były zbyt cienkie na skrytki, ale i tak je przejrzałam.

– Warren... – jęknęłam, gapiąc się na książkę w ręce. Okładka przedstawiała postać rycerza z uniesioną zasłoną przyłbicy, spod której wylaniała się widmowa mgła. Wytłoczony złotymi literami tytuł brzmiał „Tajemniczy świat: Duchy”.

Może powinnam bardziej skupić się na tym, po co tu przybyliśmy, zamiast starać się zaleźć Warrenowi za skórę.

– No?

– Powinny tu być duchy. – Wsunęłam książeczkę na jej miejsce.

W miejscach, gdzie spały wampiry, zawsze były duchy – nagła śmierć należała do głównych przyczyn powstawania duchów. Niejeden raz za pomocą duchów odnajdywałam legowiska wampirów. W ten sposób znalazłam po raz pierwszy dom Wulfe’a.

– Tu? W tym pokoju? – Warren rozejrzył się czujnie.

– Nie. Tu, w tym domu.

– Ale mówiłaś kiedyś, że duchy unikają wampirów. – Warren od razu wpadł w rzeczowy ton, skoro mówiliśmy o czymś, co mogło okazać się przydatne. – Jak koty. Z wyjątkiem twojego.

– Kiedy wampiry są poza domem, nigdy nie znajdziesz duchów w ich pobliżu. Prawie nigdy – doprecyzowałam. – Ale gdy śpią, ich miejsca zamieszkania roją się od cieni ofiar.

To nie odnosiło się do Stefana. Odkąd go znałam, bardzo pilnował, żeby ludzie, na których żerowali on i jego adepci, zawsze przeżywali. Jedynym duchem w jego domu był Daniel.

– Czyli jest tu jakiś wampir? – zapytał Warren.

Postukałam się po nosie.

– Ostatni wampir był w tym pokoju jakieś pół roku temu. – Okazało się, że w miarę jak mieliśmy do czynienia z kolejnymi wampirami i zombiakami, mój nos stawał się coraz lepszy, jeśli chodzi o martwe, ale ruszające się stworzenia. I lepszy niż nosy wilkołaków. Szczególnie w postaci ludzkiej.

– A ostatnio, jak tu byłaś, widziałaś też duchy?

Musiałam się chwilę zastanowić.

– Nie w domu – przypomniałam sobie. Czulałam je na krawędzi świadomości w tunelach, ale nie tutaj.

– Może Marsilia obłożyła dom jakimiś zaklęciami? – rzucił Warren, wracając do swojej książki z wystudowaną nonszalancją. Jakby nie był zainteresowany duchami, tylko raczej książką, ale nie chciał, żebym o tym wiedziała.

– Zapytam ją o to.

Mama przestrzegала mnie, żebym ostrożnie dozowała kary, które mają obustronny efekt. Miałam brudne ręce i swędziała mnie twarz w miejscach, których dotknęłam. Dotykanie książek nie było tak obrzydliwe jak dotykanie pieniędzy, ale te tutaj stały od lat i były tylko odrobinę przykurzone.

Wspięliśmy się po schodach na poddasze. Przy braku okien i oświetlenia przenikającego z dołu – gasiliśmy wszystkie lampy, wychodząc z pokoiów – panowały tu egipskie ciemności. Widziałam dobrze w nocy, ale nie przy całkowitym braku światła, a tu musieliśmy się poruszać po omacku. Szłam wzdłuż ściany, słysząc, że Warren robi to samo po przeciwnej stronie.

Wreszcie poczułam pod palcami wybrzuszenie kontaktu, który włączyłam. Staliśmy na początku długiego korytarza. Po każdej jego stronie znajdowało się troje drzwi i jedno na samym końcu. Na tę kondygnację zapuszczano się tak rzadko, że nawet nie pachniało tu wampirami.

– Lewa czy prawa? – zapytałam, skoro już znów rozmawialiśmy.

Warren wzruszył ramionami, bo przecież nie miało to znaczenia, ale jakby podjąwszy nagłą decyzję, pomaszerował stanowczym krokiem do pierwszych drzwi po prawej. Zapaliwszy lampę, zamarł w progu. Zaciekawiona jego reakcją zajrzałam do pokoju. Znajdowało się w nim łóżko, szafka nocna i komoda. Och, a ponadto wzdłuż wszystkich ścian regały sięgające aż do sufitu, których półki uginały się od książek. Setek, tysiący książek, w większości tak nudnych, że wydawca musiał zadbać o bardzo atrakcyjne okładki, żeby ktoś zechciał je kupić.

– Nikt nie trzyma książek-skrytek na poddaszu – oświadczyłam stanowczo.

Warren wybuchnął śmiechem. Nie prychnął czy parsknął, tylko oparty o framugę zawodził jak hiena.

– Cóż, gdyby ktoś nas obserwował, to teraz wie z całą pewnością, że tu jesteśmy – stwierdziłam kwaśno.

– Przepraszam, że na ciebie nawarczałem – powiedział, kiedy już się wyśmiał. – Wiem, że chciałaś tylko pomóc...

– Jeśli dodasz „ale” i znów mnie o coś oskarżysz, przysięgam, że przejrzymy każdą książkę w tym pokoju – zagroziłam.

Znów zaczął się śmiać, co dowodziło, że moja archiwistyczno-biblioteczna kara odniosła pożądany skutek.

– Przepraszam, że chciałam pomóc. W końcu znamy się tyle, że powinnam już zaakceptować, że to niemożliwe.

Przytulił mnie.

– Pomogłaś, naprawdę – zapewnił.

Pokój przeszukaliśmy w trzy minuty włącznie z przestrzenią pod łóżkiem. Warren już wrócił do siebie sprzed tego, cokolwiek go gryzło. Odetchnęłam, bo to oznaczało, że z czymkolwiek się mierzy, nie zagraża jego życiu, więc może, może mogę zawierzyć, że poradzi sobie z tym sam.

Przeglądałam zawartość pustego schowka, kiedy usłyszałam potężne łupnięcie. Podskoczyłam i sięgnęłam po broń. Wyszłam ze schowka gotowa bronić nas przed wrogami i ujrzałam Warrena, który zrobiwszy pompkę, zaglądał pod łóżko. Powrócił do pozycji pionowej, odpychając się od podłogi, i wyszczerzył zęby.

– Wystraszyłem cię?

Zabezpieczyłam broń i schowałam ją do kabury. Potem pokręciłam z rezygnacją głową.

– Kto nie uczy się na błędach innych, sam musi je popełniać.

– Z całą pewnością – zaśmiał się.

Kolejne pięć pokoi od pierwszego różniło się jedynie zestawem książek na półkach. W ostatnim zbiór stanowiły encyklopedie. Kilku z nich brakowało, sądząc po przerwach w rzędach. Dopisałam tę kwestię do listy pytań, które zamierzałam zadać Marsilii, jeśli wyjdziemy z tego cało.



Każde z pomieszczeń przeszukaliśmy dokładnie – co nie nastroczało nam problemów. W żadnym nie było nic poza łózkami, pustymi nocnymi stolikami, pustymi komodami i pełnymi biblioteczkami. Warren przy wszystkich łózkach robił te swoje pompki z przytupem. Nie kartkowaliśmy już książek, ale zaglądaliśmy za nie, sprawdzając, czy z tyłu nie ma jakichś papierów. W sypialniach za obrazami znajdowaliśmy sejfy. Podobnie jak trzy większe na niższych kondygnacjach, były otwarte, puste, a kombinacja widniała na paskach przyczepionych na zewnątrz drzwiczek.

Drzwi na samym końcu korytarza prowadziły do apartamentu, który składał się z dużej sypialni, łazienki i niewielkiego gabinetu. Miał znacznie wyższy sufit niż pozostałe pokoje, na wysokości prawie czterech metrów. Z pięknej rozety zwisał wielki żyrandol. Brakowało w nim połowy żarówek – może dlatego, że wymiana wymagała zachodu. A może nikomu na tym nie zależało.

Jedynym meblem tutaj było łóżko. Pewnie mogłabym je opisać dokładnie, nie otwierając drzwi – gigantyczne, mahoniowe, otoczone pluszowymi zasłonami. Zupełnie jakby wyniesiono je z planu filmu „Zorro” z 1950 roku. Stanowiło tak samo przewidywalny, bezpłciowy wybór jak cała reszta wyposażenia w tym domu.

– Sprawdź gabinet – powiedział Warren, rzuciwszy okiem na sypialnię. – Ty zajmij się łazienką. A potem zejdziemy na parter i ponudzimy się w kuchni do powrotu reszty.

– Zawsze możesz wyjść z powrotem tego Lovecrafta i czytać go dalej – podsunęłam.

Uśmiechnął się, skruszony, ale nie oponował.

Łazienka, podobnie jak łóżko, była dokładnie taką łazienką, jakiej można się było spodziewać w tak urządzonym domu. Widocznie istnieje gdzieś jakiś architekt wnętrz specjalizujący się w pomieszczeniach przewidywalnych i należytych.

– Może to pokój z Platońskiego świata form? – mruknęłam, wiedząc, że Warren załapie odniesienie.

Kiedyś mówił, że przez dwa lata woził w torbie przy siodle „Republikę” Platona i czytał ją codziennie. Ja miałam ją jako lekturę na studiach i musiałam potem zdać z niej egzamin. On znał na pamięć całe ustępy, a mnie zostało w głowie tylko o świecie form. I jeszcze, że Sokrates uczył swoich uczniów, zadając im pytania.

– Forma domu w stylu hiszpańskiego kolonializmu, na którym wzorowane są wszystkie inne. – Głos Warrena dobiegł mnie z gabinetu znajdującego się naprzeciwko łazienki.

W rogu pomieszczenia królowała wielka stylizowana wanna na lwich łapach, otoczona małymi stolikami zastawionymi butelkami z dmuchanego szkła, które powinny zawierać mydła i olejki do kąpieli. Na drucianym stojaku piętrzyły się białe puchate ręczniki, na tyle blisko, by łatwo było po nie sięgnąć.

Obracając się, podchwyciłam swoje odbicie w lustrze. Twarz miałam pokrytą ciemnymi smugami w miejscach, gdzie jej dotknęłam. Popatrzyłam na rękę.

– Kolekcja książek Marsilii jest strasznie wielka i strasznie brudna... – skomentowałam.

– Jesteś w łazience – rozległ się po chwili rozbawiony głos Warrena. – Chyba możesz umyć rękę.

– Myślisz, że nie miałaby nic przeciwko temu? – To miało zabrzmieć żartobliwie, ale tak naprawdę czułam się nieswojo w tej nietkniętej łazience. Odnosiłam wrażenie, jakby nie chciała zostać użyta.

– W razie czego odkupisz jej nowy ręcznik i dołożysz do tych wszystkich drzwi, które Darryl z przyjemnością rozwała – odparł Warren kpiąco, jakby rozumiał mój opór i uważał, że to śmieszne.

Bo tak było.

– Dzięki!

– Nie ma problemu, kochana. – Źródło głosu znajdowało się bliżej, jakby Warren wrócił już do sypialni. Rzeczywiście, zaraz potem grzmotnął na podłogę, żeby zajrzeć pod łóżko.

Mydło, choć rozpakowane, było nieużywane. Odkręciłam wodę i przez chwilę przyglądałam się podejrzliwie strumieniowi. Zdarzało się, że z długo nieużywanych kranów leciała rdzawa albo śmierdząca woda. Tu jednak popłynęła przejrzysta i bez zapachu, i w dodatku szybko zrobiła się ciepła. Mydło pachniało cytrynami, ale dość delikatnie.

Małym ręczniczkiem umyłam twarz, a potem bardzo porządnie wyszorowałam ręce. Kiedy spływająca woda znów była przejrzysta, zakręciłam ją i wysuszyłam dłonie w ręcznik przy umywalce. Zostały na nim szare smugi, więc najwyraźniej nie zmyłam kurzu aż tak porządnie, jak sądziłam. Zwinęłam wilgotną myjkę i ręcznik i położyłam przy umywalce, żeby ktoś, kto tu sprzątał, ich nie przegapił.

– Łazienka czysta! – zawołałam, ruszając ku wyjściu, gdy nagle kątem oka zobaczyłam coś w wannie. Dałabym głowę, że była pusta, kiedy tu weszłam.

Teraz leżały w niej encyklopedie. Sześć i opierały się rzędem o ściankę. Pochodziły z różnych wydawnictw i były to tomy z różnymi literami. Pierwsza, „The World Book Encyclopedia” miała wytłoczone złotymi literami: „Tom 19 U-V. Kolejna, tego samego wydawnictwa, ale z innego wydania: „Tom 21 W-Z”. Kiedy przesunęłam wzrok na trzecią, „Encyklopedię Britannikę”, „Tom 1 A-Ana” dotarło do mnie, że łącznie tworzą wyraz: UWAŻAJ.

Wyuczona na horrorach hollywoodzkich padłam natychmiast na podłogę. Jednak nic się nie stało. Zrobiło mi się głupio i zaczęłam wstawać z nadzieją, że Adam nie poczuł mojej chwilowej paniki.

– Warren! – zawołałam przyjaciela. – Chyba znalazłam brakujące encyklopedie. A przy okazji duchy, które powinny tu

być.

Nie odpowiedział.

Wróciłam myślami do tego łupnięcia przed chwilą. Tego, które uznałam za część sprawdzania przestrzeni pod łóżkiem. Tyle że przecież upadek nieprzytomnego człowieka brzmiałby tak samo. Zostałam na miejscu, ale sięgnęłam po broń.

– Warren?

Przez więź nie docierały do mnie żadne dramatyczne sygnały. Czyli żył. Nie czuł bólu ani nie był pod wpływem stresu. Zakładałam, że o czymś takim też bym wiedziała. Przysięgłam sobie w duchu, że jeśli to kolejny dowcip, zastrzelę go. Nie miałam w magazynku srebrnych kul, więc prawdopodobnie bym go nie zabiła.

A potem nagle zgasły światła.



## Rozdział 13

**W** głowie rozbrzmiewało mi echo słów Adama: „Nie rozdzielajcie się. Nie traćcie czujności”. Zrobiliśmy z Warrenem jedno i drugie. Głównie z mojej winy. Jednak nie miałam teraz czasu na gdybanie. Musiałam skupić się i działać.

„Broń bez specjalistycznego osprzętu nie sprawdza się w ciemnościach” – mówił nam Adam podczas któregoś z treningów. „Jeśli nie widzicie wyraźnie swojego celu, możecie postrzelić kogoś ze swoich”.

I wilkołaki, i ja widzieliśmy dobrze w nocy, na zewnątrz, gdzie zawsze jest jakieś światło. W domu bez okien byłam ślepa.

Schowałam pistolet i wyjęłam kataną. Nie starałam się zachowywać cicho. Napastnik, który zaatakował Warrena, wiedział, gdzie jestem. Zgasił światła, uznawszy, że całkowita ciemność zadziała na jego korzyść. Moje zadanie polegało na udowodnieniu, że się myli.

Nawet bez możliwości użytkowania zmysłu wzroku nie byłam bezbronna. Pod ciężarem idącego uginały się deski podłogowe, szeleściły tkaniny, a słuch miałam doskonały.

Skupiłam się na tym zmyśle. Wychwyciłam oddech tylko jednej osoby i miałam nadzieję, że to Warren.

Znajdowaliśmy się w domu wampirów. Co prawda za dnia, ale przecież sama widziałam, jak Wulfe budzi się i funkcjonuje po jasnej stronie doby. Jednak wampiry musiały oddychać tylko, gdy udawały ludzi albo gdy mówiły – ponieważ to wymaga przepływu powietrza. Miałam też świetny węch, nawet lepszy niż wilkołaki. Skupiłam się na bodźcach węchowych. Pomagał mi zmysł pozwalający wyczuć magię.

Niestety, nie słyszałam i nie czułam niczego. Co gorsza, kiedy próbowałam sięgnąć do Adama przez więź partnerską, również niczego nie odebrałam. Więź istniała, ale nie mogłam jej dotknąć. To samo stało się z więzią stadną oraz połączeniem ze Stefanem, które wypróbowałam w akcie desperacji. Ktoś mi to uniemożliwiał. Ktoś albo coś. Wiedziałam co.

– Zbieracz Dusz – powiedziałam głośno.

Powiew powietrza sprawił, że uniosłam katanę, zasłaniając się nią. I wtedy coś się z nią zetknęło. Nie był to cios, raczej lekkie uderzenie metalu o metal, brzęknięcie, nie gwałtowny szcęk.

Wulfe się ze mną drażnił.

Musiałam założyć, że mój przeciwnik wie, gdzie dokładnie stoję. Może Wulfe miał jakiś specjalistyczny osprzęt, o którym mówił Adam? A może wampiry nie potrzebują w ogóle żadnego światła, żeby widzieć? Tak czy owak stanie i czekanie na atak kogoś, kto mnie widział, a ja jego nie, to głupia strategia.

Wyprysnęłam z łazienki, kierując się na pamięć do drzwi. Otarłam się ramieniem o coś miękkiego, jakby czyjeś ciało, ale nie na tyle mocno, żebym przy kolejnym kroku nie zdołała odzyskać równowagi. Nie pozwoliłam, by to zachwianie mnie spowolniło.

Założyłam, że światło zgasło w całym domu, ale jasna linia pod drzwiami świadczyła, że się myliłam. Napastnik zamknął

drzwi, więżąc nas w środku, ale wyłączył oświetlenie tylko w apartamencie. Blask prześwitu z korytarza nie wystarczył, żebym zdołała przebić wzrokiem ciemność. Dawał mi jednak punkt odniesienia.

W sypialni stało tylko wielkie łóże, i to pod ścianą, nie istniało więc ryzyko, że o coś się potknę, przesuwając się w kierunku drzwi, jednak pomieszczenie było duże, jakieś sześć na dziewięć metrów, a moja droga wypadła po przekątnej.

Wulfe mnie ścigał. Nie słyszałam go, nie wyczuwałam jego zapachu, tyle że deski uginały się pod moimi stopami. Stąd wiedziałam, że jest tuż za mną.

Uderzyłam dłonią w przełącznik, ponownie oświetlając pokój, i odbiłam się od ściany jak pływak na zakręcie. Kiedy prędkość jest twoją jedyną supermocą, uczysz się różnych tricków. Tym razem runęłam w stronę, skąd dobiegał mnie odgłos oddychania. W stronę Warrena.

Za plecami usłyszałam huknięcie w drzwi, jakby ktoś chciał je zamknąć, mimo że ich nie otworzyłam. To oznaczało, że miałam rację, zapalając światło, a nie próbując wydostać się z pokoju, czego i tak nie brałam pod uwagę, żeby nie zostawić Warrena samego. Cóż, to tylko potwierdziło, że ten moralnie wątpliwy plan i tak by się nie powiódł.

Warren leżał na podłodze przy łóżku, całkiem bezwładnie. Jego mięśnie były aż zanadto rozluźnione jak na trupa.

Skarciłam się w duchu, przecież słyszałam jego oddech. Nie mogłam się zatrzymać, nie chciałam też sprowadzać Wulfe'a w pobliże bezbronnego wilkołaka, więc biegłam dalej.

Nagle cały pokój wypełnił się magią tak gęstą, że rozkaszałam się, gdy zaczęła mnie drapać w gardle, i w efekcie się potknęłam. Upadając, przetoczyłam się po podłodze i zerwałam natychmiast na nogi. Coś osłaniało się, ale postanowiło wyleźć z ukrycia, coś, co smakowało jak mrok.

– Zaklepane! – zawołałam, wskakując na środek okrągłego dywanu leżącego pomiędzy łóżkiem a drzwiami. Miejsce było dobre jak każde inne. Plus w ten sposób odgradzałam sobą Warrena od Wulfe’a. Warrena od Żniwiarza.

Stał przy drzwiach z poszczerbionym sierpem w lewej ręce. Najwyraźniej nie zamierzał ponownie gasić światła, jakby to był tylko żart, który się skończył i nie należało go powtarzać.

Tak jak wtedy na dachu, miał na sobie poszarpaną, brązową szatę przypominającą mnisi habit oraz kapotę z kapturem. Tym razem jednak twarzy Wulfe’a nie skrywała ciemność.

Ale i tak Żniwiarz zdecydowanie mniej przypominał Wulfe’a, którego widziałam zeszłej nocy. Przykurczony, wyglądał bardziej podobnie do tej wyniszczonej, złamanej istoty ze wspomnień Stefana. Miał ściągniętą, zapadniętą twarz, jakby nie pożywiał się i nie spał od wielu dni. Brakowo w niej także pewnych istotnych części.

Nic dziwnego, że ciemność mu nie przeszkadzała.

– Bonarata ma jakąś obsesję oczną? – zapytałam, osłaniając się kataną i żałując, że to nie kordelas, z którym ćwiczyłam tak długo, aż poczułam, jakby był przedłużeniem mojej ręki. Katana, choć niewiele dłuższa, miała inny ciężar i była inaczej wyważona, więc posługiwanie się nią nie przychodziło mi tak odruchowo.

Zastanawiałam się, na co Wulfe czeka.

Jego szata poruszyła się jakby targnięta podmuchem wiatru, choć powietrze w pokoju stało. Gdy Żniwiarz przemówił, z ust Wulfe’a nie dobył się żaden dźwięk.

*Mój sługa nie potrzebuje oczu* – usłyszałam w głowie przekaz Zbieracza Dusz.

Komunikacja odbywała się na takiej samej zasadzie, jak pomiędzy mną i Adamem. Ale obecność tego bytu w mojej głowie odczuwałam jak przemoc. Niczym zarzewie zgnilizny.



Przesunęłam jednak przeżywanie wstrętu na późniejszy termin i skupiłam się na treści, która do mnie docierała. Przypomniałam sobie gęstą woalkę Marsilii i to, że z nikim nie nawiązywała kontaktu wzrokowego. W prześwitach to, co ujrzałam pod zasłoną, mogło być raną. Skojarzyłam też, że w jednej z wizji czy snów Stefan również nie miał oczu.

*Oczy umożliwiają wrogowi zajrzenie w głąb.*

Gdy drugi raz odebrałam słowa Zbieracza Dusz w mojej głowie, zrozumiałam, że trochę błędnie porównałam to do komunikacji z Adamem, który przemawiał poprzez więź partnerską. Zbieracz Dusz robił to przez inne połączenie, znacznie silniejsze, niż się spodziewałam.

Niepokoilo mnie, że umilkł. Bez względu na to, jak okropne uczucie budził fakt, że mam ten byt w głowie, im dłużej go zajmowałam, tym większa szansa, że Adam zdąży mnie znaleźć.

Zresztą nie chodziło tylko o słowa. Odbierałam również koncepty, całą masę, tłoczyły się, kłębiły. Pojęłam, że świat Zbieracza to świat dusz. Rozumiałam wiarę, a raczej jego prawdę, że oczy są wrotami do nich. Na jakimś fundamentalnym poziomie zrozumiałam mechanizm pozwalający wampirom zamrażać w miejscu ofiary samym spojrzeniem. Wiedziałam, że gdyby Wulfe nadal miał oczy, ktoś taki jak Marsilia mógłby wyrwać go spod wpływu sierpa.

A wszystko to w ułamku sekundy.

Wiedziałam już, że Bonarata torturował Stefana, Marsilię i Wulfe'a. Tego ostatniego oddał Zbieraczowi Dusz, ale przygotował pozostałą dwójkę na zapasowe naczynia. Bonarata uważał, że pozbawił ich oczu z powodu kaprysu. Nie pojmował bowiem konieczności uczynienia tego.

– Czy Bonarata jest świadomy, że podejmujesz za niego pewne decyzje? – zapytałam na głos.

Zbieracz roześmiał się w mojej głowie.

Miałam ochotę potrząsnąć nią, żeby pozbyć się tego śmiechu, ale nie mogłam oderwać wzroku od Wulfe'a. Widziałam, jak ten wampir walczy. Musiałam być czujna, musiałam przewidzieć moment, kiedy postanowi mnie zaatakować. Obszerne ubranie zakrywało oznaki, które zazwyczaj wykorzystywałam – nie zobaczyłabym napięcia w ramionach ani przenoszenia ciężaru z nogi na nogę. Oczywiście nie mogłam też patrzeć mu w oczy.

I nadal nie potrafiłam rozgryźć, dlaczego Zbieracz Dusz postanowił zatrzymać się na rozmowę ze mną. Nie sądziłam jednak, że potrwa to długo. Walka musiała rozgorzeć, prędzej czy później. Taki był cel Zbieracza Dusz – zabierać dusze.

Miałam za sobą ponad dziesięć lat treningów pod kierunkiem senseia i trzy codziennych sparringów z Adamem. Całkiem nieźle radziłam sobie w walce z przeciwnikiem mniej więcej mojej kategorii wagowej i o podobnych możliwościach. Ale Wulfe posługiwał się ostrzem od Bóg wie kiedy.

Może byłam nieco szybsza, o tyle, o ile byłam szybsza od większości wilkołaków, co jednak nie dawało mi znaczącej przewagi. Do tego byłam od niego mniejsza i o wiele słabsza.

Jeśli moje życie miałyby zależeć od katany, to koniec ze mną.

– Czemu ja? – zapytałam, chcąc sprawdzić, czy zdołam go wciągnąć w pogawędkę.

Jeśli był w rozmownym nastroju, może udałoby mi się wymyślić, jak przeżyć. Już przecież odkryłam, że gdyby Wulfe mógł widzieć, dałoby się go wyrwać spod kontroli Zbieracza Dusz. Choć tej informacji nie da się wykorzystać, dopóki wampir nie naje się na tyle, żeby jego oczy miały szansę się zregenerować. Czyli z pewnością nie przez kolejne kilka minut.

– Nie pasuję raczej do twojej kategorii celów – ponowiłam próbę, kiedy nie odpowiadał.

*Ofiar* – poprawił, a na mnie spłynęła świadomość, że moja śmierć ma służyć wyższej sprawie. Że powinnam się radować, gdy krew z mego ciała spłynie na ziemię, a magia mojej śmierci

i duszy połączy się z tymi, którzy odeszli wcześniej. Pojęłam nawet dogłębnie wyrażenie „tymi, którzy odeszli wcześniej”.

Duszami zebranymi razem i trwającymi w czasie, złączonymi ze Zbieraczem od dnia śmierci ciał. Zbieracz Dusz postrzegał je indywidualnie w ten dokładny, dogłębny sposób, jak ja odbierałam duszę Aubreya Wortha. Różnica polegała na tym, że ja czułam smutek z powodu śmierci chłopaka, a Zbieracz Dusz nie czuł niczego. Nie. Nie niczego. Czuł zadowolenie.

– Tak wiele istnień – wyrwało mi się pod wpływem ich ogromu.

*Wypuszczenie mego pana na ten świat wymaga złożenia wielu ofiar.*

Zrozumiałam, że z biegiem lat rodzaj ofiary, jaką można było wpleść w sieć tworzoną przez tę istotę, znacznie się zawężił. Pajęczyna nabrała cech charakterystycznych ofiar, stając się coraz mniej elastyczna w kwestii tego, co może przyjąć. Zyskałam wgląd, jak wielu zginęło na darmo, zanim Zbieracz Dusz zorientował się, że musi ukierunkować swe polowania.

Ofiary musiały posiadać moc, ale niezbyt wiele, do tego niewielkie umiejętności posługiwania się nią. Magia musiała być na tyle plastyczna, by dała się odpowiednio kształtować.

Przeniknęłam rozumem to, że gdy zniszczyłam sieć pająkostwora, Zbieracz Dusz mógł przejrzeć mnie lepiej niż innych przed złożeniem ich w ofierze. Odsłoniłam przed nim duszę – tak, to było piramidalnie głupie i obiecałam sobie, że następnym razem w podobnej sytuacji rzucę krzesłem albo czymś takim – pozwalając dostrzec mu, że płonie we mnie iskra boskości, która może wystarczy, aby ożywić zaklęcie.

Przy pierwszym spotkaniu nazwał mnie córką Kojota.

Ale nie chodziło mu jedynie o Kojota. Pragnął też wilkołaków z naszej watahy – jak to dobrze, że odłączyliśmy się od Brana, inaczej Zbieracz Dusz sięgnąłby po każdego wilkołaka, z którym Marrok jest połączony. Oczywiście o ile Bran nie zdołałby go

powstrzymać. Stanowiłam też część chmary poprzez więź krwi ze Stefanem, który z kolei był związany z resztą chmary, ze swoją stwórczynią i jej stwórcą. I z Bonarata, i każdym połączonym z nim.

Bonaracie podlegały wszystkie wampiry w Europie, ale też, jak Marsilia powiedziała kiedyś Adamowi, i większość w Stanach Zjednoczonych. A za pośrednictwem krwi Zbieracz Dusz zyskiwał dostęp do tysięcy kontrolowanych przez nie ludzi.

Zbieracz Dusz rozumiał dusze, a najwyraźniej wszystkie więzi łączące wilkołaki z innymi wilkołakami i wampiry z innymi wampirami były połączeniami dusz.

Naprawdę, naprawdę powinnam była rzucić krzesłem.

– Ale przecież masz już Wulfe’a – zaprotestowałam.

*Wampiry są martwe. Nie mogą być ofiarami.*

Na mgnienie pojęłam, naprawdę pojęłam sens tej wypowiedzi – że wampirom brak magii definiującej życie – ale tak wiele informacji napływało do mojego umysłu, że nawet nie próbowałam zatrzymać się przy tej jednej. Zbieracz Dusz potrzebował żywego kanału dostępowego do wampirzej sieci więzów krwi z jakiegoś powodu...

Kojot, między innymi, był przewodnikiem umarłych. Bardzo starałam się, żeby Zbieracz nie wyłowił tej myśli.

...z jakichś powodów moje połączenie ze Stefanem mogło zadziałać, a inne pomiędzy wampirami a ludźmi nie.

Zrozumiałam, że jedynie moja śmierć w wyniku czegoś innego niż cięcie sierpem ofiarnym mogła powstrzymać to, co planował zrobić Zbieracz Dusz. A chwilowo nie miałam możliwości popełnienia samobójstwa na tyle szybko, by Zbieracz Dusz nie zdążył zadać ciosu.

*Składając z ciebie ofiarę, ukończę me zadanie.*

– Ach tak – wydusiłam przez ściśnięte gardło.

Czemu wobec tego Wulfe się nie ruszał? Czemu Zbieracz Dusz nie zmusił go, by zabił mnie natychmiast? Czemu w ogóle ze mną rozmawiał?

Jak by to było, myślałam, istnieć tyle czasu? A wiedziałam, jak długo istniał, zyskałam tę wiedzę w ten sam sposób, w jaki posiadałam wgląd w życie Aubreya. Jak by to było istnieć przez te wszystkie wieki tylko w jednym celu i nagle się do niego tak zbliżyć? Co stanie się ze Zbieraczem Dusz? Czy przestanie istnieć?

Czy bał się tego?

Otworzyłam usta, żeby o to zapytać, i w tej chwili Żniwiarz ruszył na mnie, a potem byłam już zbyt zajęta na konwersację. Poczułam, jak Zbieracz Dusz wycofuje ze mnie swoją świadomość, a całą moją uwagę skupił na sobie Wulfe.

Tajną przyprawą do stworzenia dobrego wojownika jest ćwiczenie. Jeśli trzeba się zastanawiać nad tym, co się robi, robi się to zbyt wolno. Ja ćwiczyłam z moim kordelasem do upadłego. Ale nie z kataną. Odruchy, które sobie wyrobiłam, pomagały, ale różnice w posługiwaniu się jednym a drugim ostrzem wybijały mnie z rytmu.

Wirując i wyprowadzając ciosy w śmiertelnościami tańcu, zastanawiałam się, dlaczego Bonarata dał Zbieraczowi Dusz Wulfe'a, a nie Stefana. Wobec Marsilii z pewnością miał większe plany. Na przykład, żeby zrobić z niej swoją niewolniczo wierną wyznawczynię. Albo zabić w jakiś spektakularny sposób, o którym opowiadano by przez całe stulecie. Bonarata był zazdrosny o Stefana. Lecz z tej pozostałej dwójki Zbieracz Dusz miałby łatwiejsze zadanie ze Stefanem.

– Stefan jest stary, potężny i twardy, ale nie jest szalonym magiem i nieprzewidywalnym czarownikiem. Czemu Bonarata wybrał ciebie, Wulfe? – zapytałam.

Sierp ciął znienacka w moją stronę, udało mi się jednak zrobić unik i ostrze minęło moje gardło. Zrobiłam wypad

z kataną jak z floretem czy włócznią, zmuszając Żniwiarza, by się cofnął. Na jego szacie na wysokości biodra wykwitła ciemna plama.

– Czemu ty? – powtórzyłam.

W umyśle pojawił mi się obraz obciągniętego skórą szkieletu kryjącego się za spódnicą Marsilii, a w tle zakrwawiony loch i trupy.

Zamrugalam i znów znalazłam się w nieużywanej sypialni, na czas, by zdążyć uchylić się przed łokciem Wulfe'a. Ten przeskok we wspomnienie Stefana był niebezpieczny. Nie mogłam dopuścić do tego, żeby się powtórzył.

Bonarata przez wieki poddawał Wulfe'a mękom. Zmienił go w to godne pożalowania stworzenie, ale Wulfe, choć złamany, pozostał sobą. Bonarata starał się posłużyć nim, żeby osłabić Marsilię, szpiegować ją, i Wulfe wykonywał posłusznie rozkazy Bonaraty, jednak pokrętnie je zniekształcając.

Przypomniałam sobie słowa wypowiedziane w lochu przez Stefana. Bonarata bał się Wulfe'a. Coś powstrzymywało go przed bezpośrednim zabiciem Zaklinacza. Tylko co? Może po prostu to, że zabijając go, przyznałby się do swego lęku? Zakładał jednak, że Wulfe nie przeżyje opętania przez Zbieracza Dusz.

Teraz dużo dogłębniej niż godzinę wcześniej rozumiałam, co Zbieracz Dusz robi z tym, kto go dzierży. I rozumiałam, dlaczego Bonarata wierzył, że Wulfe tego nie przetrwa.

Jednak ja widziałam to pokiereszowane stworzenie, które Stefan z Marsilią uwolnili z lochów Bonaraty. Wiedziałam, że przetrwał coś niewyobrażalnego. Gdybym była hazardzistką, postawiłabym na Wulfe'a. Hm, lubię dreszczyk ryzyka.

Adam twierdził, że to przez mojego kojota. Oczywiście nigdy nie zdołam się przekonać, czy wygrałam, ponieważ nie dożyję tej chwili.

Przy okazji tej myśli uderzyło mnie to, że jeszcze nie zginęłam. Przed walką oceniałam swoje szanse na utrzymanie się na parę sekund. Naprawdę nie powinno to potrwać więcej.

Straciłam poczucie czasu, ale zdążyłam już się spocić i dostać lekkiej zadyszki. Porównując ten stan ze sparringami z Adamem, oceniłam, że walczę z Wulfe'em jakieś trzy, cztery minuty.

A minuta w walce to dużo, szczególnie w walce na ostrza. A przecież nie byłam na tyle dobra, by tak długo opierać się Wulfe'owi.

A może Zbieracz Dusz zwlekał, bo moja śmierć oznaczałaby osiągnięcie celu i jego koniec?

Wymieniliśmy jeszcze kilka natarć i ripost, czułam, że tracę szybkość. Kiedy Żniwiarz mnie odepchnął, potrzebowałam dłuższej chwili, żeby odzyskać równowagę. Powinien to wykorzystać i zadać ostateczny cios – ale tego nie zrobił.

Pewien król uwięził Zee, a Zee zrobił puchary z czaszek jego dzieci... Niektóre istoty są niewdzięcznymi więźniami.

W przyływie nadziei pomyślałam, że niezwykle trudno byłoby nagiąć wolę Wulfe'a, by zrobił coś, czego nie chciał. Ja bałabym się w ogóle próbować.

Szpic sierpa drasnął mnie w łopatkę, rozcinając koszulkę, ramiączko od stanika i zadrapując skórę. Poczułam, jak świadomość Zbieracza Dusz zakotwicza się we mnie mocniej, jak jego magia wnika, choć udało mi się chlasnąć na odlew kataną, zmuszając Żniwiarza do cofnięcia się.

Wulfe służył Zaklinaczowi Dusz dokładnie w ten sam sposób jak Bonaracie. To dlatego przetrwałam już mniej więcej pięć minut tej walki.

Oj, Bonarato, to był bardzo, bardzo zły pomysł, powiedziałam sobie w duchu. Czeka, czeka, jeszcze ci to wybuchnie w twarz.

Dostaniesz nauczkę, żeby nie zadzierać z córką bóstwa chaosu. Wysłałeś Zbieracza Dusz, żeby mnie zabić? Jeszcze tego

pożałujesz.

Znów odbiłam sierp, a wtedy Wulfe zanurkował i mnie ukąsił. Zaskoczona, odtoczyłam się i...



Szłam z kimś ramię w ramię po reprezentacyjnych ogrodach chmary. Krzewy róż po obu stronach ścieżki były ode mnie wyższe. Nie wiem czemu, ale ten spacer bardzo mnie niepokoił. Jakby był czymś niebezpiecznym. Nie powinnam spacerować po ogrodzie. Nie powinnam...

– Skup się – powiedział Wulfe ostro.

Już miałam odwrócić ku niemu głowę, ale mnie powstrzymał, zanim zdołałam go zobaczyć.

– Nie. Nie mamy na to czasu.

Przecież w tej chwili powinnam walczyć ze Żniwiarzem... czyli z Wulfe'em... A w każdym razie po części z Wulfe'em. I rzeczywiście, broniłam się odruchowo, przebywając jednocześnie we śnie, do którego wciągnął mnie Wulfe.

– Pamiętasz Frosta...

– Frosta? – A co nasza sytuacja miała wspólnego z Frostem? Zapominając o przestrodze, popatrzyłam na Wulfe'a pytająco. Jednak moje postrzeżenie zostało zmienione przez więź ze Zbieraczem Dusz, który posmakował mojej krwi i który funkcjonował w świecie dusz.

I ZOBACZYŁAM Wulfe'a...



Sierp zahaczył katanę i wyrwał mi ją z ręki w tej samej chwili, gdy łokieć Wulfe'a... Żniwiarza grzmotnął mnie w szczękę, przewracając na ziemię.



Przetoczyłam się, wykorzystując impet ciosu, i odruchowo sparowałam uderzenie na odlew kosturem, dopiero w trakcie uświadamiając sobie, że mam go w ręku. Nie zamachnęłam się na sierp, celowałam w Wulfe'a.

Stal kocha ciało, lubił mawiać Adam, choć brzmiało to tak, jakby kogoś cytował. Drewno kocha kość.

Trafiłam wampira w nadgarstek i usłyszałam trzask łamanej kości.

Żniwiarz upuścił sierp i przez mgnienie mogłam podnieść narzędzie, ale prędzej wsadziłabym rękę w rdzeń reaktora jądrowego, niż dotknęła tego przeklętego przedmiotu.

Wiedziałam, czym jest Wulfe. ZOBACZYŁAM go, widziałam moc, którą nadal dysponował, a choć złamany i pokiereszowany, posiadał ogromną wolę ochrony własnego umysłu, znacznie większą magię niż moja. Skoro Zbieracz Dusz zdołał przejąć kontrolę nad Zaklinaczem, ja nie miałabym z nim najmniejszych szans.

Żniwiarz zgarnął sierp prawą ręką, jeszcze zanim artefakt zetknął się z podłogą, a potem kontynuował walkę jak gdyby nigdy nic.

Z kataną w dłoni czułam się niepewnie, a z kosturem... To dziwne, ale lepiej. Po zastanowieniu stwierdziłam, że nawet lepiej niż z kordelasem. Jakbym kosturem walczyła od urodzenia. Ale jeśli wcześniej zadawałam ciosy, unikając bezpośredniego trafienia kataną w sierp, to z kosturem zrobiłam się jeszcze bardziej ostrożna.

Nie mogłam oprzeć się przeczuciu, że jeśli sierp wbilby swe przeklęte ostrze w drewno laski, stałoby się coś straszego. Z drugiej strony lada moment mogło się wydarzyć coś straszego tak czy siak. Walczyliśmy już całe wieki jak na tego rodzaju intensywną aktywność fizyczną. I ja, i Żniwiarz krwawiliśmy z ran.

Wiedziałam, że jeśli szybko nie zmienię charakteru tego starcia, to tym strasznym wydarzeniem będzie moja śmierć, nawet jeśli Wulfe'owi udawało się do tej pory odgrywać niechętnego napastnika. A nie chciałam być częścią tego, co stanie się, wedle przewidywań Zbieracza Dusz, po mojej śmierci.

Ale ZOBACZYŁAM Wulfe'a.

Wykorzystałam kolejny ruch ciała, żeby stanąć pewniej, i zebrałam magię, która pozwalała mi rozmawiać ze zmarłymi, magię, którą rozumiałam dużo lepiej, odkąd Zbieracz Dusz pokazał mi swój świat dusz i połączeń pomiędzy życiem a śmiercią. Staralam się ukształtować ją tak, jak wtedy, gdy sprowadzałam ostateczną śmierć na zombi. Robiąc to instynktownie, włączyłam w pole jej działania Wulfe'a, przez co stracił przytomność. Liczyłam, że uda mi się to powtórzyć.

Od tamtego wydarzenia zastanawiałam się, czy pozbawiłam go przytomności. Zafundowałam mu wampirzy odpowiednik wstrząśnienia mózgu. Nie miałam wątpliwości, że efekty wykraczały poza fizis. Zachowywał się trochę jak pijany człowiek. Możliwe więc, że musnęło go zaklęcie, które rzucałam na zombi, że został odurzony rykoszetem.

Ale bez względu na to, co się wtedy stało, przed chwilą ZOBACZYŁAM Wulfe'a. Może gdybym nie walczyła o życie, pokusiłabym o analizowanie, jakim cudem zyskałam taki wgląd w niego, ale ponieważ siedział mi w głowie Zbieracz Dusz, nie miałam czasu na okłamywanie się.

Widziałam duszę Wulfe'a. Dowiedziałam się, dlaczego mnie nachodził i czego ode mnie chciał.

Ujrawszy Wulfe'a w jego śnie, podczas spaceru w ogrodzie chmary, pojęłam dokładnie, co uczyniłam na podwórku Elizawiecy. Na mgnienie oddałam Wulfe'owi samego siebie, przywróciłam mu stan sprzed tortur Bonaraty, sprzed wielu wieków. Znów stał się tym uczonym wędrowcem, poetyckim

przyjacielem Marsilii, tym, który grał na fidelu, siedząc na drzewie w świetle księżyca.

Wulfe łudził się, że znów przywróce mu to poczucie kompletności, nienaruszenia, tym razem na stałe. Że go ocale. Ale ujrzawszy blizny, jakie pozostawiła w nim przeszłość, wątpiłam, czy to w ogóle możliwe, żeby wrócił do siebie sprzed tych wydarzeń. Choć dałam mu chwilę wytchnienia, raczej nie posiadałam magii zdolnej naprawić wyrządzone mu szkody.

Ale mimo że nie mogłam wymazać krzywd, miałam nadzieję, raczej niewielką, że może uda mi się wyrwać go spod kontroli Zbieracza Dusz. W końcu sam Zbieracz Dusz powiedział mi, że może nie zdołałby opanować Wulfe'a, gdyby Bonarata go wcześniej nie oślepił.

Przywołałam do siebie każdy strzęp magii, jaki zalegał w sypialni, nie zważając, że należała do Zbieracza Dusz. A choć moja więź stadna nie uległa zerwaniu, to albo działanie artefaktu, albo zaklęcia nałożone przez Marsilię na dom uniemożliwiały mi czerpanie przez nią mocy. Dlatego przywołałam duchy zakotwiczone do siedziby chmary za pomocą nierozzerwalnych więzów zadzierzgniętych przez wstrząs wywołany straszną śmiercią, a one przybyły pomimo swego lęku przed znajdującym się w pokoju wampirem. A kiedy kostur nakarmił mnie nimi, zaczęłam czerpać również z tańca ostrza i kija, który prowadziłam ze Żniwiarzem.

A gdy już nie mogłam pomieścić w sobie więcej mocy, odrzuciłam kostur, zanurkowałam pod ramieniem Wulfe'a, wsunęłam mu się pod pachę i sięgnęłam ku twarzy, jedyemu odkrytemu miejscu na jego ciele.

Poczułam pod rozgrzanymi ruchem i magią palcami chłodną skórę, a potem wyszeptałam, wkładając w ten szept całą kojocia moc:

– Odpoczywaj w pokoju.

Zesztywniał, jego płynne ruchy nagle stały się niezborne. Ale nie zatrzymał się.

Wykręcił się i chwycił mnie za ramię. Był ode mnie dużo wyższy, silniejszy, a ja całą energię wkładałam w utrzymanie przepływu magii. Nie mogłam się bronić. Cisnął mnie na drugi koniec pokoju. Pchnął we mnie też jakąś swoją magię, lecz działanie nadnaturalnej mocy i uderzenie potylicą o ścianę zlały się w jeden wielki ból.

*Wstawaj! Wstawaj!* – szeptał mi w uchu Aubrey. Czułam chłód jego palców na twarzy.

Powoli przestało mi się mienić przed oczami. Aubreya nigdzie nie zobaczyłam. Za to Żniwiarza owszem.

Szedł ku mnie, nonszalancko wywijając sierpem niczym tenisista raketą podczas rozgrzewki. Nie musiał się spieszyć. Nadal leżałam oszołomiona ciosem albo magią. Mój wzrok działał już bez zarzutu, widziałam więc pokryte strupami rany w miejscach, gdzie niegdyś znajdowały się niebieskie oczy Wulfe'a. Na moment zatrzymał się przede mną. Zdołałam unieść ramię. Udałoby się, pomyślałam. Gdybym miała odrobinę więcej czasu, udałoby mi się go wyzwolić.

Sierp opadł na mnie z taką szybkością, że aż świsnęło przecinane powietrze.

Ostrze chybiło, mijając mnie, i uniosło się ponownie z siłą, jakiej nigdy nie byłabym w stanie z siebie wykrzesać. Ale Wulfe był ode mnie silniejszy. Nierówny metalowy hak zagłębił się w brzuchu Wulfe'a, z którego wylały się wnętrzności i krew. Wszystko to wydawało się tak nierealne, jakbym oglądała jedną ze scen walki w filmie Quentina Tarantino.

Wściekłe wycie Zbieracza Dusz rozbrzmiewało mi w głowie i tylko w głowie, a Wulfe się śmiał. Wyglądało na to, że moja magia podziałała. Chociaż nie wyobrażałam sobie, że właśnie to Wulfe robi z momentem wolności – konstrukcja wampirów nie

przewidywała samopoświęcenia czy samobójstwa. To właśnie opór wobec śmierci czynił je wampirami.

Stojąc w kałuży własnej krwi, Wulfe spróbował rozluźnić palce, otworzył dłoń, ale zanim sierp uderzył o podłogę, błyskawicznym ruchem znów pochwycił go w ostatniej chwili, zaciskając rękę na owiniętej rzemieniem rękojeści. Zastygł niczym posąg z sierpem w dłoni, brocząc krwią.

Wielkim wysiłkiem udało mi się poruszyć, a raczej drgnąć. Żniwiarz tymczasem zatoczył się w stronę Warrena, robiąc w kierunku nieprzytomnego wilkołaka kilka ciężkich kroków.

Nieprzytomnego... Nie byłam w stanie nic zrobić, gdy kucnął przy wilkołaku i pochylił się ku niemu. Nie widziałam, co robił, ale słyszałam. Żerował.

Dzięki krwi wampiry mogły uleczyć rany, ponieważ, choć ku memu zaskoczeniu okazało się, że posiadają one dusze, nie były tak naprawdę żywe. Nie rozmnażały się płciowo i nie mogły się regenerować, korzystając z naturalnych zdolności biologicznych. Musiały czerpać siłę uzdrawiania z krwi swojej ofiary.

Zbieracz Dusz zamierzał uzdrowić ciało Wulfe'a, zanim złoży mnie w ofierze. Spoglądałam na ciemną kałużę na podłodze przede mną. Bardzo wielką kałużę. Zastanawiałam się, dlaczego postanowił żerować na Warrenie, zamiast na mnie.

– Ten jest naprawdę niebezpieczny – rzucił Kojot konwersacyjnie. Wyobrażałam sobie, że gdybym zdołała przekręcić głowę, ujrzałabym go kucającego przy mnie.

– Który? – zapytałam.

Wulfe zdawał się nie słyszeć moich słów, a to oznaczało, że Kojot zapewnił nam prywatność.

– Obaj. Wszyscy. Ale najważniejsze to zniszczyć to narzędzie, córko. Przez szczelinę, którą tworzy, nie wejdzie do tego świata przyjazny bóg. – Rozważył swoje słowa. – Możliwe, że zamierza przywołać pożeracza światów.

Mój mózg nie bardzo nadążał za tym, co się działo. Poznałam to po tym, że rozmawiałam sobie tu z Kojotem, podczas gdy Zbieracz Dusz wykorzystywał ciało Wulfe'a, by żerować na moim przyjacielu. I ponieważ to, co powiedziałam jako następne, było dość głupie.

– Zabiliśmy przecież diabła rzecznego – obruszyłam się. I owszem, poczułam się urażona. Zabiliśmy tamten byt, pożeracza światów, i to ogromnym kosztem. Miałam święte prawo oczekiwać, że pozostanie martwy.

– Rzeczny diabeł był narzędziem wielkiego zniszczenia. Jego ciało było środkiem, za którego pomocą można było pochłonąć nasz świat. Swego rodzaju metaforą.

– Całkiem konkretną jak na metaforę. Najpierw tygodniami leżałam w łóżku przez zadane przez nią metaforyczne rany, a potem poruszałam się na wózku, i to nie sama, bo nie mogłam nawet popychać kół obolałymi rękami.

– Żadna zasada nie mówi, że metafora nie może być konkretna – pouczył mnie Kojot. – Ale jeśli to tutaj...

– Zbieracz Dusz – podsunęłam machinalnie i serce mi zamarło, bo Wulfe przestał pić, nieruchomiejąc.

Po chwili jednak znów podjął żerowanie.

– Nie wymawiaj jego imienia – upomniał mnie Kojot łagodnie. – Jeśli nie chcesz przyciągać jego uwagi.

– On pragnie dostać ciebie. Poprzez mnie.

Kojot przytaknął skinieniem. Nie widziałam tego, ale wiedziałam, że właśnie to uczynił.

– Niebezpieczny – powtórzył. – Całkiem możliwe, że przywołuje coś, co dawno już się zdeintegrowało bądź reintegrowało z Wielkim Duchem. Ale nawet jeśli, to przywołanie czegoś tak wielkiego najprawdopodobniej skończy się katastrofą. Na tym świecie jesteś moim sercem i moimi rękami, Mercedes Atheno Thompson.

– Hauptman – dodałam.

– Ach, oczywiście. To niezwykle istotna część twego imienia. Nigdy o tym nie zapominaj.

Ciepłe palce spoczęły na mojej głowie w geście pożegnania albo błogosławieństwa. Choć całkiem możliwe, że pożegnania ostatecznego w typie: „Żegnaj. Dzisiaj umrzesz”. Po Kojocie można się było spodziewać wszystkiego.

Kilka sekund, które wydawały mi się godzinami, później ocknęłam się z zamroczenia. Odzyskałam również władzę w rękach i nogach. Raczej nie było to zasługą Kojota, ale zbyt gorączkowo myślałam nad czymś innym, by zastanawiać się jeszcze nad tym.

Wampiry z zasady nie zabijały tych, na których żerowały. W zamian mogły zachować swoje istnienie w tajemnicy przed śmiertelnikami. Ten układ obowiązywał od bardzo, bardzo dawna. Sprawdzał się na nas wszystkich. Wampiry przestrzegały tej zasady – przeważnie – ewentualnie przykładały się do ukrywania „wpadek”, które zdarzały na tyle często, by ich domy roiły się od duchów. Nie mogłam jednak ufać, że Wulfe w obecnym stanie opętania zastosuje się do reguł i pozostawi Warrena przy życiu.

Na oślep sięgnęłam po kostur – to był najlepszy sposób, żeby mieć pewność, że się pojawi – i zacisnęłam na nim palce, a potem zerwałam się na nogi.

W tej samej chwili drzwi eksplodowały.

Oczywiście nie dosłownie. Ale otworzyły się z takim hukiem, że drewno i okucia nie mogły wyjść z tego cało. Huk był tym bardziej ogłuszający, że poczułam równocześnie gwałtowne otwarcie mojej więzi z Adamem i nagły zalew informacji.

A jeśli kiedykolwiek miałam choć cień wątpliwości, czy jestem kochana i że mój mąż jest straszliwym potworem, gotowym zabić wszystko, co mi zagrozi, to ta chwila wyprowadziłaby mnie z błędu.

Adam runął na żerującego wampira, ale ten, nawet nie podnosząc głowy, zniknął. Nie wiedziałam, że Wulfe potrafi się teleportować, jednak umiejętność tę posiadali Marsilia i Stefan, sensownie było założyć, że to dziedziczne. I mogło pochodzić od Wulfe'a.

Pozbawiony celu Adam z rozpędu uderzył w łożo, żeby nie wpaść na Warrena. Solidna mahoniowa belka, bok mebla, pękła, a nogi, przesuając się, ryły w podłodze głębokie ślady. Ostatecznie kolubryna grzmotnęła w ścianę z siłą rozpędzonej lokomotywy, w wyniku czego reszta łóżka, gipsowa ściana i boazeria odniosły krytyczne obrażenia. Adam utrzymał się na nogach, ale ryczał z wściekłości z powodu utraty zdobyczy, która mu się należała. Tymczasem reszta watahy, nadal w ludzkiej postaci, z łomotem wdarła się do sypialni.

– Tak więc obawiam się, że mimo dwóch napomnień straciliśmy czujność – oznajmiłam w ciszy, która nagle zapadła.  
– Może na przyszłość lepiej zwiększyć liczbę ostrzeżeń do trzech?

Adam bez słowa podszedł, objął mnie i podniósł. Zaboląły wszystkie stare i świeże siniaki, a najbardziej rana na plecach. Ale miałam za sobą parę momentów, kiedy myślałam, że już nigdy mnie nie przytuli, więc przywarłam do niego.

– Warren oddycha normalnie – orzekł Darryl. – Tyle że jego połączenie z watahą jest jakieś dziwne. Jakby uszkodzone.

– Na pewno nic ci nie jest? – upewniał się Adam, puszczając mnie.

– Kilka draśnień i przeklęty sierp, na który trzeba zapolować – odpowiedziałam dziarsko, ignorując ból mięśni i kości, który miał się wzmóc, gdy fala adrenaliny opadnie. – Po wszystkim na pewno znajdę chwilę, żeby skulić się w kącie i trząść ze strachu, ale chwilowo jest dobrze.

Adam podszedł do Warrena, który ani drgnął. Mary Jo, która przeszła szkolenie pierwszej pomocy, ostrożnie obmacywała



mu głowę. Obok niej leżał strażacki toporek, jej ulubiona broń.

– Nie wiem, dlaczego jest nieprzytomny – orzekła. – Mercy, jak długo jest w tym stanie?

– Nie jestem pewna. – Bardzo chciałam sama sprawdzić, co z Warrenem, lecz trzymałam się z dala. Mary Jo i Adam lepiej znali się na udzielaniu pomocy. – Byłam trochę zajęta i straciłam poczucie czasu. A potem oberwałam klątwą i straciłam tak jakby przytomność. Żniwiarz wziął Warrena z zaskoczenia. Może też rzucił w niego jakimś złym urokiem?

*Tak* – potwierdził Aubrey. *Widzę urok. Ale zaczyna blaknąć.*

Nie odpowiedziałam.

– Ten wampir próbował związać Warrena ze sobą – oznajmił Darryl stanowczo. – Czuję to.

W jego złotych tęczówkach czerniły się plamki zwężonych źrenic. Nie wiadomo, od jak dawna walczył z usiłującym się wydostać wilkiem. Z zaniepokojonych zerknięć, jakie rzucała w jego stronę Auriele, wywnioskowałam, że zbyt długo.

– Też to czuję – przytaknął mu Adam.

– Możemy trzymać go w klatce, dopóki Marsilia go nie uwolni – zaproponował Darryl.

– Zakładając, że uda się jej to zrobić – wtrącił George.

– Mnie wyzwoliła – warknął Darryl.

– Te śmiecie, które ciebie napadły, to nie to samo co Wulfe – zauważyła Auriele, wyraźnie zatroskana.

Adam odsunął Mary Jo i usiadł u boku Warrena.

– Nauczyłem się pewnej sztuczki we Włoszech. Spróbuję, może zadziała.

Przyciągnął do siebie Warrena i pocałował go w czoło. Wargami muskającymi jego skórę wypowiedział komendę:

– Ocknij się. – Słowa te niosły cały autorytet Alfego, czułam również, że czerpie moc watahy. Nie działało się nic niezwykłego. Adam mógł w ten sposób rozkazywać każdemu ze swoich wilków.

Powieki Warrena uniosły się, a Adam nawiązał z wilkołakiem kontakt wzrokowy.

Oczy są wrotami duszy, pomyślałam.

Adam wtłoczył w niego moc przez więź stadną. Magia wypełniała każdego obecnego wilkołaka, aż oczy wszystkich zmieniły się w wilcze ślepie. Kilka warknęło.

Ciało Warrena drgnęło, lecz wilkołak nie próbował opuścić wzroku.

– Przemień się – rozkazał mu Adam. Z zewnątrz i to nie wyglądało na nic wyjątkowego. Wymuszona przemiana umożliwiała wilkołakom szybszą regenerację, raz czy dwa widziałam, jak Alfa w ten sposób przywołuje do porządku swojego wilka, podkreślając swoją nadrzędność bez uciekania się do fizycznej przemocy.

Jednak to, co robił ze swoją mocą, gdy Warren zaczął się przemieniać, było inne. Jakby wypalał metafizycznym ogniem zmieniające się ciało wilkołaka.

Przemiana Warrena, starego, dominującego wilka, trwała krócej niż większości, ale nie była też tak błyskawiczna, jak moja. Pełna zmiana formy trwała dziesięć minut, lecz skażenie wampiryczne zniknęło w ciągu pierwszych kilku chwil. Adam nie poruszył się przez cały ten czas, podtrzymując kontakt wzrokowy, dopóki nie stał przed nim wilk.

Mary Jo oczyściła moje rany. Okazało się, że jest ich więcej, niż się spodziewałam. Często nie pamięta się urazów zadanych w czasie walki. Najpoważniejsza była ta na plecach. Honey miała agrafkę, którą spięła mi ramięczka tak, by nie uraziły rozcięcia.

Streściłam im wszystko, co się wydarzyło.

– Ten pokój sprawdzaliśmy jako ostatni – kończyłam. – Poszłam do łazienki, a Warren do gabinetu. Żniwiarz ogłuszył Warrena i zgasił światło.

– Żniwiarz? – wtrąciła Auriele. – A to nie Wulfe?

- Tak, wybacz, jestem jeszcze oszołomiona. Walczyliśmy.
- I jeszcze żyjesz?! – Jej zaskoczenie nie było pochlebne, ale podzielałam je, więc się nie obraziłam.
- To Zbieracz Dusz chciał mnie zabić, ale Wulfe nie. – Doszłam do wniosku, że jestem zbyt zmęczona, by wdawać się w szczegółowe wyjaśnienia, a w części hokusowo-pokusowej z pewnością bym się pogubiła. Dlatego poprzestałam na: – Wulfe zdołał się na mgnienie wyrwać spod wpływu Zaklinacza Dusz i wbił sobie sierp w brzuch, zamiast zabić mnie. – Wskazałam na krew na podłodze. – I mniej więcej wtedy tu wpadliście. Za co jestem wam niezmiernie wdzięczna. Jak wam poszły poszukiwania na dole?
- Marsilia będzie musiała wymienić wiele drzwi – skwitowała Auriele, spoglądając z zachwytem na Darryla.
- Parsknął, zauważając jej wzrok.
- Nic nie znaleźliśmy. Nawet jednego trupa. Wszystkie pomieszczenia puste. – Popatrzył na mnie z naganą. – Ale nie straciliśmy czujności.
- Zabierzmy Warrena do domu – zdecydował Adam, wstając. – Tutaj już skończyliśmy.



## Rozdział 14

**U**znawszy, że Warrena należy zawieźć jak najszybciej, Adam zapakował mnie, Zacka i poszkodowanego wilka do swojego samochodu, a reszcie kazał jechać z Honey do warsztatu. Darryl wygrzebał ze szczątków ubrań Warrena jego kluczyk i obiecał odprowadzić wóz pod dom.

Zack wyskoczył jeszcze na moment z SUV-a, żeby zamienić słowo z Darrylem, a ja wykorzystałam okazję i odwróciłam się do Adama.

– Nie teraz – powstrzymał mnie.

Warren, zwinięty w kłębek na rozłożonym siedzeniu z tyłu, wyglądał, jakby spał, ale Adam miał rację. Musieliśmy omówić wiele spraw, a włączanie w to wszystko Warrena i Zacka mijało się z celem.

Zack wśliznął się na niezłożoną część tylnej kanapy i zapiął pasy.

– Subaru odprowadzi Auriele – powiedział, chyba do Warrena. – Darryl ją stamtąd odbierze.

Nie rozmawialiśmy po drodze do domu Warrena i Kyle'a, w którym mieszkał też Zack. Zack musiał uprzedzić partnera

Warrena, bo ten wyszedł na podjazd, jak tylko podjechaliśmy.

– Może jednak miał rację z tym, że ubieranie wilkołaka sporo kosztuje – mruknął, odbierając strzępy odzieży Warrena, ale patrzył czujnie na wielkiego wilka, który wyskoczył z samochodu, przeciągnął się i podbiegł do niego, machając przyjaźnie ogonem.

Kyle spojrzał niespokojnie na Adama.

– Niewiele zrozumiałem z Zackowego SMS-a... „Warren oberwał klątwą, ale nic mu nie jest”. To dość enigmatyczne.

– Miej na niego oko – poradził Adam. – Klątwą się nie przejmuj, tyle że przy okazji został ukąszony przez wampira. Dopilnuj, żeby porządnie się najadł i napił.

– Wampira? – zdumiał się Kyle, zaciskając dłoń na futrze wilka. – Przecież jest środek dnia!

– Niektóre funkcjonują za dnia – uświadomiłam go.

– Jeśli coś ci nie spodoba, niech Zack mu się przyjrzy – polecił Adam. – A jeśli uznasz, że coś jest naprawdę nie w porządku, zadzwoń do mnie albo... – zawahał się lekko – do Sherwooda.

– Sherwooda? – powtórzył Zack niedowierzająco. – Jesteś pewien?

Kyle patrzył to na jednego, to na drugiego, a w końcu oznajmił:

– Zdecydowanie nie będę dzwonił do Sherwooda. A co z Sherwoodem jest nie tak?

– A co nie jest nie tak? – prychnęłam.

Ogarniało mnie coraz większe zmęczenie. Zaczęły mnie też boleć stopy i dłonie. Musiałam się zastanowić dlaczego, zanim przypomniałam sobie wczorajszą operację wyciągania pajęczych kolców. Wydawało mi się, że to było tak dawno. Bolały mnie całe ręce, lewe biodro i uderzona łokciem Wulfe’a zuchwa, i to za każdym razem, jak poruszyłam ustami.

– W ostateczności, jeśli uznasz, że z Warrenem jest źle, dzwoń do niego. Ma większe doświadczenie w magii niż my wszyscy

razem wzięci.

– Myślałem, że nic nie pamięta. – Kyle zmarszczył brwi.

Łypnęłam na Kyle'a spod oka, a potem uniosłam oczy do nieba.

– Czasami żałuję, że Warren nie zakochał się w którejś ze swoich miłostek zamiast w prawniku. Odpowiem na twoje pytania, kiedy będziemy mieć na nie lepsze odpowiedzi. Na razie połóż Warrena przy kominku i daj mu pospać. Zack opowie ci nasze dzisiejsze przygody. Ja marzę o tym, żeby się umyć, przebrać i nie stać na podjeździe zmuszona odpowiadać na pytania, na które nie znam odpowiedzi.

Po moich słowach zapadła cisza. Po echu zorientowałam się, że ostatnie zdanie wykrzyczałam.

– Wyglądasz, jakbyś kogoś zamordowała – podsumował Kyle. – Przykro mi to mówić, za późno, żeby to przede mną ukryć. Jeśli jednak wystarczająco szybko się umyjesz i spalisz ubranie, może nikt nie zauważy. – Brzmiało to, jakby się odgryzał, ale znałam Kyle'a. Niepokoił się. Ale on też znał mnie na tyle dobrze, by nie kontynuować przesłuchania po tym, jak go o to poprosiłam.

– Hej, a czy nie musisz gdzieś zgłosić, jeśli podejrzewasz, że ktoś popełnił morderstwo? – zapytał go Zack z pewnym zaniepokojeniem.

Zniecierpliwiona, uniosłam gwałtownie ręce – przez co zapiekła mnie rana na plecach – a potem pomaszerowałam z powrotem do samochodu i zatrzasnęłam drzwiczki. Rozmawiali jeszcze chwilę, ale w zamkniętym SUV-ie mogłam udawać, że ich nie słyszę.

– Myślałem, że tylko farbuje ludziom włosy na niebiesko, kiedy śpią, albo wsypuje im do kawy coś, przez co sikają na zielono – powiedział Zack. – Nie wiedziałem, że również krzyczy.

– Bo zwykle krzyczy tylko na mnie – stwierdził Adam.

– To pewnie dlatego, że niebieskimi włosami byś się nie przejął – rzekł Kyle. – Wścieka się, kiedy się boi. Co ją tak przeraziło?

Adam ostatecznie wrócił do samochodu, nie odpowiadając na to pytanie, dlatego że nie znał na nie odpowiedzi. Dał mi szansę na rozpoczęcie rozmowy, lecz kiedy milczałam, uruchomił silnik i ruszyliśmy do domu.

– Bran nauczył mnie, jak posłużyć się więzią stadną, żeby zerwać połączenie, które wampiry stosują na swoich ofiarach – przerwał w końcu ciszę. – Stąd wiedziałem, co robić. Zapytałem, czy da się zrobić to samo w wypadku ciebie i Stefana, ale powiedział, że więź zadzierzgnięta za obopólną zgodzą to co innego.

Skinęłam na znak, że rozumiem. Mój poszerzony, niepożądany wgląd w sposób działania więzi z duszami pozwolił mi pojąć problem. Dobrowolne więzi przypominały dwuwarstwową linę zamiast pojedynczego sznura. Wiedziałam już też, w jaki sposób krew umożliwia nawiązanie i umocnienie tego połączenia.

A całą tę wiedzę posiadałam dzięki temu, że moja więź ze Zbieraczem Dusz wzmocniła się, kiedy zasmakował mojej krwi. Rana na plecach paliła. Z pewnością był to całkiem normalny uraz, jednak świadomość głębszego znaczenia zetknięcia się mojej krwi z przeklętym sierpem sprawiała, że odbierałam ją jako najstraszniejszą ranę, jaką kiedykolwiek otrzymałam w walce. I może tak właśnie było.

Miałam ochotę uciekać, ale siedziałam uwięziona w samochodzie, nerwowo stukając piętą o podłogę. Problem w tym, że obecnie nie mogłam uciec od tego, od czego uciec chciałam, ani nie miałam gdzie od tego uciec, lecz moje nasycone adrenaliną ciało ignorowało fakty.

– Bran mówi, że jeśli to zacznie stanowić problem, najłatwiejszym sposobem na jego rozwiązanie jest zabicie

Stefana – rzekł Adam. – Mogę to zrobić.

Nie byłam tego tak pewna jak Adam, ale znów przytaknęłam skinieniem głowy. Wiedziałam, że Adam nie zabiłby Stefana bez dobrego powodu, i nie zamierzałam się denerwować tą sugestią, ponieważ prawdopodobnie właśnie tego Adam chciał – wywołać moją reakcję. Miło, że chciał rozproszyć moje napięcie, ale uciekanie się do manipulacji to lekka przesada. Może jednak powinnam zafarbować mu włosy na niebiesko? Potarłam oczy, bo nie chciałam się rozpłakać. To dałoby błędny przekaz.

– Mercy?

– Myślę. Muszę sobie to najpierw poukładać w głowie.

– Jasne, słonko – zgodził się.

– Czy zabrałeś Warrena do domu, a reszcie kazałeś jechać do warsztatu, żeby trzymać mnie z dala od Zee? – zapytałam po jakimś czasie.

– Tak. Powiedzmy, że pojechalibyśmy do warsztatu, a tam zapytałby cię o Zbieracza Dusz, co byś zrobiła?

Nie odpowiedziałam. Nie miałam pewności, co powiedzieć.

– Chodzi ci o to, co mogłabym mu powiedzieć poza tym, co już wie?

– Mówię o tym, że miałaś go wezwać, kiedy będziesz miała informacje o sierpie. Pomyślałem, że przyda ci się trochę czasu, zanim oddasz potężny, starożytny, przeklęty artefakt w ręce potężnego, starożytnego, pobłogosławionego żelazem pradawnego. Nie twierdzę, że nie powinniśmy tego robić, ale może warto się wcześniej nad tym zastanowić.

I znów nie odpowiedziałam. Nie mylił się.

– U Kyle’a straciłaś panowanie nad sobą, ponieważ boisz się Zbieracza Dusz?

– Tak. I Wulfe’a też.

Adam nie skomentował tego, bo zdawał sobie sprawę, że czegoś mu nie mówię.



– Boję się, co się stanie, jeśli Zee dostanie Zbieracza Dusz. – Sama nie byłam świadoma, że się tym martwię, dopóki Adam nie powstrzymał mnie przed spotkaniem z Zee, zanim to wszystko na spokojnie przemyśle.

Znałam Zee od wielu lat. Kochałam go jak członka rodziny. Nie raz ocalił mi życie. Ale zgadzałam się z Tadem, kiedy niepokoilo go zainteresowanie ojca Izzy. Adam nie mylił się, uważając, że należy ostrożnie traktować pociąg Zee do Zbieracza Dusz. Przypomniałam sobie pot perlący się na czole Zee, kiedy mówił o sierpie. Nigdy w życiu nie pragnęłam niczego tak bardzo, żeby pocić się na myśl o tym – może poza Adamem. Rozumiałam, w jaki sposób Zbieracz Dusz działa na ludzi w pobliżu, nie tylko na tego, kto go dzierży. Teraz jak to sobie przemyślałam, oddanie Zbieracza Dusz Zee wydało mi się bardzo kiepskim pomysłem. Nie byłam tylko pewna, czy będziemy mieć w tej kwestii jakiś wybór.

– I? – podjął Adam. – Bo boisz się czegoś jeszcze. Żadne z powyższych nie przeraża cię na tyle, żebyś wrzeszczała na Kyle’a.

Siebie, pomyślałam. Boję się siebie.

– Wampiry mają dusze – oznajmiłam ni stąd, ni zowąd. Nie była to zmiana tematu, choć tak pewnie odebrał to Adam. Czulałam, że mi się przygląda, ale nie odwróciłam ku niemu twarzy. – Stare dusze nie są do końca... większe niż nowsze, młodsze dusze. Są po prostu bardziej zawile, pokręcone.

– Czy podczas wymiany ciosów zaliczyłaś filozoficzną dysputę ze Zbieraczem Dusz? – zapytał Adam kpiąco.

– Wulfe zawsze był pokręcony – powiedziałam, skubiąc dzinsy. – Stworzono go w wyniku jakiegoś eksperymentu, chyba. – W umyśle ujrzałam przelotnie jakieś twarze, ale niczego mi nie mówiły. Czy byli to jego rodzice? Nie, nie wydawali się rodzicami. – Możliwe, że miał być maskotką... – Usłyszałam swój głos, ale nie to było najważniejsze. Przedarłam

się przez zalew informacji, wyłapując te istotne, i wróciłam do sedna. – Czarownik, zaklinacz, mag, wampir, po części pradawny, ale tego już prawie nie ma. – Coś błąkało mi się po umyśle, lecz nie mogłam tego uchwycić. – Zbalansowanie tyłu magii było trudne, ale udawało mu się. Przeważnie. – Zabił swoich przodków i błąkał się bez celu po świecie znacznie dłużej, niż podejrzewałam. Możliwe, że był tak stary jak Bran albo jeszcze starszy. – Najpierw znalazł Marsilię, potem Stefana, a w końcu Bonarotę. Zajęli się nim. Wiedział tak dużo, tyle rozumiał i był taki zagubiony. Bonarota przekonał Wulfe'a, żeby go przemienił. Wulfe był już wtedy bardzo stary, ale Bonarota był jego pierwszym... pierwszym wampirem, jakiego stworzył.

– Z kim rozmawiałaś? – zdziwił się Adam.

Potrząsnęłam głową.

– Bonarota nie pojmował, kim jest dla niego Wulfe. Nie rozumiał, co to oznacza, że jest jego twórcą, nie wiedział, że winien jest Wulfe'owi posłuszeństwo. Jakoś udawało mu się to obchodzić, aż kiedyś Wulfe go wystraszył. Bonarota nie potrafi poradzić sobie z lękiem, więc postanowił zniszczyć Wulfe'a. – Zastanowiłam się. – Myślę, że pchnęła go do tego też zazdrość. Zazdrość o uczucia Marsilii do Wulfe'a. To dlatego Wulfe pozwolił, aby to Bonarota przemienił Marsilię. Tyle że Wulfe nie do końca rozumie, jak działa zazdrość.

– Mercy? – Adam był wyraźnie zaniepokojony. – Może powinienem zabrać cię do Sherwooda? Albo do Brana?

Wyciągnęłam rękę, a on ją złapał. Jego dłoń była bardzo ciepła, moja lodowata.

– Myślę, że wystarczy pozbyć się tego cholernego artefaktu – powiedziałam normalnym głosem i dopiero zdałam sobie sprawę, że do tej pory snułam opowieść jakby przez półsen. Odchrząknęłam. – Kojot jest powiązany z duszami i ze śmiercią. Myślę, że przez to Zbieracz Dusz wywiera na mnie taki dziwny efekt.

– No dobrze. – Adam przystał na to wyjaśnienie, ale nie puścił mojej ręki.

– Pozwól mi opowiedzieć do końca to, co wiem o Wulfie, bo to ważne, a nie wiem, czy potem będę to wszystko pamiętała. – Albo czy nie zginę. Musisz wiedzieć o Wulfie tyle, mój kochany, żeby jeśli mnie zabraknie, poradzić sobie i z nim, i z artefaktem.

– Niech będzie.

– Poza tym nie wiem tego wszystkiego, dopóki nie wypowiem tego na głos. Pewnie więc część z tego wcale nie będzie taka ważna. – Spoglądałam w oczy Wulfe’a bardzo krótko i w dodatku we śnie. Tak to wszystko widziałam. Głowa bolała mnie jeszcze bardziej niż rana na plecach, urażona tapicerką fotela.

– Mów, mów – powiedział Adam bardzo łagodnie.

– Bonarata postanowił go złamać, nie rozumiał jednak, z czym ma do czynienia... Bo Wulfe nigdy mu tego nie powiedział. Wiedział tylko tyle, że Wulfe potrafi posługiwać się magią i że jest nie do końca zrównoważony, ale nie połączył tych faktów ze sobą. Nie wiem, czemu nie zabił Wulfe’a. A raczej Wulfe tego nie wie. Ja przypuszczam, że Bonarata się bał, ale uważał, że zabijając go, przyzna się do tego lęku.

– Marsilia jest tego samego zdania – przytaknęła Adam. – Uważa, że jeśli Wulfe zginąłby, zanim Bonarata upora się z lękiem, już nigdy nie przestałby się go bać.

– Nie wiem też, czemu Wulfe nie zabił Bonaraty.

Było coś takiego, jakiś powód, ale nie potrafiłam wyłowić go z mentalnego obrazu, który odebrałam, ZOBACZYWSZY Wulfe’a.

Wiedziałam tylko, że taki powód istniał i że Wulfe ukrył go przede mną, natychmiast gdy zorientował się, że mogę zajrzeć w jego duszę.

– To ważne? – zapytał Adam.

– Nie wiem. Wiem za to, że inne rzeczy są ważne. Bonarata próbował złamać Wulfe’a, ale Wulfe już był złamany. Wulfe nie jest uparty, tylko... – Jest jak latawiec na wietrze, którym to wiatrem jest Bonarata, pomyślałam, ale powiedziałam: – Jak jaszczurka z dwiema ciemnymi plamami w kształcie ślepi na zadzie, które mają zwiesić drapieżników. Cokolwiek myśli o nim przeciwnik, to coś jest zupełnie gdzie indziej. – Tyle mogłam powiedzieć. Było jeszcze więcej tego, co Adam musiał wiedzieć, lecz nie potrafiłam ubrać tego w słowa.

– Uważasz, że Zbieracz Dusz nie kontroluje Wulfe’a tak do końca, jak mu się wydaje. – Adam zawsze był dobry w odczytywaniu ukrytego znaczenia.

Tak, to było to. Pokiwałam głową. A potem nią pokręciłam.

– Tak jest w każdym przypadku. I Zbieracza Dusz, i Bonaraty, i Marsilii.

W samochodzie zrobiło się cicho. Staliśmy na światłach. Byliśmy blisko skrętu do warsztatu.

– No dobrze, to może teraz mi powiesz, czemu na mnie nie patrzysz? – zapytał Adam. – Myślałem, że to przez ból głowy, ale widzę, że robisz to celowo.

– Pamiętasz, jak ci mówiłam, że jestem w jakiś sposób połączona ze Zbieraczem Dusz? – wydusiłam z trudem.

– Tak.

– Dzisiaj podczas walki sierp mnie zranił. Posmakował mojej krwi. Teraz kiedy spoglądam w czyjeś oczy, widzę go. ZOBACZYŁAM Mary Jo, kiedy mnie opatrywała w domu Marsilii. ZOBACZYŁAM Kyle’a.

– Mówiąc, że zobaczyłaś, nie masz na myśli oczu, tak? – zapytał Adam ostrożnie, skręcając w Chemical Drive.

– Owszem, zobaczyłam ich oczyma – odwarknęłam. – Wybacz. No oczami, ale tak, jak wężę magię nosem. Tyle że magię mogę wyczuć również bez nosa. A w tym wypadku muszę popatrzeć im w oczy.

To nie do końca tak. W końcu Wulfe nie miał oczu, w które mogłabym patrzeć. Musiał do tego wykorzystać sen.

– Mercy?

– Czekał, chyba doznałam objawienia. – Czyżby Wulfe chciał, żebym go zobaczyła? Może dlatego mnie ukąsił, wykorzystał magię krwi, żeby wciągnąć mnie do swojej krainy snów?

Nawet po tym, jak w niego zajrzałam, nie byłam tego pewna. Wróciłam do rzeczywistości i wyjaśnień, które byłam winna Adamowi.

– Patrzę... – Zacisnęłam rękę, nagle spotniałam, na jego palcach. – Zglądałam w ich dusze. Kiedy o tym myślę, jawi mi się to jak wizja. Ale zdobywam w ten sposób informacje, których nie mogłabym zdobyć za pomocą wzroku. Mam wrażenie, jakby moje zmysły były pomieszane. Jakbym mogła smakować muzykę albo słyszeć kolory. Patrzyłam na Wulfe'a i dowiadywałam się o wydarzeniach z jego przeszłości, o takich, o których nie zdołałabym normalnie dowiedzieć się, patrząc.

– Jako osoba, która kilka razy próbowała LSD, prawdopodobnie rozumiem to, co mówisz, lepiej, niż podejrzewasz – oznajmił Adam.

– LSD...? – wydukałam do głębi zszokowana. Nie tym, że ludzie biorą LSD, ale że Adam?

– W Wietnamie – rzucił zwężone, jakby to wszystko tłumaczyło. I może tłumaczyło. – W każdym razie wiem, jak wygląda pomieszanie percepcji.

– To jak w sklepie, z Aubreyem. Tylko że oni byli żywi. Mary Jo... – Zawahałam się. Nie miałam prawa nawet zobaczyć tego, co zobaczyłam, a już na pewno nie powinnam tego powtarzać.

– Myślisz, że to ci zostanie?

– Nie wiem. – Zgarbiłam się w fotelu.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu, mijając tereny targowe.

– Możemy zatrzymać się pod warsztatem? – poprosiłam.

Musieliśmy cofnąć się do zjazdu.

– Chcesz zobaczyć Zee?

Żadne z nas nie miało wątpliwości, o jakie zobaczenie chodzi.

– Nie, nie chcę – zaprzeczyłam szczerze. – Jeśli wykorzystam tę zdolność, nigdy mi nie wybaczy. Ale chyba nie mam wyjścia. Bo jeśli uda się nam zdobyć Zbieracza Dusz, naszą jedyną opcją jest przekazanie go Zee. A na razie mam wątpliwości, czy to dobry pomysł.

Adam nic nie powiedział.

– Zbieracz Dusz to bardzo, bardzo zła rzecz – dodałam cicho.  
– Wystraszył Kojota.

– Kiedy zdążyłaś...? – zaczął Adam i urwał. – Nieważne. Teraz to nieistotne. Zee jest jedyną osobą, która według ciebie może sobie poradzić ze Zbieraczem Dusz. – Westchnął. – I nawet biorąc pod uwagę wszystkie za i przeciw, nadal pozostaje tą jedyną osobą również moim zdaniem.

– Larry wolał zostawić sierp w rękach Bonaraty, niż zdradzić Zee, gdzie się znajduje – przypomniałam. – A Bonarata był takim ignorantem, że przekazał go Wulfe’owi. Muszę przyznać, że duet Zbieracz Dusz sterujący Wulfe’em przeraża mnie jak diabli.

Adam nadal nie zawrócił i teraz znajdowaliśmy bliżej domu niż warsztatu.

– Zmieniłaś zdanie o Wulfie po tym, jak go zobaczyłaś? – zapytał.

– Nie.

– A o Mary Jo albo o Kyle’u?

– Nie. – Domyśliłam się, do czego zmierza.

– Znasz Zee na tyle dobrze, żeby zdecydować, co zrobić – rzekł Adam, a ja znów mogłam odetchnąć, bo miał rację.

Nie zawiózł mnie do warsztatu, tylko prosto do domu. Na podjeździe nie stał żaden samochód, co oznaczało, że Jesse jeszcze nie wróciła.

Adam wysiadł pierwszy, bo nie zeszywniał od długiego siedzenia po walce. Usłyszałam jego śmiech, kiedy wypełzałam z samochodu, ale nie widziałam źródła jego wesołości, zanim nie zamknęłam drzwiczek.

Jakiś żartowniś zostawił na schodach ciasto dyniowe. Kupne, takie zapakowane w folię spożywczą. Pomarańczowym mazakiem napisał: „Dla Mercy, z przeprosinami, od jej Małego Dyniaczka”.

Zabrałam ciasto do domu. Na schodach na piętro leżały trzy niewielkie dynie. Na jednej naklejono karteczkę z napisem: „1-0, masz ochotę na kolejną próbę?”. A na drugiej czarnym pisakiem wymalowano pająka. Trzecią pokrywały w całości małe, czarne, mazakowe pajączki.

Dałabym radę wyczuć, kto jest autorem żartu – nawet gdyby użył rękawiczek, musiał przewieźć ładunek samochodem. Tyle że to byłoby oszukiwanie.

Minęłam schody w drodze do kuchni. Położyłam ciasto na stole, obok Medei, która nie powinna siedzieć na stole, a która bez krzty wyrzutów sumienia przetoczyła się na grzbiet, wystawiając brzuch do głaskania.

– Jesteś dziwnym kotem – powiedziałam, drapiąc miękkie futro, a ona kołysała krótkim ogonkiem jak zadowolony pies.

Adam wszedł do kuchni i położył dynie obok ciasta i kota.

– Jak mógłbym pomóc? – zapytał, obejmując mnie od tyłu.

Obróciłam się i wspięłam na palce, żeby go pocałować, odnajdując jego usta na wyczucie, ponieważ nie otwierałam oczu. Kiedy pieśczoła warg Adama stała się bardziej natarczywa, poczułam, że napięcie, które nie opuszczało mnie, odkąd ujrzałam encyklopedie w wannie, przerodziło się w inny rodzaj napięcia.

Namiętność nie wywoływała przykrego bólu brzucha i nie sprawiała, że miałam ochotę schować się pod kocem jak dziecko

bojące się ciemności. Namiętność, ta dzielona z Adamem, napełniała mnie odwagą.

– Tak. Dokładnie tak. Bara-bara.

– Sypialnia. – Chrypka w jego głosie przyprawiła mnie o dreszcze, bo moje ciało dobrze wiedziało, co je czeka, kiedy Adam tak brzmiał.

Skinęłam głową, a on podniósł mnie – jeszcze nie zatraciłam się na tyle, żeby się nie skrzywić, kiedy dotknął okolic mojej łopatki. I z całą pewnością coś sobie naciągnęłam w krzyżu, bo czułam tam wyraźny przykurcz.

Adam z natury był bystrym obserwatorem, więc nie zdziwiło mnie, kiedy zamiast do łóżka zaniósł mnie do łazienki. Rozebrał mnie ostrożnie, a gdy okazało się, że tkanina koszulki przywarła do rany, namoczył ją, przykładając mokrą myjkę, i dopiero potem odkleił.

– Mary Jo ją obejrzała – zapewniłam go. – Powiedziała, że może założyć mi szwy, ale nie musi, jeśli nie chcę, i że jej zdaniem szwy będą bardziej mi przeszkadzać niż sama rana.

– Mary Jo jest wilkołakiem – przypomniał Adam, sprawdzając dokładnie rozcięcie na plecach. – Dla niej szwy są zawsze zbędne, a z czegoś takiego już dawno by się uleczyła. Oczyszczyła to?

– Tak. Chcesz powiedzieć, że wzięła tę apteczkę z myślą o mnie? – Nie wiedziałam, czemu dopiero teraz to do mnie dotarło. A przecież każda rana, z której wilkołak nie uleczyłby się w ciągu paru minut, była zbyt poważna na możliwości podręcznej apteczki.

– Tak – odpowiedział Adam, a ja parsknęłam śmiechem na tę „oczywistą” nutę w jego tonie.

Zaczął oglądać inne zadrapania i rany, ale wiedziałam, że poza tym na plecach reszta urazów jest drobna. Dotknął opuszkami miejsca, które sprawiło mi ból, kiedy podniósł mnie w kuchni.



– Siniec – stwierdził.

– Od ściany. – Grzmotnęłam w nią plecami. To dobrze, bo siniak dokuczał krócej niż naciągnięty mięsień.

Wziął następną myjkę i delikatnie oczyścił mi nią twarz, dłonie i ramiona, dzięki czemu przypomniałam sobie, że przecież cała byłam obryzgana krwią.

– Większość to krew Wulfe’a – stwierdziłam i opowiedziałam Adamowi, jak próbowałam wyzwolić wampira spod władzy Zaklinacza Dusz i jak wykorzystał ten moment wolności.

Podałam mu znacznie więcej szczegółów niż reszcie.

– Rozpruł sobie brzuch, żeby mnie ocalić. – Prawdopodobnie nie tylko to nim kierowało, ale nie chciałam uświadamiać Adamowi, jak bardzo pragnął mnie Zbieracz Dusz i w jakim celu. Nie dlatego, że chciałam coś przed nim ukryć, ale dlatego, że pragnęłam się z nim kochać, a jeśli bym się zaczęła wdawać w hokusowo-pokusowe szczegóły tego, co działo się w domu Marsilii, na długo odechciałoby mi się kochania. – Mógł mnie zabić w każdej chwili, gdyby chciał – wyjaśniłam Adamowemu ramieniu, bo Adam znów trzymał mnie w ramionach, a ja wtulałam twarz w jego szyję, żeby przypadkiem nie podnieść na niego oczu.

– Mógłbym policzyć na palcach jednej ręki takich, z których jeszcze mniej chętnie chciałbym zrobić opornego niewolnika niż z Wulfe’a – powiedział.

– Jak to się stało, że ja jestem całkiem goła, a ty całkiem ubrany? – zapytałam niezadowolona, bo miałam już dość gadania o Wulfie i Zbieraczu Dusz.

Zaśmiał się nisko, czule.

– Może dlatego, że nie zdążyłem zdjąć ciuchów, zanim się do mnie przykleiłaś?

Cofnęłam się i usiadłam na marmurowym blacie toaletki, żeby oszczędzić bolące stopy i żeby się od Adama odsunąć na bezpieczną odległość. W ten sposób mógł się spokojnie

rozbierać, a ja mogłam się przyglądać, nie zakłócając owego procesu i nie opóźniając spraw.

Oglądanie Adama pozbywającego się odzieży było jednym z moich ulubionych zajęć.

– No co? – zapytał, wychodząc z dzinsów.

Przypomniałam sobie o zamknięciu oczu, zanim przypadkiem popatrzyłam na jego twarz.

– Ale o co chodzi? – zapytałam niewinnie.

– Szczerzyłaś się.

I znów poczułam, jak wargi rozciągają mi się w szerokim uśmiechu.

– Po prostu jestem zdziwiona, że żadna przedsiębiorcza kobieta aż do tej pory nie zaatakowała mnie z czystej zazdrości. A żadna nawet nie podejrzewa, że to opakowanie kryje dziesięć razy lepszą zawartość.

Poczułam mój radosny uśmiech łagodnie, choć nie zniknął do reszty. Byłam cała obolała, wykończona i wiedziałam, że jeśli tylko pozwolę sobie znowu myśleć, będę wykończona i przerażona. Ale teraz nie miało to znaczenia. Bo Adam przepełniał mnie szczęściem.

– Możesz na mnie patrzeć, wiesz? – powiedział zaskakująco blisko. – Nie potrzebujesz Zbieracza Dusz, żeby zajrzeć mi w duszę, nieraz już to robiłaś.

Mój towarzysz posiadał wielkie, szczodre serce. Przy nim czułam się jak beznadziejny tchórz. Dla mnie nie miałyby znaczenia, ile razy widział moją duszę, nie chciałam, żeby zaglądał do niej po raz kolejny. Bałabym się, co może tam zobaczyć.

– Chwilowo jestem bardziej zainteresowana twoim ciałem. I nie mogłabym się odpowiednio skupić na duszy.

Wydał z siebie niski pomruk i usłyszałam ciche kroki, które powiedziały mi, że przeszedł do sypialni. Otworzyłam oczy i ostrożnie zsunęłam się z toaletki. Piekło, bo wilgotna skóra

przykleiła się do gładkiego blatu. Stanie stawało się coraz bardziej niekomfortowe, ale wskakiwanie na toaletkę też nie było genialnym pomysłem. Złożenie z niej bolało.

Adam nie widział moich zmagania – i o to mi chodziło. Stałam już na podłodze, kiedy wrócił do łazienki z ciemnoniebieskim jedwabnym krawatem w rękach. Na krawacie był wzorek, czekoladowy jak jego oczy.

– Nie ten – poprosiłam. – To mój ulubiony.

I tak zawiązał mi nim oczy.

– Mój też – powiedział, a potem nachylił mi się do ucha i szepnął: – Lubię, jak masz na sobie coś mojego.

Już się nie sprzeciwiałam. W końcu od czego są pralnie.

Znow mnie podniósł, tym razem unikając urażania rany i sińców, i niespiesznie zaniósł do sypialni. Do czasu, aż położył mnie na chłodnej pościeli, zapomniałam już o wszystkich bólach i niedogodnościach.

Trochę mu to zajęło, ale w końcu zapomniałam nawet, jak się nazywam. Jego imię pamiętałam jednak doskonale.

Spocona, zdyszana, zadowolona, leżałam na brzuchu, podczas gdy Adam porządkował łóżko po naszych miłosnych zmaganiach. Potem wysmarował mi plecy maścią i dopiero wtedy zdjął mi z oczu krawat.

– Chyba przetrwał – stwierdził z jakimś zdziwieniem.

– Jakość warta swojej ceny – mruknęłam.

– Powinnaś coś zjeść – powiedział.

Nie chciałam się ruszać, wiedziałam, że będzie bolało. A chwilowo nie czułam nic nieprzyjemnego.

– Idź sobie albo wracaj do łóżka – fuknęłam.

– Myślałem, że to faceci zasypiają natychmiast po seksie. – Udał pretensje, lecz nie ukrywał wesołości. On też był dzięki mnie szczęśliwy.

– Walczyłam z opętanym wampirem. Muszę to odespać.

– To fakt. – Poklepał mnie po pośladkach, a potem okrył kołdrą.

Pewnie powinnam się sprzeciwić, bo miałam plecy wysmarowane maścią, nie zdołałam jednak wykrzesać z siebie siły na protesty.

Adam zasłonił okna, a potem poszedł pod prysznic. Spałam, kiedy wrócił. Podobno ktoś budził mnie na kolację, ale przestał, jak na niego nawrzeszczałam. Jeśli coś mi się śniło, nie zapamiętałam tego.



Ocknęłam się w ciemności. Adam spał obok. Ściągnęłam na siebie całą pościel, więc leżał nago, na brzuchu. Uśmiechnęłam się mimowolnie i nie był to uśmiech wywołany widokiem jego umięśnionego ciała. Mógł mnie przetoczyć z pościeli, żeby się okryć, ale nie chciał mnie przypadkiem obudzić.

– Frost...

Zmarszczyłam brwi, przypominając sobie, co powiedział Wulfe. Czemu chciał rozmawiać o Froście? Frost już dawno obrócił się w proch, zabiliśmy go z Adamem. Ale kiedy chodził jeszcze po ziemi, miał talent do dusz. Pożywiał się nimi.

Adam poruszył się. Zsunęłam się z kołdry i okryłam go.

– Nie śpię – wyszeptalam. – Ale ty śpij. Idę na dół coś zjeść.

Mruknął coś, wyciągając rękę, której dotknęłam lekko, a potem pochyliłam się i pocałowałam go. Narzuciłam na siebie dres, który miałam w górnej szufladzie komody, i wyszłam z sypialni.

W domu panowała głucha cisza. Słyszałam nawet oddech Jesse, dobiegający z jej pokoju. Medea przyłączyła się do mnie na szczycie schodów i przez całą drogę na dół łąsiła się, płacząc mi się pod nogami. W lodówce stał pojemnik z jedzeniem, najwyraźniej pozostawioną dla mnie porcją z kolacji – spaghetti

i sałatą. Obok leżało ciasto dyniowe pomniejszone o dwa kawałki. Dałam Medei klopsa do jej miseczki, a potem usiadłam i pożarłam wszystko, jakbym nie jadła od tygodnia. Po zjedzeniu kolacji i wielkiej porcji ciasta ruszyłam znów do lodówki, z której wyjęłam składniki na kanapkę.

W trakcie drugiego kęsa doznałam objawienia. Zrozumiałam, o co chodziło Wulfe'owi. Wiele treści zawarł w tym jednym słowie, ale byłam prawie pewna, że dobrze odgadłam jego wskazówkę.

Nieobecny wzrokiem błędziłam po kuchni, aż natrafiłam na okno, za którym ujrzałam Tilly. Siedziała na stole piknikowym, tym, przy którym jadłam podczas spotkania ze Żniwiarzem, w swojej ulubionej postaci dziesięciolatki o długich, splątanych włosach, ubranej w luźną, brudną sukienkę.

Krew ścięła mi się w żyłach.

Zastanawiając się, jak długo tam już siedzi, obiecałam sobie zasłaniać na noc okna w kuchni. Po chwili jednak zmieniłam zdanie, bo wtedy również sama nie widziałabym, co dzieje się w ogrodzie.

Tilly przywołała mnie gestem.

– Mam przecucie, że nic dobrego z tego nie wyniknie – mruknęłam do Medei, wyszłam jednak na zewnątrz z kanapką w ręku, pocieszając się, że jeśli Żniwiarz wróci, będzie bardziej zajęty Tilly niż mną.

– Czemu zawdzięczam tę przyjemność? – zapytałam, zamykając za sobą drzwi kuchenne.

Na stole obok Podgórza leżało zawiniątko ze zgrzebnego płótna szytego grubą nicią, możliwe, że jelitową. W środku znajdowało się coś okrągłego, wielkości niewielkiego melona.

– Zdobędziesz Zbieracza Dusz – powiedziała z o wiele większym przekonaniem niż moje. – A ja ci dam dar dla starego

Kowala, z moimi pozdrowieniami. Dałabym mu oba, ale nie wiem, gdzie się zapodział drugi. – Przyłożyła palec wskazujący do policzka i uśmiechnęła się z dołeczkami. Ktoś tu oglądał zbyt wiele filmów z Shirley Temple.

Niespiesznie dokończyłam kanapkę, a potem otarłam ręce o spodnie. Kiedy ruszyłam w stronę Tilly, pchnęła ku mnie worek.

– Przynieś mi Zbieracza Dusz – rzekła głosem tym razem całkiem niedzięciwym – a ja dopilnuję, by więcej nie przynosił ci kłopotów. Przynieś mi go, a sprawię, że przez jedno pokolenie śmiertelników nie stanie się krzywda ani tobie, ani twoim bliskim. Przynieś mi Zbieracza Dusz, a ja będę ci winna przysługę na miarę tego daru.

Otworzyła torbę i rozsunęła krawędzie, prezentując to, co znajdowało się w środku. Potem zapaliła latarnię – albo raczej wyczarowała ją, bo nie zauważyłam, żeby wcześniej jakąś przy sobie miała. Może sądziła, że nie domyśliłam się, co to za przedmiot, i trzeba mi go lepiej oświetlić.

Spojrzałam Podgórze w oczy i natychmiast odwróciłam wzrok, przypominając sobie, że nie powinnam tego robić. Ale zobaczyłam jedynie twarz Tilly-dziewczynki. Kiedy znów na nią popatrzyłam, uśmiechała się chytrze.

– Czy to twoim zdaniem oznacza, że nie mam duszy? – zapytała.

– Myślę, że trzeba więcej niż starego artefaktu, żeby wejrzeć w głąb ciebie – odparłam.

Roześmiała się, zadowolona.

– Lubię cię – oświadczyła.

– Jeśli mu to przekażę – zaczęłam wpatrzona w dar dla Zee – rozszerzysz naszą umowę, która zezwala ci posiadać drzwi na nasze podwórko i zobowiązuje do niewyrządzania krzywdy mieszkańcom tego domu, i obejmiesz nią również mój domek.

Tamten. – Wskazałam na bungalow. – Żebym mogła go wynająć, nie martwiąc się o najemcę.

Gdyby jakiś pradawny poprosił mnie o zrobienie czegoś, oczekiwałby, że zażądam czegoś w zamian. Staralam się, żeby wyglądało to na rzecz, na której niezbyt mi zależy, i wskazuję na nią w ramach zrównoważenia usługi kurierskiej.

– Zgoda – przystała, nieświadomie zapewniając Tadowi łatwiejsze, bezpieczniejsze życie. Zdawałam sobie sprawę, że nie będzie zachwycona, kiedy się w tym zorientuje, ale układ był ważny. – A reszta? – Nie ukrywała nawet swojej niecierpliwości.

Podniosłam puchar – nie był ani tak duży, ani tak ciężki, na jaki w pierwszej chwili wyglądał, choć zdawało się, że odlano go ze srebra. Nie ulegało wątpliwości, że to dzieło sztuki, przepiękne, nawet jeśli w kształcie ludzkiej czaszki. Machinalnie ujęłam go pod wypukłą czarką – doskonale układał się w dłoni.

Wyobrażałam go sobie z żuchwą, ale został wykonany tylko ze sklepienia czaszki, choć zaczep żuchwy był doskonale widoczny. Zęby kości szczękowej były trochę nierówne i brakowało jednego kła. Na początku nie potrafiłam określić barwy klejnotów osadzonych w oczodołach, ale gdy przechyliłam kielich, światło latarni sprawiło, że zabłyśły na niebiesko.

– Masz go za mentora. Tego, który naprawia maszyny. Masz go za przyjaciela – podjęła Tilly. Ciekawe, że nie wymieniła jego imienia. Zazwyczaj nie przejmowała się tym, czy przyciągnie jego uwagę.

– Owszem – przyznałam.

– Ale on szuka artefaktów, aby odzyskać swą dawną moc.

To również było prawdą, choć to ujęcie mogło wprowadzać w błąd. Spodziewałam się jednak tego rodzaju zwodniczych prawd z ust Tilly. Kolekcjonowanie własnoręcznie wykonanej

broni stanowiło hobby Zee, odkąd go znałam. Odnosiłam wrażenie, że chodziło mu raczej o coś w rodzaju zgromadzenia wokół siebie swojego potomstwa. Nie wiedziałam, że zbiera również dzikie artefakty, dopóki mi o tym nie powiedział. Nie poszukiwał ich w celu odzyskania mocy.

Chyba.

– Nie znasz go. – Tilly bacznie obserwowała moją twarz. – Dekada dla jego gatunku trwa tyle, co jedno tchnienie twojego. Spójrz na to. – Wskazała palcem na puchar. – Przyjrzyj mu się, Mercedes Thompson Hauptman, i zapamiętaj sobie, czym jest. Mrocznym Kowalem z Drontheim, który zabił własną córkę.

Zawiesiła dramatycznie głos, ale nie zareagowałam. Znałam tę opowieść.

Zmarszczyła brwi wyraźnie rozczarowana i podjęła:

– Wolundrem Kowalem, który zmusił króla, aby ten pił z czaszki swego dziecka. Zapamiętaj, kim jest, zapamiętaj prawdę, którą ci przekazałam. A potem przynieś mi Zbieracza Dusz. To niejedyny potężny artefakt w mojej pieczy, niejedyny, przed którym chronię innych.

Dała susa ze stołu, zabrała worek i w podskokach oddaliła się w stronę swoich drzwi w murze. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że ani razu nie dotknęła pucharu. Ale ja nie czułam, żebym trzymała w ręce coś niebezpiecznego.

Mimo że słyszałam szcęk otwieranych drzwi za plecami, nie odwróciłam się, dopóki Tilly nie zamknęła za sobą swoich.

Adam nie odezwał się, kiedy wniosłam czaszkowy kielich do domu i z brzękiem postawiłam go na stole między dyniami. Położył mi ręce na barkach i razem kontemplowaliśmy koronkowe zdobienia, które czyniły makabryczny przedmiot tak pięknym. Przypuszczałam, że klejnoty, ciemnoniebieskie kaboszony wielkości jaja drozda, to szafiry. Ale ponieważ nie znałam się na kamieniach szlachetnych, mogły to być równie dobrze na przykład sklejnocone gałki oczne. Były nieco



mniejsze niż prawdziwe gałki, które pasowały do oczodołów. Pewnie się skurczyły, kiedy Zee je przemieniał.

– Wiem, gdzie Bonarata przetrzymuje nasze wampiry – oznajmiłam. Wulfe dał mi wskazówkę, prosząc, bym pamiętała o Froście. – Musimy tam jechać, teraz. Najlepiej sami. Nie chcę dawać Bonaracie powodu do wypowiedzenia wojny i nie chcę, żeby któryś z naszych wilków przypadkiem dotknął Zbieracza Dusz.

Adam odsunął sobie krzesło, a ja zrobiłam to samo. Przez kolejne dziesięć minut siedzieliśmy, planując wypad. Cieszyłam się, że nie powiedziałam, jak bardzo Zbieraczowi Dusz zależało na zabiciu mnie i zebraniu wszystkich moich bliskich. Obawiałam się, że inaczej Adam nie zgodziłby się na samotną wyprawę, ad hoc, nocą, a miałam przeczucie – w odcieniu natarczywego ponaglania Kojota – że musimy to zrobić natychmiast.

Adam zszedł na dół już ubrany, więc zostawiłam go piszącego liścik do Jesse, a sama wróciłam na górę, żeby przebrać się w coś odpowiedniejszego. Nie wiedziałam, co się stało z kataną, którą walczyłam ze Żniwiarzem. Może zabrał ją któryś z wilków? Albo została w nieużywanej sypialni w domu Marsilii?

Otwierając sejf, zadzwoniłam do Tada.

– Jadę – przywitał mnie. – Adam wysłał SMS-a, że jestem potrzebny. – Ziewnął.

Porozmawiałam z nim jeszcze chwilę, wyjmując wybraną broń. Rozważałam zabranie jakiejś dodatkowej, ale ostatecznie poprzestałam na pistolecie, dochodząc do wniosku, że w razie potrzeby mam przecież kostur.

– Rozumiem – powiedział Tad na koniec. – Będę za dziesięć minut.

Adam przyszedł podczas mojej rozmowy. Sięgnął ponad moim ramieniem i wyjął z sejfu roku-shaku-bō. Istniało wiele

rodzajów kijów bō, Adam miał dwa, trzy ulubione, a wszystkie trzymał w sejfie. Ten, nieco wyższy od Adama, zrobiono z nielakierowanego drewna orzesznika. Mniej więcej na długość dłoni od każdej końcówki opasywały go szerokie na dwa palce kawałki blachy.

Popatrzył na moją broń.

– Niegrzecznie jest zwracać prezent – zauważył.

Również spojrzałam na trzymany w rękach jedwabny pas.

– Nie sądzę, że to był prezent. Myślę, że przyniósł go tu raczej na przechowanie. Już raz Bonarata mu go odebrał i nie chciał ryzykować, że zrobi to ponownie.

Każdy kustosz dostałby palpacji, widząc, że owijam sobie szarfę wokół talii i zawiązuję końcówki, ale nie sądziłam, żeby Wulfe miał coś przeciwko. W końcu był to pas.

– Zdradzisz mi, gdzie się wybieramy? – zapytał Adam.

– Do Benton City. Do winnicy, w której zabiliśmy Frosta.



## Rozdział 15

**B**enton City, niewielkie miasteczko, znajdowało się piętnaście kilometrów od nas, po drugiej stronie Tri-Cities. Większość jego mieszkańców dojeżdżała do pracy w Tri-Cities albo w kompleksie nuklearnym Hanford. Reszta uprawiała owoce bądź produkowała wino.

Około trzeciej w nocy Adam wjechał na teren opuszczonej winnicy znajdującej się w labiryncie pagórkowatych upraw otaczających miasteczko. Zasuszone winorośle porzucone tutaj na śmierć smętnie zwisały na podporach. Nietypowe, że tak żyzny kawałek ziemi ogrodniczej tyle już czasu leżał odłogiem.

Jednak na miejscu spalonej winnicy ktoś niedawno zbudował bardzo duży dom. Widzieliśmy dokoła pooraną i porozkopywaną ziemię – ogród najwyraźniej dopiero był w trakcie tworzenia – ale sam budynek wyglądał na wykończony.

Oczywiście każdy mógł wybudować ten dom, tyle że Adam sprawdził księgi hrabstwa i okazało się, że ziemia należy do jakiejś włoskiej firmy. Gdybym jeszcze miała wątpliwości, czy wampiry są tutaj, wyeliminowałby je widok stojącego na

lądowisku czarnego śmigłowca. Obecność śmigłowca oznaczała obecność Bonaraty, zakładaliśmy jednak taką możliwość.

Adam przejechał jeszcze kawałek i skręcił na posiadłość, w wąską, zwirowaną alejkę oddzielającą martwą winnicę od żywych. Droga miała szerokość półtora samochodu, ale pobocze zostało oczyszczone i wyrównane.

Teren pochylał się – jak to zazwyczaj w przypadku winnic – musieliśmy więc pokonać garb pagórka, zanim się zatrzymaliśmy. Adam zaparkował przy rzędzie uschniętych roślin tak, żeby nie było nas widać z domu.

Kiedy wysiedliśmy, usłyszałam krzyk lelczyka i szum samochodów jadących pobliską autostradą. Kojoty wymieniły kilka krótkich szczeknięć, a gdy im odpowiedziałam, wyjrzały, żeby sprawdzić, czym jesteśmy. Dorosły i trzy podrostki. Jedno ze szczeniąt miało ochotę przyjrzeć nam się z bliska, ale matka powiodła je szukać lepszego terenu łowieckiego.

– Jesteś pewna, że Zbieracz Dusz pojawi się i nas znajdzie? – upewnił się Adam.

Postukałam się po skroni, tej nieuszkodzonej dynią.

– Wie, że tu jesteśmy. Pojawi się.

Pytanie brzmiało tylko, czy Żniwiarz – Zbieracz Dusz i Wulfe – przybędzie sam, czy w towarzystwie.

Byliśmy na miejscu od dwudziestu minut, kiedy zawarczał silnik śmigłowca. Popatrzyłam na Adama, ale wzruszył ramionami. Też nie miał pomysłu, co to może oznaczać, poza tym, że gra się rozpoczęła.

– Kocham cię – powiedziałam.

Uśmiechnął się i oparł okute bō o ramię, żeby móc mnie pocałować.

– Wzruszające – powiedział Bonarata z lekkim brytyjskim i włoskim akcentem.

Łudziliśmy się, że Wulfe pojawi się sam z sierpem, choć Adam uważał, że to mało prawdopodobne.

Żadne z nas nie zareagowało na przybycie Bonaraty, kończąc pocałunek naturalnie, kilka sekund po komentarzu Władcy Nocy. Potem odsunęłam się od Adama, pozwalając mu poprowadzić rozmowę.

– Wkroczyłeś na nasze terytorium bez pozwolenia – stwierdził.

Owszem, Bonarata wyglądał groźnie, ale nie jak potwór. Był jakieś dziesięć centymetrów wyższy od Adama i miał kwadratową sylwetkę boksera – jak wielki drab, który lubi bijatyki. Nos, złamany jeszcze, kiedy był człowiekiem, nie zrósł się dobrze i teraz podkreślał zbirowaty wygląd wampira. Do tego ściągnięta, pokryta szramami skóra wokół lewego oka. Przy tym wszystkim nawet ręcznie szyty garnitur upodabniał go do ochroniarza.

Bonarata uśmiechnął się do Adama, a ten uśmiech przydał mu niebezpiecznego uroku groźnego mężczyzny, który pociągał kobiety od czasów, od kiedy istniały kobiety i groźni mężczyźni.

– Ach, wybacz mi, proszę. Wpadłem z wizytą do moich ludzi. Zapomniałem, że powinienem dać ci znać o moich odwiedzinach.

Dobrze wiedział, że Adam usłyszy kłamstwo, i wcale się tym nie przejął.

– Och, ależ dałeś nam znać. – Powiedziałam to na tyle cicho, żeby mógł zignorować moje wtrącenie, gdyby chciał. I rzeczywiście, nie odwrócił uwagi od Adama, który odsłaniał w uśmiechu białe zęby.

– Nie mówiłem o samych odwiedzinach – sprostował Adam łagodnie. – Choć przyjmuję twoje przeprosiny. Marsilia może przyjmować gości wedle swojego uznania. Jest moim sprzymierzeńcem, ufam jej osądowi. Mówiłem o tym. – Adam zatoczył ręką, wskazując winnicę i dom, którego z naszego miejsca nie było widać. W drugiej ręce trzymał bō. – Jeśli nie

chciałeś, żebyśmy o tobie wiedzieli, trzeba było kupić ten teren na inne nazwisko.

– To? – Bonarata udał zdziwienie. – To prezent dla Marsilii. Narzekała, że wokół siedziby chmary pobudowało się tyle osiedli, że stanowią ryzyko dla jej ludzi. Kiedy skończę, przepiszę na nią całą nieruchomość.

Zaskakujące, ale mówił prawdę.

– Prezent niespodzianka? – domyślił się Adam. – Nie wiedziała o tym.

– Właśnie! – Bonarata uśmiechnął się szeroko. – Bo jak inaczej podarować tego rodzaju prezent ukochanej kobiecie?

Parsknęłam, ściągając na siebie nieprzyjazne spojrzenie Władcy Nocy. Unikałam jego wzroku, ale to nie powinno wzbudzić podejrzeń, bo tylko głupiec spogląda wampirovi w oczy.

– Przy następnej okazji – Bonarata zwrócił się znów do Adama – będę pamiętał, żeby cię uprzedzić o mojej wizycie. I porozmawiam z tobą również, jeśli zechcę tu kupić następną nieruchomość. A teraz, jak zapewne słyszysz, właśnie opuszczam Tri-Cities. – Błysnął kłami. – Załatwiłem wszystko, co zaplanowałem.

Lekko klepnęłam się dwukrotnie w udo, żeby ostrzec Adama, więc gdy Żniwiarz teleportował się u boku Bonaraty, Adam trzymał już kij oburącz, gotów do akcji.

Wulfe musiał zerować od czasu Warrena. Lewa gałka oczna zregenerowała się, i choć zasnuwało ją jeszcze bielmo, oko było niemal zdrowe. Czyli mógł widzieć. Liczyłam, że to zadziała odrobinę na naszą korzyść. Zastanowiłam się w pierwszej chwili, czy to Bonarata na to pozwolił, ale zaraz przypomniałam sobie, że przecież tylko Zbieracz Dusz wiedział, że zdolność widzenia utrudnia kontrolę Wulfe'a.

– Ten tu – Bonarata wskazał na Żniwiarza – należy do Marsilii. – W jego słowach wybrzmiała moc, która chyba jego

samego zaskoczyła.

Sama parę razy tego doświadczyłam. Powiedziałam coś pod wpływem chwili i jakby wszechświat mnie wysłuchał. Właśnie w ten sposób nasza wataha stała się dozorcą nadnaturalnej strefy neutralnej.

Po minie Bonaraty poznałam, że nie chciał, aby jego oświadczenie stało się prawdą. Ale właśnie prawda zadźwięczała w jego głosie, a coś – los, wszechświat czy magia – uznało, że weźmie go za słowo.

Więź pomiędzy Bonaratą i Wulfe'em pękła. Ujrzałam, jak szaty Żniwiarza zafalowały.

Wulfe był zawsze wtyczką w chmarze Marsilii, mimowolnym sługą Bonaraty. Byłam bardzo ciekawa, co z tego wyniknie, jeśli Wulfe, ja i Adam dożyjemy rana.

Adam przerwał ciszę, idąc do przodu.

– To moje terytorium – rzekł, a w jego głosie zabrzmiała nuta niezamierzonej magii.

Może jednak mógł się powstrzymać i pomyśleć, zanim coś powiedział, bo nasze terytorium właśnie znów się powiększyło.

Coś musi wisieć w powietrzu tej nocy, pomyślałam, a potem mój wzrok padł na wyszczerbiony sierp w ręku Wulfe'a. Wiedziałam, jak zmasowany jest ładunek dusz zgromadzony przez Zbieracza. Coś takiego mogło wywierać silny magiczny wpływ na bezpośrednie otoczenie.

Położyłam dłoń na pasie, odruchowo, bezwiednie, chcąc sprawdzić, czy szarfa jest na miejscu. Okazało się, że jest ciepła, o kilka stopni cieplejsza niż moje ciało. Zaskoczyło mnie to. Nie sądziłam, że szal jest czymś więcej niż tylko bardzo starą pamiątką. Czułam nie tylko ciepło, ale i delikatne skry magii łaskoczące mi skórę.

Żniwiarz – Wulfe – odwrócił na mnie oczy i ujrzałam dokładny moment, kiedy zdał sobie sprawę, co mam na sobie.

Magia szarfy mnie rozproszyła. Adam i Bonarata tymczasem wymienili kilka zdań, ale to warkot Adama ściągnął moją uwagę z powrotem na nich.

– Żniwiarzowi nie wolno polować na moim terytorium – oświadczył Adam z mocą.

Bonarata cofnął się, czyniąc łaskawy gest ręką.

– Och, w pełni cię rozumiem, Alfo. Jednak, jak mówiłem, nie należy do mnie. – Ostatnie słowa zabrzmiały ostrzej, raczej wbrew zamierzeniom Bonaraty, ponieważ zaraz potem dodał tonem brzmiącym jak pomruk: – Powstrzymaj go zatem.

Adam nie runął ku nim biegiem, ale poruszył się z niezwykłą prędkością. Wulfe jeszcze przez mgnienie zatrzymał wzrok na haftowanym pasie, zanim zwrócił się do atakującego Adama.

Odsunęłam się na bok, żeby obserwować walkę i jednocześnie mieć oko na Bonaratę. Mieliśmy z Adamem plan na wypadek, gdyby Władca Nocy postanowił włączyć się do potyczki, choć Adam nie przypuszczał, aby do tego doszło. Atakując Adama jako gość na jego terytorium, straciłby twarz. A przy okazji dał Branowi pretekst do potraktowania tego jako wypowiedzenia wojny. Oficjalnie nasza wataha nie należała do Marroka, ale Bran ogłosił całą Amerykę Północną swoim terytorium, miał więc prawo jego naruszenie uznać za niesprowokowaną agresję ze strony Bonaraty. A Władca Nocy doskonale zdawał sobie sprawę, że Bran w ten właśnie sposób wykorzysta jego udział w walce.

Według Adama Bonarata nie zaryzykowałby wojny na pełną skalę z wilkołakami północnoamerykańskimi, ale oczywiście Bran mógłby podjąć jakieś działania pod warunkiem, że pozostałoby przy życiu jacyś świadkowie napaści Władcy Nocy.

Znowu dotknęłam pasa, sprawdzając, czy wcześniej nie wyobraziłam sobie tego dziwnego odczucia. Tym razem szal wydawał się normalny, więc może rzeczywiście tamto było złudzeniem.



Podobnie jak sierp, tak i bō był początkowo narzędziem rolniczym. Generalnie była to porządna, tęga tyka. Adam odbijał ciosy sierpa metalowymi częściami, żeby chronić drewno przed ostrzem.

Mimo że Wulfe był wyższy, bō zapewniał Adamowi przewagę zasięgu, pozwalając mu jednocześnie zachować dystans do Zbieracza Dusz. Wulfe nie dawał Adamowi szansy na gruchotanie kości. Mnie udało się tylko dlatego, że Wulfe nie spodziewał się nagłego pojawienia się kostura w mojej ręce.

Walka znalazła się w fazie impasu, stając się pokazem umiejętności bojowych i nadnaturalnej prędkości. Adam, który widział kiedyś walczącego Wulfe'a, uprzedzał mnie, że ta część może trwać nawet pięć minut.

Pod warunkiem że żaden z nich nie popełni błędu.

Możliwe, że broń palna byłaby lepszym wyborem – tę opcję również braliśmy pod uwagę. Miałam za paskiem ukryty pistolet, choć Adam swój zostawił w samochodzie. Adam nie był pewien, czy da się za pomocą kuli zabić tak starego wampira, poza tym nie chcieliśmy tego robić. Zależało nam, żeby oddzielić Wulfe'a od Zbieracza Dusz. Marsilia potrzebowała Zaklinacza tak, jak my potrzebowaliśmy Sherwooda.

Podczas walki w domu Marsilii wydawało mi się, że Wulfe się powstrzymuje, i teraz okazało się, że rzeczywiście miałam rację. Ktoś, kto nie rozumiałby, co się dzieje, mógłby pomyśleć, że celowo nie zadają sobie ciosów. Prawda jednak była inna. Przewidywali nawzajem swoje ciosy i unikali ich. Ja też tak potrafiłam, trochę. Lepiej szło mi z przeciwnikami, z którymi trenowałam kilka miesięcy bądź lat. Potrafiliśmy z Adamem dać niezły pokaz, ale z pewnością nie taki.

Nie uskakiwali susami – walczący, który oderwie stopy od ziemi, nie jest w stanie kontrolować swojego ruchu w powietrzu, dopóki nie odzyska punktu oparcia. A przez to stanowi łatwy cel. Tego rodzaju efektowne ruchy

zarezerwowane były na pokazy albo walkę z kimś, nad kim miało się znaczną przewagę.

Nie tylko ja obserwowałam to starcie z fascynacją. Wyłapałam moment, kiedy Bonarata aż pochylił się do przodu i leciutko poruszał, jakby brał udział w walce. Zanim stał się wampirem, był kondotierem, dowódcą najemników, który zyskał władzę i bogactwo, walcząc w wojnach.

Również mogłabym się cieszyć oglądaniem walki, gdybym nie wiedziała, czym jest Zbieracz Dusz. Gdyby tak wiele nie zależało od Adama, który był tylko trochę lepszy od Wulfe'a. Trochę... Albo może Wulfe domyślił się, dlaczego przyniosłam ze sobą pas? Znów miałam ochotę go dotknąć, sprawdzić, czy rzeczywiście poczułam wtedy magię. Ale Bonarata jeszcze go nie zauważył, trzymałam więc ręce przy sobie.

Adam stopniowo spychał Wulfe'a do defensywy. Tempo walki zwolniło. Nie ze względu na zmęczenie, ale dlatego, że sprawdzili już możliwości przeciwnika i przestali marnować energię.

Teraz łatwiej dawało się zrozumieć, co robią. Sierp miał krótką rękojeść, więc nadawał się do walki w bliskim zasięgu, natomiast bō pozwalał Adamowi utrzymywać znacznie większy dystans. Adam mógł uderzyć Wulfe'a pod warunkiem, że wykonałby manewr na tyle szybko, żeby Wulfe nie zdołał złapać kija. Z kolei Wulfe, chcąc unikać okutych końcówek bō, nie mógł dosięgnąć ostrzem Adama.

Czas trwania walki oceniałam bardziej po sposobie, w jaki walczyli, niż po zegarze. Koszula Adama przemokła od potu, a Wulfe wykonywał pełne irytacji ruchy, kiedy przeszkadzał mu inspirowany hollywoodzkimi filmami kostium. W pewnej chwili oderwał jeden z szerokich rękawów i z warknięciem godnym Adama cisnął go na ziemię.

Odwinęłam pas z talii – znów wydawał się cieplejszy – i złożyłam tak, by móc trzymać w jednej ręce, ale końcówkę

umocowałam do nadgarstka, nie chcąc go zbyt szybko stracić.

– Co tam masz? – zainteresował się Bonarata.

Podniosłam wzrok i omal nie spojrzałam mu w oczy, na szczęście złapałam się w ostatniej chwili i zawiesiłam wzrok na jego ustach.

– Przynęte – odpowiedziałam. – I kotwicę. – A potem z krótkim okrzykiem rzuciłam się w wir walki.

Adam grzotnął Wulfe'a w pierś tak mocno, że wampir cofnął się, żeby utrzymać równowagę. Adam natychmiast zrobił dwa kroki w tył, powtarzając dotychczasowy wzorzec ruchów, a jednocześnie robiąc mi miejsce.

Zatrzymałam się w bezpiecznej odległości od Wulfe'a i zapożyczając moc od Adama, zwróciłam się do wampira:

– Wulfe. – To było coś więcej niż wypowiedzenie imienia, było to przypomnienie, kim jest. Rozwinęłam pas w rozłożonych rękach i spojrzałam Wulfe'owi w oczy.

Usłyszałam trzask wystrzału z pistoletu, ale ponieważ kula nie trafiła ani we mnie, ani w Wulfe'a, nie odwróciłam się. Byłam świadoma, że nieopodal rozgorzała inna walka, Adama z Bonarata, nie mogłam jednak pozwolić sobie na spojrzenie w tamtą stronę. Adam obiecał nie dopuścić, by Bonarata mi przeszkodził.

Korzystając z wiedzy, jaką zyskałam dzięki Zbieraczowi Duszu, odnalazłam połączenie, którym mnie ze sobą związał, i uderzyłam weń płomieniem oczyszczającej mocy watahy, naśladując to, co zaobserwowałam, gdy Adam unicestwiał więź pomiędzy Warrenem a Wulfe'em.

Nie próbowałam przerwać połączenia ze Zbieraczem Duszu, ale za jego pomocą posłać ogień duchowy poprzez artefakt do zaklęcia, którym niewolił Wulfe'a. Potem wzmocniłam oczyszczającą magię i pozwoliłam jej wypalić więź.

Bez względu jednak na to, ile wkładałam w to mocy, nie mogłam całkowicie przepalić połączenia ze Zbieraczem Duszu,

ponieważ Wulfe nie należał do nas tak jak Warren, więc magia watahy nie działała na niego z pełną mocą.

Wulfe podniósł na mnie oczy, jedno zdrowe, drugie mętne, a potem zbliżył się i wyciągnął do mnie rękę. Wiedziałam, jaka bitwa się w nim toczy, ale twarz miał spokojną. Podałam mu pas, a on zacisnął na nim palce. Błogość, która pojawiła się na obliczu Wulfe'a, przypominała tę ze wspomnienia Stefana, kiedy spotkali się po raz pierwszy.

W momencie, gdy Wulfe dotknął jedwabiu, łacińskie słowa oraz feniksy wyhaftowane na szarfie zapłonęły, nie efektownie, bardziej rozżarzyły się niczym zwęglone drewno na ognisku. Wulfe zamknął oczy, przytknął tkaninę do twarzy i... upuścił sierp.

W tej samej chwili przestałam wlewać w niego magię i osunęłam się na ziemię. Nie zdołałabym podtrzymać strumienia mocy ani sekundy dłużej, ale zrobiłam, co mogłam, żeby dać Wulfe'owi szansę, a on ją wykorzystał.

Zawołałam go, dotarłam do niego, a potem wręczyłam mu pas – pamiątkę z czasów, zanim Bonarata go złamał, coś, czego mógł się uchwycić. Z tą kotwicą mógł sam zniszczyć zaklęcie, którym niewolił go Zbieracz Dusz.

– Ponieważ latawiec musi mieć linkę, żeby latać – rzekł Wulfe, jakby wydobywał myśl z mojej głowy. I może właśnie tak było? Otworzył oczy i spojrzał prosto w moje. – A Marsilia – jego dłoń ścisnęła mocniej pas – jest moją kotwicą.

Niegdyś byli kochankami. A nawet więcej. Marsilia, Stefan, Andre i Bonarata byli jego rodziną. Powodem jego istnienia. Jednak kiedy Bonarata go zdradził, próbował zniszczyć, Marsilia stała się dla niego azylem. Nie musiałam zamykać oczu, by przypomnieć sobie tę wychudłą postać w lochach, czepiającą się spódnicy Marsilii.

Wiedziałam, że Wulfe myśli o tym samym. I wiedziałam też już, dlaczego nie zabił Bonaraty. Z najprostszego powodu –

Wulfe go kochał.

Wulfe spuścił wzrok, przerywając kontakt mentalny, a ja naraz zdałam sobie sprawę, że nie ja odwróciłam spojrzenie, bo nie musiałam tego robić. Wulfe pochylił się, pocałował mnie w czubek głowy i zniknął.

Straszliwe wycie przypomniało mi, że obok toczy się walka. Znałam ten dźwięk. Wiedziałam, kogo ujrzę, kiedy się odwrócę.

Adam... bestia walcząca z Bonarata nie przypominała wilkołaka. Choć tylne łapy zginały się tak, jak u wilka, stał prawie całkiem prosto, wspomagając się w razie potrzeby nazbyt długimi łapami. Twarz Adama, zniekształcony pysk wilka z przodozgrzyzem, uzbrojona była w zębiska, których nie powstydziliby się drapieżnik dwukrotnie większy od niego, i tak ogromnego.

Bonarata musiał zbliżyć się do mnie bardziej, niż planowaliśmy, skoro Adam poddał się swemu dotkniętemu klątwą potworowi. Potem zauważyłam rozsypane wokół fragmenty pistoletu. Choć oboje z Adamem przyszliśmy uzbrojeni w broń palną, nie rozważaliśmy ewentualności, gdyby Władca Nocy również ją miał.

Przypomniałam sobie huk wystrzału. W przeciwieństwie do przemiany w wilka, szybkiej, ale nie natychmiastowej, w potwora Adam mógł zmienić się w mgnieniu oka, na tyle szybko, by powstrzymać Bonarata przed zastrzeleniem mnie. Adam poddał się monstrum, żeby mnie ocalić.

Potwór Adama był maszyną do zabijania. Szybszy niż wilk, posiadał gigantyczne pazury i zęby. Choć to nie Adam kontrolował tę formę, miała jego odruchy wypracowane przez pół wieku walki i treningów. Przy nim Bonarata wyglądał krucho. Mimo że złapał Adamowe bō do obrony, i tak powinien przegrać.

Nigdy nie widziałam tak pięknej walki.

Wiedziałam, że Bonarata był wytrawnym wojownikiem, tyle że właśnie widziałam możliwości bojowe Wulfe'a, który tym razem dawał z siebie wszystko i który nawet jeśli nie przegrał z Adamem, to również z nim nie wygrał.

Może gdyby Adam w pełni kontrolował potwora, miałby szansę, ale już po kilku sekundach stało się dla mnie jasne, że Bonarata zabije Adama.

Wyjęłam pistolet, lecz szybkość, z jaką się poruszali, uniemożliwiała dobry strzał – bałam się, że trafię Adama, bo stanowił większy cel. Do tego strasznie trzęsły mi się ręce – ze zmęczenia po przelaniu tak ogromnej mocy w Wulfe'a. Nie odważyłam się nacisnąć spustu.

Przypadkiem dotknęłam stopą sierpa i poczułam szarpnięcie.

*Mógłbym ci pomóc zabić wampira* – kusił Zbieracz Dusz, a brzmiąca w tym twierdzeniu prawda oplotła moje serce.

Gwałtownie cofnęłam stopę... i zawahałam się.

Walka pomiędzy Adamem i Wulfe'em przypominała muzykę, rytmiczny szcęk metalu, szuranie stóp na ziemi. Ta pomiędzy Adamem i Bonarata nie miała nic wspólnego ze sztuką. Rozwścieczony Władca Nocy wyrzucał z siebie potoki słów, a gdybym znała włoski, pewnie okazałoby się, że Bonarata może spokojnie stawać w szranki z Benem w najlepszej formie, jeśli chodzi o zasób wulgaryzmów. Jednak okrzyki Bonaraty tonęły w wyciach i rykach Adamowego potwora.

Ujrzałam zamach Bonaraty i tym razem Adam nie zdążył zrobić uniku. Rozległ się trzask i cofnął się chwiejnie, z dłonią zwisającą pod nienaturalnym kątem. Błyskawicznie chwycił wybity nadgarstek drugą ręką i szarpnięciem ustawił kości na miejsce. Ze względu na deformacje trudno było stwierdzić, w jakim stanie jest kończyna, ale sądząc po głośnym trzasku, nastawił zwichnięcie lub złamanie, które mogło się teraz leczyć.

Operacja trwała może sekundę, Adam błyskawicznie wrócił do walki, choć widziałam, że stara się oszczędzać zranioną rękę.

Bonarata jednak miał czas, żeby zerknąć na mnie, i zobaczył leżącego na ziemi Zbieracza Dusz.

Nie wiedziałam tego, lecz poczułam, że artefakt się zorientował.

*Podnieś mnie – namawiał. Weź mnie sama albo przekaz w ręce Władcy Nocy.*

Bonarata grzmotnął Adama w żebra, łamiąc przy tym bō. Potwór upadł, a potem przetoczył się i błyskawicznie wstał. Zaczął ciężko dyszeć, jego oddech stał się chrapliwy i świszczą przy każdym wdechu. Ręka wydawała się już zagojona, za to w klatce piersiowej Adama widniało wgłębienie.

*Będzie lepszy niż ten ostatni – mówił Zbieracz Dusz. Władca Nocy jest silny. Potrafię łamać silnych.*

Bonarata zaczął powoli się przesuwac podczas walki, zbliżając się do miejsca, gdzie stałam, niepewna i przerażona. W chwili gdy się schyliłam, Bonarata przyskoczył do sierpa i sięgnął po niego.

Mogłam go uprzedzić, ale nie potrafiłam się zmusić, by dotknąć przekłętego przedmiotu. Dłoń Bonaraty zamknęła się na ostrzu, a skóra pod jego naporem pękła. Poczułam zimny dreszcz – radość Zbieracza Dusz, który poczuł moc krwi Władcy Nocy. Nadal mogłam złapać za uchwyt, nie byłam jednak w stanie pokonać oporu.

Dzięki więzom krwi, które rozciągały się między mną a Zbieraczem Dusz, od razu zrozumiałam, że artefakt nigdy nie będzie mógł związać się z duszą Władcy Nocy. Nie za tydzień, nie za sto lat. Mógł na niego wpływać, owszem, ale nie przejąć nad nim całkowitej kontroli, ponieważ umysł wampira był nieprzenikniony w sposób, który Zbieracz Dusz rozumiał lepiej niż ja.

Krzyknęłam rozpaczliwie, a Bonarata patrzył na mnie z uśmiechem, pozwalając Adamowi wyrwać sobie sierp z luźnego chwytu.

W wielkiej dłoni Adama sierp wydawał się absurdalnie mały. Adam szarpnął Zbieracza, a Bonarata syknął. Jego krew obryzgała mnie i ziemię wokół.

Adamowe monstrum ryknęło i przez moment myślałam, że wszystko będzie dobrze, ale tylko dlatego, że przez to mgnienie czułam jedynie mojego towarzysza. A potem Adam runął na ziemię jak zastrzelony. Zwinął się wokół ręki ze Zbieraczem Dusz, jakby chciał go chronić, ukrywając i dłoń, i artefakt. Jego mięśnie zeszywniały, napięły się, a węzły żył wystąpiły na ciele. Wydał z siebie nieopisany, ogłuszający dźwięk, gdy Zbieracz Dusz zaczął przemieniać go w swego sługę.

Bonarata uniósł dłoń do ust i delikatnie zlizął z niej krew z rany, którą zadał mu Zbieracz Dusz.

Uniosłam broń, a wtedy Bonarata chlasnął mnie na odlew drugą ręką. Nie pozbawił mnie przytomności, ale ogłuszył na tyle, że dałam sobie odebrać broń, którą wampir odkopnął poza mój zasięg.

Usłyszałam cichy dźwięk i coś dotknęło czubka mojego nosa. Coś zimnego, starego i otchłannego.

Odtoczyłam się od Zbieracza Dusz, lecz półprzytomna, zdołałam jedynie unieść się na kolana, zanim znów opadłam na ziemię. Po uderzeniu Bonaraty nos krwawił, ale to ten ohydny dotyk sierpa starałam się zetrzeć z niego wierzchem dłoni. Adam nie dotknął mnie nim celowo. Nie sądziłam, żeby w ogóle był świadomy, że byłam obok.

Monstrum, które kryło w sobie duszę mojego ukochanego, leżało zwinięte w kłębek z jednym ramieniem wyciągniętym tak, jakby próbowało trzymać z dala od siebie sierp. Wiło się niemrawo z wysiłku toczonej wewnątrz walki.

Bonarata kucał kilka metrów ode mnie – zdecydowanie zbyt blisko – trzymając w zgięciu łokcia metrowy fragment Adamowego bō. Uśmiechał się, ale oczy miał puste.



Utkwiłam wzrok w jego podbródku – nie chciałam zaglądać w duszę Bonaraty.

– Cieszę się, że się ocknęłaś, zanim wyjechałem – rzekł. – Chciałem ci powiedzieć, dlaczego tu jestem.

– Klasyczny błąd Diabolicznego Imperatora – powiedziałam z trudem. Miałam obolały od uderzenia policzek, a przez więź partnerską przesączał się we mnie ból Adama.

Roześmiał się. Prawdopodobnie ktoś, kto nie wiedział, czym Bonarata jest, uznałby ten śmiech za ciepły i pokrzepiający.

– Nic takiego, Mercedes Thompson Hauptman. To ważne, żebyś wiedziała, dlaczego zginęło tylu ludzi. I dlaczego zniszczyłem Tri-Cities oraz twoją watahę.

– Nie zniszczyłeś watahy – zaprotestowałam ponuro.

Uśmiechnął się szerzej, przechylając głowę w stronę Adama.

– Rozumiesz, czym jest Zbieracz Dusz, prawda? Sam się zastanawiam, czy kiedyś zbierze odpowiednio dużo dusz, by przyzwać tu swego boga – dodał w zamyśleniu i wzruszył ramionami. – Cóż, to w sumie nieistotne. Ponieważ za godzinę czy dwie przejmie kontrolę nad twoim towarzyszem, Alfą watahy dorzecza Kolumbii. A poprzez więź stadną nad całą twoją watahą.

Milczałam.

– Ciebie jednak zostawi w spokoju. Kojot jest nazbyt podobny do jego boga, by Zbieracz Dusz ryzykował ściąganie na siebie jego uwagi.

Zbieracz Dusz wcale tak nie uważał, ale nie zamierzałam wdawać się w dyskusję z Bonarata.

– Są rzeczy, do których nawet Zbieracz Dusz nie jest w stanie zmusić tego, kto go dzierży – ciągnął Władca Nocy. – Jeśli się mylę, to cóż... ale w mojej ocenie Hauptmana nie można zmusić, żeby cię skrzywdził. – Postukał kijem o ziemię, obserwując drgające ciało Adama. – Spodziewam się, że Mroczny Kowal w końcu położy na nim swoją łapę. Szkoda, ale kiedy zabiłaś

Uttu i Ninhursag, moje ulubione pajęczki, wiedziałem, że czas pozwolić staremu Kowalowi zdobyć wyczekaną zabawkę. Możliwe nawet, że Sieboldowi Adelbertsmitterowi uda się wyzwolić twojego towarzysza, nie zabijając go przy tym. Ale jak sądzisz, co uczyni Adam Hauptman po dniu, tygodniu czy miesiącu zabijania niewinnych istot?

Nie odpowiedziałam. Bo co miałabym odpowiedzieć?

– Tak, też tak uważam. Myślisz, że się utopi jak Bryan?

Nie miałam pojęcia, skąd wampir wiedział o moim przybranym ojcu, ale bardzo się starałam, żeby nie zareagować. Myliliśmy się z Adamem co do motywów Bonaraty. Nie chodziło ani o Marsilię, ani o zniszczenie strefy neutralnej. Chodziło o mnie, zmiennokształtną kojocicę, która wystrychnęła na dudka Władcę Nocy.

– Będzie się to za tobą ciągnęło do końca życia – powiedział zadowolony. – Nieważne, czy będziesz żyła sto, czy pięćset lat. Bo rozumiem, że z dziećmi Kojota to loteria. – Wyjął telefon i nadusił przycisk. Przez chwilę słuchaliśmy dzwonka mojego telefonu. Przypomniałam sobie głuche telefony, które ostatnio otrzymywałam, te, których ludzie Adama nie zdołali namierzyć. Dostawałam je w ciągu dnia.

– Za kilka miesięcy pomyślisz o mnie przy każdym dzwonku telefonu – rzekł, przesuwając palcem po ekranie, żeby zakończyć połączenie. – A kiedy będę miał na to ochotę, zabiję kogoś, na kim ci zależy albo komu zależy na tobie. – Mówił konwersacyjnym tonem. Nie wiedziałam, co czytał z mojej twarzy. – Będą umierać, a ty będziesz wiedziała, że to przez ciebie. – Podniósł się, rzucając na ziemię odłamek kija. – Nie pozwolę, by mówiono, że pokonałaś Władcę Nocy. Słyszę te szepty za plecami. Ale dość tego. Odtąd przez całe stulecia będą krążyć opowieści o tym, co dzieje się z ludźmi, którzy ośmielili mi się sprzeciwić. Twój los będzie dla nich przykładem.

Odszedł, a chwilę później usłyszałam odlatujący śmigłowiec.

– Mercy...

Chyba przez cały ten czas byłam mocno ogłuszona po ciosie Bonaraty, bo gapiłam się za nim, zamiast pomóc Adamowi. Nie próbowałam wstać w obawie, że znów upadnę, dlatego podczołgałam się do Adama.

Wargami niestworzonymi do wypowiedzania słów bełkotał coś nagłaco. Ale i tak zrozumiałam:

– Sprowadź Sherwooda. Brana. Biegnij.

A potem znów moje imię, po wielokroć, bez przerwy. Chyba nie zdawał sobie sprawy, że je wymawia. Miał zamknięte oczy.

Położyłam mu dłonie na twarzy, czując dziwną gumowatość czerwonej skóry potwora. Czując mój dotyk, otworzył oczy. W tej formie zawsze miał ludzkie oczy.

I ZOBACZYŁAM go.

Byłam zbyt zmęczona, zbyt obolała, aby próbować uwolnić Adama tak, jak zrobiłam to z Wulfe'em. Zresztą moc, z której wtedy korzystałam, była mocą watahy, a on czerpał z niej już teraz, walcząc ze Zbieraczem Dusz. Wataha dawała mu jej tyle, ile mógł przyjąć.

Widziałam to, patrząc w jego duszę. Czulałam więź stadną tak, jak on ją czuł, jako połączenie z każdym z nas. Dzięki niej wiedziałam, jak gorączkowo próbują pomóc Adamowi, i zauważyłam, kiedy wkroczył Sherwood, a jego moc omiotła wszystkie wilki. Zdołałam jedynie osłonić się, żeby nie zagarnęła również mnie.

Teraz gdy kierował nią Sherwood, moc płynąca do Adama była bardziej skupiona, bardziej skuteczna, ale i tak czulałam tryumf Zbieracza Dusz, kiedy Adam zaczął przegrywać bitwę.

Dlatego otworzyłam się na Adama, pozwalając mu zobaczyć mnie w ten sam sposób, w jaki Zbieracz Dusz zmuszał mnie do widzenia innych, pozwalając zobaczyć, jak działa Zbieracz Dusz, aby z pomocą magii, którą wtłaczał w niego Sherwood, mógł wypalić połączenie budowane przez artefakt.

Nasz, ryczała magia watahy, nasz Alfa, nasz towarzysz, nasz.  
Adam rozwarł palce i wypuścił z nich Zbieracza Dusz.



## Rozdział 16

**A**dam położył dłonie na moich rękach, którymi wciąż obejmowałam jego twarz. Zamknął oczy, przerywając palący, chaotyczny strumień wiedzy płynący pomiędzy nami.

To poprzez więź stadną poczułam, jak delikatnie zamyka przepływ mocy i jednocześnie wysyła watasze wdzięczność i otuchę. Wiedziałam też, że wszyscy członkowie przybędą do nas tak szybko, jak będzie to możliwe.

Wzdrygnęłam się na dźwięk dzwonka mojego telefonu. Adamowy również się rozdzwonił, już podczas przemiany. Normalnie odsunęłabym się, proces przemiany jest bolesny, a ten z bestii w człowieka dużo bardziej niż z wilka w człowieka. Potrzebowałam jednak tego kontaktu, a Adam też się nie odsunął. Może on również potrzebował mojej bliskości? W końcu odgłosy zmieniających kształt kości ucichły.

Ciało pod moimi dłońmi wygładziło się i zmiękło, aż w końcu trzymałam w rękach twarz Adama. Pochyliłam się, wspierając czoło na jego obojczyku, i po chwili poczułam wzbierający płacz.

Kiedy skończyły mi się łyzy, leżałam bez sił. W którymś momencie Adam usiadł i przygarnął mnie do siebie.

– Głupia ja – chlipnęłam mu w ramię i odsunęłam się, by koszulką obetrzeć policzki z łez i smarków. Osuszyłam połowę, druga za bardzo bolała, żeby jej dotykać.

– Czemu tak mówisz? – zapytał ochryple.

– Powinnam wiedzieć, że staniesz kością w gardle starożytnemu artefaktowi, który spróbuje cię pochłonąć.

Wsparł brodę na czubku mojej głowy.

– Święta prawda, Mercy. Do trzech razy sztuka.

W końcu, pomagając sobie nawzajem, wstaliśmy i pokuśtykaliśmy do samochodu.

Adam ubranie miał w strzępach, ale ponieważ to częste ryzyko w przypadku wilkołaków, zawsze woził ze sobą zapasowe. Kiedy się ubierał, zadzwoniłam do Zee.

– Cześć, Mercy.

– Cześć. – Reszta nie mogła mi przejść przez ściśnięte gardło. Popatrzyłam na Zbieracza Dusz, myśląc, ile posiada mocy.

– *Liebchen?*

Przypomniałam sobie, jak Zee walczył u mego boku z zombi. Przypomniałam sobie o jego ukrytym pokoju, gdzie trzymał kolekcję wykutych przez siebie ostrzy, które już nikogo nie zabijały. Jeśli Zee chciał zabijać, nie potrzebował do tego Zbieracza Dusz.

– Mam dla ciebie propozycję.



Mary Jo zabrała ze sobą podręczną apteczkę, dostałam więc środki przeciwbólowe i okłady chłodzące. Nie skomentowała zaschniętych łez, kiedy oczyszczała mój obolały policzek. Kiedy uparłam się, że będę siedziała obok Zbieracza Dusz, żeby nikt go nie dotknął, razem z Honey zostały przy mnie.

Adam oberwał dużo mocniej niż ja, ale kiedy pierwsze wilki przyjechały do winnicy, większość jego ran już się zagoiła. Upewniwszy się, że na pewno nie umrę w najbliższym czasie, zabrał resztę wilków i poszli sprawdzić, co Bonarata zrobił z naszymi wampirami.

Zee dotarł jakiś kwadrans później. Musiał kluczyć pomiędzy samochodami członków watahy, żeby się do nas dostać. Spodziewałam się, że od razu podejdzie do Zbieracza Dusz, jednak zatrzymał się i kucnął przede mną.

– Uznałem – zaczął, krzywiąc się kwaśno – że wymiana, którą mi zaproponowałaś, nadal nie wyczerpuje mojego długu wobec ciebie.

Rzuciłabym jakąś błyskotliwą uwagę, lecz mówienie nadal sprawiało mi ból, więc poprzestałam na:

– O?

Skinął prawie gniewnie.

– Dlatego, żeby go zrównoważyć, daję ci to.

Dotknął palcem mojego czoła i omył mnie chłód, unoszący ze sobą wszelki ból wydarzeń minionego tygodnia. Zadrżałam od nagłego osłabienia i w ostatniej chwili złapałam się, żeby nie popatrzeć Zee w oczy.

Otworzyłam usta, ale położył mi palec na wargach.

– Nawet nie waż się mi dziękować – burknął.

Skinęłam potwierdzająco głową, a wtedy wstał, otrzepał ręce i podniósł Zbieracza Dusz. Gdy tylko go dotknął, poczułam, jak połączenie z artefaktem zostaje stłumione.

Odszedł bez słowa.

– Nie wiedziałam, że ma umiejętność leczenia – stwierdziła Mary Jo, kiedy nie mógł nas już słyszeć.

– Ja też – powiedziałam.



Nazajutrz poszłam normalnie do pracy, albowiem piątek jest dniem pracy.

Wzięłam vanagona, żałując każdego przebytego nim kilometra. To oczywiście głupie, bo samochody są po to, żeby nimi jeździć, ale chciałam mieć wybór, kiedy będę nim jeździła. Znalezienie jetty, którą skasowałam w sierpniu, zajęło mi wieki. Stare volkswageny są rzadkością. Musiałam poważnie zastanowić się nad znalezieniem czegoś w zamian. Pomyślałam, że może zapytam Adama, czy ma ochotę na wypad do Seattle w ten weekend.

Okolo dziewiątej tkwiłam pod najbardziej zaolejonym silnikiem, jaki widziałam od kilku tygodni, usiłując odnaleźć w smarowym bagienku drucik. Wiedziałam już, po oględzinach górnej części korpusu silnika, że w ciągu czterdziestu lat przy tym kabriolecie grzebało wielu mechaników partaczy (albo mechaników amatorów). To oznaczało, że poszukiwany kabelek mógł być wszędzie.

Aubrey wlażł pod samochód i wystraszył mnie śmiertelnie, przez co umazałam twarz kilogramem mazi.

Wybuchnął śmiechem, a potem przeprosił skruszony, ponieważ był miłym młodzieńcem.

– Hej, Mercy – powiedział. – Chciałem ci podziękować... i pożegnać się.

– Pożegnać?

Uśmiechnął się znowu, a jego mina przypominała minę Wulfe'a z wczoraj – trochę słodczy zaprawionej niecnością.

– Odchodzę – oznajmił podekscytowany.

– O? – Również się uśmiechnęłam.

Potaknął gwałtownie. Jednak kiedy uderzył głową o podwozie, nie było przy tym dźwięku ani nie ubrudził sobie twarzy.

– Ale powiedzieli mi, że mogę się z tobą pożegnać.



– Czas na ciebie, chłopcze – usłyszałam znajomy głos, który brzmiał znacznie łagodniej niż wtedy, gdy przemawiał do mnie. Tak to już jest z ojcami.

Wypełzłam spod samochodu, ale choć zrobiłam to szybko, Aubrey i jego przewodnik do miejsca, gdzie zwykle odchodzą dusze zmarłych, już zniknęli.

Jakieś pół godziny później zdołałam zmyć smar z twarzy i większość z włosów – po tym, jak udało mi się odnaleźć przewód, kilka centymetrów od miejsca, gdzie powinien się znajdować. Zastanawiałam się, jak wycenić naprawę, do której części kosztowały cztery dolary, naprawa trwała kwadrans, za to dwie godziny zajęło mi namierzenie uszkodzenia. Właściwie dwie i pół godziny to całkiem niezły czas jak na zlokalizowanie usterki elektrycznej. Kiedyś przez trzy dni szukaliśmy z Zee przerywanego zwarcia w instalacji vanagona. Nie mogliśmy się zgodzić, który przewód stanowi problem, wymieniliśmy oba, a następnego dnia okazało się, że usterka jak była, tak była. Tad, który zajmował się warsztatem podczas mojej przerwy na lunch, naprawił to w dziesięć minut.

Właśnie wyliczałam podatek na fakturze, kiedy poczułam w głowie dziwne szarpnięcie. Złapałam się kontuaru, ponieważ siedziałam na wysokim stołku, i czekałam, aż ktoś wyplącze z mojego umysłu ośmiornicę o milionach macek zaopatrzonych w przyssawki. Kiedy ocknęłam się z oszołomienia, siedziałam na podłodze zwinięta w kłębek, a z nosa kapała mi krew.

Zadzwonił telefon.

Odebrałam tylko dlatego, że wyświetlił się numer Zee.

– Zbieracz Dusz przestał istnieć – oznajmił z satysfakcją.

Tak, pomyślałam, właśnie tak trzeba postępować z pradawnymi, zawierając z nimi układy. Obiecałam mu oddać Zbieracza Dusz pod warunkiem, że go zniszczy. A na dodatek mnie uleczył. To była dobra umowa.

– Świetnie – skwitowałam. – Było tego dużo więcej, niż przypuszczałam.

– *Ja*, czasami tak się dzieje. Dobrze, że tego nie ruszałaś. Zjedz coś, poczujesz się lepiej – poradził, a zaraz potem dodał: – W zasadzie sam jestem głodny. Przyniosę lunch.

– Naczynia plastikowe albo papierowe. Żadnych czaszek.

– Wiem, że Podgórze go chciała. Tad opowiedział mi, co ci mówiła, dając puchar dla mnie. Dotrzymałaby umowy, zapewniłaby tobie i twoim bliskim bezpieczeństwo. A przysługa u Podgórze to nie byle co.

– Tak, cóż. Miałaś prawo pierwszeństwa.

Zaśmiał się i rozłączył.

Dwadzieścia minut później przyniósł tacy z naszego ulubionego barowozu. Nieco teatralnym gestem wręczył mi puszkę z napojem. Ale mówił tylko o naprawianiu samochodów.

Po lunchu został, żeby mi pomóc. Pracowaliśmy nad dwudziestoletnim mercedesem, kiedy równocześnie odezwały się telefon i dzwonek nad drzwiami wejściowymi.

– Biuro czy telefon? – zapytałam.

– *Pest oder Cholera, es ist ein und dasselbe* – burknął.

– Jeśli pojedę kiedyś do Niemiec i uznają mnie za zrzędę, to będzie twoja wina – wytknęłam mu. – I odkąd to porównujemy klientów do zarazy?

– Od kiedy sprzedałem ci warsztat i stali się twoimi klientami – odparł. – Ja telefon, ty biuro.

Uśmiechałam się, wchodząc do biura, w którym stał... Warren.

– Cześć, jak się czujesz? – przywitałam go.

– Jakby wisiał nade mną ostateczny termin – odpowiedział. – I właśnie przypomniałem sobie, że przecież mam przyjaciółkę, którą mogę poprosić o pomoc.

Adam dał mu dwa dni na wyjaśnienie, co go tak gryzie.

– Och, wiesz, zawsze chętnie wtykam nos w nie swoje sprawy. – Przez drzwi na halę przeniknęło kilka stłumionych niemieckich słów. – Hej, jeśli uda mi się naprawić twój zły nastrój, może wypróbujemy to też na Zee?

Warren uśmiechnął się słabo.

– Wątpię. Starego psa nowych sztuczek nie nauczysz. Chodź, przejedziemy się – rzucił ostro, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Był wyraźnie spięty, wysztywniony i nerwowy.

Zdziwiona tą oschłością – myślałam, że wczoraj wyleczył się z takiego mówienia do mnie – zajrzałam na halę i zawołałam:

– Jazda próbna! Wróć... jak wróć. – Ruszyłam do drzwi, ale przypomniałam sobie, że Warren jeździ nowiutkim subaru, zawróciłam więc i zdjęłam poplamiony smarem kombinezon.

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie gestu zachęcającego mnie do zajęcia miejsca kierowcy. Usiadłam na skórzanym fotelu i mimowolnie uśmiechałam się, dostosowując siedzenie do siebie.

Wdusiłam przycisk zapłonu. Na ekranie kosmicznej deski rozdzielczej pojawił się komunikat: „Kierowca niezarejestrowany. Czy chcesz się zarejestrować?”.

Warren postukał w inny ekran, jakby tabletu, umieszczony pomiędzy siedzeniami kierowcy i pasażera, i komunikat zniknął. Zerknęłam na wilka spod oka, bo maźnięcie było jakby za szybkie, a stuknięcie zdecydowanie zbyt silne, jak na dotyk czegoś, co ja chciałabym, żeby podziałało przez parę lat.

– Gdzie jedziemy? – zapytałam.

– Howard Amon Park – odpowiedział i zaciskając zęby, złapał się uchwytu przy drzwiach.

– Jasne.

Może i naprawiałam bardzo stare samochody, ale potrafiłam obsługiwać również te nowe. SUV Adama też miał te wszystkie szmery bajery. Aczkolwiek Adamowy samochód chyba był bardziej małomówny... Nie ujechałam kilkuset metrów,

a subaru zapiszczało na mnie pięć razy. Dwa razy dlatego, że przekroczyłam ciągłą, ale pozostałe trzy były takie krótkie, że nawet nie zdążyłam się zorientować, co zrobiłam źle. Poza tym co jakiś czas migwały na mnie jakieś zielone i czerwone diodki – też nie wiedziałam, od czego. Wjeżdżając na autostradę, byłam już trochę spięta. I bardzo uważałam, żeby nie wjechać na linię.

– Użyj tempomatu – poradził mi Warren.

Tak też zrobiłam. Samochód Adama nie próbował kierować za mnie, ale wiedziałam, do czego służy tempomat. Kiedy zerkałam na odpowiednie przyciski uruchamiające tempomat, samochód brzęknął na mnie niegrzecznie, a na obu ekranach błysnął na czerwono wielki komunikat: „Zachowaj ostrożność!”. Doszłam do wniosku, że ten drugi ekran to ukłon w stronę pasażera, żeby ostrzec go przed zbliżającą się śmiercią.

Ostatecznie wyłączyłam system wspomagania jazdy, bo wkurzało mnie zmaganie się z kierownicą, ale kilometr później okazało się, że kierownica znów ma swoje zdanie. Wyłączyłam automat po raz drugi.

Zanim dojechaliliśmy do Howard Amon Park, byłam zmęczona wszystkimi tymi popiskiwaniami i pikaniem. Samochód krzyczał na mnie, że mam trzymać ręce na kierownicy, chociaż tam je trzymałam. Nakazywał patrzeć na jezdnię, kiedy właśnie tam patrzyłam i kiedy nie patrzyłam – co było jeszcze bardziej irytujące.

Zjechałam na parking i poleciłam Warrenowi znaleźć instrukcję obsługi. Po dziesięciu minutach przedzierania się przez nią zabrałam się do roboty i powylaçałam po kolei wszystkie pomocne nowoczesne systemy zaprojektowane, żeby doprowadzić do szału każdego wilkołaka – które są maniakami kontroli.

– No – powiedziałam, wycofując. – Teraz powinno być lepiej.

Nie ujechałam kilometra, a samochód znów zmienił się w choinkę z efektami dźwiękowymi.

Silnik zgasł, kiedy zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle. Nigdy nie jechałam samochodem, który by tak robił. Wiem, że miało to niby oszczędzać paliwo, ale mój wewnętrzny mechanik martwił się stanem rozrusznika. A potem silnik włączył się bez ostrzeżenia. Oboje z Warrenem aż podskoczyliśmy.

– Dałabym głowę, że wyłączyłam ten system – denerwowałam się, kiedy samochód poinformował mnie, że najechałam na linię i nie trzymam rąk na kierownicy. Możliwe, że któraś opona musnęła farbę, ale dłonie trzymałam na kółku. Obie!

– Taaaaa... – westchnął Warren. – Myślałaś, że sam nie wpadłem na to, żeby przeczytać instrukcję?

Odchrząknęłam, zakłopotana.

– Z mojego doświadczenia wynika, że właściciele nowych samochodów zazwyczaj nie czytują instrukcji. Chyba że są Kyle'em. – Kyle posunął się nawet do tego, że zaznaczył flamastrem swoje ulubione fragmenty, głównie te dotyczące bezpieczeństwa jazdy.

Zabłyśnęło światełko ostrzegawcze.

– Masz za mało płynu do spryskiwaczy – poinformowałam Warrena.

Na ekranie wielkości tabletu pojawił się komunikat informujący, że brakuje nam płynu do spryskiwaczy. Chwilę później na desce rozdzielczej zapaliła się czerwona lampka kontrolna, a kiedy ją przytknęłam, samochód powtórzył, że mamy mało płynu do spryskiwaczy.

Warren nawet nie spojrział na telefon, który wydał dźwięk przychodzącej wiadomości.

– Schodzi go dużo – stwierdził. – Szyby są za to ekstrakryste.

Zagryzłam wargi, żeby się nie roześmiać.

– Przyjdzie też email, że mam mało płynu do spryskiwaczy, wraz z instrukcją, jak napełnić zbiornik. A także z telefonem do serwisu na wypadek, gdybym był za głupi na uzupełnienie

płynu według instrukcji krok po kroku i chciał, żeby serwisant uzupełnił mi płyn do spryskiwaczy. Kopię maila oraz SMS-a otrzyma także Kyle.

Potarłam twarz. Samochód ochrzanił mnie natychmiast, że nie trzymam rąk na kierownicy.

– Ale Kyle nie komentuje – ciągnął Warren. – Kupuje tylko kolejne baniaki płynu do spryskiwaczy i ustawia je po mojej stronie garażu.

– Te systemy nie powinny się same ponownie włączać – powiedziałam. – Mogę spróbować to obejść, ale większość tego rodzaju oprogramowania jest zabezpieczona. Chyba łatwiej to zaakceptować.

– Mam spokój, kiedy nie jestem w samochodzie – powiedział Warren.

Popatrzyłam na niego. Całkiem zapomniałam, że nie powinnam spoglądać nikomu w oczy. Jednak nic się nie stało. Na wszelki wypadek pogapiłam mu się w oczy jeszcze trochę, tak dla pewności. Najwyraźniej moja umiejętność zniknęła, gdy Zbieracz Dusz został zniszczony.

Samochód nakazał nam obojgu „zachować ostrożność!!!”.

– Może mógłbyś zamienić to subaru na coś starszego? – podsunęłam.

– Dostałem go od Kyle’a – odparł ostrożnie.

– No, wiem.

– Kyle wychowywał się w gównianym domu, gdzie wpojono mu różne głupoty. Większości się pozbył, ale jedno, czego się trzyma, to okazywanie mi miłości poprzez obdarowywanie.

Sama to widziałam.

– Tyle że on ode mnie niczego nie chce. To nie wymiana.

– Aha.

– A jeśli nie może mi czegoś dać, jest mu przykro. Długo to rozgryzałem. Od dwóch lat usiłował mi kupić samochód, aż w końcu udało mu się mnie namówić i się zgodziłem.

Powiedziałem, że może wybrać, byleby to nie było nic wyróżniającego się, bo tego argumentu używał, żeby mnie przekonać.

- I uważasz, że nie zrozumie twojego problemu z bibczeniem.
- Ukrywam to, kiedy jedzie ze mną.
- Co?!
- Ukrywam to, kiedy jedzie ze mną.
- Słyszałam za pierwszym razem – powiedziałam.

Burknął.

– Nie mogę zrobić mu przykrości – rzekł zaraz miękko. – Ledwie wykaraskał się po przejściach z rodziną. Dotychczas nigdy nie otworzył na nikogo tak bardzo, jak na mnie. Nie mogę go zranić, a tak by się stało, gdybym wymienił ten samochód.

– Rozumiem... – W drodze powrotnej jedynymi dźwiękami w samochodzie były te, którymi wóz mnie sztorcował.

Zee wyszedł przed warsztat i naburmuszony patrzył, jak wysiadam z samochodu. Nie był to grymas gniewu, tylko jego normalna mina „mam do ciebie pretensje, bo musiałem użerać się z klientami”. Poklepałam maskę subaru.

– Zee, ten samochód ma problem.

Wyjaśniłam, na czym polega kłopot, bardzo szczegółowo. Zee wydał usta, otworzył drzwiczki i zajrzał do środka. Potem wystawił rękę.

– Kluczyki.

Przez twarz Warrena przebiegł skurcz – w reakcji na rozkazujący ton Zee – ale wilkołak zmięgował się szybko i rzucił pradawnemu pilota. Zee zniknął wewnątrz auta na jakieś dziesięć minut, a kiedy wysiadł, na jego obliczu malowała się jakaś łagodność.

– Kyle kupił ci ten samochód – stwierdził.

Warren przytaknął.

– Wybrał go, doprowadził pod dom... Zrobił to sam.

– To był prezent dla mnie – wyjaśnił Warren. – Chciałem, żeby był to prezent, o którym dla mnie marzyłem.

Zee uśmiechnął się autentycznie, szczerze. Tak uśmiechał się tylko przy ludziach, których darzył sympatią.

– Zależy mi na twoim bezpieczeństwie – rzekł. – Dlatego kupił ci samochód, który zapewni ci bezpieczeństwo. Myślał o tym przez całą drogę, kiedy jechał nim do domu. Zaklinał go. A czasami, kiedy żyjesz w pobliżu magii, na przykład gdy twój partner jest wilkołakiem, małe zaklęcia zaczynają działać.

Pomyślałam o pasie – nie wydawał mi się magiczny, dopóki nie znalazł się w pobliżu Wulfe’a.

Zee oddał Warrenowi pilota.

– Teraz powinien się już odpowiednio zachowywać. Jeśli znów zacznie brykać, przyprowadź go do mnie. – Na moment zawiesił głos. – Chyba masz opiekuna – rzucił i poszedł do warsztatu.

Byłam prawie pewna, że nie miał na myśli samochodu.



W sobotę poszliśmy z Adamem na pokaz specjalny „Żniwiarza” na farmie dyniowej. Chciałam zostać w domu. Lubię horrory, szczególnie te klasy B, ale naprawdę nie miałam ochoty na kolejne spotkanie ze Zbieraczem Dusz. Ale Adam miał plan, i to niezły. Ubrałam się trochę bardziej elegancko, niż wypadało na pokaz kiepskiego filmu w stodole.

Kiedy czekaliśmy na rozpoczęcie projekcji, Adam pochylił mi się do ucha.

– Marsilia dzwoniła podziękować – wyszeptał. – Powiedziała także, że Zee rozpowiada, jak to pokonaliśmy Bonaratę i oddaliśmy Zbieracza Dusz jemu, a nie Podgórzcu, ponieważ ufaliśmy, że zniszczy artefakt i wyzwoli dusze naszych ludzi, których zabił sierp. Wspomniała, że nasze notowania



u nadnaturalnych mieszkańców Tri-Cities wystrzeliły w kosmos.

– Zee tak rozpowiada? – upewniłam się zdziwiona, bo Zee nie lubił plotek.

– Wujek Mike – przyznał Adam. – Ale nie robiłby tego, gdyby Zee go o to nie poprosił.

– Ograniczanie strat – powiedziałam. – A przy okazji mamy teraz lepsze stosunki z wampirami niż wcześniej.

Najpoważniejsze rany Bonarata zadał Wulfe’owi, Marsilii i Stefanowi, ale inni też ucierpieli. Reszta chmury składała się ze słabych lub młodych wampirów, które Władca Nocy nieźle nastraszył.

Znajdowali się w kiepskim stanie, kiedy wataha ich znalazła. Nakarmili ich i przed świtem odstawili do siedziby chmury. Marsilia zapewniła Adama, że fizycznie dojdą do siebie w ciągu paru tygodni.

– Marsilia zamierza przenieść chmarę – mruknął Adam.

– Do tego domu w Benton City? – nie dowierzałam.

– Nie. Zamierza wybudować nowy. Prosiła mnie o namiary na naszego budowlańca. – Zamilkł na chwilę. – Sam nie wiem, co o tym sądzić, ale... kupiła nieruchomość Elizawieży w Finley.

Też nie wiedziałam, co o tym myśleć.

– W życiu bym tam nie chciała mieszkać. – Aż się wzdrygnęłam.

– Mówi, że to miejsce ma moc.

– Fúj.

Adam zatrząsł się od tłumionego śmiechu. W końcu znajdowaliśmy się w kinie stodołowym, a dobre maniery nakazują zachować ciszę.

Nie wiem, czy ktoś uznał film za straszny, ale ja większość pokazu przesiedziałam z twarzą wtuloną w ramię Adama. Adam z kolei poświęcił się głównie powstrzymywaniu śmiechu i rzucaniu komentarzy w stylu: „Krwotok tętniczny tak nie

wygląda” albo „Głowy nie toczą się w ten sposób, są zaokrąglone, nie okrągłe”. Robił to jednak na tyle cicho, że nie przyciągaliśmy za wielu spojrzeń. Poza tymi normalnie zaintrygowanymi, bo w końcu ludzie nas znali. Na szczęście większość tutejszych mieszkańców szanowała naszą prywatność. Dopóki po mieście nie włączyły się żadne wstrętne poczwary (w odróżnieniu od wilkołaków, które uznawano za szanowane potwory), zazwyczaj zostawiano nas w spokoju.

Po pokazie na środek wyszedł autor. Wydawał się na przemian zdenerwowany i dumny, i znów zdenerwowany, ale okazał się całkiem dobrym mówcą. Nie spodziewałam się tego, sądząc po dialogach w filmie. Przemawiał jakiś kwadrans, a potem zachęcił widownię do zadawania pytań. Czwarte dotyczyło dwóch morderstw przypominających te z filmu.

Adam przewidział, że takie pytanie padnie.

Wstał, przedstawił się na wypadek, gdyby ktoś nie wiedział, kim jest, a potem za zgodą autora opowiedział prawdziwą historię Zbieracza Dusz. Oczywiście nie powiedział wszystkiego – widzowie w stodole uważali, że wiedzą, czym jest Zbieracz Dusz, no bo w końcu obejrzeli właśnie film – nie musieli znać jeszcze straszniejszej wersji tej historii. Wspomniał o zbrodniach sprzed czterdziestu lat, a za ostatnie obarczył winą nieznanego zbrodniarza, który pod wpływem filmu wypuścił sierp na wolność.

Gdy skończył, w stodole panowała cisza, a kilku reporterów, do których Adam zadzwonił rano, zadało jeszcze parę sensownych pytań.

– No, z twojej wersji i wersji Zee wynika, że nasze wilkołaki znów okazały się bohaterami Tri-Cities, a Bonarata pewnie przewraca się teraz w grobie, w którym powinien czeznąć – podsumowałam, kiedy wyszliśmy.

Adam parsknął śmiechem.

- Tak, głupio mi tylko z powodu scenarzysty, bo odebrałem mu jego pięć minut sławy.
- Nie przejmuj się tak, facet właśnie zrobił film, który wejdzie do klasyki kultowych horrorów.



Tydzień później, w piątek, piekłam murzynka dla naszych piwnicznych graczy. Ponieważ chwilowo nie mieszkały z nami żadne nadmiarowe wilkołaki, miałam w kuchni wszystkie składniki.

Zazwyczaj nasza sieciowa bitwa piratów była otwarta dla wszystkich, którzy mieli ochotę się przyłączyć, ale ostatnio wyszedł spin-off ze świata „Straszliwego Pirata”, tyle że oparty na systemie „Dungeons & Dragons”. To oznaczało, że uczestnicy grali drużynowo i musieli przetrwać do końca. Dodatek został przewidziany dla czterech do ośmiu osób, a tego wieczoru zebrali się najzagorzalsi gracze na sesję do upadłego, która mogła potrwać co najmniej do świtu.

Adam, Mary Jo, Ben, Warren i Darryl zgłosili się na ochotnika zbadać nieznane wody. Ja nie grałam, bo najbardziej w „Straszliwym Piracie” lubiłam zabijać innych piratów, a nie gromadzić skarby.

Po południu zadzwonił Sherwood, oświadczając, że chce się przyłączyć. Nie wypytywałam go o nic, głównie dlatego, że powiedział, co miał do powiedzenia, po czym się rozłączył.

Sherwood pojawił się wieczorem z nieodłącznym jednookim kociakiem, który jechał na jego ramieniu jak radża na słoni. Po drodze do piwnicy nie zajrzał do kuchni, tylko pomachał mi przelotnie i powędrował pospiesznie na dół, gdzie czekała już reszta.

Wstawiłam ciasto do piekarnika i oblizalam łyżkę. Siedzieli tam już trzy godziny. Jesse przez chwilę im kibicowała, ale

potem przyszli Tad i Izzy. Młodzi zaanektowali dużą salę konferencyjną, żeby na rzutniku odtwarzać matematyczne filmiki z YouTube. Poinformowali mnie, że kurs z rachunku różniczkowego to odsiewacz, a oni zamierzają go zaliczyć.

Schody zaskrzypiały i z dołu wyłonił się niosący brudne naczynia Sherwood.

– Zostałem wyrzucony za burtę i wciągnięty na pokład nieprzytomny – zameldował, a jego oczy lśniły wesołością. – Za dziesięć minut będzie wiadomo, czy przeżyłem, czy nie.

Sherwood podrapał Pirata-kota pod podbródkiem. Kociak zaczął międlić koszulę wilkołaka i mrużyć.

– I jak ci idzie? – rzuciłam do Sherwooda, kiedy wkładał naczynia do zlewu.

Spojrzał na mnie pytająco.

– Jakież zapędy, żeby zabić Adama i zająć jego miejsce Alfy? – doprecyzowałam.

– Żadnych. – Uśmiechnął się i zaraz spoważniał. – Choć nadal nie pamiętam, jak świadomie tonować odruchy dominanta. A to oznacza, że możemy uciec się z Darrylem i Warrenem do rękoczynów, żeby poukładać pewne sprawy. Ale nie teraz, bo mój wilk rozumie, że nawałanki mogłyby obniżyć zdolność watahy do obrony terytorium, a mamy tu wojnę. Wilcza logika.

– Pokręcił głową. – Ale owszem, z Adamem jest okej. A z Darrylem i Warrenem możemy urządzać sobie pozorowane bitwy, przy których nikt się bardzo nie zdenerwuje.

– Bo?

– Bo ty i Adam razem jesteście lepszym Alfą ode mnie – oświadczył.

– Ej, ale nie tak działa bycie Alfą. – Zmarszczyłam brwi.

– To prawda, zazwyczaj nie – przyznał Sherwood. – Jednak magia tej watahy uznaje waszą dwójkę za jedność. – Uśmiechnął się ostro. – Córka Kojota ma w to swój wkład. Czułem to, gdy Adam walczył ze Zbieraczem Dusz.

Zmrużyłam oczy.

– Wiem, że byłeś Wielką Bestią z Nortumbrii. Ale może są też jakieś inne trafienia na naszej liście zakładów?

Wyszczrzył się w wesołym uśmiechu, lecz zanim zdążył odpowiedzieć, z piwnicy dobiegło nas wołanie Bena:

– Hej! Drewniana Noga! Zabieraj tu swoją dupę! Przytomniejesz, a ściga nas ranny kraken!

– Wszystkie ręce na pokład! – wrzasnął kapitan Wolf Larsen, czyli Adam.

– Idę, kapitanie! – Kot przywarł do ramienia biegnącego na dół Sherwooda.

Wyjęłam murzynka z piekarnika i odstawiłam do ostudzenia przed polukrowaniem. Sięgając po składniki lukru, usłyszałam dobiegający z podwórka dźwięk skrzypiec.

Wyjrzałam przez okno nad zlewem. Zapadła już noc i na zewnątrz było ciemniej niż w kuchni, nie widziałam więc wyraźnie, ale wydawało mi się, że stoliki ogrodowe obsiadły jakieś postaci.

Wyszłam, cicho zamykając za sobą drzwi. Zapanowało gwałtowne poruszenie i jakieś cienie rozpięzchły się w ciemności. Nie rozpoznałam, co to było, usłyszałam jednak wyraźny trzepot skrzydeł i szelest trawy.

– To twoi? – zapytałam Tilly, która w postaci dziesięciolatki siedziała na ziemi z wyrazem fascynacji na obliczu.

Skinęła potakująco głową, nie odrywając oczu od Wulfe'a. Wyglądała, jakby nigdy dotąd nie słyszała muzyki. Wsłuchałam się w znajomą melodię i po chwili przypomniałam sobie tytuł – „The Lark Ascending”.

Wulfe siedział na blacie jednego ze stolików. Miał na sobie długą tunikę, rozpiętą zdecydowanie zbyt głęboko, i czarne spodnie podwinięte do połowy łydek. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, bosymi, choć przenikliwy chłód dawał

się we znaki i sama pożałowałam, że nie wzięłam kurtki. Pas jedwabiu wokół jego talii mienił się nicią haftu.

Na ławce przy stoliku obok siedziała skulona postać w czarnym płaszczu, z kapturem głęboko naciągniętym na twarz ukrytą pod porcelanową maską. Między wypukłymi wargami maski widniała niewielka szczelina, ale brakowało otworów w miejscu namalowanych oczu. Staralam się nie myśleć o tym, co znajduje się pod białą zasłoną.

Usiadłam obok Stefana i zasłuchałam się w grę Wulfe'a. Po chwili Stefan poruszył się i spróbował coś powiedzieć, ale jego mowa zabrzmiała bełkotliwie, niewyraźnie, jakby coś było nie tak z jego językiem. Zrozumiałam tylko „dług”.

– Jesteśmy przyjaciółmi, Stefanie. A przyjaciele się nie rozliczają.

Wydał z siebie dźwięk, który mógł być śmiechem, a potem rozkaszał się suchotniczo i zgiął w pół, czołem prawie dotykając kolan. Wyciągnęłam ku niemu rękę, lecz nie odważyłam się go dotknąć. Nie wiedziałam, jak rozległe są jego urazy.

Adam powiedział, że Marsilia była w kiepskim stanie, ale Stefan w znacznie gorszym. Z tego, co wiedziałam, Pani Chmary doszła już do siebie dzięki obfitemu żerowaniu, jednak Stefan potrzebował więcej czasu, żeby się zregenerować. Marsilia powiedziała Adamowi, że jego urazy nie ograniczają się do czysto fizycznych, ale nie wdawała się w szczegóły.

Po odegraniu utworu Wulfe opuścił skrzypce na kolana.

– Jeśli nie mówi, nie musi oddychać – powiedział, obserwując Stefana.

Stefan skinął i kaszel ustał. Wyprostował się, a tymczasem Wulfe zszedł ze stołu i schował skrzypce do futerału.

– Już koniec? – zapytała Tilly, bardzo rozczarowana.

– Tak, pani – odrzekł z pełną powagą.

Uniósł brwi, widząc, że wydeła nadąsane usta.

– Przychodzę i odchodzę – rzekł. – Ale usłyszysz mnie jeszcze.

Przez chwilę wpatrywała się w niego niezadowolona, w końcu skinęła, a potem zerwała się i bez słowa popędziła w mrok. Usłyszałam skrzypienie drzwi – które nigdy dotąd nie skrzypiały – i szmer poruszenia małych istot spieszących się, żeby zdążyć, zanim drzwi się zamkną.

Tilly ani razu na mnie nie spojrzała.

– Dziękuję za piękny koncert – powiedziałam. – I za przyrowadzenie Stefana.

Wulfe uśmiechnął się do mnie i był to szczery, autentyczny uśmiech. Podszedł, przyklęknął na jedno kolano, ujął moją rękę i ucałował ją.

– *Bravissima* – rzekł. – Doskonała robota, Mercedes Atheno Thompson Hauptman. Świetnie się spisałaś.

– Czy to oznacza, że przestaniesz mnie nachodzić? – zapytałam, spoglądając na niego podejrzliwie.

Roześmiał się tylko i podszedł do stołu po swoje skrzypce.

Stefan pochylił mi się do ucha.

– Bój się – wyszeptał wyraźnie i prawie niesłyszalnie.

Popatrzyłam w porcelanową maskę i zrozumiałam, że nie mówi o Bonaracie.

Trzymając skrzypce w jednej ręce, Wulfe drugą bez wysiłku podniósł Stefana.

– Nie powinien jeszcze wstawać – wyjaśnił – ale bardzo chciał dzisiaj przyjść tutaj ze mną.

– Cieszę się, że mu się udało – powiedziałam z serca.

Drzwi do kuchni otworzyły się i nie musiałam oglądać się za siebie, żeby wiedzieć, że Adam stoi w progu.

Wulfe uśmiechnął się do mnie anielsko i zniknął.

Koniec





# Podziękowania

Następujące osoby albo przeczytały tę książkę na różnych etapach jej powstawania i pomogły mi dopracować jej ostateczny kształt, albo dostarczyły mi potrzebnych informacji: sierżant Dave Allen (emerytowany policjant z wydziału policji w Pasco), Collin Briggs, Linda Campbell, Dave Carson, Katharine Carson, Michelle Kasper, Christine Masters, Ann Peters, Kaye Roberson i Anne Sowards. Jestem wdzięczna za ich wysiłki i każdy, kto przeczyta tę książkę, również powinien być im wdzięczny.

Poza tym Zee bardzo dziękuje swoim przyjaciołom, Michaelowi i Susann Bockom, którzy dbają o poprawność jego niemieckiego i dokładnie rozumieją, co myśli o klientach.

Na koniec chciałabym bardzo podziękować Gertrudzie, mojemu subaru, za zrobienie ze mnie, czy tego chciałam, czy nie, lepszego kierowcy.



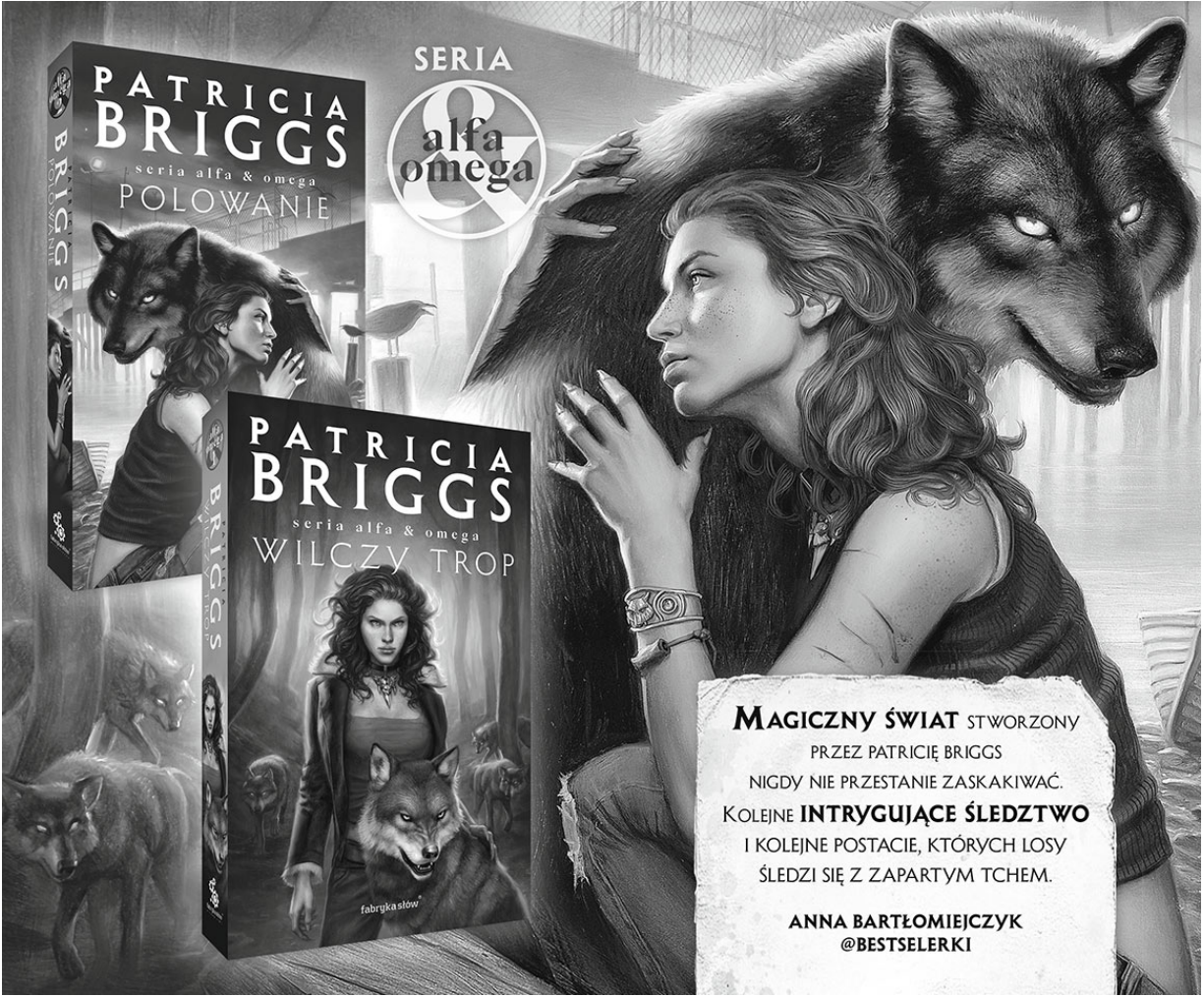
## Patricia Briggs

Urodzona w 1965 roku Patricia Briggs jest najlepiej znana czytelnikom jako autorka serii urban fantasy o przygodach

niezwykłej mechanik, Mercedes Thompson. Zadebiutowała w 1990 roku powieścią „Masques”, która sprzedawała się tak fatalnie, że Briggs niemal zakończyła na niej swoją literacką karierę. Na szczęście nie poddała się.

Kolejne książki notowały coraz lepsze wyniki sprzedaży i coraz przychylniejsze opinie krytyków. Pierwszy tom przygód Mercedes Thompson dostał się na listę USA Today. Drugi przetarł powieściom Briggs drogę na listę bestsellerów New York Timesa. Szczyt tej list zdobył tom trzeci.

Obecnie autorka mieszka w stanie Waszyngton i nieustrudzenie podąża za swoimi marzeniami – pisząc i wydając kolejne powieści.



**MAGICZNY ŚWIAT** STWORZONY  
PRZEZ PATRICIĘ BRIGGS  
NIGDY NIE PRZESTANIE ZASKAKIWAĆ.  
KOLEJNE **INTRYGUJĄCE ŚLEDZTWO**  
I KOLEJNE POSTACIE, KTÓRYCH LOSY  
ŚLEDZI SIĘ Z ZAPARTYM TCHEM.

**ANNA BARTŁOMIEJCZYK**  
**@BESTSELERKI**

COPYRIGHT © 2022 BY Hurog, Inc.  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2024

TYTUŁ ORYGINAŁU Soul Taken

WYDANIE I

ISBN 978-83-67949-27-9

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Dan Dos Santos

TŁUMACZENIE Dominika Schimscheiner

PROJEKT OKŁADKI Paweł Zaręba, Szymon Wójciak

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ [pan@drewnianytower.com](mailto:pan@drewnianytower.com)

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32

[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)  
e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)



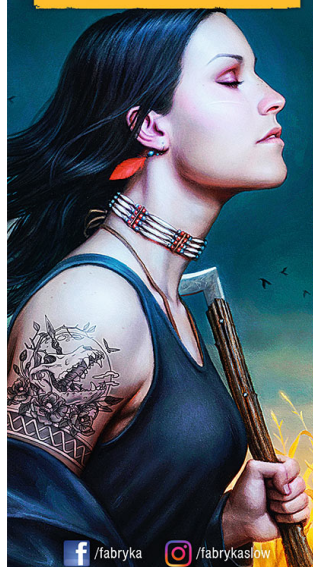
fabryka słów  
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO  
Fabryka Słów sp. z o.o.  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)  
e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)  
[www.facebook.com/fabryka](http://www.facebook.com/fabryka)  
[instagram.com/fabrykaslow](http://instagram.com/fabrykaslow)



# PATRICIA BRIGGS

## ŻNIWA DUSZ



f /fabryka

ig /fabrykaslow

fabrykaslow.com.pl



Ani chwili spokoju! Ledwie wataha z Tri-Cities uporała się z zagrożeniem ze strony czarnych wiedźm, już pojawiają się nowe kłopoty. Znikają wampiry, białe wiedźmy, a nawet niezbyt potężni pradawni. Po mieście grasuje szalony Żniwiarz ze swoim nie mniej szalonym sierpem. Magiczne pająki tkają sieci zaklęć w rodowych siedzibach magicznych istot. Jednym słowem — chaos. Czyli coś, co może i męczy, ale jednak jest prawdziwym żywiołem Mercy. Jeśli ktoś ma sobie z tym wszystkim poradzić, to właśnie ona. Zmiennekształtna kojocica, mając za sobą całą watahę wilkołaków, wyjątkowo wrednego Pradawnego i całkiem grzecznego ducha, rusza na poszukiwania przyjaciół. I wrogów.

I WSZYSTKO BYŁOBY DOBRZE. GDYBY TYLKO NIE TEN KOSZMARNY BÓL GŁOWY PO ZNOKAUTOWANIU DYNIA.

Współpraca medialna



KSIAŻKI WIE  
KUCHA, NIE KUCHA

SZATAKINI BOOK CLUB

Oliver M. Keom